

Autorka filmowanego bestsellera Gintarda węzy

LINDA DAVIES

A stack of newspapers is shown in the lower-left quadrant, with a diamond ring resting on top of them. The background of the lower half of the cover is a blue and white patterned fabric.

DIAMENTOWA GRA

Autorka filmowanego bestsellera *Giulardo w pędy*

LINDA DAVIES



DIAMENTOWA GRA



Davies Linda

Diamentowa gra

Brytyjski wywiad chce zdemaskować miliardera z Hongkongu, Roberta Frazera, zajmującego się prawdopodobnie sprzedażą broni Chinom. Misterny plan przewiduje, że Ewa Cunningham, agentka pracująca kiedyś na Dalekim Wschodzie, zbliży się do Frazera i namówi go do zainwestowania w firmę posiadającą wielkie pola diamentowe w Wietnamie. Szefowie Ewy nie wiedzą jednak, że dziewczyna przyjmuje zadanie, ponieważ pragnie zemścić się na człowieku, który kiedyś niemal złamał jej życie...

Prolog

Kwiecień 1991

Nigdy nie przypuszczała, że tak łatwo jest popełnić błąd — niewłaściwa pora, niewłaściwe miejsce, dłoń na ramieniu, śmierć. Proste, nieuniknione zakończenie.

Było słoneczne popołudnie. Gorąco, jak zawsze.

Zdawała sobie sprawę, że to nie był jej pierwszy fałszywy krok, ale zakończenie długiej wędrówki, która rozpoczęła się przed laty. Mimo wszystko wydawało jej się, że gdyby przechodziły kilka minut wcześniej lub później, sprawy mogły potoczyć się inaczej. Fakt, że zostały złapane tego popołudnia, nie był dla niej konsekwencją czterech lat, ale raczej przypadkowym wydarzeniem, jakby padły ofiarą jakiegoś tragicznego wypadku.

Wiedziały, co ryzykują. Nie dopuszczały do siebie myśli, że to loteria, w której mają dziewięćdziesiąt procent szansy powodzenia. Były przekonane, że nigdy nie wpadną że rachunek prawdopodobieństwa ich nie dotyczy, że coś je chroni. To było chyba najgorsze — świadomość, iż to się może przytrafić, że jakieś bóstwo, los czy szczęście, które zawsze miało je chronić, odeszło, że całe życie zbudowały na błędnym założeniu i teraz nadszedł czas zapłaty. Ceną miało być życie.

Było ich dwie, Angielka i Tajka. Przyleciały na lotnisko Changi w Singapurze z przesyłką heroiny. I wpadły. Ktoś dał cynk, wrobił je. Człowiek, który ponosił za to odpowiedzialność, Robie Frazer, podejrzewał, że jeden z najlepszych kurierów w jego organizacji jest tajnym agentem. Chciał sprawdzić swoje przypuszczenia. Jeśli dziewczyna wpadnie i ją uwolnią, to znaczy, że jest tajną agentką. Jeśli wpadnie i ją powieszają, to znaczy, że nią nie jest. Prosty sprawdzian. Ale plan się

pogmatwał.

Podejrzana, Sun Yi Sim, bez wiedzy Frazera dokonywała przemytu wespól ze swoją najlepszą przyjaciółką, Ewą Cunningham. Zatrzymano obydwie.

Ewa, czekając przy taśmociągu bagażowym, odczytała napis zawieszony pod sufitem: PRZEMYT NARKOTYKÓW BĘDZIE KARANY

ŚMIERCIA. Odwróciła wzrok. Odebrała torbę i szła wolno przez lotnisko.

Popychała wózek, uśmiechała się, rozmawiała spokojnie z Sun Yi, maskowała strach wesołością. Wewnątrz terminalu lotniczego było zimno. Klimatyzacja mroziła powietrze. Ramiona Ewy pokryła gęsia skórka. Minęła zakręt, weszła do korytarza celnego i ruszyła wzdłuż rzędu celników, którzy stali z wyostrzonym wzrokiem, dobrze przeszkoleni; czekali na jakiś znak. Tylko że tym razem było inaczej. Ewa od razu wiedziała, że ktoś je zrobił. Jak zawsze, i ona, i Sun Yi były spokojne. Staraly się wyglądać niewinnie, ale tym razem ich to nie ochroniło. Gdy tylko wyłoniły się z korytarza, podeszło do nich dwóch mężczyzn i dwie kobiety —

dłoń na ramieniu, posępny wzrok, pokój bez okna, rewizja. Ewa natychmiast doznała niemal paraliżującego wstrząsu. Ogarnęło ją dziwne wrażenie, że to wszystko przytrafia się innej osobie.

Widziała, jak odprowadzają Sun Yi. Patrzyła, jak odchodzi ta niska, szczupła kobieta; widziała jej plecy po raz ostatni. Była tego pewna. Ewę też wyprowadzono.

Gdy poddano ją rewizji osobistej, wciąż nie mogła zapomnieć widoku oddalającej się Sun Yi. Starala się o niczym nie myśleć, popaść w amnezję, ale nie potrafiła wyrzucić z pamięci obrazu kobiety odprowadzanej na egzekucję.

Zezwolono jej na jedną rozmowę telefoniczną. Wybrała numer, który znała na pamięć. Miała pod niego dzwonić w nagłych wypadkach. — Tu Ewa. Jestem na lotnisku Changi. Zatrzymali mnie. Przez cztery godziny siedziała samotnie w zamkniętym pomieszczeniu. Nikomu nie wolno było do niej wchodzić. Nie pozwolono Ewie z nikim się widzieć. Odniosła wrażenie, że to dobry znak. Chronią ją już do niej jadą. A jeśli nie przyjadą? Dożywocie, dwadzieścia pięć lat?

Singapur-czycy rzadko wieszali przybyszów z Zachodu, ale czasami się to zdarzało.

Mogło przytrafić się i Ewie. Sun Yi zostanie powieszona. Nie miał jej kto chronić, nie działała w imię żadnej szlachetnej sprawy. Ta szlachetna sprawa ocali Ewę, zawiedzie ją gdzieś, gdzie będzie bezpieczna.

Zastanawiała się, czy nie powinna pragnąć dla siebie tego samego losu, czy nie powinna zawisnąć wraz z Sun Yi. Sprzeciwiała się temu z całych sił. Nawet przez sekundę nie miała ochoty umrzeć. Będzie ją zżerać poczucie winy, że przetrwała.

Dopadło Ewę już wtedy, gdy w oczach przyjaciółki ujrzała strach i oczekiwanie śmierci. Ale kiedy tak siedziała w pokoju bez okna, a pot spływał wraz ze łzami, które potoczyły się, gdy ustąpił początkowy, kojący i obezwładniający szok, bardziej niż kiedykolwiek przedtem ogarnęło ją potężne

pragnienie życia.

Poddanie się śmierci, której można uniknąć, jest najbardziej niesmacznym, żalonym widokiem. Aż rozdziera serce. Nie umrze. Wywiad, departament MI6, nigdy nie obiecywał, że zabezpieczy ją ochronną siatką ale wierzyła, iż taka siatka istnieje. Była agentem na zlecenie, można ją było odsunąć. Nie istniał żaden kontrakt, żadna umowa zapewniająca, że

pomogą Ewie w razie kłopotów. Mimo to miała pewność, która zrodziła się z desperacji, że ją z tego wyciągną. Była gotowa zapłacić każdą cenę.

Andrew Stormont, jej kontroler, przybył o zmierzchu. Przyleciał z Hongkongu herkulesem C-130. Celnicy przywitali go na pasie startowym i zawiedli do Ewy.

Wszedł, usłyszał odgłos zamykanych drzwi i przekręcanego klucza. Stał i przyglądał się Ewie. Gdyby nie jej oczy, wciąż jeszcze intensywnie lśniące życiem, nie poznałby tej kobiety. Ubranie wisiało na jej wychudzonym ciele. Miała wymizerowaną twarz i zaostrome rysy. Jej cera była ziemista, a blond włosy długie i zniszczone. Nosiła piętno uzależnienia od heroiny.

Podszedł do niej. Podniosła się z podłogi. Nie odezwali się. Wziął Ewę za rękę i zapukał w drzwi. Celnicy wypuścili ich, poprowadzili do bocznego wyjścia, przez ciąg korytarzy i z powrotem na pas startowy, do herkulesa, który stał w pełnej gotowości, z włączonymi silnikami. Pozostawili ich. Ewa i Stormont wsiedli do środka. Samolot wystartował. Ewa patrzyła, jak Stormont oddaje jej bagaż ubranemu po cywilnemu policjantowi, który usiadł cichutko z tyłu samolotu.

Policjant miał zniszczyć zawartość jej torby, wszystko co się w niej znajdowało, a wraz z tym ostatnie cztery lata życia Ewy.

— Dokąd lecimy?

— Wracamy do Anglii. Do kliniki. — Stormont przesunął dłonią po wychudzonych ramionach kobiety.

Od czterech lat pracowała dla wywiadu jako tajna agentka do spraw narkotyków w południowo-wschodniej Azji. Stormont regularnie rozmawiał z nią przez telefon, ale żaden z pracowników wywiadu nigdy Ewy nie widział. Tak dobrze wypełniała swoją rolę, że nikt nawet nie podejrzewał jej o uzależnienie od narkotyków.

— Dlaczego nam nie powiedziałaś?

— Co by to zmieniło? Nie miałam wyboru. Nadszedł taki moment, gdy musiałam wziąć. Wiedziałam, że kiedy zacznę, nie będę mogła przestać. Ale miałam do wyboru albo to, albo zdemaskowanie. Mieli mnie na oku od samego początku.

Tylko w ten sposób mogłam ich przekonać.

— Musieli znów zacząć coś podejrzewać.

— To było ukartowane. Jestem tego pewna. Ale nie ja byłam celem. Mnie tu miało nie być. To czysty zbieg okoliczności. Musiałam dokonać transportu wcześniej czy później, więc zdecydowałam się zrobić to w tym tygodniu. Dowiedziałam się, że Sun Yi robi to dzisiaj, więc się do niej przyłączyłam w ostatniej chwili. Celnicy ruszyli prosto do Sun Yi. Mnie zatrzymali, ponieważ byliśmy razem. Ale nie o mnie im chodziło. Gdybym była sama, przesłabym. Od czterech tygodni krąży plotka, że któryś z najlepszych kurierów Frazera to tajniak. Podejrzenie właściwe, niewłaś-

ciwy podejrzany. A teraz ja jestem tutaj, a Sun Li już nie żyje.

Stormont zaczął coś mówić, ale Ewa przerwała mu.

— Ona już właściwie jest martwa. Sama wolałabym umrzeć od razu, niż czekać pół roku, aż mnie powieszą.

Usiadła obok niego. Twarz miała wyniszczoną, skóra ściągnęła się nad kośćmi policzkowymi. Piękno zniknęło, pozostał ledwie jego cień.

— Od jak dawna bierzesz?

— Niemal od początku.

— Ewo!

Przemówiła przez nią duma ćpuna.

— Jestem silna.

Siedziała sztywno, nieobecna. Stormont zastanawiał się, kiedy brała ostatni raz, kiedy zacznie się niepokój, dreszcze i krzyk. Już zaczynała się pocić. Spojrzał na Ewę i zastanowił, czy było warto. Rozważając sprawę logicznie, wiedział że tak, ale gdy tak siedziała obok, ofiara jego bitew, uczucia brały górę nad logiką. Próbował

dociec, czym usprawiedliwi to sama przed sobą.

Odezwała się, jakby czytała w jego myślach:

— Nie bardzo wiem, jak z tego wyjść. Pojadę do domu, dojdę do siebie. I co dalej?

— Co chcesz robić?

— Jest mi to obojętne. Myślę jedynie o następnej działce.

— To lepiej niech przestanie ci to być obojętne, bo następnej działki nie dostaniesz.

— Jego słowa były pozbawione wszelkich uczuć, ostre. — Jeśli nie zacznie cię to obchodzić, to równie dobrze mogłem cię zostawić czekającą na śmierć wraz z twoją przyjaciółką.

— Dobrze,, w porządku. — Słowa Ewy zabrzmiały jak kaszel. — Chcesz, żebym złożyła oświadczenie, obietnicę? Proszę bardzo. Obietnica za obietnicę. Jestem tutaj z powodu Robiego Frazera. Robiego Frazera, jego broni i jego narkotyków.

Stormont uniósł dłoń, uprzedzając jej słowa.

— Zapomnij o Frazerze. Niemal cię zniszczył. Tam jesteś spalona. Możesz zacząć od nowa gdzie indziej.

— Nie. Frazer mnie nie zniszczył. Przestaną być ćpunką. Wyleczę się i poczekam.

Nieważne ile to potrwa — trzy, cztery, dziesięć lat. Potem wrócę po Frazera. Tylko tyle chcę.

Pochyliła się ku Stormontowi, napinając pas bezpieczeństwa.

— Wytycz mi jakiś cel. Potrzebuję czegoś. Frazer sam nie odejdzie. A ty tego drania nie dostaniesz. Zawsze będziesz go pragnął. — Przerwała, a w jej oczach pojawiła się ironia. — Wiesz, jak funkcjonują te kliniki odwykowe — z tego, co słyszałam, wpajają ci pewne słowo, które powinno się bez przerwy powtarzać, żeby normalnie egzystować. Coś w rodzaju mantry. Moją mantrą może być Frazer.

Stormont milczał przez długą chwilę. Racjonalne argumenty na temat trudności ze składaniem i dotrzymywaniem obietnic nie pomogą jej.

— Dobrze, Ewo. Wyleczysz się i dopadniesz Frazera.

Oparła się w fotelu i zamknęła oczy.

Szesnaście godzin później herkules wylądował na lotnisku RAF-u w Brize Norton.

Ewa siedziała zgarbiona w fotelu obszytym płótnem, a po jej trzęsącym się ciele spływał pot i mieszał ze łzami, które toczyły się bezwolnie. Na spotkanie samolotu wyszli pielęgniarze. Stormont patrzył, jak kładą Ewę na noszach. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy.

Pół roku później, w klinice odwykowej daleko na zachodzie Szkocji, Ewa przeczytała, że Sun Yi Sim została powieszona.

Rozdział 1

Marzec 1995

Przez cztery lata Andrew Stormont starał się zapomnieć o Ewie Cunningham i swojej nieprześlanej obietnicy. Zmienił stanowisko w wywiadzie, czyli jak mówiono w środowisku, w Firmie. Przeniósł się z działu narkotyków, był teraz dyrektorem działu antyproliferaacji zbrojeń i jego zadaniem było monitorowanie rozprzestrzeniania się technologii militarnych i broni na całym świecie.

Wiele krajów, włącznie z tymi, które podpisały Traktat o Nierozprzestrzenianiu Broni Jądrowej, w skrytości handlowały komponentami i ekspertyzami nuklearnymi. Niekontrolowana sprzedaż plutonu nabrała rozpędu po rozpadzie byłego Związku Radzieckiego, docierając do zupełnie nowych krajów. Inne zagrożenie zaczęły stanowić rozwijające się programy chemiczne i biologiczne.

Nowe obowiązki, nowe cele, nowi podwładni. Ale Ewa pozostała w myślach Stormonta, zaskakując go co pewien czas, pojawiając się w przebłysku pamięci, taka jaką była, kiedy ją zwerbował. Dwadzieścia dwa lata, prosto po Oksfordzie, emanująca pięknem, energią, ciekawością świata. Ale już wtedy była w pewien sposób skażona, jak ludzie, którzy spędzają lata w wywiadzie — ostrożna, przygotowana na nieprzyjemności.

Pojawiała się również, co było bardziej niepokojące, w jego snach. Nieproszona, bez związku z jakimkolwiek logicznym bodźcem, zjawiała się po prostu, jakby chciała Stormontowi przypomnieć o jego obietnicy. Po kilku takich sennych widzeniach zaczął sądzić, iż może te sny mają racjonalne wytłumaczenie, jako że Robie Frazer ponownie zaprzętał jego myśli.

Ewa miała rację, gdy powiedziała, jakby rzucała klątwę, iż Stormont nigdy nie uwolni się od Frazera. To właśnie Frazer, ten niewyraźny, ruchomy cel, przywiódł

go teraz do Hongkongu. Stormont podejrzewał, że Robie Frazer jest zamieszany w handel bronią ale nie mógł tego jeszcze dowieść. Do takiego wniosku doszedł

Stormont dzięki własnej inteligencji

i intuicji. Według jego kalkulacji handel bronią, przynoszący ogromne profity, odpowiadałby zachłanności Frazera, a sława bezkarnego kryminalisty — jego wypaczonej moralności. Nawet jeśli Stormont się mylił i Frazer bezpośrednio nie skupował i nie sprzedawał broni, z pewnością dobrze znał ludzi, którzy się tym zajmowali.

Po latach prowadzenia interesów z Chińczykami Frazer miał nadzwyczaj dobre stosunki z chińskimi władzami. Chiny były aktywnym ogniwem rozprzestrzeniania zbrojeń, dostarczając krajom Trzeciego Świata technologii nuklearnych.

Człowiekiem, który sterował większością tego nielegalnego handlu, był wysoko postawiony polityk, Ha Chin. Należało przypuszczać, iż Frazer zna Ha China. Teraz Stormont szukał jakiejś nici łączącej tę dwójkę. Zresztą niezależnie od tego, czy zna Ha China, czy nie, Frazer mógł stanowić wartościowe źródło informacji.

Był ciepły marcowy dzień. Stormont znalazł się w dzielnicy Peak, w trzech czwartych długości Magazine Gap Road. Peak, najelegantsze osiedle Hongkongu, zamieszkiwały stare bogate rody i, coraz częściej, nowobogaccy. Tutaj zdomowała się większość Tai Panów z poważanych, kupieckich rodzin Hongkongu. Robie Frazer, nowy Tai Pan, również był tutejszym mieszkańcem.

Stormont spojrzął ponad pofalowanym szczytem wzniesienia na drugą stronę ulicy, na dom Frazera odległy o ćwierć mili. Był to wielki biały budynek, lśniący na tle zieleni. Zdawało się, że przylgnął do zbocza, wyłaniając się z rozległych, gęstych zielonych zarośli, przymocowany tani dzięki jakiemuś nadzwyczajnemu osiągnięciu sztuki budowlanej. Jak twierdzono, dom był wart dwadzieścia sześć milionów funtów i sprawiał wrażenie, jakby znał własną wartość. Stał wyniośle, błyszcząc w popołudniowym słońcu, oślepiając jak czerwień i żółć kwiatów, które rosły przy ścieżkach przecinających zbocze. Dla kogoś kto nań patrzył, ten dom był symbolem

— przemawiały przez niego pieniądze, władza, pozycja. Doskonale pasował do swojego właściciela.

Robie Frazer miał czterdzieści lat, był szczupły, miał piwne oczy brązowe włosy. Na twarzy pojawiły mu się już zmarszczki, które, podobnie jak wszystko inne, traktował nonszalancko. Był lubiany i podziwiany zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety, mimo że niezmiennie wzbudzał zazdrość, co w skrytości ducha sprawiało mu przyjemność. Nikt nie wiedział, czym się naprawdę zajmował i w jaki sposób zarabiał pieniądze. Jednak samo jego bogactwo, połączone z niekwestionowanym angielskim pochodzeniem, stawiało go poza wszelkimi podejrzeniami i sprawiło, że cieszył się powszechnym szacunkiem. Nie było podstaw, żeby sądzić, iż jest nieuczciwym człowiekiem.

Stormont wpatrywał się w biały dom, jakby szukał w lśniącej fasadzie jakiejś podpowiedzi. Wiedział, że Frazer był skorumpowany i z gruntu zły. Kokon korupcji otaczał go tak szczelnie, jak larwę jedwabnika a przy tym pozostawał niewidoczny dla ludzi, którzy mieli przywilej przebywać

w towarzystwie Frazera. Ale Stormont dostrzegał to, wyczuwał, podobnie jak Ewa Cunningham kilka lat temu.

Przez długi czas wpatrywał się w dom, po czym odwrócił się i zaczął iść, nie zwracając uwagi na spiekotę. Szedł piętnaście minut i dotarł z powrotem do dzielnicy Central, gdzie umówił się na drinka ze starym przyjacielem z czasów uniwersyteckich, Douglasem Bairnsem. Bairns stanowił doskonałe źródło informacji. Zajmował się handlem diamentami. Był odpowiedzialny za działalność swojej firmy na rynkach azjatyckich.

Bairns czekał w Klubie Korespondentów Zagranicznych, przy Lower Albert Road.

Stormont wszedł z upału w podmuch klimatyzacji. Odnalazł Bairnsa przy barze.

Dwaj starzy przyjaciele podali sobie dłonie, usiedli, zamówili drinki i gawędzili wesoło na temat lotu Stormonta, jego zdrowia, pogody. Ich konwersacja była elegancka i niezobowiązująca. Mówili tonem tak beztroskim, że równie dobrze mogliby rozmawiać o grze w krykieta lub o kobietach.

Po wymianie uprzejmości Bairns przeszedł do rzeczy.

— Mam mały problem w Wietnamie. — Uśmiechnął się ze znużeniem. — Chyba zostało odkryte nowe, duże złożo diamentów, które może mieć spore znaczenie. —

Rozłożył ręce. — Kto wie? Może da się z niego wydobywać dziesiątki tysięcy karatów rocznie.

— Brzmi obiecująco. Więc na czym polega problem?

— Do tego miejsca dobrał się facet o nazwisku Granger McAdam. Jego firma posiada prawo własności terenu. Jest notowana na giełdzie w Vancouver. McAdam stoi na czele firmy, ma dwadzieścia pięć procent, praktycznie ją kontroluje. To Amerykanin i drań nie chce współpracować. Nowe i być może duże złożo diamentów w rękach niechętnej nam osoby — to nie należy do naszych ulubionych scenariuszy. — Faktycznie nie wygląda to najlepiej. — Stormont wiedział już, jakie będzie następne pytanie, ale nie zrobił nic, żeby ułatwić przyjacielowi zadanie.

Chciał, żeby Bairns poprosił wprost, żeby karty były wyłożone na stół, żeby mógł

mu oddać przysługę i żeby została ona zapamiętana, jako dług do spłacenia w przyszłości. — Nie muszę ci mówić — odezwał się Bairns — że byłoby nam na rękę, gdyby McAdama zastąpił ktoś bardziej przychylnie do nas nastawiony.

Problem jest taki, że jeśli spróbujemy przejąć firmę, jeżeli zastosujemy normalne metody, McAdam będzie walczył jak lew. Ta firma to jego dziecię. Nigdy nie zgodzi się na dobrowolną sprzedaż. Każdy, komu uda się wejść w posiadanie większej liczby akcji firmy, będzie musiał z nim rywalizować, a McAdam będzie wiedział, jak zatruć mu życie.

— Tak, chyba masz rację. Pomyślę o tym. Może da się to jakoś rozwiązać. W tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy — skłamał Stormont — ale będę o tym pamiętał. W każdym razie, jak już tu jesteś, to może opowiesz mi trochę o McAdamie? Skąd on się wziął?

Bairns mówił przez piętnaście minut. Stormont przeciągnął się, jakby był znudzony.

Spojrzał na zegarek.

— Muszę iść, Douglas. Powodzenia.

Stormont wyszedł z klubu, zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i wrócił do lokalu konspiracyjnego, w którym się zatrzymał, w Mid-Lewels, w połowie drogi do dzielnicy Peak. Wszedł do salonu i nalał sobie whisky. Usiadł na miękkiej kanapie, oparł łokcie na kolanach i spojrzał przez okno na panoramę poszarpaną drapaczami chmur. Za nimi rozpościerał się spokojny błękit Morza Południowochińskiego.

Szybko podjął decyzję. Automatycznie, z obowiązku, poddał ją racjonalnej analizie, która potwierdziła słuszność rozumowania Stormonta. Chłodna kalkulacja była stratą czasu. Lepiej poświęcić ten czas na wyczucie przeciwnika i wyprzedzić jego posunięcia. Stormont podniósł słuchawkę i zadzwonił do swojego zastępcy, Gilesa Adena, w Londynie.

— Skontaktuj się z Ewą. Ściągnij ją tutaj natychmiast. Poczekam do jej przyjazdu.

Zapadła długa cisza, zanim z drugiej strony linii rozległ się zniekształcony głos Adama.

— Skąd wiesz, że przyjedzie?

— Znam ją.

— Czy jesteś pewien, że to rozsądne?

— Przyszłość pokaże.

Rozdział 2

Odszukanie Ewy zajęło piętnaście godzin. Po opuszczeniu kliniki rehabilitacyjnej w Szkocji, w której spędziła sześć miesięcy, zniknęła bez śladu. Pojechała do Wietnamu i wiodła swobodne życie. Jeździła po kraju, w wioskach uczyła dzieci angielskiego. Nie brała zapłaty za swoją pracę. Miała trochę własnych pieniędzy, a na utrzymanie nie potrzeba było wiele. Pracowała dla samej radości pracy i po to, by dojść do siebie. W jej przekonaniu nie mogła jednak w pełni wyzdrowieć, dopóki nie otrzyma tego telefonu, dopóki Stormont nie spełni obietnicy. Czekala cztery lata.

Aden zadzwonił do niej o 10.00 czasu wietnamskiego. Właśnie wróciła znad Zatoki Halong w północnym Wietnamie, gdzie wybrała się, żeby popływać. Aden nie przywitał się z Ewą ani niczego nie wyjaśnił. Powiedział tylko:

— Stormont natychmiast wzywa cię do Hongkongu.

Poczuła falę mdłości, bólu i podniecenia. Przeleciała się przez Ewę, otrzeźwiając ją. Od dawna zastanawiała się, jak będzie wyglądała ta chwila. Rozejrzała się, próbując utrwalić ten moment w pamięci.

— Dokąd mam jechać? Aden podał jej adres.

— Już jadę.

Spakowała wszystko, co jej było potrzebne, do niewielkiej płóciennej torby i opuściła swoją pochyłą skrzypiącą chatkę z widokiem na morze, przedzielone potężnym zwałem skał — jej ukochany pejzaż. Nie przekręciła klucza w drzwiach.

Zostawiła go na stole w głównym pokoju, gdzie czekał na następnego lokatora.

Pojechała autobusem do Hanoi i stamtąd poleciała do Hongkongu. Mila za milą wracała do swojej przeszłości. Czuła, jak narasta w niej siła i ginie gdzieś delikatność, zaczęła przeobrażać się wewnątrz.

Samolot zatoczył łuk nad ciasno stłoczonymi drapaczami chmur i wyładował na lotnisku Kowloon. Wysiadła i szła szybko przez terminal, dzika piękność o sprężystych ruchach i wyostrzonym wzroku.

Mężczyźni i kobiety odwracali się, żeby na nią spojrzeć. Twarz Ewy, o zdecydowanych rysach, ciemnoniebieskich oczach i pełnych ustach, wyrażała siłę. Jej skóra była gładka i opalona. Włosy, sięgające ramion, związała w koński ogon. Były złotawe od słońca. Miała pięć stóp, sześć cali wzrostu i szczupłą gibką sylwetkę sportswomenki. Promieniowała energią i pewnością siebie. Podarte dzinsy i spłowiała flanelowa koszula oraz stara płócienna torba nadawały jej wygląd wiecznej podróżniczki. Kroczyła zdecydowanie, jakby wracała do domu.

Poszła na postój taksówek. Pociemniało, niebo zrobiło się grafito-woszare. Kłębiły się czarne chmury, niemal iskrząc energią elektryczną. Ewa zatrzymała taksówkę i ruszyła w stronę lokalu konspiracyjnego. Gdy samochód wyjechał z tunelu, który łączy Kowloon i stały ląd z wyspą Hongkong, chmury eksplodowały. Błyskawice cięły złane wodą niebo. Ewa przysunęła się do okna i wyglądała przez nie, delektując się burzą.

Pół godziny później, gdy przybyła do lokalu konspiracyjnego w dzielnicy Peak, nawałnica wciąż szalała. Zastukała dwukrotnie. Andrew Stormont otworzył drzwi i Ewa weszła do środka. Przyglądali się sobie w milczeniu. Stormont podszedł do Ewy i ujął jej dłonie.

— Pięknie wyglądasz.

Obserwowała Stormonta, gdy tak stał przed nią, porównując tego mężczyznę z wizerunkiem, który zapadł jej w pamięci. Stormont miał pięć stóp i sześć cali wzrostu, szare włosy, ciemnoniebieskie oczy. Był szczupły, ale dobrze zbudowany.

Jego chłodne spojrzenie starannie skrywało emocje, gdyż z konieczności świetnie się kontrolował.

Ewa знаła dom, samochody, obrazy Stormonta. Dostrzegała zarówno w tych przedmiotach, jak i ich właścicielu tę samą cechę — zmysłowość. Wiedziała też, że Stormont uwielbia wędrować po górach, spać pod gołym niebem albo w namiocie rozbitym na śniegu, lubuje się zarówno w luksusie, jak i w prostocie. Gdy mu się teraz przyglądała, jak zwykle zaskoczyła Ewę twarz tego mężczyzny, która tak często potrafiła się zmieniać. Czasami wydawało się, że ma delikatne, pociągłe rysy, kiedy indziej sprawiały wrażenie ostrzejszych i grubszych.

Dzisiaj twarz Stormonta wyrażała mnóstwo uczuć. Zdradzał je uśmiech i wyraz oczu, które przyglądały się Ewie uważnie, oceniając ją, z podziwem, który nigdy nie osłabł, nawet wtedy, na lotnisku Changi. Wówczas widziała w nich ból i współczucie, ale nie pogardę, jakiej się obawiała.

Rzuciła torbę na podłogę.

— Zanim się za cokolwiek zabiorę, muszę wziąć prysznic. Pożycz mi jakieś dzinsy i koszulkę, dobrze?

Przeszła przez pokój rozpinając po drodze koszulkę. Stała przed łazienką i rozebrała się do naga, rzucając ubranie w stos na podłodze. Stormont obserwował ją, chłonąc gładką opaloną skórę, mięśnie i zaokrąglenia. Ewa tchnęła silnym, kobiecym seksem. W niczym nie przypominała dziewczyny uzależnionej od heroiny. Wróciła do zdrowia, była czysta. Wspaniale dotrzymała słowa.

Stormont otworzył swoją walizkę, wyjął parę dżinsów i koszulę. Położył je na podłodze przed łazienką po czym poszedł do kuchni, wyjął z lodówki butelkę starego rocznika Veuve Clicquot, otworzył ją i nalał szampana do dwóch kieliszków. Podeszedł do okna i stanął przy nim, wyglądając.

Ewa pojawiła się dziesięć minut później, wycierając włosy ręcznikiem. Stormont odwrócił się, aby na nią popatrzeć. Dżinsy wisiały Ewie na biodrach, obnażając pępek i płaszczyznę napiętego, dobrze umięśnionego brzucha. Zawiązała koszulę w pasie i zapięła tylko kilka guzików, odsłaniając opalony dekolt, wciąż pokryty kropelkami wody. Podeszła do niego. Ścisnął mocno kieliszek i łyknął trochę szampana, podnosząc wzrok, żeby jej się przyjrzeć. Nie miała nic pod ubraniem.

Spojrzenie Ewy było uważne, ale szczerze. Każdą inną kobietę podejrzewałby, że próbuje go uwieść, ale nie Ewę. Niezależnie od tego jak bardzo by jej pragnął, seks z Ewą nie wchodził w rachubę. Stormont był jej kontrolerem. Ich wzajemnymi stosunkami rządziły określone reguły. Żadne z nich nie było w sposób naturalny predysponowane do poddawania się regułom, ale z sobie wiadomych powodów w tym wypadku stosowali się do nich — być może zauroczenie odczuwane przez obojga było zbyt głębokie, zbyt groźne.

Ewa wzięła od Stormonta kieliszek, który jej zaoferował, i usiadła na kanapie. On usadowił się na krześle naprzeciwko.

— Jak tam w Wietnamie? Słyszałem, że uczysz angielskiego w zapadłych wioskach.

— Jest wspaniale, gorączkowo, ekscytująco, spokojnie — wszystko naraz. Często zmieniałam miejsca pobytu, ale teraz mam dom nad Zatoką Halong. Uczę w miejscowej szkole.

— Ułożyłaś tam sobie dobre życie.

— Nieskomplikowane i szczęśliwe. Jednocześnie mogę robić coś pożytecznego.

— Wiesz, dlaczego znów cię wezwałem?

— W sprawie twojej obietnicy.

— Nie musisz się tego podejmować. Masz wybór. Możesz wrócić do Wietnamu, zapomnieć, że się kiedykolwiek spotkaliśmy, zapomnieć o wszystkim.

Upiła trochę szampana, po czym cicho i ostrożnie odstawiła kieliszek na marmurowy stół.

— Zapomnieć? Raczej nie. Jakiegokolwiek masz plany, zrobię to. Przez cztery lata odpowiedź brzmiała „tak”. I się nie zmieni.

Popatrzył na Ewę w milczeniu. Jego łagodny wzrok stwardniał po chwili.

— Przeszedłem do innego działu. Walka ze zbrojeniami. Najbardziej martwią mnie Chińczycy. Sądzą, że sprzedają pluton, informacje techniczne i gotową broń ludziom, z różnych względów niepożądanym. W Chinach handlem sterują wysoko postawieni politycy i kilku biznesmenów o dobrych kontaktach. Rozwijają się prywatne przedsięwzięcia. Pojawia się coraz więcej Panów

Ważnych. Z pozoru są prawymi biznesmenami. W istocie zajmują się tym, co im wpadnie w ręce — narkotykami, bronią, materiałami nuklearnymi. Chcę się dowiedzieć, czym i z kim handlują. Sprzedają wielkie ilości broni Saudyjczykom. Muszę to prześledzić.

Mamy na miejscu agentów, ale potrzebuję czegoś więcej. Szukam kogoś, kto będzie miał dostęp do najwyższego szczebla i dobre koneksje. Na przykład jakiegoś biznesmena. Kogoś, kto prowadzi interesy z tymi Panami Ważnymi i z politykami.

— Robiego Frazera. — Głos Ewy był pozbawiony emocji. Stormont przytaknął.

— Nikt nie ma lepszych kontaktów z Chińczykami niż Frazer. Lubią go, ufają mu.

Rozumieją się wzajemnie. Jest niemal honorowym Chińczykiem.

— To dlatego, że nigdy nie spotkali gaelina, który kochałby pieniądze tak bardzo jak oni. W porównaniu z Frazerem są skromni. — Znów łyknęła trochę szampana. —

To logiczne. Frazer nadawałby się idealnie. Ale niby dlaczego miałby to robić?

Wydaje mi się, że mógłby wiele stracić i nic nie zyskać. Gdyby został

zdemaskowany, szlag by trafił najbardziej lukratywną część jego działalności. Już nigdy nie zaufano by mu na Wschodzie. A Frazer z tego żyje; z zaufania i z szacunku opinii publicznej. — Zamilkła, jakby miała dodać: Nie wspomnę, iż prawdopodobnie zabiliby go za zdradę.

— Jak na ogół werbujemy ludzi? — spytał Stormont. — Za pomocą pieniędzy, odwołując się do poczucia lojalności albo szantażem. Pieniądze byłyby dla Frazera atrakcyjne, ale jest multimilionerem. Naszą propozycję finansową odebrałby jako zniewagę. Królowa i Ojczyzna nie dają się w jego przypadku przełożyć na żadną walutę. Więc pozostaje nam szantaż. Sama wspomniałaś, jak ważna jest dla niego opinia publiczna. Uwielbia odgrywać bogatego angielskiego patrycjusza. Ale za każdym razem, gdy podejmuje się czegoś, co zagraża utratą powszechnego szacunku, traktuje to jako dowcip zrobiony światu. Nabija ludzi w butelkę dwa razy z rzędu, zarabiając na nich pieniądze i przekonując wszystkich, że jest chodzącym ideałem.

— Nie wszystkich.

— Nie wszystkich. Ale ty widziałaś więcej niż przeciętny człowiek.

— Wcale nie trzeba być świadkiem jego machlojek, żeby się przekonać, iż jest skorumpowany. Nikt nie zbija takiej fortuny w tak krótkim czasie, jeśli w jakimś stopniu nie wyłamuje się spod prawa. Wydawałoby się, że wszyscy o tym wiedzą.

— Nie wszyscy chcą wiedzieć. On jest bohaterem, świętym patronem ambicji.

— Więc w jaki sposób chcesz zaszantażować Frazera? — spytała Ewa.

— Razem go zaszantażujemy. To poważny plan, dość skomplikowany, doskonała zasadzka.

— Więc mi go przedstaw. Jaka jest moja rola?

Stormont skrył uśmiech. Ten etap, przedstawianie planów, wtajemniczenie agenta, zawsze był dla niego jak uwodzenie dziewczyny, niczym czynienie miłosnych awansów zmierzających do konkretnego celu.

— Zaraz pojedziesz z powrotem. Do Hanoi. Poznasz faceta o nazwisku Granger McAdam. Jest właścicielem dwudziestu pięciu procent akcji pola diamentowego w północnym Wietnamie. Dobrze byłoby uwolnić go od części tych udziałów.

— Dlaczego interesują nas diamenty McAdama? — spytała Ewa zalotnie unosząc brwi. — Oszczędź mi bredni. Wiem, że nie powiesz mi wszystkiego, ale przynajmniej wyjaw na tyle dużo, żebym wiedziała, o co tutaj chodzi.

Spojrzał na dziewczynę z dziwną czułością. Chciał powiedzieć: — Och, Ewo — i pogłodzić ją po twarzy. Zamiast tego udzielił rzeczowej odpowiedzi na jej pytanie.

— Sam McAdam nic nas nie obchodzi. Jest po prostu niewłaściwym człowiekiem na niewłaściwym miejscu. Kontroluje złożę, które może być nowym, znaczącym źródłem diamentów. To czyni z niego osobę niepożądaną w dwójnasób. Po pierwsze, drań jest kompletnie niechętny do współpracy. Po drugie, jest Amerykaninem.

Ewa próbowała mu przerwać, ale ciągnął dalej.

— Pozwól, że ci przedstawię parę dodatkowych informacji. To wszystko jest związane z kartelem diamentowym i z kontrolą podaży diamentów. Kartel kontroluje, według oficjalnych szacunków, około osiemdziesięciu procent ogólnej produkcji tych kamieni. Osiemdziesiąt procent jest sprzedawane przez Centralne Biuro Sprzedaży. W rzeczywistości liczba ta jest znacznie niższa. Ale wciąż wystarcza, żeby utrzymać pewną formę hegemonii w sferze światowego zbytu i cen.

Kartel nie życzy sobie jednak nowych źródeł podaży diamentów, jeśli należą one do firm lub osób niechętnie nastawionych do handlu poprzez kanały kartelu. —

Przerwał, żeby się jej przyjrzeć. Pochylił się i uważnie Ewę obserwował. —

Amerykanie stanowią szczególny problem dla kartelu, ponieważ, na mocy Aktu Shermana, istnienie karteli monopolistycznych jest w Stanach Zjednoczonych sprzeczne z prawem. Nie jest to problem, którego nie dałoby się rozwiązać —

kartel ma różne sposoby obchodzenia Aktu Shermana — ale ten mocno ogranicza możliwości operacyjne. A gra jest warta świeczki. Nowe źródła podaży, które omijają CBS, obniżają światowe ceny diamentów. A wiele zainteresowanych stron nie życzy sobie niższych cen.

— Każdy, kto jest w posiadaniu pierścionka zaręczynowego z brylantem albo jakiegokolwiek brylantowej biżuterii — domyśliła się Ewa.

— Właśnie. Diamenty są wieczne. Poza ich romantyczną wymową, mają stanowić inwestycję na całe życie. Jej wartość może wzrosnąć, ale na pewno się nie obniży.

Banki, które finansują kopalnie diamentów! chcą mieć pewność, że ich pożyczki zostaną spłacone. Jubilerzy, mający duże zapasy tych kamieni, pragną być spokojni, że ich wartość nie spadnie. Ucierpieliby wszyscy, którzy posiadają diamenty, a istnieje ogromna liczba ciułaczy brylantów; od kartelu do wszystkich, którzy chcą mieć skryte źródło bogactwa i finansowego zabezpieczenia. Zasoby ukrytych diamentów są warte miliardy dolarów. Spadek wartości tych kamieni byłby katastrofalny.

— I McAdam stanowi poważne zagrożenie, ponieważ jest Amerykaninem, nie chce współpracować z kartelem i może objąć kontrolę nad nowym, znaczącym złożem?

— Właśnie. Nikt nie jest pewien, jak bardzo jest groźny, ponieważ na razie nie sposób określić wartości diamentów w jego złożu. Być może w ogóle ich tam nie ma. Ale, jak wiesz, łatwiej jest zlikwidować małe zagrożenie niż duże. Kartel mógłby po prostu zignorować McAdama. Mógłby próbować neutralizować nie kontrolowane przez siebie, nowe źródła podaży, podnosząc ceny w tych sektorach światowego handlu diamentami, na które ma wpływ, ale to działalność awaryjna —

kosztowna i na pewno nie będąca najlepszym rozwiązaniem. Albo mógłby spróbować przejąć firmę McAdama, która jest właścicielem złoża, notowanego na giełdzie w Vancouver. Ale McAdam zwalczałby zaciekle każdą próbę przejęcia prawdopodobnie nigdy dobrowolnie nie sprzedałby swoich udziałów! Gdyby kartel wkupił się do jego firmy, McAdam pozostałby tak ważnym udziałowcem, że kartel byłby znacznie ograniczony w swoich poczynaniach, mając na dodatek w swoich szeregach wrogo nastawione osoby.

— Więc najlepsze rozwiązanie jest takie, że nowe źródła diamentów znajdą się bezpośrednio lub pośrednio pod kontrolą kartelu — powiedziała Ewa — dzięki pozbyciu się McAdama i zastąpieniu go osobą przyjazną kartelowi. Ale co to ma wspólnego z Robiem Frazerem i co nas obchodzi kartel i jego problemy?

Stormont opróżnił kieliszek. Pijąc, zerknął na Ewę.

— To jest przysługa, której oddanie możemy wykorzystać Idealna pułapka.

Wstał, żeby nalać sobie kolejnego drinka. Potrząsnął przed Ewą butelką. Pokręciła głową. Usiadł, napił się jeszcze trochę i odstawił kieliszek.

— Złoże diamentów jest przynętą, która ma zwabić Frazera. Zastąpi McAdama.

Sądzę, że brylanty go zainteresują, szczególnie w Wietnamie. Da to Frazerowi możliwość wejścia na rynek tego kraju. Jestem przekonany, że wykorzysta tę szansę.

— Jak to zrobić? — spytała Ewa szybko.

— Nad złożem prowadzone są dopiero początkowe badania. Wyniki wstępnych testów są obiecujące. Teraz muszą zdobyć pieniądze, żeby pobrać większe próbki.

Pomożesz w tym McAdamowi.

— Dlaczego miałby potrzebować mojej pomocy i co ja, do licha, wiem na temat finansowania kopalni diamentów?

— Wiedza, którą zdobędziesz, wystarczy ci aż nadto. A McAdam będzie potrzebował pomocy. Zbliżyć się do niego. To pierwszy etap. Potem będziesz musiała znaleźć dostęp do Frazera, przedstawić mu możliwość zrobienia interesu. To etap numer dwa. Popracuję jeszcze nad szczegółami, ale plan polega na tym, żeby Frazer stał się głównym inwestorem, prezesem diamentowego przedsięwzięcia. Diamenty i możliwość zrobienia dobrego interesu pochłoną go bez reszty. — Stormont zaczął

mówić wolniej i bardzo rozważnie. — Jeśli będziesz sprytna, Frazer nigdy nie zorientuje się, do czego dążysz. To jest szansa, by się do niego zbliżyć, Ewo, żeby przejrzeć jego zamiary. Będziemy mogli wykorzystać te informacje i zaszantażować Frazera, by donosił nam o tym, co robią jego chińscy kumple. — Przyglądał się bacznie Ewie. — Będziesz musiała stać mu się bardzo bliska.

Słowa Stormonta były twarde, świadomie pozbawione delikatności.

Ewa siedziała zupełnie bez ruchu. Jediną oznaką burzy, która, o czym Stormont wiedział, szalała w jej sercu, było lekkie napięcie mięśni wokół kości policzkowych.

Po chwili na twarzy Ewy malowały się jedynie spokój i gotowość.

— Musisz być pewna, że będziesz w stanie wykonać to zadanie — powiedział

Stormont. — Wiesz, jakie ponosisz ryzyko, jeśli się zdemaskujesz w niewłaściwym momencie, pozbawiona naszej ochrony. Frazer bez mrugnięcia zabił Sun Yi. Ciebie również zabije bez większych skrępowań.

— Nie zapomniałam o Sun Yi. Będę w stanie wykonać to zadanie. Nadaję się do tej roli równie dobrze, jak każdy inny i mam silny bodziec, żeby się jej podjąć.

— Może zbyt silny?

— Więc dlaczego zwróciłeś się do mnie?

— Dałem ci słowo, a poza tym jesteś najlepszą osobą do wykonania tego zadania.

Jednak są pewne trudności. Pracowałaś na Dalekim Wschodzie, teren nie jest ci obcy, ale znają tam twoją dawną tożsamość. Podobnie pracowałaś dla organizacji Frazera, wiesz nieco o nim i o jego metodach, ale inni ludzie w organizacji cię znają, albo znali. Twoje atuty są jednocześnie twoimi słabościami. Jeśli chodzi o przydatność dla Firmy, to obosieczny miecz.

— Kto w Firmie wie o tym? — spytała Ewa ostro.

— Szef, ja i mój zastępca, Giles Aden.

— Tylko raz spotkałam się z Adenem. Nie odniosłam wrażenia, żeby mnie jakoś szczególnie polubił
— powiedziała Ewa niefrasobliwym tonem, celowo nie kładąc nacisku na to zdanie.

— Nie w tym rzecz, że cię nie polubił. Z natury jest cynikiem, pesymistą — w pewnym stopniu mizantropem. Za nikim specjalnie nie przepada.

— Ale masz do niego zaufanie?

— Tak.

Ewa przemyślała tę odpowiedź i kontynuowała:

— Więc moje atuty, moje słabości — czy Firma...?

— Akceptuje je. Na twoją korzyść. Jak sama twierdzisz, wiesz, jak działać, jesteś dobrze wyszkolona, posiadasz niezbędne doświadczenie. Znasz Wietnam, dobrze się tam czujesz i zapewniłaś sobie nową tożsamość nauczycielki angielskiego.

Istnieje ryzyko, że rozpozna cię ktoś z organizacji Frazera. Jednak wyglądałaś wtedy inaczej, działałaś pod innym nazwiskiem. I w sprawozdaniu oświadczyłaś nam, że nigdy osobiście nie poznałaś Frazera. Wszystko powinno być w porządku. Ale czy jesteś absolutnie pewna, że nikt postawiony na wysokim szczeblu w organizacji Frazera nigdy cię nie widział? Musimy uważać na ludzi, którzy mają kontakt zarówno z tobą jak i z nim.

— Wiesz, jak prowadzą tego rodzaju operacje. Ci wyżej postawieni nigdy nie stykają się z ludźmi z dołu, takimi jak ja. Każde ogniwo jest odizolowane. Nie poznałam nikogo, kto byłby blisko związany z Frazerem. Żadna z osób, które miały ze mną kontakt, nie znała go osobiście. — Kłamiąc, Ewa pomyślała o jednym człowieku, który ją widział — o Le Maiu. Mężczyzna ten był odpowiedzialny za nielegalne operacje Frazera. Ale Ewa spotkała go zaledwie jeden raz, kiedy ważyła trzydzieści funtów mniej i była wyniszczona przez heroinę. Nie poznałby jej.

— W porządku. Jesteś czysta.

Zdjęła włos z rękawa koszuli i przyjrzała się Stormontowi.

— Na pewno? Jedna rzecz mnie niepokoi. Tego dnia na lotnisku Changi, kiedy zatrzymano mnie i Sun Yi, ludzie Frazera myśleli, że to ona jest agentką wrobili ją.

Gdy została powieszona, zdobyli dowód, że nie mogła nią być. Gdyby tak było, wydostano by ją stamtąd. Ale ja też zostałam zatrzymana i to mnie uratowano. A jeśli Frazer się o tym dowiedział?

— Zajęliśmy się wówczas tym, żeby cię ochronić, i teraz też bę-

dziesz chroniona. Puściliśmy w obieg pewną historyjkę. Zatrzymano Sun Yi i podróżującą wraz z nią koleżankę. Ale koleżanka niczego nie przemyślała.

Wypuszczono ją. To wszystko. Nadaliśmy temu rozgłos. Ty nam w tym dopomogłaś. Byłaś dokładna,

jak zwykle. Sprawdziliśmy listę pasażerów. Dobrze zatarłaś ślady. Nawet nie zarezerwowałaś biletu na swoje nazwisko operacyjne, pod którym byłaś znana ludziom Frazera. Użyłaś innego nazwiska, innego paszportu.

Więc Frazer nigdy nie zdoła wytropić, że leciałaś tym samolotem, nie skojarzy cię z aresztowaniem Sun Yi. Jedynie dwóch celników wiedziało, co się z tobą działo tej nocy, tylko oni znali prawdę, że przemycałaś heroinę i że cię wydostaliśmy. Ale nie mieli pojęcia, kim jesteś. Nie będą rozmawiali na temat kobiety, którą widzieli owej nocy. Koniec, kropka. Będą milczeć.

— Jednak istnieje ryzyko, że komuś powiedzą.

— Zawsze istnieje. Ale kto skojarzy dziewczynę, którą zatrzymali, z tobą? Czy ktoś, kto widział cię tylko raz, zniszczoną narkomankę, poznałby cię teraz?

Zawsze zadaje właściwe pytanie, pomyślała Ewa. Czy tym razem zna odpowiedź?

— A ty jak sądzisz?

— Mało prawdopodobne.

— A co z moim nagłym zniknięciem z siatki kurierskiej Frazera? Jak się zajęliście tą sprawą?

— Niechcący bardzo nam to ułatwiłaś. Wszyscy, którzy cię wtedy znali, wiedzieli, że ćpasz. Puściliśmy plotkę, że przedawkowałaś i zmarłaś. Mieliśmy trupa w Tajlandii. Ćpunkę. Udała ciębie. Właśnie wtedy przestałaś istnieć. W kilku lokalnych gazetach pojawiły się niewielkie wzmianki. Ludzie Frazera na pewno je widzieli. Jeśli o nich chodzi, są przekonani, że ty, a raczej kobieta, którą byłaś, nie żyje.

— Więc kim teraz jestem? Dokąd mam się udać, żeby poznać Frazera?

— Tym razem jesteś sobą zachowasz swoją prawdziwą tożsamość. Tak będzie najlepiej. Jesteś zepsutą, bogatą dziewczyną która przyjechała do Wietnamu, żeby czynić dobro, uczyć angielskiego miejscowe dzieci. Niechcący natknęłaś się na przedsiębiorcę zajmującego się diamentami. Jeśli ci się uda i zbliżysz się do Frazera, będziesz musiała wykazać gotowość podróży z nim po całym świecie, możliwe, że pojedzie również do Londynu, gdzie jesteś znana. Będziesz zmuszona działać nie zmieniając swojej tożsamości.

Jeśli jeszcze, do diabła, mam jakąś tożsamość, pomyślała Ewa.

— I właśnie dlatego, moja droga Ewo, nie możesz sobie pozwolić na pomyłkę, nie możesz zapędzić się za daleko. Tym razem nie będziesz mogła uciec i znowu stać się sobą. Cokolwiek zrobisz, będziesz musiała z tym żyć.

Ewa spojrzała w dal. Odwróciła się powoli.

— W porządku. Wiem, jakie ponoszę ryzyko.

— Orientujesz się również, jakie są zasady. Musimy pozyskać Frazera, żeby dla nas pracował. Twoim zadaniem jest postępując zgodnie z planem, który omówiliśmy, zbliżyć się do Frazera. Potem będziesz musiała znaleźć na niego jakiegoś haka, coś, co gościa złamie. Przekażesz tę informację nam i twoja rola się skończy. Ty sama nic Frazerowi nie zrobisz. Czy to dla ciebie jasne? — Nie mogło być żadnych niedomówień. Stormont przyglądał się Ewie, gotów ocenić jej reakcję, doszukać się kłamstwa w głosie dziewczyny, w jej zachowaniu, w twarzy, którą znał tak dobrze.

Ewa odwróciła się do niego w milczeniu i spojrzała Stormontowi w oczy.

— Przez jakiś czas pragnęłam zabić Frazera. W klinice, gdy byłam na odwyku.

Kiedy już mi się polepszyło, przeczytałam o śmierci Sun Yi i chciałam, żeby to Frazera powieszono. Ale spędziłam potem cztery lata w Wietnamie. Cztery lata wolności, życia takiego, jakiego pragnęłam. Musiałam zapomnieć o Frazerze. Nie mogłam żyć myślą o zemście.

— Więc dlaczego teraz podejmujesz się tego zlecenia?

— Przynależałam. Ja również dałam słowo. Gdy byłam na odwyku, na wpół oszalała, perspektywa dopadnięcia Frazera, sprawienia mu cierpienia, była jedyną rzeczą która utrzymywała mnie przy zdrowych zmysłach. Wiem, że to schizofrenia. Tak musiało być. Musiałam jej się poddać. Musiałam pragnąć zabić Frazera, a potem wyzbyć się tego pragnienia. Dzięki temu doszłam do siebie.

— A teraz?

Ewa mówiła powoli, dobierając słowa z niezwykłą starannością, świadoma jak istotna jest jej odpowiedź.

— Dopadnę Frazera. Dotrzymam obietnicy, ale z innych powodów. Dla ciebie.

Uczynię, czego zażadasz, oddam Frazera tobie. Nie chcę już przemocy. Jeśli ktoś zaciśnie mi palce na szyi, zareaguję. Ale tylko w takim wypadku.

Stormont patrzył na Ewę w milczeniu.

— Chciałem to od ciebie usłyszeć. — Podniósł się. Miała do tego odpowiedni dystans, zadała właściwe pytania, była świadoma ryzyka. Nie traktowała misji dopadnięcia Frazera jako sedna swojego życia, czego niektórzy, na przykład Aden, się obawiali. Była zrównoważona, zdystansowana. Stormont mógł Ewie zaufać i powierzyć jej to zadanie. — W porządku, Ewo. Wiesz, co robić. Etapem numer dwa jest Frazer, etapem numer jeden McAdam. Na razie skoncentruj się na McAdamie.

Poznaj go, zaprzyjaźnij się, dowiedz się o nim, ile zdołasz, bądź gotowa pomóc McAdamowi, jeśli wpadnie w kłopoty.

Ewa wstała, podniosła swoją torbę i ubranie, po czym ruszyła w stronę drzwi. Nagle odwróciła się.

— A te kłopoty?

— Tym się nie martw — odparł Stormont. — Zajmij się McAdamem, ja zajmę się kłopotami.

Rzuciła mu ostatnie, długie spojrzenie.

— Tego jestem pewna.

Drzwi zamknęły się za Ewą z odgłosem przypominającym trzaśnięcie bata.

Rozdział 3

Ewa wróciła do Hanoi i zajęła się odszukaniem Grangera McAdama. Nie wymagało to trudu. Był hałaśliwym pijaczyną, który spędzał każdy wieczór w jednym albo we wszystkich trzech ze swoich ulubionych barów. Jakże łatwo było po prostu usiąść samotnie przy którymś z wielkich, wolnych stołów, pochwycić wzrok Mc Adama, uśmiechnąć się i czekać. I przyszedł, jak pies Pawłowa.

Przez kilka następnych tygodni spotykali się regularnie. Oboje lubili pić i rozmawiać. Stanowił miłe towarzystwo, co tylko utrudniało sprawę.

Ewa czuła do niego sympatię. Był niezdarnym, miłym człowiekiem, który bezgranicznie kochał diamenty i alkohol. A teraz Ewa będzie zmuszona przyczynić się do jego trosk. Małe zło uczynione w celu unicestwienia wielkiego zła. Mogła się przynajmniej pocieszyć swoją wolą czynienia dobra. Ale McAdam nie będzie tego świadom. Nikt mu nie powie, że był środkiem do osiągnięcia szlachetnego celu, a jego poświęcenie było wiele warte. Dlaczego McAdam ma ponosić koszt? Ewa obchodziła się z nim jak najdelikatniej, ale tak żeby nie zniweczyć misji.

Dzisiejszego wieczoru siedziała w samochodzie, czekała i wsłuchiwała się w gwar ulic Hanoi, które rozbrzmiewały dźwiękami tysiąca klaksonów — rowerów, samochodów, rikszy. Pojazdy spletały się w skomplikowanym tańcu, jak klucze ptaków lecących w przeciwnych kierunkach. Scenografia była idealna. Ewie zrobiło się niedobrze. Dwadzieścia cztery godziny temu wykonała swój cotygodniowy telefon. Tym razem rozmowa była inna. Stormont przekazał jej konkretne instrukcje.

Siedziała wtulona głęboko w fotel kierowcy, skryta za rosnącą obok jezdni palmą.

Po drugiej stronie ulicy dojrzała drobnego Wietnamczyka, kucającego w cieniu pomiędzy dwoma samochodami. Odwróciła głowę i czekała, aż McAdam wyłoni się z hotelu „Metropole”, który znajdował się pięć jardów dalej, po tej samej stronie ulicy.

Pojawił się czterdzieści minut później. Ewa zobaczyła, jak McAdam chwiejnym krokiem wychodzi z hotelu, idzie do swojego samochodu i grzebie kluczykiem w zamku. Wsiadł do środka, włączył silnik i ruszył gwałtownie wzdłuż ulicy. Wóz nabrał rozpędu. Ewa widziała, jak Wietnamczyk rzuca się pod koła.

Przyjął uderzenie na zebra i odbił się, krzycząc, tocząc się po trawie, wyjąc z bólu.

Po chwili zamilkł, co było jeszcze bardziej przerażające.

McAdam wyskoczył z samochodu, rzucił się w stronę Wietnamczyka, wrzeszcząc do tłumu, który

zmaterializował się jakby za sprawą czarów, że to nie była jego wina, że ten człowiek wybiegł na ulicę i nie miał możliwości go wyminąć. Ewa widziała, jak z mroku bocznej uliczki wyłoniło się dwóch umundurowanych policjantów i dwóch żołnierzy. Wszyscy mieli w kaburach pistolety. Żołnierze przytrzymali Amerykanina, a policjant przyjrzał się Wietnamczykowi leżącemu nieruchomo na ziemi.

Pojawiła się karetka pogotowia. Nieprzytomnego mężczyznę wsadzono do środka.

McAdama wepchnięto na tylne siedzenie zielonego wojskowego dżipa. Nawet z tej odległości Ewa mogła dostrzec skręcone konwulsyjnie ze strachu ciało Amerykanina, jego gwałtowne, niezręczne ruchy. Pamiętała przyprawiającą o mdłości scenę swego pojmania, nawet teraz niemal czuła aresztującą ją dłoń na ramieniu.

Patrzyła, jak odjeżdża. Gdy zniknął z pola widzenia, Ewa pojechała do baru przy ulicy Hang Vai, gdzie była umówiona na spotkanie z McA-damem. Dżip pędził

coraz szybciej poprzez wilgotną noc. McAdam przestraszony, zlany potem, siedział

skulony na tylnym siedzeniu. Nie miał pojęcia, dokąd ci milczący żołnierze go wiozą. Jeden prowadził, drugi siedział obok i trzymał wycelowany w McAdama pistolet. Po pewnym czasie wjechał na podwórko otoczone wysokim murem i drutem kolczastym. Amerykanina zaprowadzono do celi. Za nim poszło, popychając go, dwóch żołnierzy. Na miejscu zabrali się do roboty. McAdam był

potężnym mężczyzną ale pijany i przerażony, nie stawiał oporu. W końcu go zostawili. Leżąc na cuchnącej posadzce, krwawiąc i wijąc się z bólu, zastanawiał

się, co będzie dalej. Po długim czasie — nie miał pojęcia jak długim, chociaż minęły zaledwie dwie godziny — pojawiła się Ewa. Wykrzyknął jej imię.

— Ewa, Chryste, dzięki Bogu, że jesteś! Musisz mnie stąd wydostać. To nie była moja wina. Nic nie mogłem zrobić... — Głos mu zamarł. Obok Ewy pojawili się strażnicy. Otworzyli drzwi i wpuścili ją do celi. Kobieta stała spokojnie naprzeciwko McAdama, patrzyła mu w oczy. Rozpłakał się. Żadnego pocieszenia, żadnych krzepiących słów. Stała tak, pozbawiona współczucia.

— Czekałam na ciebie w barze „Piano”. Gdy się nie zjawiałeś, sprawdziłam w

„Metropole'u”. Powiedzieli mi, co się stało. Człowiek, którego potrąciłeś, nie żyje.

Zostawił żonę i szóstkę dzieci. Jesteś obcokrajowcem, Amerykaninem. Byłeś pijany. Twierdzą że masz tylko dwa wyjścia. Zapłacisz rodzinie nieboszczyka pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które zostaną

podzielone pomiędzy krewnych i różnych przedstawicieli władz, albo spędzisz najbliższe dwadzieścia lat w więzieniu.

Patrzyła, jak McAdam płacze i jeszcze bardziej pogrąża się w depresji. Delikatnie dotknęła jego pokrwawionej twarzy. Chwycił Ewę za rękę.

— Musisz mi pomóc. Musisz mnie stąd wydostać.

— Ile masz pieniędzy? Głos mu się załamał.

— Nie mam nic. Jestem spłukany. Wiesz o tym. Złoże, badania wszystko pochłonęły.

Patrzyła, spokojna i cierpliwa. Logiczne myślenie sprawiało mu trudność, ale w końcu na to wpadnie, więc czekała. Odezwał się wreszcie:

— Nie mogę sprzedać swoich udziałów w złożu.

— Więc co zrobisz? Nie odpowiedział.

— Mogę spróbować skontaktować się z ambasadą brytyjską — zaproponowała Ewa. — Może będą w stanie ci pomóc.

Chwycił się za połamane żebra, łapiąc oddech.

— A cóż oni mogą zrobić? Nie jestem tutaj szczególnie popularny. Pijak, który kogoś przejechał, do tego nie Brytyjczyk — nie nadstawią za mnie karku. Powiedzą iż to było nieuniknione, że to moja wina.

Przerwał i popatrzył na Ewę przebiegle.

— A ty? Na pewno pochodzisz z zamożnej rodziny. Przy twoim starannym wykształceniu i tak dalej. Jak mogłabyś pozwolić sobie na mieszkanie tutaj i zajmowanie się jedynie uczeniem tubylców angielskiego?

— Mam pieniądze, ale rodzina mi je skromnie wydziela. Chyba nie sądzisz, że podarują mi pięćdziesiąt patyków, ponieważ pijany Amerykanin zabił

Wietnamczyka?

— Nie możesz czegoś zmyślić? Powiedz, że to nagły wypadek.

— A ty nie możesz, Granger? Nie masz rodziny?

Zobaczyła, jak zwiesił głowę. Znała odpowiedź na to pytanie, wiedziała, jaka będzie jego reakcja. McAdam nie miał rodziny. Rodzice umarli, z bratem nie utrzymywał

kontaktów, nie miał nikogo bliskiego. Chciała oszczędzić mu tego pytania. Czekwała.

— Mogłabym spróbować poprosić kogoś ze swojej rodziny. Może ofiarowaliby mi pięćdziesiąt patyków, gdyby widzieli, że im się to opłaci. Obawiam się, że nie są najbardziej dobroczynnymi ludźmi pod słońcem.

— Że im się to opłaci? Co masz na myśli? Co by ich przekonało? Znalazł odpowiedź

w wyrazie jej twarzy.

— Moje udziały.

— Część twoich udziałów — odparła. — Nigdy bym nie dopuściła, żeby dostali je wszystkie. Ale jeśli przedstawię im chłodną propozycję ubicia dobrego interesu —

dziesięć procent niezłego przedsiębiorstwa za

pięćdziesiąt tysięcy dolarów — istnieje szansa, że przyślą mi trochę pieniędzy.

— Dziesięć procent? Czy masz pojęcie, ile to może być warte?

— Jak na razie nie jest warte zbyt wiele, prawda? Nie znaleźliście jeszcze diamentów.

— Ale znajdziemy. — Jego głos zabrzmiał zdecydowanie. — Wiesz, że znajdziemy.

— Granger, jedynie usiłuję ci pomóc. Ale to nie zależy ode mnie, tylko od mojej rodziny. — Wzruszyła ramionami i odwróciła od niego twarz. Ponownie skryła ją za obłudną maską.

W końcu Mc Adam spytał:

— Ile to może potrwać?

Ewa przyglądała się swoim paznokciom.

_ Gdybym do nich zadzwoniła dziś wieczorem, mogliby od razu przelać pieniądze — banki w Londynie są jeszcze czynne. Jutro potwierdzono by przelew. Wtedy mogłabym cię wyciągnąć.

Zastanawiał się przez długą chwilę, rozglądając się po celi i zerkając na strażników z tyłu, którzy siedzieli przy stole i grali w karty.

— Zrób to.

Ewa delikatnie oparła mu dłonie na ramionach.

— Nie martw się, Granger. Wydostanę cię stąd. — Odwróciła się i dała znak strażnikom, którzy podeszli i wypuścili ją.

Granger McAdam patrzył, jak Ewa odchodzi, i wpatrywał się w przestrzeń długo po tym, jak zniknęła.

Ewa pojechała z powrotem do „Metropole'u" i skierowała się do telefonu w foyer.

Wsunęła do aparatu kartę kredytową, zadzwoniła do Stormonta i powiedziała jedno słowo:

— Zrobione.

Stormont uśmiechnął się i odłożył słuchawkę.

Ewa wróciła do wynajmowanego mieszkania w budynku położonym w zaułkach Hanoi. Nalała sobie wódki. Wypiła niemal pół butelki, zanim była w stanie zgasić światło i stawić czoło nocy.

Ewa i Stormont spotkali się ponownie dwa tygodnie później, w Hongkongu, w lokalu konspiracyjnym. Ewa usiadła i wzięła lampkę wina, którym Stormont ją poczęstował.

— Wszystko poszło jak trzeba — powiedziała. — Twoje metody były brutalne ale skuteczne. — Zachowywała rezerwę, zdawała sobie sprawę, że Stormont będzie starał się wyłować jej słabości. — Postawiły McAdama w sytuacji bez wyjścia.

Jestem właścicielką dziesięciu procent firmy kontrolującej złożę. Wszystko jak należy, na piśmie.

— Bardzo dobrze. Wzruszyła ramionami.

— Co teraz?

— Frazer. — Stormont wstał, żeby ponownie napełnić kieliszek Ewy, i przyjrzał się jej uważnie. — Jak chciałabyś zacząć działać?

Ewa zapaliła papierosa i zaciągnęła się kilka razy.

— Najchętniej zajęłabym się tym w Londynie. Tam łatwiej się dostać do Frazera, a poza tym znam kogoś w City, z kim być może on też chciałby współpracować. Taka przynęta.

— Wydawało mi się, że to ty masz być przynętą. Ty i diamenty.

— Oczywiście. Ale im bogatszy łup...

— Sądziłem, iż sama jesteś wystarczająco bogata.

— Pozostanemy przy sprawach związanych z operacją dobrze Stormont? '

Wzruszył lekko ramionami.

— Opowiedz mi o swojej przynęcie.

— Cassandra Stewart. Wszyscy mówią na nią Cassie. Jest bankierką w Case Reed.

Na dość wysokim stanowisku. Piękna, inteligentna, godna zaufania. W Oksfordzie była moją najlepszą przyjaciółką.

Stormont uśmiechnął się.

— Niech Bóg ma ją w swojej opiece.'

Telefon zadzwonił w momencie, gdy Cassie Stewart wychodziła spod prysznicza.

— David, odbierz, dobrze?! — krzyknęła do swojego współlokatora, który, jak wiedziała, snuł się gdzieś w okolicy salonu i miał telefon pod ręką.

— Sama odbierz — odparł dobrodusznie, nie ruszając się z miejsca. Cassie, ociekająca wodą podniosła słuchawkę w swojej sypialni.

— Słucham?

— Cassie?

— Tak.

— Tu Ewa.

— Ewa! — Głos Cassie podniósł się o oktawę. — Mój Boże, co za niespodzianka.

Gdzie jesteś? Słyszałam, że pojechałaś na Daleki Wschód, zniknęłaś z powierzchni ziemi.

W słuchawce rozległ się śmiech Ewy. Brzmiał radośnie.

— Byłam na Dalekim Wschodzie przez ostatnich osiem lat, od opuszczenia Oksfordu, i jeździłam gdzie się dało. Trzymałam się hippiso-wskiego szlaku. W

każdym razie wróciłam. Jestem w Londynie.

— To fantastycznie. Gdzie dokładnie?

— Na Langton Street.

— To dziesięć minut stąd. Co teraz robisz? W głosie Ewy zabrzmiało zaskoczenie.

— Nic, poza tym że rozmawiam z tobą.

— To wsiadaj do taksówki. Przyjeżdżaj. Za godzinę będę musiała wyjść, ale skoro tu jesteś, chcę się z tobą zobaczyć. Na pewno masz mi dużo do opowiedzenia.

— Jasne, że mam. Gdzie mieszkasz?

— Markham Street. — Podała numer i przerwała. — A przy okazji, jakieś złe nowiny?

Ewa przez chwilę nie odzywała się, zdziwiona.

— Złe nowiny? Tak, wiek i odpowiedzialność. Wróciłam, żeby znaleźć pracę.

— No wiesz, to jeszcze nie jest koniec świata.

Nie byłabym tego taka pewna, pomyślała Ewa, żegnając się. Cassie wróciła do salonu ze zdziwieniem i podnieceniem malującymi się na twarzy.

— Kto dzwonił? — spytał David.

— Ewa Cunningham. Studiowałyśmy razem w Oksfordzie. Nie widziałam jej od tamtej pory. Bardzo się przyjaźniłyśmy, ale potem zniknęła gdzieś na Dalekim Wschodzie. Po prostu przepadła jak kamień w wodę.

— Tak często robią ćpuny.

— Hmm? — mruknęła Cassie pogrążona głęboko we wspomnieniach. — Ćpuny?

To właśnie jest dziwne. Ona była ostatnią osobą którą bym podejrzewała o wyruszenie na hippisowski szlak.

— Dlaczego?

— Sam się przekonasz. Będzie tu za pięć minut. Chyba że się zmieniła. Ale wątpię w to.

— A niby dlaczego nie? Ludzie się zmieniają. Nie ona, pomyślała Cassie. To solidna konstrukcja.

Ewa szła wolno ulicą rozglądając się wokół. Powstało kilka nowych budynków, skutek bumu budowlanego lat osiemdziesiątych. Ludzie wyglądali równie elegancko lub równie niedbale jak zawsze. Londyn specjalnie się nie zmienił, ale Ewa czuła się w nim obco, jak w nie znanym mieście. To nie był już jej dom. Nie potrafiła się utożsamić z tym miejscem, z jego rytmem, z ludźmi, którzy szli do pracy lub wracali z pubu, jak to zawsze robili i robić będą. Zmieniła się, nie potrafiła już postrzegać świata z perspektywy beztroskiej dwudziestodwulatki, jaką była, gdy stąd wyjeżdżała. Życie tajnej agentki na Dalekim Wschodzie nauczyło ją podejrzliwości i ostrożności, sprawiło, że wiedziała co to strach i odwaga. Tutaj była obca. Postanowiła odgrywać rolę miejscowej dziewczyny, jaką niegdyś była. Ewa szła ulicą wtapiając się w tłum, jak osoba z sąsiedztwa, jak kobieta, która pewnie zdążyła do wiadomego sobie celu. Dezorientacja była uczuciem, jakie nauczono ją przetrwać, ale wciąż nie dawała Rwie spokoju, sprawiała, że w głębi duszy chciała znaleźć się z powrotem w Wietnamie, uwolnić się od MI6, uwolnić od Stormonta. Odegnęła te myśli i skoncentrowała się na swoim pierwszym od ośmiu lat spotkaniu z Cassie Stewart.

Po dziesięciu minutach zatrzymała się przed domem przyjaciółki. Wąski, czteropiętrowy budynek znajdował się w jednej z uliczek odchodzących od King's Road w Chelsea. Był to ładny dom, usytuowany przy eleganckiej ulicy, gdzie wszystkie budynki pomalowano w pastelowe

kolory: na różowo, niebiesko, bladozielono. Dom Cassie nie wyglądał krzykliwie.

Był odmienny, interesujący i śliczny, jak właścicielka. Śliczna, pomyślała Ewa.

Śliczna, to dla Cassie obraźliwe słowo.

Cassie stała przed nią w otwartych drzwiach. Wzrok Ewy zatrzymał się na twarzy lokatorki. Jest

niesamowicie piękna, pomyślała. Jak orchidea: blada, delikatna, z półprzezroczystą cerą. I te zielone oczy, których kąciki, gdy się uśmiecha, wyginają się ku górze — niemal orientalnie egzotycznie. I szczupła, taka szczupła, szczuplejsza niż zwykle.

— Cassie.

— Ewa. — Przez sekundę przytrzymały się na długość ramion, po czym uściskały serdecznie.

— Wejdz — powiedziała Cassie. — Boże, wyglądasz fantastycznie. Ewa podążyła za nią do środka, przez korytarz, do salonu. Czarny cocker spaniel skakał wokół nóg Cassie, biegając między swoją panią i gościem. Na kanapie siedział rozparty mężczyzna. Wstał i wyciągnął rękę. Był wysoki, szczupły, smukły i przyjemnie się uśmiechał. Ewa poczuła dreszcz zdenerwowania i zaskoczenia. Cassie mieszka z przyjacielem? Nie wzięła tego pod uwagę. Na domiar złego wydawał się niewłaściwym kandydatem. Jego niedbały wygląd jakoś nie pasował do elegancji Cassie.

— To David Wilson, mój współlokator — oznajmiła Cassie. Ewa podała mu rękę i mocno odwzajemniła silny uścisk dłoni.

— Chodź do mojego pokoju — powiedziała Cassie. — Muszę wysuszyć włosy i trochę się umalować. Mam kolację z klientem. Co za nuda.

Ewa poszła za nią do pokoju urządzonego w subtelnym, kobiecym stylu. Obejrzała go dokładnie. Podłoga z wypolerowanych desek, ciężkie białe zasłony, misterna biała toaletka i szafy, czarny kominek z reliefem, duże okno wychodzące na ogród, jeden sztych wykonany węglem na papierze — kilka kresek, tancerka z odchyloną głową z uniesioną ręką z dłonią zwróconą ku górze, jakby chciała odegnąć zło.

— Ciekawy — powiedziała Ewa, wskazując brodą w stronę rysunku. — Jak jest zatytułowany? — „Ciemność i Światło”. Ona jest Światłem i walczy z Ciemnością.

To moja ulubiona rycina. — Wzięła suszarkę i zaczęła suszyć włosy, przyglądając się swojemu odbiciu w weneckim lustrze, które wisiało nad toaletką. Ewa patrzyła, jak Cassie rozczesuje długie miedziane włosy, połyskujące w zachodzącym słońcu, które sączyło się przez okno intensywną czerwienią. Po kilku minutach Cassie odłożyła suszarkę i zaczęła malować twarz, uważnie przyglądając się przyjaciółce, której odbicie widziała w lustrze.

Ewa siedziała za Cassie, na łóżku. Przyjęła niedbałą pozę, ale, jak zwykle, tłumiała w sobie energię. Wydawała się wyższa niż w czasach uniwersyteckich, silniejsza. Nie była szczególnie wysoka ani silna, po prostu takie sprawiała wrażenie. Ewa, przy wzroście pięciu stóp i sześciu

cali, była niższa od Cassie o jakieś trzy cale. Ale podczas gdy Cassie odznaczała się drobnokością i kruchą budową Ewa posiadała sylwetkę sportsmenki. Jej długie brązowe włosy zjaśniały od dalekowschodniego słońca i sięgały ramion. Fryzura podkreślała piękno rysów twarzy Ewy — pełne usta, delikatne linie policzków, silny podbródek, wielkie niebieskie oczy.

Blask bijący z oczu Ewy był tak silny, jak zawsze. Nadal emanowała z mej majestatyczna pewność

siebie, która czyniła z Ewy niezwykle atrakcyjną kobietę.

Czy przez te wszystkie lata nie przeżyła żadnych wstrząsów, czy niczemu nie musiała stawiać czoła, nic nie nadwerężyło jej odporności? Czy miała szczęście, czy parła do przodu jak walec? Nie to niesprawiedliwe, pomyślała Cassie, Ewa nigdy nie była pozbawiona skrupułów. Po prostu nic jej nie wzrusza. Wszystko po niej spływa. Jednak w oczach Ewy widać było wyrachowanie, pewną powściągliwość.

Nie była to skromność, ale opanowanie. Nawet w czasie najbardziej rozbrykanych dni w Oksfordzie Ewa nigdy nie była w pełni swobodna, ślepa na otoczenie. Zawsze świadoma, zawsze uważna. Spokojna.

Ewa przyglądała się, jak Cassie szczotkuje włosy. Naturalny wdzięk przyjaciółki zdawał się jeszcze pogłębić przez te lata. Rozkwitło również jej niezwykle piękno.

Twarz Cassie pasowałaby do kobiety bezwzględnej, szorstkiej, nieustępliwej. To piękno było przerażające, ale Cassie łagodziła je osobistym urokiem, niwelowała uprzejmością. Zachowanie tej równowagi było niezbędne. Jednak w tym uroku, w owej przesadnej kruchości, pojawiło się coś nowego. Cassie sprawiała wrażenie sztucznego produktu z reklamy. Ewie wydawało się, że makijaż jest dla Cassie środkiem, który pozwala jej poznać swoją własną twarz.

Dwie kobiety uśmiechnęły się do siebie w lustrze, przyłapanie na wzajemnych oględzinach.

Ewa odezwała się pierwsza.

— Więc czym się teraz zajmujesz? Wciąż pracujesz w City?

— Tak, ale zmieniłam pracę. Już nie nadzoruję przejmowania przedsiębiorstw. Teraz zajmuję się kapitałem udziałowym w Case Reed. — Cassie, jak zwykle, mówiła szybko, dźwięcznym głosem, śpiewnym sopranem. Zauważyła, że głos Ewy przez te lata nabrał pewnej głębi. Był rytmiczny, słodki, miał niemal karaibskie brzmienie.

— Kapitał udziałowy, hmm? Co to znaczy, dokładnie?

— Och, param się wszystkim i wszędzie. Zajmuję się ryzykownymi inwestycjami

— Europa Wschodnia, biotechnologie, tego rodzaju sprawy

— Lubisz to?

— Tak. To bardzo inteligentna forma hazardu. Trzeba być szalenie cierpliwym i mieć zimną krew. Czasami ta praca sprawia, że włos się jeży na głowie. Szanse na sukces są stosunkowo małe. Więcej jest transakcji nieudanych niż udanych.

— To w jaki sposób wypracowujesz zysk?

— Gdy transakcja jest udana, jest bardzo udana. Przy kilku okazjach ponad czterokrotnie

powiększyliśmy zainwestowany kapitał.

— Więc nieźle ci idzie?

— Nie najgorzej.

— Dziwne — powiedziała Ewa. — To nie jest rodzaj pracy, w jakiej sobie ciebie wyobrażałam.

— Nie? Dlaczego?

— Sama mówisz, że trzeba mieć cierpliwość i umieć zachować zimną krew. To nigdy nie były twoje najmocniejsze strony.

Cassie roześmiała się.

— Masz całkowitą rację. To jeden z powodów, dla których podoba mi się ta praca.

Stanowi dla mnie wyzwanie. Uczę się. — Zręcznie zmieniła obiekt rozmowy. —

Ale co u ciebie? Przez cały ten czas byłeś na Dalekim Wschodzie — osiem lat, na miłość boską. Czym się tam zajmowałeś?

— Och, nie wiem, od czego zacząć. W zasadzie nie robiłam nic szczególnego. Dużo podróżowałam po Tajlandii, Hongkongu, Wietnamie, Kambodży, Laosie. Uczyłam dzieci angielskiego. Po prostu żyłam. W niektórych z tych miejsc już to jest wyzwaniem; żyć samotnie, być szczęśliwym. Można liczyć tylko na siebie. Nie ma przyjaciół — przynajmniej nie na początku — nie można spodziewać się od nikogo pomocy. Samemu się wymyśla życie. — Wzruszyła ramionami. — To było cudowne, ale nie bardzo nadaje się do życiorysu w podaniu o pracę.

— I co teraz?

— Nie wiem. Rozejrzę się trochę, zobaczę, jakie są możliwości. Cassie spojrzała na przyjaciółkę, która nagle przycichła.

Ewa zerknęła na zegarek.

— Powinnaś już chyba iść, prawda? Spóźnisz się na spotkanie.

— Boże, masz rację. — Cassie poderwała się. — Ale się wynudzę.

— Jakiś miły klient? — spytała Ewa od niechcienia.

— Nie wiem. Nigdy wcześniej go nie spotkałam. Szef umówił nas na kolację.

Podesłał go jeden z naszych przyjaciół, uważa, że możemy robić razem nieźle interesy. Ten klient najwyraźniej dużo inwestuje w ryzykowne przedsięwzięcia na Dalekim Wschodzie, a my chcemy rozszerzyć tam naszą działalność.

— Jak się nazywa?

— Robie Frazer. Ewa uśmiechnęła się.

— W takim razie spędzisz miły wieczór.

— Dlaczego? Znasz go?

— Nigdy Frazera nie spotkałam, ale wiem o nim wszystko. Nie znajdziesz w Hongkongu gazety, w której nie będzie jego zdjęcia albo artykułu o najnowszych inwestycjach Tai Pana.

— I co?

— Szaleje za kobietami. Przystojny, czarujący, wspaniały kochanek. Ale tak naprawdę, to kawał drania.

— Poważnie? A skąd tak dużo o nim wiesz? Na pewno nigdy go nie poznałaś?

Ewa roześmiała się.

— Nie, nie poznałam. Ale w Hongkongu jest jak w maglu. Plotki są tam ulubioną rozrywką a Frazer jest osobą popularną. Nie trzeba kogoś znać, żeby o nim dużo wiedzieć.

— Co jeszcze możesz mi powiedzieć o Frazerze?

— Tylko tyle wiem — o jego reputacji w sprawach miłosnych i o tym, że bardzo dobrze mu idzie w interesach; podobno jest wart kilkaset milionów funtów, może nawet miliard. Resztę będziesz musiała odkryć sama.

— Taki mam zamiar. — Cassie odprowadziła Ewę do drzwi i pojechała spotkać się z Robiem Frazerem. Znow kolacja w interesach, jedna z wielu. Klient był bogatszy niż zazwyczaj, ale to jedyna rzecz, jaka go wyróżniała. Jeśli Cassie miała się na baczności, to tylko dlatego, że Ewa ostrzegła ją, jak bardzo interesują Frazera kobiety.

Robie Frazer i szef Cassie, John Richardson, oczekiwali jej u „Rakesa”, w South Kensington. Zeszła na dół, do restauracji, zupełnie obojętna na cichy szmer komentarzy, na nagłe zainteresowanie spożywających kolację mężczyzn i jednoczesne wrogie oraz pełne podziwu spojrzenia kobiet.

Gdy się zbliżała, Frazer i Richardson wstali. Cassie uśmiechnęła się do swojego szefa i wyciągnęła dłoń do Frazera. Gdy mu się przyjrzała, uśmiech Cassie przygasł.

Miał około czterdziestu lat, był niezwykle przystojny. Aż za przystojny. Gęste ciemne włosy, bardzo krótko przycięte. Gładkie czoło, ale kilka zmarszczek wokół

lekko skośnych oczu, które zdawały się na wpół przymknięte pod ciężkimi powiekami. Uśmiechnięte, nieco pogardliwe usta — pozbawiona ciężaru lat, tajemnicza, orientalna uroda, niemal niewieścia w swej zmysłowości.

Frazer patrzył na nią z nieskrywanym zainteresowaniem. Nie z nieśmiałą ciekawością jaką Cassie wzbudzała u większości mężczyzn, ale ze skrupulatnością kupca w domu aukcyjnym. Był pewien, że może ją zdobyć. Cassie zadziwiła postawa Frazera. Nie czynił żadnego wysiłku, żeby skryć pewność siebie i chętkę, które iskrzyły się w jego oczach, ale wręcz przeciwnie, delektował się nimi. Mimo manier światowca, krojonego na miarę garnituru, głosu z doskonałym akcentem, zrobił na Cassie wrażenie kogoś, kto w najmniejszym stopniu nie przywiązuje wagi do konwenansów. W zachowaniu Frazera nie dostrzegła niczego niestosownego, niczego, co można by mu zarzucić, jednak lekceważąca postawa była bardzo wyraźna.

Cassie usiadła, niewzruszona, jakby niczego nie dostrzegła. Frazera, który wciąż przyglądał się Cassie badawczo, zaskoczyło przy powitaniu podobieństwo jej obnażonego przedramienia do łabędziej szyi: wiotkie, białe, równie kruche. Ale czyż w łabędziach nie było czegoś szczególnego? Czyż nie mówiło się, że łopotem skrzydeł mogą złamać człowiekowi rękę?

Richardson napełnił kieliszek Cassie szampanem, po czym przejrzeni menu i złożyli zamówienie. Przyniesiono pierwsze danie.

— Dziwię się, że jest pan tu z nami — odezwała się Cassie do Frazera — gdy równie dobrze mógłby pan w tej chwili być w operze albo przemierzać statkiem południowy Pacyfik lub siedzieć w klasztorze w Ladakh.

— Chce pani powiedzieć, że to dziwne, iż wciąż param się interesami? Przytaknęła z ustami pełnymi sushi.

— To taki bezkrwawy rodzaj wojny, zgodzi się pani? Pieniądze zastępują trupy przeciwników.

John Richardson cicho odłożył widelec, tuszując niesmak śmiechem. Cassie ledwie spojrzała na Frazera.

— W takim razie cieszę się, że jesteśmy po tej samej stronie barykady. Zaczęła się zastanawiać, jak by to było, mieć tego człowieka za przeciwnika. Gdy wróciła do domu, ponad cztery godziny później, David Wilson czekał na nią.

— Udana kolacja? — spytał.

— Mmm. Bardzo.

— Dlaczego? Sądziłem, że to jakiś nudny klient.

— Nie wszyscy klienci są nudni.

— A więc jaki był ten?

— Interesujący.

— Tak jak twoja przyjaciółka?

— Jaka przyjaciółka?

— Ewa.

— Tak, to śmieszne, ale tak. Wydają się do siebie podobni, choć nie wiem dlaczego.

— Mogę ci powiedzieć.

— No, powiedz.

— Są nieprzyjemni. Groźni.

— Och, nie bądź taki melodramatyczny. Poza tym nigdy nie spotkałeś Frazera.

— Nie muszę. Poznałem Ewę, a twierdzisz, że Frazer jest do niej podobny. I miałaś ten sam wyraz twarzy, gdy rozmawiałaś z nią przez telefon i kiedy weszłaś przed chwilą.

— Jaki wyraz twarzy?

— Zaintrygowania i ciekawości; przyjazny, ale z rezerwą niemal obronny. Jakbyś znalazła kogoś, z kim można się zmierzyć.

— Bo chyba znalazłam.

— Ona mi się nie podoba.

— Nie bądź śmieszny. Nawet jej nie znasz. Przebywaliście w tym samym pokoju przez trzydzieści sekund.

— To wystarczyło.

— Nie wiem, co cię napadło. Mieszkałam razem z Ewą w Oksfordzie. Jest jedną z moich najstarszych, najbliższych przyjaciółek. Wszyscy ją lubią oprócz kilku zazdrośników, a ciebie nie zaliczyłabym do tej kategorii.

— Cóż, wybaczone, ale nie przypadła mi do gustu i tyle.

— Czemu reagujesz tak gwałtownie i dlaczego jej nie lubisz?

— Ty sprawiasz, że reaguję tak gwałtownie, i nie wiem, dlaczego jej nie lubię.

Jeszcze nie. To intuicja. Nie jest wyłącznie domeną kobiet.

— Idę spać. Może jutro będziesz w lepszym nastroju.

— I tego całego Frazera też nie lubię! — wykrzyknął za nią.

Cztery mile dalej, w lokalu konspiracyjnym znajdujący się w południowej części Londynu, Andrew Stormont i Ewa Cunningham siedzieli naprzeciwko siebie w przyciemnionym, zakurzonej pokoju.

— Jak poszło? — spytał Stormont. Rozparł się, rozluźniony, w starym skórzanym fotelu, rozluźnił ciało, bystry wzrok skupił na rozmówczyni.

Ewa była zatopiona w myślach.

— Cassie wydorowała od czasu, kiedy widziałam ją po raz ostatni, ale nic w tym dziwnego — to było osiem lat temu. Jest nieco bardziej wyrachowana, rozważniejsza. Ostrożna, co wydaje się dość śmieszne. Zawsze była jedną z tych osób, które napawają innych zwątpieniem. Zupełnie niepodatna na zło. Ale coś musiało się przydarzyć. Chyba straciła tę cechę. Przyłapałam Cassie na tym, że przyglądała mi się od czasu do czasu, i czułam się jak na badaniu. Nie martw się, z niczym się nie zdradziłam. To nie było badanie tego typu. Po prostu w oczach miała niekiedy taki błysk ironii, jakby przeglądała mnie na wylot.

— Na miłość boską jest bankierem. Czego się spodziewałaś? Wydawałoby się dziwne, gdyby nie była cyniczna do cna.

— Nie jest cyniczna. Nie widać u niej zmęczenia życiem ani sterania pracą. Po prostu jest świetnym obserwatorem, to wszystko.

— Więc lepiej bądź ostrożna. Ewa roześmiała się.

— Lepiej niech ona będzie ostrożna.

Cassie leżała w łóżku i śniły jej się dziwne rzeczy. Ewa i Robie Frazer przewijali się przez te sny, czasami oddzielnie, czasami razem. Gdy obudziła się następnego ranka, próbowała przypomnieć sobie, co robili, ale sny zatarły się w pamięci.

Wzięła prysznic i ubrała się szybko. Włożyła bawełniany żakiet w pia-skowym kolorze i prostą spódnice, białą bawełnianą bluzkę i beżowe buty.

Posmarowała kremem twarz, uszminkowała usta i spryskała się perfumami.

Rozczesała swoje długie włosy, spojrzała w lustro i wymknęła się cicho z domu, nie chcąc obudzić Davida, który, jak wiedziała, będzie spał do jedenastej.

Dziwnie się zachowywał poprzedniego wieczoru. Niesłychanie gwałtownie. Nie było to nawet spowodowane nadmierną ilością alkoholu. Był jakiś inny. Dziwny.

Przestając o nim myśleć, skrzyżowała w King's Road i zatrzymała taksówkę. Wsiadła obok baru kawowego przy Clifford Street, w West Endzie. Kupiła bułkę z bekonem oraz duże cappuccino i zaniósła je w papierowej torbie do swojego biura, które znajdowało się po drugiej stronie ulicy, przy skrzyżowaniu Savile Row i Burlington Street.

Cassie pracowała w Case Reed od czterech lat. Przedtem przez cztery lata była zatrudniona w dużym

banku, w City, który w swoim londyńskim oddziale skupiał

ponad tysiąc pracowników. Cassie podobał się charakter tej pracy, finansowanie poważnych transakcji, przejęcia firm i wykupowanie zarządów, ale nie odpowiadało jej środowisko — zbyt agresywne, bezmyślne, bezduszne. Mimo że bardzo dobrze jej szło — zanim osiągnęła dwudziesty piąty rok życia, awansowała na stanowisko zastępcy dyrektora — rzuciła tę posadę, pogodziła się z obniżką dochodów i przeniosła do mniejszego, bardziej ludzkiego zespołu w Case Reed. Tutaj specjalizowała się w finansowaniu nowych przedsięwzięć, wspomagając błyskotliwych naukowców i przedsiębiorców, którzy mieli odważne pomysły na rozkręcenie interesu, ale niewystarczający kapitał. Case Reed otrzymywało co tydzień tuziny propozycji, ale finansowało cztery przedsięwzięcia rocznie. Kapitalistę udziałowego musiało cechować perspektywiczne myślenie, znajomość rynku, zdolność oceny inwestora i cierpliwość. Czasami na zwrot nakładów trzeba było czekać pięć lat, ale jeśli interes poszedł zgodnie z planem, mogli osiągnąć duże zyski.

W niektórych przypadkach pieniądze zainwestowane przez Case Reed w ciągu pięciu lat dziesięciokrotnie zwiększyły swą wartość. Jedna trzecia zysków netto była dzielona pomiędzy dwudziestu pracowników na kierowniczych stanowiskach.

Pozostałe dwie trzecie dodawano do kapitału firmy i wykorzystywano do dalszych inwestycji. Działalność firmy, od momentu jej założenia przez Johna Richardsona na początku lat osiemdziesiątych, przyniosła czterem współwłaścicielom i kilku wysoko postawionym pracownikom miliony funtów.

Atmosfera panująca w firmie była przyjemna. Richardson nie tolerował

niezdrowego współzawodnictwa, wewnętrznych konfliktów, manii zbijania forsy tak powszechnej w wielu instytucjach finansowych. Był wymagający, ale miły. On i jego firma zarabiali pieniądze, ale nie byli nimi bez reszty zaprzątnięci. Richardson był głównym powodem, dla którego Cassie

przeniosła się do Case Reed. Dawał jej swobodę działania, pozwalał zajmować się pracą i nie wtrącał się.

Cassie przychodziła każdego ranka o wpół do dziewiątej, gdy tempo pracy w biurze zaczynało nabierać rozpędu. Dziewiąta była godziną zero. Wcześniej wszyscy, włącznie z współzałożycielami firmy, siedzieli cichutko w swoich gabinetach, jedli rogaliki, popijali kawę, przeglądając gazety i przygotowywali się do oczekującego ich dnia. Zbędne rozmowy ograniczano do minimum. Wystarczało skinienie głowy i

„dzień dobry”. Później zaczynały się interesy i rezerwa oraz uprzejmości schodziły na dalszy plan. Nie znaczyło to, że po dziewiątej ludzie stawali się dla siebie niemili.

Po prostu wymogi dnia pracy w biznesie nieodmiennie wymuszały warkliwe odpowiedzi, wchodzenie i wychodzenie z gabinetów bez zapowiedzi czy pożegnania i ogólny pośpiech oraz zniecierpliwienie.

Cassie siedziała nieruchomo w swoim gabinecie, pośród narastającej wokół niej gonitwy. Przyszła

Emma, jej sekretarka, zaczęły dzwonić telefony i warczeć faksy.

Cassie czytała gazetę. Połowę jej myśli pochłaniała Ewa Cunningham, Robie Frazer i David Wilson. Robie i Ewa byli osobami, które wywierały duże wrażenie, szczególnie że przerwa pomiędzy spotkaniami z nimi była bardzo krótka. Cassie zastanawiała się, jak by to było, gdyby zeszli się razem, gdyby się faktycznie poznali. Zeszłego wieczoru w odpowiedzi Ewy na to pytanie było coś niezadowolającego. Cassie doszła do wniosku, że chciałyby zaaranżować spotkanie, zaobserwować ich reakcje. Ten pomysł ją rozbawił. Z zamyślenia wyrwał Cassie grzmiący głos Johna Richardsona.

— Dzień dobry, Cassie. — Stał w drzwiach jej gabinetu, a gdy podniosła wzrok, wszedł do środka i usiadł po drugiej stronie biurka. — A więc co myślisz o Frazerze?

— Stanowi wspaniałe towarzystwo — czarujący, inteligentny. — Ostrożnie dobierała słowa, żeby nie być posądzona o uprzedzenia. — A ty co o nim sądzisz?

Machnął ręką, jakby chciał oczyścić powietrze.

— Owszem, wspaniałe towarzystwo. Pomijając te jego wzmianki na temat trupów.

Aż ciarki przechodzą. Miałem ochotę mu powiedzieć, że jesteśmy kapitalistami udziałowymi, a nie kupcami wojennymi. Zachował się jak jakiś cholerny handlarz bronią.

— Jest po prostu dorosłym chłopcem, który wszystkie swoje złe instynkty skupił na robieniu pieniędzy.

— Te złe instynkty muszą być u niego dość silne, skoro zarobił kilka milionów funtów.

— Pomyśl tylko, jaki byłby zły, gdyby nie mógł wyżyć się w ten sposób.

— Zachowywałaś się, jakbyś jeszcze chciała dolać oliwy do ognia. To pytanie, dlaczego zawraca sobie głowę jedzeniem z nami kolacji, i komentarz, że jesteśmy po tej samej stronie barykady.

— Wiesz — zadumała się Cassie — miałam wrażenie, że czasami usilnie starał się być miły, coś w sobie tłumiał, jakby mu się wydawało, że wcześniej zbyt się zapędził.

— Być może. No to powiedz mi, czy to jest człowiek, z którym możemy prowadzić interesy?

— Wszyscy bankierzy w mieście aż się palą, żeby z nim pracować.

— Niezupełnie o to pytałem, wiesz przecież.

— Wiem. — Cassie wpatrzyła się w przedstawiającą końską głowę brązową rzeźbę, która stała na jej biurku. Mówiła powoli, głośno myśląc. — Nie czuję się w jego towarzystwie do końca rozluźniona.

— Ja również nie. Być może to z powodu tej wschodniej aury, jaka go otacza. W

końcu nie można mieszkać w Hongkongu przez tak długi czas i nie przesiąknąć tamtejszą atmosferą. Ale mimo to chętnie bym z Frazerem popracował, a ty nie?

— Tak, to dziwne, ale ja też.

Punktualnie o trzynastej Robie Frazer, wchodził po schodach do „Brooksa”, swojego klubu w St. James's, i kierował się do baru. Wyróżniał się w gąszczu ciemnych garniturów. Miał około sześciu stóp wzrostu, ważył sto osiemdziesiąt funtów, był szczupły i wysportowany. Brzuch nie wylewał mu się zza paska, nie miał obwisłych policzków. Twarz Frazera, choć był rozluźniony, nie miała w sobie nic z beztroskiego samozadowolenia, jakie cechowało wiele z osób będących w klubie. Malowała się na niej uwaga, świadomość, że coś może go w każdej chwili zaskoczyć.

W serdeczny i przyjacielski sposób przywitał się z kilkoma znajomymi, wciąż jednak coś Frazera spośród nich wyróżniało. Gdyby zagadnąć właścicieli

„Brooksa”, powiedzieliby, że otacza go jakaś szczególna aura. Zapytani, dlaczego odnoszą się do Frazera z instynktowną rezerwą powiedzieliby, że to z powodu jego pieniędzy. Zarobił zbyt dużo, zbyt łatwo i w zbyt widoczny sposób. Jednak Frazera nie można było zaliczyć do nowobogackich. Nawet jeśli znaczna część jego majątku powstała niedawno, to Frazer pochodził ze starego rodu i właśnie to zestawienie wielu ludzi zbijało z tropu. Frazer, jeśli nawet był świadom ich odczuć, nie dawał

tego po sobie poznać. Ilekroć życie sprawiało, że musieli się zetknąć, zachowywał w stosunku do nich niezmienną uprzejmość.

Po drugiej stronie baru Frazer zauważył Angusa Fawleya, mężczyznę, z którym był umówiony na lunch. Znał go niemal od czterdziestu lat.

— Dobrze cię widzieć, Frazer.

— Ciebie również. Jak się miewasz? Świetnie wyglądasz.

— Obawiam się, że nie tak dobrze jak ty. Coraz więcej siwych włosów. Ale do rzeczy. Drinka, czy zabieramy się do jedzenia? Umieram z głodu.

Frazer uczynił krok do tyłu.

— Proszę bardzo.

Usiedli przy długim klubowym stole i zajęli się zapiekanką z mięsem.

— Długo zostaniesz w Londynie? — spytał Fawley.

— Być może. Mam już dosyć Hongkongu. Jest zbyt małomiasteczkowy, przyprawiający o klaustrofobię. Potrzebuję odmiany. Zostanę tutaj przynajmniej przez kilka miesięcy.

— Chcesz powiedzieć, że zabrakło już dla ciebie kobiet w Hongkongu? Kręci się tam zbyt wiele tych, które porzuciłeś. Już nawet ty zacząłeś czuć się niepewnie.

Frazer roześmiał się.

— Ty draniu. Pewnie się nie mylisz. Ale mam po temu dobrze uzasadnione powody.

Usiłuję rozszerzyć działalność. Prowadzę zbyt dużo interesów w Hongkongu i w Chinach. Jeśli tam zostanę, bez przerwy będę natykał się na nowe możliwości, więc jedynym środkiem, żeby ustrzec się przed pogrążaniem się coraz głębiej, jest zniknięcie.

— Zawsze możesz odmówić. — Mężczyźni wymienili ironiczne spojrzenia. — A tak przy okazji — spytał Fawley od niechcienia — czy skorzystałeś z mojej rady i rozmawiałeś z przedstawicielami firmy inwestycyjnej Case Reed? Gdy zadzwoniłeś i powiedziałeś mi, że przyjeżdżasz do Londynu, pomyślałem, że to będą ludzie odpowiedni dla ciebie. Są nieco odważniejsi niż inne, renomowane firmy inwestycyjne w tym mieście. Wspomniałeś, że chcesz rozszerzyć działalność, a oni mogą być ci w tym dość pomocni.

— Tak, skorzystałem z twojej rady. Zadzwoniłem do nich i umówiłem się na spotkanie. Wczoraj zjadłem kolację z przedstawicielami firmy.

Fawley z zainteresowaniem podniósł wzrok znad zapiekanki.

— Szybki jesteś.

— Nie ma sensu tracić czasu.

— No i jakie wrażenia?

— Nieźle. Facet, który prowadzi to przedsiębiorstwo, John Richardson, jest, jak inni, dobry w tym, co robi, dość bystry; nieźle odgrywa swoją rolę. Nie wywarł na mnie szczególnego wrażenia, ale jego firma ma dobre wyniki, przeprowadziła wiele udanych transakcji, więc chyba zasługuje na zaufanie.

Fawley przyglądał się uważnie Frazerowi. Oczy błyszczały mu ciekawością która nie szła w parze z ospałością słów Fawleya. — I co?

— Zbyt dobrze mnie znasz.

— Niech zgadnę. Kobieta?

— I to jaka kobieta!

— Powiedz mi coś więcej.

— Nazywa się Cassie Stewart. Jest niezwykła. — Frazer mówił rozkoszując się słowami.

— Atrakcyjna? — spytał Fawley.

— O tak. Zdecydowanie. Choć nie jest klasycznie piękna. Jest chłodna, blada, szczupła, ma dość ostre rysy. Delikatna, ale silna, jeśli wiesz, co mam na myśli.

— Wiem. Nigdy nie uganiałem się za takimi kobietami, ale też one nigdy nie leciały na mnie. Zawsze pragnęły kogoś ciekawszego, bardziej skomplikowanego. Twój opis brzmi zachęcająco.

Frazer łyknął trochę wina.

— Niezupełnie. W końcu być może będziemy prowadzili razem interesy.

— To co? Nie kalaj własnego gniazda i tym podobne? Skąd ta nagła wstrzemięźliwość?

— Jest w niej coś dziwnego. Po prostu wydaje mi się, że lepiej się trzymać od tej kobiety z daleka.

— Ja bym się nie przejmował. Ośmielę się stwierdzić, że i tak, wcześniej czy później, będzie po niej jakaś inna. Zawsze tak jest, nieprawdaż?

Mężczyźni rozstali się o piętnastej trzydzieści. Fawley wrócił do swojego biura w City. Zanim wszedł do środka, zatrzymał się przy budce telefonicznej przy Old Broad Street i zadzwonił do Andrew Stormonta.

— Byłem na przyjemnym lunchu z twoim człowiekiem. Wydaje się dość zainteresowany Case Reed, a szczególnie Cassie Stewart. Sądzę, że chciałby prowadzić z nimi interesy.

— Świetnie. Dziękuję, Angus. I za polecenie mu firmy. Bardzo ładna robota.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Było mi miło, że mogłem pomóc. —

Odwiesił słuchawkę i udał się do swojego biura przy Broadgate Circle, ponownie wcielając się w bankiera kupieckiego.

Frazer wrócił z lunchu o czwartej. Jego dom znajdował się przy Wilton Place, na pograniczu Knightsbridge i Belgravii. Stał przy końcu rzędu ceglanych pięciopiętrowych kamienic. Niektóre z mniej wypieszczonych budynków były w kolorze ciemnej cegły. Fasadę domu Frazera niedawno oczyszczono i miała barwę złocistego, piaskowego brązu. Każdy budynek posiadał na pierwszym piętrze balkony z kutego żelaza, które były zastawione doniczkami z kwiatami. Pędy niektórych roślin zwieszały się do okien piętro niżej. Z tyłu znajdowały się ogrody.

Niektóre były wybetonowane, inne starannie wypielęgnowane. Ogród Frazera był

utrzymany najlepiej. Znajdowała się w nim niewielka płaszczyzna idealnie wyrównanej trawy, okolona azaliami i krzewami bzu. Po ceglanych ścianach pięły się róże i wistarie, a zapach kwiatów wypełniał ogród i przedostawał się na cichą uliczkę. Zarówno z przodu, jak i z tyłu kamienicy były zainstalowane dwie kamery systemu zabezpieczeń, skierowane z czwartego piętra w dół.

Wewnątrz dom był urządzony z przepychem, bogaty, wszystko wykończono ciemnym drewnem i delikatnymi tkaninami. Na ścianach wisiały eleganckie olejne malowidła. Dźwiękoszczelne okna tłumiły odgłosy ulicy. Ciężkie, na wpół

zaciągnięte zasłony wstrzymywały światło. Cisza i półmrok. Ale nie spokój, raczej nerwowe oczekiwanie, przerywane od czasu do czasu biciem starego zegara. W tych bogato umeblowanych pokojach jego dźwięk rozlegał się echem, jakby dom był

pusty.

Frazer przemierzył szybko kamienną ścieżkę we frontowym ogrodzie, wszedł do domu i udał się do swojego gabinetu, którego okna wychodziły na ogród. Okno okalały pnące róże w pełnym rozkwicie, ale Frazer jedynie zanotował

podświadomie, że wszystko jest jak należy, ogrodnik dobrze wykonuje swoje zadanie, po czym zasiadł przy biurku, pochylił się, oparł łokcie na wypolerowanym drewnie i uśmiechnął się, jakby wysłuchiwał czyjejś błagalnej prośby. Podniósł

słuchawkę telefonu i wybrał numer. Telefon zadzwonił pół mili dalej, w domu Xu Nana. Nan był młodym, inteligentnym, przystojnym i dobrze zapowiadającym się młodzieńcem. Pochodził z niezwykle biednej chińskiej rodziny z Hongkongu i od czasu, gdy skończył dziewięć lat, był sponsorowany przez Robiego Frazera, któryłożył pieniądze na wykształcenie Xu Nana. Gdy Nan miał trzynaście lat, Frazer wysłał go do Anglii, do szkoły z pensjonatem. Stamtąd Nan poszedł na uniwersytet Loughborough, gdzie zdobył dyplom z wyróżnieniem w dziedzinie nauk komputerowych. Potem podjął pracę w znaczącej brytyjskiej firmie zbrojeniowej.

Zajmował się rozwojem skomputeryzowanych systemów naprowadzania. Bardzo szybko zyskał w firmie opinię człowieka o niezwykłym talencie i pomysłowości.

Zanim osiągnął dwudziesty siódmy rok życia, zdążył cztery razy awansować, powierzano mu dosyć odpowiedzialne zadania i pobierał wysoką pensję. To honorarium było jeszcze uzupełniane pieniędzmi od Frazera, przekazywanymi mu jako wyraz szacunku dla jego stopnia naukowego i kolejnych sukcesów zawodowych. Nan nie chciał przyjmować tych datków, jako że Frazer już tak wiele mu ofiarował w ciągu ostatnich kilku lat, ale jego opiekun nalegał i Nan przez grzeczność się nie sprzeciwiał. Rodzina Nana była niezwykle dumna, że Xu osiągnął taki sukces. Miał tyle szczęścia. A teraz, co było nieuniknione, dla równowagi nadszedł pech. Tylko że to nie był pech w potocznym tego słowa znaczeniu. To, co wydarzyło się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, nie było przypadkowe. Wszystko zaczęło się od jednych z rzadkich odwiedzin Robiego Frazera. Przez lata Nan przyzwyczyił się do tych spotkań. Frazer pojawiał się i odjeżdżał, roztaczając swój urok i zadając masę dociekliwych pytań. Nanowi trudno było uwierzyć, że Tai Pan, jak wszyscy nazywali Frazera w Hongkongu, tak bardzo się nim interesuje. Jedynym wyjaśnieniem była działalność dobroczynna —

pragnienie człowieka, który posiadał wszystko, dzielenia się z bliźnim. Tylko że sześć miesięcy wcześniej Frazer pojawił

się, żeby brać, nie dawać. Jedno żądanie wyjaśniło szesnaście lat dobroczynności.

Nan miał wyjawić Frazerowi wszystko na temat swojej pracy, przekazać mu jak najwięcej szczegółów dotyczących technologii naprowadzania broni. Frazer oczywiście sformułował to jako uprzejme pytanie, zupełnie niewinne. Jakby od niechcienia oznajmił, że ta informacja potrzebna jest jednemu z jego przyjaciół, któremu chce wyświadczyć przysługę, i spytał, czy Nan nie mógłby wyświadczyć jej również Frazerowi — taki drobny rewanż, nic więcej. Nan słuchał tego słodkiego głosu i widział spojrzenie Frazera: nieprzejednane, nie znoszące sprzeciwu. Zdawał

sobie sprawę z daremności stawiania oporu. Frazer kontrolował go całkowicie.

Podstępem i pieniędzmi odciął mu wszystkie drogi ucieczki.

Nan w ciągu szesnastu lat został całkowicie osaczony. Nie widział dla siebie odwrotu, więc zgodził się zaspokoić ciekawość Frazera. Przekazał mu wszystkie potrzebne informacje, skopiował i wręczył Frazerowi dokumenty, do których miał

dostęp.

Do tej pory dwukrotnie wykradał dokumenty i miał nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie musiał tego robić, ale stawało się jasne, że Frazer żądał stałego dopływu informacji, i dopóki istniały dane, które można było wykraść, a Nan miał do nich dostęp, Frazer nie pozwolił mu się od tego wykręcić. Z każdym dniem nieustępliwe naciski ze strony Frazera wpędzały Nana w coraz głębszą depresję.

Chińczyk poderwał się na dźwięk dzwonka telefonu. Zaskoczył go w chwili, kiedy ze skupieniem podlewał kwiaty. Miał ich dokładnie setkę, ustawione równo na parapetach i balkonach swojego mieszkania na ostatnim piętrze w domu przy Sloane Avenue w Chelsea. Podlewanie było ulubionym zajęciem Nana. Przerwanie tej czynności niezmiernie go zirytowało. Odstawił konewkę i ze złością chwycił

słuchawkę. Zesztywniał, gdy usłyszał głos Frazera.

— Ach, Nan. Miałem nadzieję, że cię zastanę. Znów jesteś na zwolnieniu?

— Tak. Ale właśnie miałem wyjść do pracy. W zasadzie byłem już w drzwiach.

Frazer roześmiał się.

— Wolałbyś, żebym zatelefonował do ciebie do biura?

— Nie. Nie, to nie będzie konieczne. Oddzwonię do ciebie, gdy znajdę trochę czasu.

— Czas. Hmm. — Frazer zamyślił się. — Dobrze, że poruszyłeś ten temat. Już sporo czasu upłynęło od dnia, gdy ostatni raz miałem od ciebie jakąś wiadomość.

Przy okazji, jak ci się żyje w nowym mieszkaniu?

— Och, dobrze, dziękuję. Jest bardzo ładne. Już zapełniłem je roślinami.

— To świetnie. Cieszę się, że ci się podoba. Tylko nie zapominaj, skąd je masz, dobrze, Nan?

— Nie zapomniałem. — Nan mówił z rozdrażnieniem spowodowanym strachem, nienawiścią bezsilnym buntem.

— To prawda. W przeszłości nigdy nas nie zawiodłeś. — Frazer powoli dobierał słowa, jakby zastanawiał się nad zmianą status quo.

Nan wybuchnął nagle:

— Czy kiedykolwiek zaświtała ci myśl, że może mam już tego wszystkiego dość, że może już nie chcę tego robić?

— Nie I dziwię się, że zaświtała ona tobie. W tej chwili, Nan, nie masz takiej możliwości, prawda? Sprawy zaszły za daleko^ Łatwiej nadal je ciągnąć. To jest jak strzała, która przebija mięsień. Nie da się jej wyciągnąć, ponieważ grot zawadza. —

Frazer przysłuchiwał się ciszy. — Nie każ nam czekać, Nan. - Odłożył słuchawkę i wpatrywał się w roze, w ich krwawą czerwień. . . .

Xu Nan odniósł telefon, wziął klucze i wyszedł z mieszkania, nie kończąc podlewania kwiatów. Wsiadł do samochodu, położył roztrzęsione dłonie na kierownicy i odjechał.

Robie Frazer wykręcił następny numer, tym razem w Chinach. Było tam już po północy, ale człowiek, do którego telefonował, cierpiał na bezsenność i niewiele spał - nigdy dłużej niż do drugiej nad ranem. Odpowiedział po trzecim dzwonku.

Frazer mówił zwięźle.

— Ha Chin, sprawy nieco się przeciągają ale to nie potrwa długo. Chwila ciszy i odezwał się zdecydowany, rozważny głos.

— Mówiłeś to już dwa tygodnie temu. W czym problem?

— Nie ma żadnego problemu — odparł Frazer pewnie. — Po prostu musisz nieco uzbroić się w cierpliwość.

— Czy sądzisz, że przestał być już użyteczny?

— Och nie Wciąż jest w nim jeszcze nieco życia. Ciągłe jest zachłanny. I 'podatny na wpływy. Po prostu zaczyna trochę brykać, to wszystko.

— Brykać?

— Nerwy.

— Może nieco go zachęcić?

— Och, już ja go zachęcę. O to się nie martw.

— Nie martwię się. Mam do ciebie całkowite zaufanie, Frazer. W końcu nigdy w przeszłości nas nie zawiodłeś.

Frazer roześmiał się, gdy usłyszał swoje własne słowa Bezczelny chiński drań.

Frazer pozwolił, żeby jego śmiech wybrzmiał do końca i zagłuszył strach.

— Dobranoc, Ha Chin. Spij dobrze.

Rozdział 6

Cassie opuściła biuro o osiemnastej. W tygodniu zazwyczaj pracowała do dziewiętnastej lub dwudziestej, ale w piątkowe wieczory zawsze wychodziła wcześniej.

Był koniec kwietnia. Słońce już od tygodnia przygrzewało mocno i teraz oświetliło twarz Cassie, i otuliło swym ciepłem. Uśmiechnęła się. Z Savile Road skręciła w Clifford Street, a następnie w Bond Street i Burton Street, kierując się w stronę Park Lane i Hyde Parku. Szła powoli, zamyślona, jakby wybrała się na spacer po ogrodzie. Wzrok Cassie przyciągnął szczupły, śniady mężczyzna, w wieku około czterdziestu lat. Uśmiechnął się do niej. Zauważyli się nawzajem, spodobali się sobie. To wszystko. Mężczyźni w tym kraju nigdy nie posuwali się dalej. W

Ameryce, w Skandynawii, we Francji czy we Włoszech zatrzymaliby się, żeby porozmawiać, czasami niezobowiązująco, czasami próbując umówić się na randkę.

Tutaj tylko patrzyli, uśmiechali się, czuli się nieswojo i szli dalej, uroczy, ale bierni.

Cassie zdążyła się już przyzwyczaić do takich reakcji. Mężczyźni i kobiety prawie zawsze przyglądali się jej, choć dawniej ich wzrok wyrażał inne uczucia. W szkole uchodziła za dziwoląga z przesadnie długimi, chudymi kończynami i z małą główką.

Intelektem również wyróżniała się z otoczenia, więc wyrosła w przeświadczeniu, że jest jakimś wybrykiem natury, i to przekonanie nigdy jej nie opuściło. Nieprzeciętna uroda Cassie wciąż była dla niej czymś nowym, chociaż już nauczyła się nią cieszyć.

Jej urok zachwycał ludzi, wyzwalał w nich najlepsze odruchy. Cassie nigdy nie musiała o nic walczyć, życie było dla niej przyjemnością.

Ale w ciągu ostatnich miesięcy zaczęła nabierać do życia lekkiego dystansu.

Postrzegała je bardziej obiektywnie i, niezależnie od swojej woli, zaczęła dogłębnie analizować fakty, samodzielnie je oceniać. W czasie zebrań obserwowała swoich kolegów z pracy. Rozglądała

się wokół stołu przydzielanego i próbowała zgłębić sekrety poważnych biznesmenów, którzy siedzieli przed nią. Może wynikało to z nudy, ze zbyt dobrej znajomości własnego rzemiosła. Cassie dziwiło, z jaką łatwością dokonywała analizy życia tych ludzi, i gdy sprawdzała, w jakim stopniu jej wyobrażenia odpowiadają rzeczywistości, odkrywała, że niewiele mijają się z prawdą. Była zdziwiona swoimi nowo odkrytymi zdolnościami. Nie miała pewności, czy jest z nich zadowolona.

Szła dalej. Zrobiło się chłodniej i na odsłoniętych ramionach Cassie pojawiła się gęsia skórka. Potarła je energicznie, przyspieszyła, przedarła się przez ruch na Park Lane i weszła do Hyde Parku. Spacerowała pomiędzy kwitnącymi wiśniami, podziwiając płatki kwiatów. Lekki wiatr unosił je w powietrzu i spadały na Cassie deszczem. Chwyliła kilka płatków w dłonie i uśmiech powrócił na jej twarz.

Pół godziny później dotarła do domu. Fasada wychodziła na zachód i budynek był skąpany w promieniach zachodzącego słońca. W długich, wąskich skrzynkach wzdłuż parapetów rosło geranium i fiołki. Po ścianie pięła się wistaria, jej grube, poskręcane łodygi dochodziły do górnych pięter. Kwiaty właśnie zaczynały się rozwijać i w powietrzu unosił się ich delikatny zapach. Cassie przystanęła, by porozkoszować się tą wonią. Weszła do środka.

Gdy pojawiła się w jadalni, David Wilson zerwał się na nogi.

— Jak się masz, złotko? Wyglądasz na zadowoloną. Miałaś dobry dzień?

Usiadła na kanapie i zrzuciła buty.

— Mmm, niezły. Zafundowałam sobie cudowny spacer po parku.

Wszystko kwitnie i wpadł mi w oko ciekawy mężczyzna. David roześmiał się.

— Ciekawy? Tak się wypowiadamy o brzydkich kobietach, których wygląd ktoś każe nam skomentować. Ciekawa. Albo miła.

— Jesteś strasznie niedyplomatyczny. Całe szczęście, że nie pracujesz w biurze.

Prawdopodobnie wytoczono by ci proces o napastowanie seksualne. . . .

— A to by dopiero była zabawa. — Podniósł z podłogi butelkę whisky. — Jakie masz plany na dziś?

Cassie spojrzała na Davida i odwróciła wzrok.

— Ewa przychodzi na kolację. Gładko przełkną! łyk whisky i wsiadł.

..... Świetnie. Cóż, no to do zobaczenia. Idę do pubu. — Sięgnął po wygniecioną marynarkę, która leżała na oparciu krzesła, chwycił klucze ze stolika w korytarzu i wyszedł.

Cassie potrząsnęła głową i położyła się na kanapie. Zamknęła oczy i pomyślała o Ewie.

Poznały się jedenaście lat temu w Oksfordzie, w Magdalen. Cassie na wpół

siedziała, na wpół leżała na trawniku przed Budynkiem Bractwa.

Odchyliła głowę i rozkoszowała się popołudniowym słońcem. Oślepiąca światłem z trudem dostrzegła kobietę, która zbliżała się do niej, promienna jak fotografie Mana Raya. Nieznajoma zatrzymała się, żeby porozmawiać z przechodzącą parą, i ruszyła ponownie w kierunku Cassie. Gdy się zbliżyła, Cassie mogła przyjrzeć się jej dokładniej: opalona dziewczyna z długimi brązowymi włosami, nieszczerólnie wysoka, o wdzięcznym ciele i kocich ruchach. Szła wydłużonym krokiem, szybko, z pewnością siebie.

Gdy dostrzegła Cassie, jej oczy jakby nagle ożyły. Podeszła i zatrzymała się na trawniku.

— Jesteś tu nowa? Pierwszy rok?

Cassie przytaknęła. Dziewczyna usiadła obok niej na trawie.

— Mam na imię Ewa.

Cassie uścisnęła wyciągniętą dłoń.

— Cassie.

— Ach. Cassandra. Córka króla Troi, odtrącona przez Apolla. Wielka prorokini, której nikt nie wierzył. — Uśmiechnęła się. — Studiuję filologię klasyczną —

wyjaśniła. — Drugi rok.

— Więc kim ty byś była w mitologii?

— Syreną. A kimże innym? — Przerwała, przekrzywiła głowę i przyjrzała się Cassie badawczo. — Ty byś się chyba jednak lepiej nadała do tej roli. Jesteś jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widziałam. Aż się słabo robi.

Cassie roześmiała się, mile polechtana komentarzem. W głosie Ewy brzmiał szczery podziw, zupełnie obezwładniający.

— Bardzo w to wątpię, niemniej jednak dzięki. To samo mogłabym powiedzieć o tobie.

Ewa wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, kogo mogłabym zwabić na nadmorskie skały — powiedziała Cassie.

— Założę się, że znacznie więcej mężczyzn ugania się za tobą niż za mną.

— Być może. Twoja uroda prawdopodobnie ich odstrasza. Ja wyglądam bardziej przystępnie — sądzą że jestem miła.

— A jesteś?

Ewa tylko się uśmiechnęła.

Nie minął tydzień, a dwie dziewczyny stały się przyjaciółkami. Cassie pociągała u Ewy jej siła i energia. Cassie czuła, że nic, co by powiedziała albo uczyniła, nie jest w stanie Ewy zaskoczyć, że może być sobą, będzie rozumiana i nie musi bać się cenzury. Jednocześnie wiedziała — wszyscy wiedzieli — że z Ewą nie ma żartów.

Jeśli ktoś sobie pozwalał na nieodpowiednie wobec niej zachowanie, po prostu taką osobę kompletnie ignorowała. Nie wynikało to z jej szorstkości. Ewa zawsze wydawała się Cassie bardzo ciepła i czuła. Ale trudno ją było poznać, zrozumieć.

Jednak

dominującą cechą charakteru Ewy był jej instynkt samozachowawczy, silniejszy niż u kogokolwiek innego ze znajomych Cassie.

Ewa widziała w Cassie beztroskość istnienia. Była wesoła, niezwykle inteligentna i tak piękna, że nigdy nie czuła się zagrożona przez Ewę, która, zdaniem wielu osób, była zbyt hojnie obdarzona przez naturę.

Z upływem czasu Cassie z rzadka, ale regularnie otrzymywała przekazywane szeptem ostrzeżenia na temat przyjaciółki; Ewa nie robi niczego bez powodu, nawet nie zaprzyjaźnia się bez powodu. Cassie zawsze się śmiała. W sytuacjach ekstremalnych rozluźniała się, podczas gdy inni byli spięci i rozdrażnieni. Nigdy nie uważała, że została skrzywdzona, a z pewnością nie przez Ewę. To, że przyjaciółka była zdolna wyrządzić krzywdę, nie pozostawiało cienia wątpliwości. W czasie ich wspólnego pobytu w Oksfordzie Ewa zdradziła wielu kochanków. Cassie wiedziała, że przyjaciółka nigdy nie traktowała tego jak przestępstwo. Była to dla niej raczej nieunikniona kolej rzeczy, skutek prawa popytu i podaży. Po prostu nie starczało jej dla wszystkich.

Cassie przypomniawszy sobie znowu ostrzeżenia kolegów uniwersyteckich i komentarze Davida Wilsona. Wszyscy radzili, żeby się miała na baczności — i mylili się, zarówno wtedy, jak i teraz.

Ewa przybyła dwie godziny później. Cassie otworzyła drzwi, kobiety ucałowały się i Cassie poprowadziła przyjaciółkę do salonu.

Ewa ruszyła za nią chłonąc szczegóły otoczenia. Uderzyła ją atmosfera ciepła panująca w tym domu. Dom był żywy, jakby świecił leciutko swoim własnym światłem. Na ścianach wisały obrazy: pejzaże, portrety, rysunki twarzy, studia koni, ptaków w locie, akty, rzeźby. Było ich wiele, ale w tej różnorodności tkwił jeden wspólny element — stworzyła je spokojna ręka. Inne sprzęty odgrywały względem obrazów drugorzędą rolę. Były wygodne, w naturalny sposób eleganckie; w poszczególnych pokojach dominowały różne odcienie — bursztynu, żółci, błękitu. Nie było tu nic z

nowoczesnego nieładu czy minimalizmu, tak charakterystycznego dla domów wielu osób w wieku Cassie. W każdym pokoju leżały piękne dywany, stare, perskie, z jedwabiu i wełny, we wspaniałych, głębokich barwach. Wszystko zdawało się w ruchu. Czarny cocker spaniel o imieniu Nesta biegał za swoją panią, dwa koty leżące w smudze słonecznego światła na oparciu kanapy leniwie kołysały ogonami. Panowała tu atmosfera prawdziwego domu; nie wydumanej świątyni, ale miejsca, które napawa energią.

Ewa obserwowała przyjaciółkę. Cassie podała drinki, wypłukała sałatę, przerwała na chwilę, usiadła z uśmiechem i poczuła, ku swojemu zaskoczeniu i zmieszaniu, lalę tęsknoty za czymś, czego nie potrafiła nazwać. Wzięła swojego drinka —

schłodzone białe wino — i wypła go-

Dwie kobiety siedziały naprzeciwko siebie.

— Gdzie jest twój współlokator? — spytała Ewa.

W pubie. To jego ulubione miejsce.

Czym jeszcze się zajmuje, oprócz tego, że chodzi do pubu?

— Jest scenarzystą. — Cassie splotła nogi i oparła się wygodnie.

— Coś już napisał?

— Bardzo wiele. Jeśli chciałaś zapytać, czy coś już wystawił, odpowiedź brzmi: jeszcze nie. To działalność długodystansowa, wymaga lat pracy. Ale jest bardzo dobry.

— Skąd ma pieniądze, żeby ci płacić czynsz?

— Nie ma. Jest przyjacielem. Miło mi, że tu mieszka.

— Nigdy nie lubiłaś mieszkać sama, prawda?

— W przeciwieństwie do ciebie. Na Dalekim Wschodzie. Tak, to prawda. Ale dlaczego miałabym mieszkać sama? Wolę mieć towarzystwo.

— To kochanek?

— Kto, David?

— Mhm.

— Nie. Skąd ten pomysł?

— Znikąd. Po prostu pomyślałam, że może kiedyś nim był. Odniosłam wrażenie, że jest zazdrosny.

— O ciebie?

— Tak. Poczułam coś takiego.

— Coś sobie ubzduriałaś.

— Chcesz być po prostu uprzejma. Nie wydaje mi się, by mnie polubił.

— Każdy cię lubi, Ewo. Wiesz o tym. A David lubi wszystkich. Jest zbyt rozleniwiony, żeby pałać do kogoś niechęcią.

— To chyba nieistotne.

Cassie wstała, żeby zająć się głównym daniem, spaghetti z homarem. Ewa poszła za nią do kuchni, usiadła na wysokim taborecie i przyglądała się przyjaciółce.

— Przy okazji, jak ci się udała tamta kolacja z Robiem Frazerem? Cassie odłożyła łyżkę, którą mieszała majonez, odwróciła się i posłała Ewie wymowne spojrzenie.

— Jest interesujący, jak mówiłaś dość uroczy. Bardzo inteligentny, szalenie seksowny. Zdecydowanie ktoś, z kim należałoby spędzić popołudnie w łóżku.

Ewa aż pisnęła. — Co? Chyba tego nie zrobiłaś?

— Nie. — Cassie wybuchnęła śmiechem. — Nie zrobiłam. To po prostu takie moje powiedzonko. Mężczyźni dzielą się na dwie kategorie: na tych, z którymi bym mogła i z którymi bym nie mogła spędzić popołudnia w łóżku. To zabawne tak ich szeregować. Smutny jest tylko fakt, że bardzo niewielu mężczyzn z naszej sfery się kwalifikuje do takiego popołudnia. Oczywiście każdy z nich ma jakieś zalety. Ale ilu jest seksownych? Mogłybyśmy się nauczyć dostrzegać w nich jakąś atrakcyjność, gdybyśmy się zakochały, gdyby stali nam się bliscy, ale ilu mężczyzn emanuje seksem? Na tym polega problem z Brytyjczykami z pewnej klasy społecznej. Wyglądają fatalnie, mają nadwagę, ubierają się jak dziadkowie, ale najgorsze, że nic nie wiedzą o seksie. Nie mają tej iskielki w oku, nic nie wskazuje, że seks może im sprawiać przyjemność, a co dopiero, że mogą być w tym dobrzy. Cassie oblizwała łyżkę po majonezie.

— Mmm. Pyszne. Spróbuj. — Wetknęła łyżkę w usta przyjaciółki. Ewa przełknęła i przytaknęła.

— Dobrze, bardzo dobre. Ale co w ciebie, na Boga, wstąpiło? W Oksfordzie byłaś taka tolerancyjna, uważałaś, że Brytyjczycy są słodcy. — Uśmiechnęła się. — Kto cię wyedukował?

— Sama. I co, zgadzasz się ze mną?

— Na Boga, nie! Mężczyźni z naszych, jak to określiłaś, sfer są kompletnie i skończenie aseksualni. Zupełnie zapomniałam, jak strasznie są aseksualni, dopóki tu nie wróciłam. Oczywiście jest jeden czy dwa wspaniałe wyjątki... ale potwierdzają regułę.

— Mmm. A Robie Frazer zdecydowanie przełamuje ten schemat.

— Więc masz jakieś plany?

— Nie. To mój klient. — Cassie przerwała i nabrała kolejną łyżkę majonezu. — Ale mógłby się nadać dla ciebie.

— Z tego, co wiem o Frazerze, jak na mój gust jest nieco zbyt... gładki.

— Powinnaś go poznać. Pod spodem wcale nie jest taki gładki. Stara się, ale ostre krawędzie wystają na zewnątrz. Łatwo się można skaleczyć.

Ewa uśmiechnęła się ledwo dostrzegalnie i wsadziła sobie palcem do ust nieco majonezu. Cassie wyłożyła spaghetti na talerze.

— Chodź. Gotowe. — Przeszły do jadalni, postawiły naczynia na stole i zaczęły jeść z apetytem. Ewa opowiadała Cassie zadziwiające historie ze swoich podróży po Dalekim Wschodzie, o tym, co widziała, o ludziach, których spotkała. Zawsze miała wiele opowieści w zanadru.

Gdy skończyły, Ewa odłożyła widelec i rozejrzała się.

— Udało ci się, Cassie. Wspaniałe jedzenie, piękny dom, ogród, meble, obrazy, dywany. Wszystko. Cassie wzruszyła ramionami.

— Owoc ośmiu lat pracy w City i pomocnej ręki współlokatora.

— To dla mnie trochę szokujące. Wracam po ośmiu latach, zastaję całkiem nowy Londyn i widzę, ile wszyscy osiągnęli.

Cassie trudno było wyobrazić sobie, żeby dla Ewy cokolwiek było szokujące.

— Wcale tak dużo nie osiągnęliśmy. Po prostu poddaliśmy się fali. Niemal bezwolnie. W przeciwieństwie do ciebie.

Ewa zastanowiła się.

— To, co robiłam, było cudowne, ale nie przyniosło dochodów.

— Masz jakiś pomysł? — spytała Cassie beztrasko.

— W zasadzie tak. — Ewa zawahała się. — Raczej dość niezwykły. Od tygodni pewna myśl lęgnie mi się w głowie, lecz nie chciałam ci o tym mówić. Ale jeśli z tobą nie mogę o tym porozmawiać, to z kim?

— Brzmi bardzo intrygująco — stwierdziła Cassie.

— Jak byś zareagowała, gdybym ci powiedziała, że znalazłam kopalnię diamentów w Wietnamie?

Wponiedziałek rano Cassie przybyła do biura w stanie szczególnego podniecenia.

Zrezygnowała ze spokojnych trzydziestu minut zarezerwowanych na czytanie gazet i udała się prosto do gabinetu Johna Richardsona. Zaskoczony podniósł wzrok.

— Czemu mam przypisać tę poranną przyjemność?

— Wydaje mi się, że mogę mieć coś dla Frazera i dla nas.

— Powiedz trochę więcej.

— Pole diamentowe w Wietnamie. Richardson roześmiał się.

— Jak już idziesz, to na całość.

— To ma sens. Wietnam się otwiera na świat. Amerykanie inwestują w tym kraju masę pieniędzy. Są tam potężne rezerwy minerałów i kamieni szlachetnych.

Gospodarka szybko się rozwija, cały region przeżywa hossę. Frazer chce rozszerzyć swoją działalność. Wydaje mi się, że diamenty by go skusiły. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby specjalnie się podekscytował propozycją produkcji spinaczy do bielizny.

— Nie powiem, że w ogóle liczyłem na to, iż coś go będzie w stanie podekscytować, ale rozumiem twój tok myślenia. Skąd ten pomysł z polem diamentowym?

— Podsunęła mi go przyjaciółka. Ale zanim coś powiesz, właśnie z tego powodu chciałabym, żebyś ty przeprowadził tę transakcję. Wolałabym nie brać w tym bezpośredniego udziału. Zdaję sobie sprawę, że jestem z tą osobą zanadto związana, bym mogła być obiektywna.

— Co chcesz, żebyśmy zrobili?

— Spotkaj się z nią. Nazywa się Ewa Cunningham. A zaraz potem umów się z Frazerem. Jeśli spodoba ci się to, co Ewa ma do zaoferowania, będziesz mógł ją poprosić, żeby od razu została. Jeżeli nie, będzie mogła odejść, a my sobie porozmawiamy z Frazerem na ogólniejsze tematy.

— Cieszę się, że nie jesteś sentymentalna. Jeśli mnie zaciekawia, zostanie. Jeżeli to nic niewarte, do widzenia.

— I decyzja należy do ciebie.

— Nie. Decyzja należy do ciebie. To twoja transakcja, przyjaciółka czy nie.

Wszyscy prowadzimy interesy z przyjaciółmi. W City to żadna nowość. I bardzo dobrze wiesz, że zawsze byłaś surowszym sędzią niż ja, szczególnie ostatnimi czasy. Jak to było w zeszłym tygodniu z transakcją z Tugwellem? Słyszałem, że obdarzyłaś go jednym spojrzeniem i odrzuciłaś Tugwella oraz jego plan. Wszyscy sądzili, że plan był wielce obiecujący.

— Plan wyglądał obiecująco. Tugwell nie. Wielki wodolej, żadnych konkretów. Nie chciałabym wiedzieć, czego prywatny detektyw mógłby doszukać się w jego życiorysie.

— Chciałabyś wiedzieć i z całą pewnością przejrzałabyś go na wylot. Wiem wszystko o twojej najnowszej rozrywce. Ten facet, MacDonald, z którym spotkaliśmy się trzy tygodnie temu — domyśliłaś się, że to skończony alkoholik, że próbował w przeszłości małego szwindlu i że ma kochankę, która wszystko z niego wysysa. I miałaś absolutną rację. Zupełnie zaskoczyłaś trzech z naszych detektywów. Ten, który prowadził dochodzenie w sprawie MacDonalda, przyszedł

do mnie i powiedział, iż uważa, że wynajęłaś konkurencję i próbujesz go zawstydzić, udowadniając, iż twoi informatorzy są lepsi. Nie chciał uwierzyć, że to gra, że lubisz siedzieć na zebraniach zarządu i wyobrazać sobie, jakie życie wiodą zgromadzeni tam ludzie, i nie dał się przekonać, iż takie wyobrażenia mogą pokrywać się z prawdą. Płacimy mu cholerne pieniądze, a ty robisz to na bazie czystej fantazji. — Richardson wysunął podbródek, żeby podkreślić swoje słowa. —

Może przez wzgląd na jego dumę zawodową mogłabyś pozwolić facetowi złożyć raport, zanim posadysz go obok siebie i powiesz wszystko, czego zdołał się dowiedzieć, nim nawet zdąży otworzyć usta. Ten drugi, Owen Quaid — ten ma ego wielkości wieżowca Nat West. Ale jego trudno zaskoczyć, uważa, że to świetny żart, bez wątpienia będzie starał się zatrudnić cię u siebie...

Cassie zdławiła śmiech. Richardson przyglądał jej się zdumiony. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy zaszła w Cassie wyraźna zmiana, stawała się coraz bardziej psotna.

Świadczył o tym błysk w jej oczach, odpowiednio dobrane słownictwo, nieco bardziej zdobny krój sukienki, zdarzająca się, od czasu do czasu, niewyjaśniona absencja w biurze i, najwyraźniej i najbardziej alarmująco, ta nowa umiejętność postrzegania. Był z Cassie zadowolony. Z tą figlarnością wzrastała jej siła. Zawsze obawiał się, że Cassie jest tak samo nieodporna psychicznie jak, zdawało się, fizycznie, z tą jej delikatną smukłą i kruchą budową. Ale okazało się, że teraz uzewnętrzniło się w niej coś nowego; jakaś długo skrywana zadziorność rozkwitła niemal w całej pełni.

— Wiesz, że jeśli mamy się tego podjąć, będziemy musieli nasłać prywatnego detektywa na twoją przyjaciółkę, Ewę? Prawdopodobnie Quaida.

Cassie skinęła głową w milczeniu.

— Więc co byś mi o niej mogła powiedzieć zawczasu?

Cassie, zanim się odezwała, oparła się o poręcz krzesła i wpatrywała w biel sufitu.

— Nie jestem pewna. Mam wrażenie, że istnieje między nami jakiś bardzo zmyślnie zbudowany mur. Trudno powiedzieć coś na temat przyjaciółki. Przestaje się być krytycznym. Dziwactwa stają się normalne, znaki ostrzegawcze zawodzą. Jutro będę udawała, że spotkałyśmy się po raz pierwszy. Sala narad to zawsze dobre miejsce do takich obserwacji. Jest tam miło i spokojnie, nic nie będzie odwracało mojej uwagi. Może dostrzegę coś nowego. W końcu nie chcę rozczarować Owena.

Gdy wychodziła z gabinetu, Richardson popatrzył za Cassie zirytowany. Miło i spokojnie, nic nie będzie rozpraszało jej uwagi w sali narad... Nie. Nic oprócz kilku wielomilionowych inwestycji.

Krzyknął za nią, gdy już zniknęła z pola widzenia:

— Zadzwoń do swojej przyjaciółki i umów ją jutro na dziesiątą! Z Frazerem spotkam się o jedenastej trzydzieści.

Cassie uniosła rękę na znak, że przyjęła to do wiadomości, poszła do swojego gabinetu i wybrała numer telefonu. Ewa odpowiedziała po trzech dzwonekach.

— Ewa, tu Cassie. Czy możesz przyjść jutro o dziesiątej? Świetnie. Zarezerwuj sobie całe przedpołudnie. — Podała przyjaciółce adres Case Reed i odłożyła słuchawkę, zanim Ewa zdążyła zadać jakieś pytania. Nie miała zamiaru jej przygotowywać. Jeśli ktoś potrafił o siebie zadbać, to na pewno właśnie ona.

Ewa, marszcząc brwi, odłożyła słuchawkę. Miała wrażenie, że została spławiona.

Wzruszyła ramionami. Później zadzwoni do Cassie do domu i dowie się wszystkiego na temat spotkania. Zatelefonowała do Stormonta.

— Cassie przed chwilą dzwoniła. Zaaranżowała na jutro spotkanie. Będzie mi potrzebna zaliczka na ubranie. Tym razem będę musiała wyglądać wystrzałowco.

— W porządku, załatwię to. Dam ci ją później. Jest jeszcze kilka rzeczy, nad którymi chcę się zastanowić. W międzyczasie zrób zakupy. Tylko nie szalej za bardzo, bo potem ten problem będzie na mojej głowie.

— Mmm. Tak jest jeszcze zabawniej.

— Przyjdź do lokalu konspiracyjnego około dwudziestej pierwszej — powiedział

Stormont. Nie musiał się z nią spotykać. Mógł przekazać Ewie pieniądze poprzez kuriera. Ale chciał się z nią zobaczyć. Wmówił sobie, że po to, by się Ewie przyjrzeć, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Ewa zatelefonowała do przyjaciółki o wpół do dziewiątej wieczorem.

— Cassie, tu Ewa.

— Cześć, kochanie, jak się masz?

— Świetnie, dzwonię, żeby...

— Och, Ewo, właśnie słyszę dzwonek u drzwi. Słuchaj, strasznie mi przykro. Nie mogę teraz rozmawiać. Pogadamy jutro, na spotkaniu. Do zobaczenia.

— Cholera. — Ewa cisnęła słuchawką na wpół zdenerwowana, na wpół

rozbawiona. Gdyby nie znała Cassie lepiej, pomyślałaby, że przyjaciółka świadomie jej unika, ale gdy wyobrażała sobie roztrzępaną Cassie, która miota się jak szalona pomiędzy telefonem i osobą czekającą w progu, wszelkie podejrzenia o nieszczerłość zniknęły.

Ewa pomyślała o swoim zbliżającym się spotkaniu ze Stormontem. Sięgnęła po papierosa i wypaliła go aż do filtra, wstała, uczesała się, nałożyła pomadkę, w nadgarstki wtarła nieco perfum. Gdy już wychodziła, zadzwieczał telefon. Dzwonił

Stormont.

— Ewo, mam trochę kłopotów. Coś się wydarzyło. Nie mogę przed dziewiątą być w lokalu konspiracyjnym.

Ewa milczała przez chwilę, opanowując rozczarowanie, zanim zdążyło ją ogarnąć.

— Zawsze mogę przyjść do ciebie. Stormont nie odzywał się przez chwilę.

— Tutaj? Do mnie, do domu?

— Tylko ten jeden raz. Wiem, że to niezgodne z zasadami, żeby agenci i kontrolerzy spotykali się w domu, ale załatwię to szybko i upewnię się, że nikt mnie nie śledzi.

— Ach, do diabła. Przyjdź. — W swojej chęci zobaczenia się z Ewą nieostrożnie złamał zasady.

Rozdział 8

Cassie siedziała i oglądała telewizję. Coś nie dawało jej spokoju. Zerwała się nagle.

— Dokąd się wybierasz? — spytał David.

— Zobaczyć się z Ewą. Byłam dla niej trochę niemiła. Chciała zasięgnąć porady na temat tego jutrzejszego spotkania, a ja ją spławiłam. — Wzruszyła ramionami. —

Złe pojmowane poczucie obowiązków zawodowych — wiesz, nie powinnam Ewie pomagać, umożliwić jej startu z lepszej pozycji. Takie frazesy. — Sięgnęła po żakiet.

— Ta dziewczyna na pewno da sobie radę. Nie spieszyłbym się tak, żeby jej to ułatwić.

Cassie zignorowała przyjaciela i wyszła do przedpokoju. Nesta pobiegła za nią.

Cassie uśmiechnęła się do psa i potarła jego błyszczącą czarną sierść.

— Na spacer? Chcesz iść na spacer?

Nesta podskakiwała i piszczała na dźwięk magicznego słowa, tańcząc niecierpliwie, podczas gdy

Cassie wkładała buty i wsuwała do kieszeni trochę pieniędzy. Wzięła swoje klucze ze stolika w przedpokoju i wyszła z Nestą kręcącą się u jej stóp.

Była za piętnaście dziewiąta. Zmierzchało, ptaki szczebiotały szykując się do snu.

Ludzie wracali do domów lub szli do pubu, na kolację, wychodzili z psami lub by wypalić papierosa przed domem w wieczornym cieple. Cassie szła szybko. Gdy przemierzała King's Road, uśmiechnęła się do kilku osób, które wpadły jej w oko.

Kiedy przeszła około ćwierć mili, zatrzymała się nagle. Zobaczyła Ewę, albo kogoś, kto był do niej bardzo podobny, jak skręca z King's Road w północną część Old Church Street.

Cassie, niepewna, czy to faktycznie Ewa, gdyż przechodnie zasłaniali widok, przyspieszyła kroku, usiłując dogonić znajomą postać. Skręciła w Old Church Street akurat w chwili, gdy kobieta zatrzymała się przed wysoką białą kamienicą. To była Ewa, Cassie nie miała wątpliwości. Podeszła i wykrzyknęła jej imię w momencie, gdy drzwi się otworzyły i przyjaciółka miała już wejść do środka. Ewa zawahała się i odwróciła. Zza framugi drzwi wyjrzał jakiś mężczyzna. Zdawało się, że przez ułamek sekundy Ewa miała wściekły wyraz twarzy, i że wymamrotała coś do mężczyzny, zanim odwróciła się z powrotem do Cassie i uśmiechnęła.

— Cassie, co ty, na Boga, tutaj robisz? Myślałam, że się gdzieś bawisz. Cassie podeszła do przyjaciółki.

— Nie, to był jeden ze znajomych Davida. Właściwie to właśnie cię szukałam.

Chciałam porozmawiać o jutrzejszym spotkaniu. — Odwróciła się do mężczyzny, który stał cicho i przyglądał się jej.

Wyciągnął rękę, żeby uścisnąć Cassie dłoń.

— Nazywam się Andrew Stormont.

— Cassie Stewart.

Ewa oparła się o futrynę, ociężale, jakby była znudzona. Stormont wypuścił dłoń Cassie i nie odrywał wzroku od jej oczu. Spojrzała za siebie, po czym odwróciła się do przyjaciółki, czekając aż ta się odezwie. Ewa stała niewzruszenie i patrzyła na Stormonta. Stormont zerknął na Nestę, która siedziała grzecznie u stóp swojej pani.

— Ładny pies. — Potarł sierść Nesty, a ta wpatrywała się w niego.

— Łatwo zaskarbił pan sobie jej względy — stwierdziła Cassie. Stormont przeniósł na nią spojrzenie.

— Ewa właśnie miała wpaść na drinka. Może pani również by się napiła? A potem będzie pani mogła z nią porozmawiać na temat tego spotkania.

— Naprawdę nie chciałabym przeszkadzać — powiedziała Cassie.

— Absolutnie pani nie przeszkadza — rzekł Stormont. Wykonał zapraszający gest ręką. Cassie weszła do przedpokoju. Ewa ruszyła za przyjaciółką i zamknęła za sobą drzwi.

— To musi być strasznie ważne, jeśli tak pani za nią goni — stwierdził Stormont.

— Tak, to jest szalenie ważne. — Cassie uniosła brodę i spojrzała na mężczyznę, nie skrywając, że bada go dokładnie. Nic nie mówiąc odwrócił wzrok, po czym ruszył

przed siebie, prowadząc kobiety do salonu. Usiadł w starym skórzanym fotelu i dał

znak dłonią żeby również zajęły miejsca. Ewa rozsiadła się na kanapie. Cassie przycupnęła sztywno na obitym płótnem krześle. Nesta kręciła się u jej stóp.

— Czego się pani napije?

— Whisky, bez lodu. Sama uzupełnię sobie wodą.

— Ewa?

— Ja to samo. Wody tyle co zwykle.

Cassie powstrzymała uśmiech. Ich wzajemna bezpośredniość, stwierdzenie „tyle co zwykle” nieomylnie wskazywały, że to dawna znajomość.

Musiała przyznać, że ten Andrew Stormont jest kimś, z kim mogłaby spędzić popołudnie w łóżku. Bez wahania. Był przystojny, świadomy swojej atrakcyjności i biła od niego spokojna, pewność siebie. Wyraz mądrych oczu Stormonta był

drwiący, lekko wyzywający, jakby Andrew chciał, żeby go czymś zaskoczyć i mimo iż uważał to za mało prawdopodobne, zachęcał, aby spróbować. Na pewno miał

wiele kobiet, pomyślała Cassie. Stormont sprawiał wrażenie, jakby swoje otoczenie traktował z lekką pogardą. Nie dotyczyło to jedynie Nesty. Gdy jego oczy śmiały się do psa, widać w nich było niezmałcone ciepło. O tak, w łóżku byłby wspaniały, ale uczuciowo zdawał się wyjąłowany.

Cassie spojrzała na przyjaciółkę, która przypatrywała się jej z dziwnym wyrazem twarzy. Idealnie do siebie pasują Stormont i Ewa, pomyślała Cassie, z tą ich wyniosłością z ich hardością z ich wyraźnym zblazowaniem, które w przypadku Ewy maskowało nieangielski zapach, a w przypadku Stormonta? Czy coś ukrywał, czy po prostu taki był — bogaty, zepsuty, nieczuły? Cassie wypila swoją whisky i odwróciła się do Ewy, która odezwała się w końcu.

— Spotkanie. Miałaś mi powiedzieć coś o spotkaniu.

— Właściwie to nic ważnego. Może innym razem. — Cassie podniosła się z miejsca. Nesta zerwała się razem z nią. — Jestem pewna, że macie sobie dużo do powiedzenia po tych wszystkich latach

twojej nieobecności. — Ruszyła w stronę drzwi.

Ewa wstała.

— Musi to być coś ważnego, skoro przeszłaś taki kawał drogi.

— W zasadzie nie. To nie tak daleko. I dobrze zrobiło Nescie. Chciałam tylko powiedzieć, żebyś zarezerwowała sobie czas na lunch. — Odwróciła się do Stormonta. — Dziękuję za whisky. — Skinął głową i podniósł się. Przyjaciółki pocałowały się na pożegnanie. — A więc do jutra — rzuciła Cassie, wychodząc.

Ewa przytaknęła i usiadła z powrotem. Stormont odprowadził Cassie do drzwi.

Zatrzymała się i pozwoliła mu je otworzyć. Dłoń mężczyzny potarła ramię Cassie.

Miała świadomość, że w przedpokoju było mało miejsca. Spojrzała na niego i wyszła na zewnątrz. Uścisnęli sobie ręce, pożegnali się. Cassie odwróciła się i odeszła, wciąż czując dotyk palców Stormonta obejmujących jej dłonie.

— Cholera jasna! Jak to się stało?

Gdy Stormont wrócił do pokoju, Ewa stała i nalewała sobie kolejną whisky.

— Sprawdzałaś, czy nikt cię nie śledzi?

— Oczywiście, że sprawdzałam.

— Nieskutecznie. O ile dobrze pamiętam z raportów, dom Cassie Stewart znajduje się dobre ćwierć mili stąd, idąc King's Road. Więc naturalnie, jeśli szła się z tobą zobaczyć, zdążyła od swojego domu w górę King's Road i łatwo mogła cię zauważyć, jak skręcasz, żeby tutaj dojść.

— Szłam naokoło — nikt mnie nie śledził. Cassie musiała mnie dostrzec, gdy ponownie skręcałam w Old Church Street. Nie sprawdzałam po raz drugi. — Ewa mówiła zinnym, szorstkim głosem. — Co zrobimy?

Stormont przez chwilę się nie odzywał.

— Przyjmijmy, iż nasze rodziny się znają. Nie jest niczym dziwnym, że się spotkaliśmy. — Stormont przerwał, gdyż w głowie zaczął rysować mu się szkic pewnego pomysłu. Nie wyjawiał go Ewie. — Więcej się nie będziemy spotykać. Nie poza lokalem konspiracyjnym. A ty dokładniej sprawdzaj, czy nikt cię nie śledzi.

Może trochę wychodzisz z wprawy?

— Byłam zbyt pewna siebie. Tyle mogę przyznać. To się nie powtórzy.

Łyknął trochę whisky, nie odzywając się.

— Dlaczego przyszła za mną? — zapytała Ewa, przerywając ciszę. — To trochę dziwne, że mnie szukała, a potem nie miała nic do powiedzenia poza tym, żebym sobie zarezerwowała czas na lunch.

— Jeśli chciała coś powiedzieć na temat spotkania, na pewno nie zrobiłaby tego w mojej obecności — nie w przypadku, jeżeli to by było coś choć trochę istotnego i jeśli jest taką profesjonalistką za jaką uchodzi. Poza tym panowała tutaj atmosfera jak w gnieździe węży. Nic dziwnego, że się zmyła tak szybko i taktownie, jak mogła.

— Och, na miłość boską Stormont, byłam roztrzęsiona. Dopiero co po raz drugi spławiła mnie, gdy do niej dzwoniłam, a potem nagle pojawia się tutaj. Czego się spodziewałeś?

— Na pewno nie takiej zazdrości.

— Nie pochlebiaj sobie. Widziałam, jak patrzyłeś w ten sposób na setki dziewczyn.

Już mi się znudziło uczestniczenie w twoich podbojach w charakterze widza.

— Zdaje mi się, że aby uwieść twoją przyjaciółkę, trzeba czegoś więcej niż kilku spojrzeń.

— Nie przypisuj jej kompleksu Madonny. Ona lubi seks tak samo jak my wszystkie.

Stormont wstał i podszedł do stolika z drinkami. Nalał sobie ponownie whisky i usiadł w fotelu.

— Jak jej się spodobał Frazer?

— Powiedziała, że to taki facet, z którym mogłaby spędzić popołudnie w łóżku.

Stormont roześmiał się.

— A spędziła?

— Mówi, że nie. I twierdzi, iż nie ma takiego zamiaru. To jej klient. Nie wchodzi w rachubę.

Stormont niemal dodał: — To tak jak z nami — ale powstrzymał się, przyglądając się Ewie wciąż zwiniętej na kanapie. Nie ma sensu podsycać chęci współzawodnictwa, którą Ewa już może odczuwać.

— Więc wszystko idzie zgodnie z planem?

— Dzięki spotkaniu Cassie z Frazerem nawet wyprzedzamy realizację tego planu.

Bardzo ładnie to zaaranżowałeś.

— Kilka słów wyszeptanych do odpowiednich uszu. Bardzo proste.

— Uruchomiłeś siatkę informacyjną starych przyjaciół?

— Czasami się przydaje.

— Nigdy nie twierdziłam, że jest inaczej.

— Ale gardzisz tymi ludźmi, prawda?

— Uważam, że to zabawne.

— Członkowie twojej rodziny przyczyniają się do jej działania nie mniej niż inni.

— To ich sprawa.

— Ty jesteś ponad to.

— Pragnę ci przypomnieć, że kobiety są z niej wyłączone.

— A co z tobą i z Cassie? Przecież to ona ma finansować twój biznes, jeśli do tego dojdzie.

— To dotyczy jedynie funduszy.

— Być może. Ale istnieje coś jeszcze. Kobiety na stanowiskach zawsze sobie pomagają prawda? Okazują wielkoduszność dziecka, które się wpuści do sklepu z zabawkami.

— Nie bądź tego taki pewien.

— Jak to jest z tobą i z Cassie? Niby jesteście przyjaciółkami, ale istnieje pomiędzy wami jakaś rywalizacja.

— Obudź się, Stormont. Jesteśmy sobie bliskie. Zawsze powstaje coś takiego pomiędzy dobrymi przyjaciółmi. Wszystko szłoby znacznie sprawniej, gdybyśmy były po prostu znajomymi. — Zeby tylko z tego nie wynikły jakieś kłopoty.

— Nie wynikną.

Stormont wyjął kopertę z kieszeni marynarki i wręczył ją Ewie.

— Twoja zaliczka na ubrania — dwa tysiące funtów. Podniosła się. Pocałował ją w policzek. — Załatw ich, Ewo.

— Tak, załatwię. Stormont nie odzywał się przez chwilę, zdumiony brzmieniem jej głosu. — Coś nie tak?

— Łatwiej byłoby być aktorką nie sądzisz? Czasami wydaje mi się, że dawałoby mi to tyle samo satysfakcji.

— Nie zapominaj, o co w tym wszystkim chodzi.

— Jasne, że nie zapomnę. — Wzruszyła ramionami. — Po prostu nie jestem zbyt dobra w czekaniu na opóźnione laury, to wszystko.

— Nikt, kto mieszkał przez osiem lat sam w dżungli, w południowo-wschodniej Azji, nie oczekuje natychmiastowych honorów.

— Nie. Ale gdy jestem tutaj, wygląda to inaczej.

— I chcesz wrócić.

— Tak, chcę wrócić.

Stormont przyglądał się twarzy, którą miał tuż przed sobą. Ewa, tak silna i wyzywająca pięć minut temu, była teraz stęskniona. Pogłaskał ją po policzku.

Cofnęła głowę.

— Przestań, Andrew. Żebyś nie wiem jak udawał, nie zapomniałam. Jesteś moim kontrolerem, a nie moim pocieszycielem. — Patrzyła na niego przez chwilę. Głowa podniesiona wysoko, napięte mięśnie. Po chwili odwróciła się w milczeniu i wyszła.

Stormont stał bez ruchu pośrodku pokoju, wpatrywał się w przestrzeń i wciąż widział twarz Ewy.

Rozdział 9

Dźwięk budzika obudził Ewę o ósmej trzydzieści. Wyłączyła go i leżała przez kilka chwil. Przyglądała się pozbawionym obrazów, białym ścianom swego mieszkania, po czym oparła się o parapet i popatrzyła w stronę słońca. Okno okalały pędy bluszczu o grubych łodygach, które czasami w nocy, unoszone wiatrem, stukały w szyby, jak ktoś proszący, żeby otworzyć. Teraz jedynie lekko falowały w porannym powiewie.

Ewa patrzyła, jak się kołyszą i zagłębiła się we wspomnieniach. Wróciła myślami do walącego się domu w Sajgonie, gdzie słońce wdzierało się do środka i o ósmej rano gołe kafelki pod stopami były już gorące. Przez otwarte okna dochodził zapach kurzu piekącego się w słońcu, zmieszany z silnym aromatem pierwszego porannego parzenia mocnej, francuskiej kawy. Na zewnątrz, ćwierć mili dalej, w labiryncie długich, zapyłonych, ocienionych drzewami bulwarów trąbienie, skrzypienie i dzwonienie kawalkady riksza, rowerów i skuterów przypominało odgłosy z pola bitewnego. Ewa słyszała te dźwięki stłumione, przefiltrowane przez kurz i odległość.

Tutaj, w Londynie, było cicho, chłodno, niemal sterylne. Ewę nie obchodziło, co się dzieje na ulicy. Było jej trudniej poruszać się po tym mieście, niż sądziła. Londyński dom spowijał Ewę jak kokon, nierealny, dający pozorne schronienie. Czasami wydawało jej się, że na dźwięk budzika łatwo byłoby po prostu przewrócić się na drugi bok, wtulić w puchową poduszkę i już nigdy nie poruszyć.

Rozbudziła się z trudem, skupiła na stawieniu czoła nowemu dniu, Londynowi, pracy.

Na nagie ciało naciągnęła długi podkoszulek i zeszła na dół, do salonu. Włączyła odtwarzacz kompaktowy i wsunęła płytę Marii Callas śpiewającej „Toscę”, po czym wzmocniła dźwięk. Głos śpiewaczki chwycił za gardło, ścisnął żołądek. Brzmiała w nim siła, lament i ból. Ewa przez

kilka chwil słuchała w bezruchu, jak przeniesiona w inny wymiar. Następnie poszła do kuchni, napełniła dzbanek do kawy i postawiła go na kuchence. Czekając aż napój się zaparzy, usiadła przy stole i zapaliła mocnego marlboro. Zaciągnęła się kilka razy i zostawiła papierosa w popielniczce. Powoli potarła ramiona, pogładziła brązową skórę, czując pod nią kości i napięte mięśnie. Przesunęła dłonią po piersiach, po brzuchu, po udach. Przyjrzała się swojej skórze szukając drobnych szram, niksujących blizn.

Tyle razy już nadwerężyła swoje ciało, jednak wciąż było zdrowe; niedoskonałe, ale silne. Zgasiła papierosa, podniosła się, zmniejszyła płomień pod kawą i wróciła do salonu. Słuchając muzyki, przez trzydzieści minut wykonywała obowiązkowe poranne ćwiczenia. I ,ekko spocona wróciła do kuchni, wypila szklankę wody z kranu, filiżankę mocnej kawy i udała się pod prysznic.

Włożyła jeden z nowych, kupionych poprzedniego dnia strojów: czarną plisowaną spódnicę, odciętą tuż nad kolanami, jasnoniebieską bawełnianą bluzkę i czarny żakiet. Do tego cieliste rajstopy i czarne, skórzane buty na średnim obcasie. W

końcu wyjęła ze skrytki w szafce na książki brylantowe kolczyki swojej matki.

Przez chwilę patrzyła, jak lśnią na dłoni, przypominając blask roziskrzonych oczu.

Zatrzymała się przed lustrem podziwiając brylanty. Pamiętała, jak te kolczyki wyglądały w uszach matki.

Kilka minut później Ewa znalazła się na King's Road. Szła delektując się ciepłem słońca na twarzy. Autobusem numer 22 dojechała do Picadilly i poszła wzdłuż Regent Street, zerkając na wystawy i mijających ją przechodniów, przyglądając się, jak zafrasowani ludzie spieszą do pracy.

O tak wczesnej godzinie nikt nie zwracał na Ewę uwagi. Wszyscy byli zajęci własnymi sprawami. W przypadku Ewy było odwrotnie. Skupiła się na otoczeniu, na wszystkim dookoła. Na spotkaniu w Case Reed chciała być rozluźniona. Miała nadzieje, że instynkt i intuicja podpowiedzą jej, czego oni od niej oczekują, że wyczuje, na co zareagują pozytywnie. To lepiej niż Cassie, mimo misji, którą miała do spełnienia wczorajszego wieczoru, nie powiedziała jej nic konkretnego o spotkaniu. Ewa nie chciała się na nic nastawiać. Informacje są przydatne, ale często można się nimi nadmiernie zasugerować.

Przybyła do Case Reed za pięć dziesiątą. Nacisnęła klawisz interkomu i przedstawiła się. Metaliczny głos poprosił ją, żeby weszła. Rozległ się brzęczyk przy drzwiach. Ewa popchnęła je i znalazła się w niewielkiej recepcji udekorowanej obrazami i małymi abstrakcyjnymi rzeźbami. Podeszła do recepcjonistki.

— Ewa Cunningham. Przyszłam zobaczyć się /. Cassie Stewart.

— Proszę spocząć.

Ewa usiadła na niskiej, miękkiej kanapie, z rodzaju tych, z których ciężko wstać. Przycupnęła na brzegu, wzięła egzemplasz „Financial Times” i przekartkowała go.

Cassie znajdowała się na górze, w swoim gabinecie, i rozmawiała z Johnem Richardsonem.

— Frazer przychodzi o jedenastej trzydzieści? Richardson przytaknął.

— I wspomniał coś, że daruje sobie lunch. Jak na bardzo zajętego człowieka, ma dla ciebie masę czasu.

— Nie dla mnie, tylko dla Case Reed. A poza tym nie jest zajęty. Może prowadzi wiele interesów, ale to typ myśliciela, siedzi sobie spokojnie w jednym ze swoich, bez wątpienia pięknych, domów, z whisky w dłoni i wymyśla nowe, wspaniałe plany. Do pracy ma pacholków, którzy wykonują brudną robotę. On nie uwija się jak pracowita mrówka.

Richardson wybuchnął śmieciem i potrząsnął głową.

— Bardzo obrazowo to przedstawiłaś. I oczywiście masz rację. W drzwiach pojawiła się l'mnia, sekretarka Cassie.

— Ewa Cunningham czeka na dole.

— Już schodzę — odparła Cassie. Odwróciła się do Richardsona. — Przy okazji, widziałam się z nią w przelocie wczoraj wieczorem. Zaprosiłam Ewę na lunch.

— To wotum zaufania.

— I tak, i nie. Tak naprawdę, to po prostu musiałam. Ale jestem pewna, że będzie miała coś ciekawego do powiedzenia. Zawsze ma.

— I co z tego? Wiele osób potrafi ładnie mówić. Cassie zastanowiła się.

— Ewa nigdy nie musiała wygłaszać przemówień. W Oksfordzie była dobrą studentką bardzo dobrą. Nie przykładała się zbyt do nauki, przynajmniej nie było tego widać, ale osiągała świetne wyniki. Od tamtej pory właściwie nic nie robiła.

Nie w potocznym tego słowa znaczeniu. Życie na własną rękę w Wietnamie, Laosie i Kambodży przez osiem lat to cholernie duże osiągnięcie, ale z tego co mi opowiadano, Ewa po raz pierwszy próbuje zająć się czymś profesjonalnym. Więc jestem równie ciekawa jak ty. Wiem jedynie, że Ewa jest mocna, posiada ogromną siłę woli. W Oksfordzie starała się ją ukryć, pozowała na beztruską dziewczynę, ale mimo to było u niej widać determinację, jakiś wewnętrzny bunt.

— Czy to jest twoja opinia jako fachowca? Nie potrzebujemy już usługi Owena Quaida?

— Na Boga, nie. Tylko że w przypadku Ewy naprawdę nie wiem, od czego zacząć.

Byłabym zdziwiona, gdyby nawet Owen odkrył coś, czego nie widać na pierwszy rzut oka. Wątpię, czy ktokolwiek wie, co Ewę napędza, co się dzieje w jej duszy. —

Spojrzała na zegarek. — Lepiej zejść już na dół.

Opuściła gabinet, przemierzyła hol i zeszła po schodach. Na widok Ewy, która wstała, żeby się przywitać, Cassie oniemiała. Przyjaciółka miała na sobie świetnie skrojone ubranie, biżuterię, na twarzy doskonały makijaż — prezentowała styl, jaki Cassie sama preferowała. Ewa wyglądała sztywnie, nieskazitelnie. Cassie nigdy nie widziała jej tak ubranej, nigdy nie podejrzewała, że Ewa tak łatwo może zamienić dżinsy i koszulkę na wyrafinowane eleganckie ciuszki. Pomyślała o zeszłym wieczorze, gdy Ewa była w dżinsach, na zupełnym luzie. Przypomniała sobie zażyłość, jaka łączyła Ewę ze Stormontem, i poczuła nagłe ukłucie zazdrości, gdy wyobraziła sobie Ewę w jego ramionach. Cassie podeszła i pocałowała Ewę w obydwie policzki.

— Witaj. A więc nie miałaś problemów ze znalezieniem nas. — Nic skomentowała przemiany, jaka zaszła w koleżance, jakby to było oczywiste.

Ewa uśmiechnęła się nieznacznie.

— Mmm, żadnych.

Cassie ruszyła w stronę klatki schodowej znajdującej się na tyłach pomieszczenia.

— Poznasz Johna Richardsona. Jest jednym z założycieli Case Reed. Inni partnerzy może też do nas dołączą ale nie jest to pewne — mówiła po drodze.

Ewa wzruszyła ramionami.

— Wszystko mi jedno. — Cassie była nastawiona przyjacielsko, ale lekko zdystansowana. Zachowywała się z rezerwą. I dobrze. Tak było łatwiej.

Ewa przeszła za Cassie przez niewielki korytarz na drugim piętrze i znalazła się w jasnej, słonecznej sali konferencyjnej, której okna wychodziły na Savile Row.

Cassie usiadła przy długim, połyskliwym stole obrad, a Ewa zajęła miejsce naprzeciwko niej. W drzwiach pojawiła się Emma.

— Napije się pani kawy, herbaty, wody mineralnej?

— Poproszę o kawę — odparła Ewa.

Emma zniknęła. Do sali wszedł wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna po pięćdziesiątce, przyjacielski, ale sprawiający wrażenie kogoś ważnego. Cassie podniosła się z miejsca.

— John Richardson. Ewa Cunningham.

Podali sobie dłonie. Cassie usiadła z powrotem na swoim miejscu, Richardson spoczął obok niej, twarzą zwrócony do Ewy.

— Była pani w Oksfordzie wraz z Cassie.

— Tak. Rok wyżej. Ale studiowałam literaturę klasyczną więc przez trzy lata chodziłyśmy na te same

zajęcia.

— Literatura klasyczna to dobry wybór — stwierdził Richardson z naciskiem. —

Lepszy niż filologia rosyjska. Ta, to dopiero dziwne zamięłowanie — niezdrowe ideologicznie. —
Uśmiechnął się do Cassie, przytaczając ten często powtarzany dowcip.

Ewa niewiele się odzywała, próbowała ocenić Richardsona: sympatyczny dowcipniś, nienaganne maniere, dość przekonujący. Jak na bankiera, niezbyt zadufany w sobie. Wielu biznesmenów, którzy robili kariery, udawało głupców, żeby klienci nabrali złudnej pewności siebie. Często finansiści odgrywali tę rolę bardzo źle, ponieważ nie mogli oprzeć się pokusie popisania się swoją błyskotliwością czy intelektem, nie byli w stanie pogodzić się z myślą że ktoś faktycznie może wziąć ich za półgłówków, których próbowali naśladować. Bardzo nieliczni potrafili zapomnieć o swoim ego. Ci, którym się to udało, byli to na ogół

mężczyźni w wieku sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu lat, i ich pozycja zawodowa zdradzała natychmiast zamiary. Ten fortel rzadko odnosił skutek i tym razem również nie zadziałał.

Ewę nudziły takie podstępny, ale były typowe, łatwe do sklasyfikowania., Richardson zachowywał się tak, jak przewidywała. Wolałaby darować sobie bzdurną rozmowę, która miała trwać jakieś pięć minut, i przejść bezpośrednio do interesów. W amerykańskiej firmie byłoby to zgodne z zasadami, ale wśród brytyjskich finansistów zostałoby odebrane jako nieprzyzwoity pośpiech, przerost ambicji, nieznamość reguł, więc Ewa uśmiechała się i gawędziła. .

Nie chciała nadmiernie popisywać się błyskotliwością — to wzbudziłoby u Richardsona podejrzenia. Ze spojrzeń, jakie od czasu do czasu rzucał w stronę Cassie, ze sposobu, w jaki słuchał swojej pracownicy, z ogólnego stosunku do niej jasno wynikało, że ogromnie cenił jej niezwykle intelekt.

— Ewo, Cassie mówiła mi, że ma pani bardzo ciekawy pomysł. Możemy mogłaby mi pani nieco o nim opowiedzieć. Nie mam pojęcia, na ile zorientowana jest Cassie, ale ja w zasadzie nie wiem nic — na temat pani propozycji, na temat ewentualnych interesów, na temat tego kraju.

_ Cóż, jestem pewna, że wie pan o Wietnamie i o diamentach więcej, niż pan przyznaje, więc proszę mi wybaczyć, jeśli poruszę znane panu kwestie, ale będzie mi łatwiej zrelacjonować wszystko po kolei. — Ewa mówiła spokojnie, płynnie i pewnie. Richardson słuchał uważnie.

— Spędziłam osiem lat w Azji Południowo-Wschodniej, nie robiąc nic konkretnego

— podróżowałam, delektowałam się krajobrazami, uczyłam angielskiego — i poznałam wiele różnych osób. Przez ostatnie dwa lata mieszkałam w Wietnamie, nad Zatoką Halong oraz w Sajgonie i w Hanoi. Przenosiłam się do miasta, gdy stęskniłam się nieco za hałasem, brudem i towarzystwem.

Od czasu do czasu chodziłam na drinka do hotelu „Metropole” w Hanoi. Hotel ten wygląda jak ambasada — czysty, zadbane, klimatyzowany. Jest rodzajem azyłu, gdy ktoś ma ochotę na spokój oraz na komfort i dobrze przygotowane koktajle.

Odkąd Amerykanie zniesli embargo, Wietnam opanowało coś przypominającego gorączkę złota. Przyjeżdża mnóstwo Europejczyków, Australijczyków i Amerykanów, niemal wszyscy w interesach. Pewnego wieczoru rozmawiałam z amerykańskim geologiem.

Przez piętnaście lat pracował w różnych krajach świata jako poszukiwacz diamentów dla jednej z międzynarodowych firm. Lekko nadużywał alkoholu — z tego co wiem, zaczął rozrabiać i w końcu został zwolniony. Przez dłuższy czas nie miał szczęścia, ale był przekonany, że w Wietnamie są diamenty, i szukał ich.

Należy wyjaśnić, że istnieją dwa źródła diamentów — aluwialne i kimberlityczne.

Jedne i drugie powstały dzięki silnemu wybuchowi, który wypchnął zawierający diamenty kimberlit w stronę powierzchni ziemi. W czasie tej eksplozji, która wydarzyła się setki milionów lat temu, kimberlit przesunął się na głębokość od stu pięćdziesięciu do dwustu metrów poniżej powierzchni ziemi. Potem następowały różne zjawiska. Czasami zewnętrzna warstwa ulegała erozji pod wpływem zjawisk atmosferycznych i diamenty znajdowały się bezpośrednio na powierzchni. Następnie były przenoszone przez deszcze i strumienie, czasami o setki mil od oryginalnego złoża, często docierając do wybrzeża. Tak zdarzyło się na przykład w Namibii. Widziałam filmy o poszukiwaczach diamentów, którzy mieli miotły do przeczesywania ziemi w poszukiwaniu kamieni. Dosłownie zbiera się je na powierzchni. To są tak zwane diamenty aluwialne.

Oprócz tego są kimberlity. Diamenty kimberlityczne wydobywa się spod powierzchni ziemi. Kimberlit, wraz z którym kamienie przesunęły się w czasie eksplozji na głębokość około dwustu jardów pod powierzchnię, jest niezerodowany.

Czasami chronią go wody morskie. Zewnętrzna część najwyższej warstwy geofizycznej ulega erozji, ale ludzie i tak muszą budować kopalnie, żeby dostać się do kimberlitu, w którym znajdują się kamienie. Takie złoża zwane, są szybami diamentowym. Kształtem przypominają marchew, rozszerzają się ku górze. Szyby te mogą dochodzić do głębokości kilkuset metrów i czasami mają szerokość pół

mili. Niektóre są bardzo zasobne, niektóre nie. Najlepsze pozwalają na roczne wydobycie diamentów wartości milionów funtów.

Ewa uśmiechnęła się.

— Około osiemdziesięciu mil na północny wschód od Hanoi, dziesięć mil od granicy z Chinami, w pobliżu miasteczka zwanego Langson, McAdam odkrył

miejsce, które może okazać się ogromnym szybem diamentowym.

— W jaki sposób je znalazł? — spytał Richardson, pochylając się nieco.

— Gdy się wie, czego szukać, łatwiej jest znaleźć. Granger szukał pewnych minerałów. Ich obecność na powierzchni może wskazywać na występowanie diamentów pod ziemią. McAdam odkrył te minerały w okolicy Langson. Czerwone granaty kimberlityczne i zielone kryształki diopsydu chromu.

Amerykanin zwrócił

się do rządu wietnamskiego, ubił z nim interes i pozyskał ten teren. Następnie wykorzystał wszystkie swoje

pieniądze na niezależne badania, wykonane w laboratorium w Australii. Wyniki były obiecujące — w skałach występowało znaczne stężenie minerałów, które wskazuje na duże prawdopodobieństwo obecności diamentów. Grangerowi potrzeba było znacznie więcej pieniędzy na pobranie zasadniczych próbek. Aby je uzyskać, należy wykonać nawierty pod kątem czterdziestu pięciu stopni, wgłębiające się na setki stóp pod powierzchnię ziemi. Amerykanin otworzył więc firmę, wprowadził ją na giełdę w Vancouver i sprzedał część akcji. Zdobył kilka milionów dolarów kanadyjskich, zbudował prostą stację wiertniczą i przeprowadził

część testów zasadniczych. One również dały pozytywne wyniki. Na tym etapie wszystko się zatrzymało. Następnym posunięciem powinno być pobranie dużych próbek, żeby określić, czy występują w nich diamenty w ilości i jakości wystarczającej dla ekonomicznego uzasadnienia budowy kopalni. Musimy uzyskać pieniądze, żeby wydobyć jedną może dwie próbki ziemi i skał o wadze pięciu tysięcy ton każda, i dowiedzieć się, ile jest w nich diamentów.

Ewa przerwała. W miarę jak wczuwała się w swoją opowieść, jej wzrok stawał się coraz bardziej nieobecny. Wciąż jednak dostrzegała najdrobniejsze zmiany w wyrazie twarzy Cassie i Richardsona. Zaczęli od uprzejmego, formalnego, bankierskiego zainteresowania, nieco większego niż zazwyczaj, ponieważ mieli do czynienia z kobietą i to w jakiś sposób z nimi związaną. Teraz nie kryli swojego zafascynowania. Ewa ciągnęła dalej.

— Miało to miejsce miesiąc temu. Granger był już gotowy, żeby wrócić do Vancouver i zdobyć pieniądze potrzebne na pobranie zasadniczych próbek. Miałam mu pomóc. — Ewa wzruszyła ramionami. — W McAdamie było coś szczególnego

— zapał, niezłomna wiara. Może oni wszyscy tacy są ci poszukiwacze diamentów.

Nie wiem. Ale uwierzyłam mu. I zaintrygowała mnie jego opowieść. W diamentach tkwi jakaś romantyczna siła; zwykle nie oszlifowane kamyki, a wyglądają tak niesamowicie pięknie. I ich mistyczna historia — to, że były używane jako talizmany przynoszące dobro lub sprowadzające zło, że są wykorzystywane jako najtwardszy materiał znany człowiekowi, że mają kilkaset milionów lat, że są produktem eksplozji — to wszystko mnie po prostu zafascynowało. Więc następnego wieczoru umówiłam się z Grangerem na spotkanie, żeby omówić sprawę naszego wspólnego wyjazdu do Vancouver. Ale się nie zjawił.

Ewa przerwała. Cassie i Richardson wyczuli jej nagły niepokój.

— Pojechałam go poszukać w „Metropole'u". Ktoś powiedział mi, że został

zaaresztowany. Mc Adama zamknięto w więzieniu. Pojechałam się z nim zobaczyć.

Był bardzo dotkliwie pobity. Siedział w brudnej celi. Miał wypadek samochodowy, prowadził po

pijanemu. Potracił Wietnamczyka, zabił go. Wpakował się w niezłe bagno, groziło mu dwadzieścia lat odsiadki. Wietnamczycy zasądają wysokie wyroki, szczególnie

w przypadku obcokrajowców, o ile oczywiście nie odpokutuje się w inny sposób —

finansowy. Grangerowi było potrzebne pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie miał nic prócz dwudziestu pięciu procent udziałów w przyszłej kopalni diamentów.

Zgodziłam się dać mu te pieniądze za dziesięć procent akcji.

— Niezła okazja — stwierdził Richardson.

— Okazja? Tego nie jestem pewna. Testy wypadły dobrze, ale nie możemy być pewni, czy są tam diamenty w ilości uzasadniającej uruchomienie kopalni, dopóki nie pobierzemy zasadniczych próbek. Następnie trzeba będzie tę kopalnię wybudować. To może potrwać lata. Niewykluczone, że okaże się, iż była to okazja, ale nie dlatego się zdecydowałam na ten krok. Pięćdziesiąt tysięcy to były całe moje oszczędności. Kierowało mną kompletne szaleństwo. I nieco współczucia.

Nie wiem, czy widzieliście kiedyś wewnątrz więzienia, jakiegokolwiek więzienia, nie mówiąc już o wietnamskim. — Ewa przerwała na chwilę, przywołując wspomnienia, które nie miały nic wspólnego z Grangerem McAdamem. — Dość ciężko jest być więźniem w Wietnamie, szczególnie jeśli się jest obcokrajowcem.

Granger się całkowicie załamał. Myślałam, że popełni samobójstwo. Nie był

rozhisteryzowany, lecz po prostu przerażony. Wydawało się, że uszło z niego całe życie i nadzieja. Wypłaciłam więc pięćdziesiąt tysięcy dolarów rodzinie ofiary oraz policji i wypuścili Grangera. — Ton Ewy stał się bardziej rzeczowy. — Teraz musimy zdobyć fundusze. Możemy przeprowadzić emisję praw poboru w Vancouver albo znaleźć kogoś przyjaźnie nastawionego, kto zgłosi gotowość nabycia całej firmy i wprowadzi do niej nieco kapitału.

Richardson odezwał się pierwszy.

— W swoim życiu otrzymałem chyba tysiąc propozycji zrobienia interesu, ale czegoś takiego jeszcze nie słyszałem.

Ewa uśmiechnęła się.

— Wiem, że to dziwne. Nie miałam pojęcia, co zrobić. To wszystko brzmi jak bajka... I zdaję sobie sprawę, że nie należy mieszać interesów w sentymentami. W

tym wypadku te dwie rzeczy dokładnie się przeplatają. Muszę przyznać, że mój stosunek do tego przedsięwzięcia nie wynika jedynie z chęci zrobienia interesu.

Niczego bardziej nie pragnę, jak wrócić do Wietnamu, mieszkać tam, zrealizować mój plan i patrzeć, jak przybywa diamentów. — Ewa znów się zamyśliła. — Tam jest tak pięknie — nie macie pojęcia. Bujne dżungle, góry, czerwona ziemia, morze, ptaki, węże, rzeki, rybacy, i kilka wiosek

rozproszonych wokół. Woły, wozy, dziwne skutery. Żadnych gazet, żadnego kontaktu ze światem. Człowiek czuje, że żyje pełnią życia. Jedyne, co można robić, to liczyć mijające dni, cieszyć się nimi i samym sobą, ponieważ oprócz przyrody i garstki ludzi nie ma tam rozrywek, nie ma teatrów, sklepów czy książek. Przynajmniej nie na wsi. W Sajgonie i w Hanoi tak, ale gdy się jest na wsi, te dwa miasta wydają się odległe o miliony mil. Trudno sobie nawet

wyobrazić, że naprawdę istnieją. Więc tak, bardzo jestem zainteresowana sfinalizowaniem tego przedsięwzięcia, zdobyciem funduszy, przez wzgląd na samą siebie i na Grangera — to marzenie jego życia — ponieważ szalenie mnie to ekscytuje. Mam wrażenie, że to się uda. Poza tym powinnam się do czegoś zabrać, do czegoś konkretnego. — Przerwała. — Wiem, że nie przedstawiam sprawy zbyt profesjonalnie. Przepraszam. Ale nie mam pojęcia, jak inaczej to zrobić, i chyba lepiej, że nie próbuję udawać.

— Wszystko w porządku. To, co pani powiedziała, jest dla nas zrozumiałe.

Niezwykła historia — stwierdził Richardson. — Ale muszę zadać kilka nudnych pytań. Ta firma jest notowana na giełdzie w Vancouver, zgadza się?

— Owszem — odparła Ewa, spoglądając na Richardsona wzrokiem pełnym zrozumienia. — Wiem, że w Vancouver istnieje masa firm o wątpliwym rodowodzie — tacy kowboje, jednodniowe motyle. Ale Granger nie zalicza się do tej kategorii. Wygląda jak kowboj, lecz nim nie jest.

— Granger dał pani dziesięć procent udziałów w swojej firmie, żeby go pani wykupiła?

— Tak.

— Czy wszystko odbyło się legalnie, przeniesienie praw własności i tak dalej?

— Niezupełnie. Nie powiadomiliśmy giełdy w odpowiednim czasie. Gdy zachodzi w sprawach firmy coś, co określa się jako zmiana zasadnicza, na ogół trzeba wcześniej poinformować o tym giełdę. My tego nie zrobiliśmy. Ale gdy wyjaśniliśmy okoliczności, zrozumiano naszą prośbę i przyjęli ten fakt do wiadomości.

— Jak nazywa się ta firma? — spytała Cassie.

— „Geniusz” — odparła Ewa z lekkim zakłopotaniem. Cassie się roześmiała.

— Skoro McAdam jest takim geniuszem, to do czego my wam jesteśmy potrzebni?

Czemu nie zdobędziecie pieniędzy na giełdzie w Vancouver?

— Właśnie to trzeba wyjaśnić. McAdam jest bardzo błyskotliwy. Odkrył tereny diamentowe w kraju, w którym niewiele jest obcego kapitału, gdzie do niedawna jeszcze nikt nie znalazł diamentów. Gdy pracował jako poszukiwacz tych kamieni dla firmy „De Beers”, cieszył się opinią świetnego fachowca. Wierzę w niego.

Zainwestowałam w to przedsięwzięcie wszystkie swoje pieniądze. Problemem Grangera —

spojrzała im prosto w oczy, jakby zapytując, czy ośmieliła się stwierdzić, że sami są wolni od wszelkich ułomności — jest alkohol. To, co się zdarzyło w Wietnamie, fakt, że McAdam zabił przechodnia, został pobity i przetrzymywany w więzieniu, przyniosło złe żniwo. Giełda w Vancouver ma teraz niemało wątpliwości, czy Granger nadal będzie prezesem. Sama nie mam pewności, czy jest w stanie sprostać tej funkcji. Potrzebujemy kogoś, kto przejmie stery. Ja jestem dyrektorem, mamy w firmie dobrą sekretarkę i księgowę go, ale to za mało. Dlatego zwróciłam się do was. Najlepszym rozwiązaniem dla

„Geniusza”, dla Grangera i dla mnie byłoby, żeby ktoś przejął firmę, sprywatyzował

ją zainwestował pieniądze i nieco energii oraz zorganizował pobranie zasadniczych próbek. Jeśli wszystko się uda, możemy wypuścić akcje albo stworzyć firmę joint-venture, wybudować kopalnię i zebrać plon. To właśnie wam proponuję. Nie jest to proste przedsięwzięcie. Istnieje duże ryzyko. Ale diamentowy interes przynosi bardzo wysokie zyski. Jeśli nam się powiedzie, możemy zbić fortunę.

Zapadła cisza. Richardson i Cassie przyglądali się Ewie siedzącej po drugiej stronie stołu.

— Jaka jest teraz cena akcji? spytała Cassie. — Jakie są jej tendencje?

— Nie zwykowała wiele. Na początku wynosiła jednego dolara, wzrosła do pięciu, następnie spadła do trzech, a potem podciągnęła się do czterech. Jednak jeśli znajdziemy diamenty, gdy zaczniemy wiercić, może wzrosnąć do dziesięciu dolarów, dwudziestu, trzydziestu, kto wie.

— Tak sądzi Granger, prawda? — spytał Richardson.

— Oboje tak sądzimy i jest to również opinia niektórych maklerów w Vancouver.

Richardson wyglądał na rozbawionego.

— Nie bardzo wierzę w to, co mówią maklerzy z Vancouver. Często manipulują akcjami niezgodnie z regułami. U nich gra na giełdzie wygląda jak igrzyska olimpijskie.

— Tak słyszałam — odparła Ewa zupełnie nie zmieszana. Rozłożyła ręce i uniosła dłonie. — Jak mówię, to ryzykowny interes.

Cassie i Richardson wymienili szybkie spojrzenie. Czas zakończyć tę rozmowę.

— Jest to dość niezwykle przedsięwzięcie — stwierdził Richardson. — Może być obiecujące. — Spojrzał ponownie na Cassie, która niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

— Ewo, niebawem ktoś tutaj przyjdzie. Chciałbym, żeby go pani poznała. Możliwe, że będzie bardzo zainteresowany pani planami. Nazywa się Robie Frazer.

Ewa próbowała opanować emocje.

— Robie Frazer. — Zerknęła na Cassie. — Wielki Tai Pan.

— We własnej osobie — potwierdził Richardson. — Chciałby sfinansować jakieś przedsięwzięcie tego typu. Czy będzie pani mogła wyjaśnić to wszystko jeszcze raz?

— Oczywiście. Mogłabym opowiadać o tym bez końca. Richardson wstał.

— Zostawię panie na kilka minut.

Cassie podniosła się i usiadła na stole obok Ewy.

— To była jedna z najbardziej niesamowitych historii, jakie słyszałam.

Jeszcze nigdy w życiu nie miałam do czynienia z tak ekscytującą transakcją.

— Ja też nie.

Cassie zamilkła i przypomniała sobie późne wieczory spędzane w domu w północnym Oksfordzie, gdy siedziały z Ewą przy butelce whisky, a przyjaciółka snuła swoje opowieści. Nikt nigdy nie wiedział, czy wydarzyły się one naprawdę, ale to nie miało żadnego znaczenia. Historie

o miłości i o współczuciu, opowiadane tak płomiennie, wzruszały wszystkich. A teraz ta opowieść. Ale przemawiały również raporty geologów; zimne, twarde fakty.

Jednak wiele fortun powstało dzięki namiętności, wierze i poświęceniu. Te wartości miały taką samą rangę co wszystkie raporty geologiczne. Na drodze do sfinansowania kopalni diamentów w Socjalistycznej Republice Wietnamu stanie milion i jedna przeszkoda

I potrzeba będzie niezwykłej siły woli, żeby pokonać przeciwności. A za cenę akcji nie da się kupić poświęcenia i wiary. Ci nieliczni, którzy potrafili podzielić się swoją pasją i na dodatek poprzeć ją niepodważalnymi faktami, byli nieoceniceni.

Niezależnie od tego, czy Ewa o tym wiedziała, czy też nie, ona sama była kopalnią złota. W połączeniu z przedsiębiorczym sprytem Robiego Frazera i przy poparciu Case Reed byłaby nie do pokonania.

Rozdział 10

Na spotkanie w Case Reed Robie Frazer wybrał się ze swego domu w Knightsbridge na piechotę. Dzień był chłodny, ale słoneczny i przyjemny. W Hongkongu, w szalonym upale lata, nigdzie nie chodziło się pieszo. Frazer uwielbiał tę nieustępliwą gorączkę, jej okrucieństwo. W jego przekonaniu była kwintesencją Hongkongu, podobnie jak tak typowa dla Londynu łagodna aura. Tutaj życie było proste, żywioły przychylne. Frazer nie oczekiwał żadnych wielkich niespodzianek, żadnej rewolucji. Szedł przez spokojny Green Park, rozluźniony, zadowolony z siebie.

Pomyślał o Case Reed i o Cassie Stewart. Interesująca kobieta. Nie oczekiwał, że Cassie zaoferuje mu coś naprawdę ciekawego. Brytyjskie banki i przedstawicielstwa kapitałów udziałowych były zbyt stateczne, zbyt nienaganne w swoich manierach. Frazer od wielu lat zaspokajał swój apetyt na interesy na bardziej soczystym gruncie kontynentalnych Chin. Ale przypomniał sobie zdanie, które

przed laty powtarzało mu wielu starszych bankierów z City: Gdyby na torze wyścigowym w Brighton robiono to samo, co się robi codziennie w City, to z zawodników nic by nie zostało.

Frazer skręcił w Savile Row i zadzwonił do drzwi Case Reed. Powitał go John Richardson i zaprowadził do sali, gdzie miało odbyć się spotkanie. Po drodze rozmawiali o pogodzie, o Green Parku, o samopoczuciu — gładkie wprowadzenie, perfekcyjny rytuał. Ileż to razy Frazer — przedsiębiorca, ryzykant, kreator pieniędzy — był prowadzony przez marmurowe korytarze banków? Stanowił obiekt pożądania; współczesny Midas. Bankierzy roztaczali przed nim różnorakie możliwości, a Frazer wybierał — przejęcie firmy, nowe przedsięwzięcie — i pozwalał im wszystkim się wzbogacać. Był tym ludziom potrzebny. Jednak gdy szedł krok w krok z Johnem Richardsonem, odniósł wrażenie, że są sobie równi, i Frazer z przyjemnością podjął grę. Talent, ambicja, poczucie wyższości, to wszystko czym w Chinach się chełpiono, tutaj było nie na miejscu. Frazera lekko nudził ten rytuał, ale w Anglii, w firmie należącej do dobrze odżywionych, statecznych bankierów, pominięcie go byłoby nieroztropne, więc uśmiechnął się uprzejmie i wszedł do sali obrad.

Najpierw ujrzał kobietę, która stała odwrócona do niego plecami i wyglądała przez okno. Przyjęła pozę sportsmenki, gotowej do biegu; zupełnie rozluźniona, ale zdolna do natychmiastowego ruszenia do mety. Odwróciła się powoli, bez zażenowania, przez cały czas świadoma, że jest uważnie obserwowana. Przez chwilę patrzyła na niego z kamiennym wyrazem twarzy i Frazer odniósł wrażenie, iż jest fachowo oceniany. Następnie uśmiechnęła się, niemal z satysfakcją jakby jej oczekiwania zostały potwierdzone.

Frazer rzadko zadawał sobie trud, żeby przyglądać się dokładnie otaczającym go ludziom, tak był znudzony ludzką masą. Dlatego teraz zaskoczyły Frazera myśli, które przemknęły mu przez głowę. Badanie innych było jego przywilejem, a oto ta kobieta, chłodna i śmiała, przyglądała mu się lekko rozbawionym, pogardliwym wzrokiem. Gdy w końcu podeszła, żeby zostać mu przedstawioną nie zauważył w jej oczach odrobiny sympatii, jaką darzyła Frazera większość kobiet, nie dostrzegł

podziwu, uznania przewagi jego pozycji. Kiedy usiadła i zaczęła mówić, jej głos był

tak wspaniale modulowany, a słowa tak świetnie dobierane, iż niemal zapomniał, jak zniewalająco atrakcyjną jest kobietą. Odniósł wrażenie, że pozwoliła mu spojrzeć na siebie tylko przez chwilę, na samym początku spotkania, a potem świadomie skryła swój powab wśród faktów, danych, planów i raportów. To, co mówiła, było proste i kuszące.

Siedziała przy stole naprzeciwko niego. Przemawiała chłodno, rozsądnie, jak bankier.

Cassie przyglądała się Ewie. Zapomniała o urodzie przyjaciółki. W Oksfordzie zawsze dostrzegała jej dzikie, naturalne piękno. Od tamtej pory to piękno nieco przybladło i jego surowość nie pasowała już do świata Cassie, wypełnionego aerobikiem, szytymi na miarę garsonkami i starannym makijażem. Brak sztuczności właściwy Ewie wydawał się niemal nie na miejscu pośród tego starannie wypracowywanego piękna. Ale teraz, gdy naturalny urok zyskał odpowiednią oprawę, stał się dodatkowym atutem. Cassie zauważyła, jak Ewa patrzy na Frazera, widziała, jak wykorzystuje swoją urodę. Po chwili jednak przyjaciółka zaczęła zachowywać się z ogromną rezerwą; jedynie artykułowała słowa.

Cassie dyskretnie wodziła wzrokiem od Ewy do Frazera. Istniało pomiędzy nimi jakieś napięcie. Gdy Ewa mówiła, Frazer pochylał się w jej stronę, nawet na moment nie spuszczał wzroku z rozmówczyni, a Ewa siedziała oparta, ze ściągniętą twarzą zamykając się w sobie, jakby stawiała mu opór.

Richardson i Cassie, niemal niewidoczni, słuchali w milczeniu, podczas gdy Ewa ponownie opowiadała swoją historię.

— Na giełdzie w Vancouver jest zarejestrowana pewna firma. Jestem właścicielką dziesięciu procent akcji tej kompanii. Amerykański geolog o nazwisku Granger McAdam posiada piętnaście procent. Pozostałe udziały są mocno rozproszone. Firma, „Geniusz”, wykupiła pewien areał ziemi w północnym Wietnamie. Testy sugerują że występuje tam kimberlityczne złożo diamentów. Na świecie znajduje się około dwóch i pół tysiąca złóż kimberlitycznych i są niezwykle trudne do wykrycia. Tylko jedno na dziesięć zawiera diamenty, a jedynie jedno na sto ma ich na tyle dużo, żeby wydobyć było opłacalne. Te dane świadczą o tym, że prowadzono eksploatację zaledwie trzydziestu takich złóż, a w tej chwili czynnych jest osiem kopalni. Żeby rozpocząć produkcję, trzeba zainwestować około trzystu milionów funtów, ale tutaj zaczynają się zyski. Jeden dobry szyb diamentowy, nawet przy średnim występowaniu około pięćdziesięciu karatów — to jest osmiu gramów — diamentów na każde sto ton wydobytych skał i ziemi, będzie wart około dwóch miliardów funtów przez piętnaście do dwudziestu lat. A szyby nigdy nie występują pojedynczo. Są ich całe grupy w miejscach, gdzie podłoże geologiczne jest słabe lub spękanе. Gdy znajdzie się jedno złożo, istnieje duża szansa, że znajdzie się ich kilka. Wydaje nam się, że właśnie takie odkryliśmy. Musimy zdobyć pieniądze na pobranie zasadniczych próbek, a w perspektywie na uruchomienie kopalni. Żeby pobrać zasadnicze próbki, potrzeba nam około piętnastu do dwudziestu milionów funtów. Jeśli to przyniesie efekty, musimy zainwestować kolejne dwieście pięćdziesiąt milionów, żeby wybudować kopalnię diamentów z prawdziwego zdarzenia.

Ewa skończyła i oparła się wygodnie, ze wzrokiem utkwionym we Frazerze, który obrzucał ją kpiarskim spojrzeniem. Większość ludzi takie spojrzenie by speszyło, ale Ewa wytrzymała je i zdawała się czuć zupełnie pewnie.

— A co przekonuje panią że są tam diamenty? — spytał Frazer.

— Testy wypadły obiecująco.

— Testy można różnie interpretować.

— A to? Czy to też można różnie interpretować? — Ewa sięgnęła do kieszeni żakietu i ukryła coś w dłoni. Następnie wyciągnęła rękę ponad stołem obrad. Frazer patrzył na Ewę jak sparaliżowany. Rozwarła dłoń

I pokazała mu diament, surowy, nie oszlifowany, nie wypolerowany, o masie około czterech karatów. Był to przedmiot niezwykle piękny i tajemniczy. Symbolika przypisywana diamentom przysparzała im sporo blasku, ale wydawała się istnieć jakaś siła i piękno właściwe samemu kamieniowi. Frazer wziął diament i przyglądał

mu się uważnie, obracając go i przesuwając po kamieniu palcami.

Cassie i John Richardson wyprostowali się na krzesłach i wlepili wzrok w diament.

— Znalazła go pani na swoim terenie? — spytał Richardson.

— Znaleźliśmy — odparła Ewa pewnym głosem. — Istnieją wszelkie podstawy, żeby wierzyć, iż znajdziemy ich więcej.

— Kto o tym wie? — zapytał szybko Richardson.

— Prawie nikt.

— Czy wiedzą ludzie z giełdy w Vancouver? — odezwał się Frazer.

— Nie — odparła Ewa, w pełni świadoma znaczenia tej odpowiedzi.

— Gdyby wieść się rozeszła, cena akcji mocno by wzrosła.

— Pan to powiedział.

— Czy nie powinna pani informować giełdy o tego typu znaleziskach? — spytał

Richardson.

— W odpowiednim czasie — tak mówią przepisy — odparła Ewa. — Wkrótce to zrobię.

— A na razie wszyscy mamy przywilej cieszenia się pewną dość wartościową poufną informacją — powiedziała Cassie cicho.

Nikt się nie odezwał. Pograżyli się we własnych myślach. Cassie zerknęła dookoła.

Frazer siedział wyprostowany, nieruchomy, skupiony. Richardson bawił się krawatem. Ewa była spokojna, niewzruszona, podobnie jak Cassie ukradkiem przesuwała wzrokiem po zgromadzonych. Kobiety spojrzały sobie w oczy i uśmiechnęły się. Wiedziały, że myślą o tym samym.

Frazer wciąż trzymał diament w dłoni. Z niechęcią oddał go Ewie.

— Jest piękny — oświadczył.

Ewa schowała kamień do kieszeni, następnie podniosła wzrok i powiedziała powoli:

— W miejscu, z którego pochodzi, jest ich znacznie więcej. Jestem tego pewna.

— Jak również tego, że owe akcje mają mocno zaniżoną cenę — dodał Richardson.

— Owszem.

— Mamy pewien problem — ciągnął dalej Richardson. — Wszyscy otrzymaliśmy poufną informację. Ani Case Reed, ani Robie nie podpisali umowy o dochowaniu jej tajności. Musimy to bezzwłocznie uczynić. Poproszę sekretarkę, żeby od razu przygotowała dokument.

Robie Frazer ziewnął i pomyślał o Chinach i Hongkongu, gdzie w sali obrad doszłoby do zbiorowego szaleństwa, wszyscy pchaliby się do telefonu, żeby wydać polecenia swoim maklerom. Frazerowi się nie spieszyło. Nie zależało mu na szybkim zysku. Ten interes można było ładnie rozplanować. Twarz Frazera pozostała bez wyrazu.

..... Oczywiście, John. Podpiszę wszystko, co zechcesz. — Szybkie spojrzenie Richardsona dało mu do zrozumienia, że ten ton był nieco zbyt zuchwały.

— Zrozumiałe, że im szybciej, tym lepiej — dodał Frazer gorliwie.

Richardson podniósł słuchawkę i wydał polecenia sekretarce. Zastanowił się przez chwilę. To był obiecujący początek obiecującej transakcji. Dlaczego, w takim razie, nie mógł pozbyć się wrażenia, że w tej chwili dokonuje się jakiś gwałt, zajmowane są pozycje do stoczenia niewidzialnej

bitwy? Powinien być zachwycony, tymczasem Richardsonowi towarzyszyło uczucie drżenia właściwe hazardziście, tylko silniejsze. Jako bankier, miał

wrażenie, że zostaje wyłączony z części hazardowej rozgrywki.

Wdał się w uprzejmą pogawędkę z zebranymi. Po kilku minutach niezobowiązującej rozmowy sekretarka przyniosła kopie umowy o dochowaniu tajności informacji. Richardson sprawdził, podpisał jedną, a pozostałe wręczył

Cassie, Frazerowi i Ewie. Wszyscy złożyli podpisy, zachowując jedną kopię dla siebie, a jedną oddając Richardsonowi. Ewa się podniosła, samowolnie zamykając zebranie. Lunch miał rozładować napięcie towarzyszące spotkaniu. Instynktownie zdecydowała się wyjść w tej chwili. Pozostali wstali z miejsc.

Ewa zwróciła się do wszystkich oficjalnym tonem.

— Bardzo dziękuję, że zechcieliście mnie państwo wysłuchać. Zabrałam państwu już dosyć czasu. — Wymienili uścisk dłoni i Ewa skierowała się w stronę wyjścia.

Frazer odwrócił się do Cassie i Richardsona.

— Dziękuję wam obojgu za niesłychanie ożywiający poranek. To było naprawdę fascynujące. Jestem pewien, że będziemy mogli razem coś stworzyć.

Porozumiewając się niemal telepatycznie Frazer i Ewa odwrócili się i opuścili budynek. Przez chwilę szli razem w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach, nie zainteresowani formalną uprzejmą konwersacją. Frazer odezwał się pierwszy.

— Nieźle pani to przedstawiła.

— Dziękuję. — Ewa szybko zerknęła na niego z ukosa.

Szli obok siebie wzdłuż Savile Row. Gdy mijali róg, Frazer zatrzymał

przejeżdżającą taksówkę i odwrócił się do Ewy, która przetrzymała jego pytające spojrzenie. Zatrzymała się, jakby rozważając sytuację. Przechyliła głowę na bok, wzrok skierowała na Frazera. Następnie, z ociąganiem, skinęła głową w milczącej zgodzie. Poczwała, jak napięły się jej mięśnie i przyspieszył oddech. Frazer przytrzymał dla niej otwarte drzwi taksówki. Ewa wsiadła do środka. Usadowiła się na tylnym siedzeniu samochodu, z dala od Frazera, który podał swój adres i zwrócił się do Ewy.

— Proszę mi powiedzieć, naprawdę jest pani zainteresowana diamentami?

Przemawiała pani bardzo sugestywnie, dość przekonująco. Idealna promotorka transakcji. Ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić, jak brudzi sobie pani dłonie. Nic mi pani o sobie nie powiedziała — po prostu pojawia się pani znikąd, z tą cudowną propozycją i nie mogę przestać się zastanawiać, kim pani jest, skąd się pani wzięła i czego chce.

Przez chwilę Ewa nie odpowiadała. Patrzyła przez okno taksówki, a potem wlepiała wzrok w podłogę. Nagle spojrzała Frazerowi w oczy.

— Czy to ważne? Niech pan rozważy propozycję na podstawie jej wartości, a nie w połączeniu z moją osobą.

Frazer się roześmiał.

— Ale to się ze sobą wiąże — propozycja i osoba ją składająca. Jak mogę was rozdzielić?

— To pański problem, nie mój. Pan oceni zyski, oszacuje ryzyko, podejmie decyzję.

— A czy pani stanowi część tego ryzyka?

— Oczywiście — odparła Ewa niefrasobliwie.

— A jak mam panią oszacować?

— Niech pan nawet nie próbuje.

— Dlaczego? Sądzi pani, że nie rozumiem kobiet?

Ewa roześmiała się. Jemu się wydawało, że to takie proste — konflikt pomiędzy mężczyznami i kobietami.

— Och, jestem pewna, że doskonale je pan rozumie.

— Więc na czym, w takim razie, polega ryzyko? Odwróciła twarz.

— Właśnie, na czym?

Ponownie zapadła cisza. Dyskretnie obserwowali się wzajemnie, patrzyli na swoje ciała i twarze. Oboje siebie pragnęli. Ich wspólna jazda taksówką była tego milczącym potwierdzeniem i żadne z nich nie ukrywało podniecenia, ale pożądaniu towarzyszyła oziębłość. Spoczywali na przeciwległych krańcach siedzenia, opierali się o drzwi, patrzyli na siebie badawczo, niemal jak zapaśnicy oceniający przeciwnika.

On widział kobietę chłodną i piękną pożądaną taką która prowokuje nie do miłosnego zjednoczenia, ale do podboju. Nie było w Ewie niczego miękkiego, ustępliwego ani wielkodusznego. Jej samolubnej żądy nie łagodziła życzliwość.

Pożądanie Frazera też było samolubne. Gdyby Ewa odnalazła przyjemność w obcowaniu z Frazerem, byłoby to dziełem przypadku. Przez wzgląd na samego siebie nie lubił rozczarowywać kobiet. Frazer chłonał Ewę wzrokiem, podsycając oczekującą go rozkosz.

Ewa zdjęła zakiet. Jej gołe ramiona były szczupłe, dobrze umięśnione i opalone, pokryte delikatnym meszkiem złotych włosków. Usta miała pełne, oczy wielkie, chłodne spojrzenie. Ponad wszystko najbardziej ekscytował Frazer ten brak ciepła.

Ewa pozwalała mu zignorować wszelkie konwenanse. Miał rzadką okazję, żeby pokazać się takim, jakim był naprawdę.

Niesłychana otwartość z jej strony powiedziała Frazerowi wszystko, co chciał

wiedzieć. Nie miał pojęcia i nie obchodziło go, dlaczego Ewa taka jest. Kobiety Ignęły do Frazera z różnych powodów, dla pieniędzy, ze względu na jego czar lub pozycję społeczną. Niektóre wabiła krążąca legenda o zdradach Frazera, o jego okrucieństwie i braku dbałości o partnerkę. Polowa z tych kobiet prawdopodobnie chciała spróbować swoich sił w zupełnie daremnym trudzie zmienienia go, inne były po prostu istotami samodestrukcyjnymi.

Niektóre, jak Ewa, chciały być twarde, odnosząc się do Frazera podobnie jak on do nich, dążąc do wygodnego seksu i szybkiej, intelektualnej próby sił. Niewielu udawało się wytrwać w tej pozie. Frazer lubił zabawiać się takim układem, dopóki kobieta w końcu nie miękła i nie zakochiwała się w nim. Podbój umysłowy był na tyle sposobów bardziej satysfakcjonujący niż fizyczny. I Frazer musiał przyznać, że czerpał pewną przyjemność z nieszczęścia tych kobiet w chwili, gdy je porzucał.

Zastanawiał się, ile minie czasu, zanim nieśmiała obojętność Ewy zacznie przekształcać się w miłość. Być może potrwa to dłużej niż w większości przypadków, ale na pewno nastąpi.

Ewa przyglądała się Frazerowi, gdy tak patrzył na nią z uśmiechem. Towarzysz obdarzał ją niedbałą uwagą. Nie wątpi, że mnie uwiedzie, pomyślała. I ma rację.

Starła się, żeby na jej twarzy widać było jedynie pożądanie, ale musiała tłumić inne uczucia, które również chciały się uwidocznić.

Natychmiastowa zgoda nie zaskoczy Frazera. Wiele kobiet sypiało z nim z różnych powodów, ale

żadna nie miała takiego bodźca jak Ewa. Frazera oślepi jego własna próżność i samozadowolenie. Ewa niemal się roześmiała. Musiała jedynie grać. A gra nie będzie aż tak trudna. Frazer był fizycznie pociągający i Ewa cieszyła się z tego. Ale istniało jeszcze coś, z czego nawet Ewa, z jej niezwykłą zdolnością postrzegania, nie zdała sobie sprawy — zauroczenie, nie tylko fizyczne, lecz również umysłowe. Pewnych rzeczy lepiej jednak było nie zauważać, Ewa celowo zapomniała o paru sprawach, jak ofiara szoku, która popadła w amnezję. Poszła za Frazerem dobrowolnie zaślepiona. Tak było łatwiej.

Krótką podróż taksówką zbliżała się do końca. Samochód zwolnił i skręcił w Wilton Place. Frazer zapłacił kierowcy i wprowadził Ewę do domu. Poszła za nim do salonu. Frazer usiadł. Ewa rzuciła zakiet na krzesło, ale wciąż stała, odwrócona do niego tyłem; wyglądała na ogród. Jej ciało przybrało tę samą pozę, w jakiej Frazer widział Ewę po raz pierwszy godzinę temu; wyrażało gotowość do biegu. Zwrócił

uwagę na niebieską bawełnianą bluzkę Ewy, opiętą na ciele, na brązowe nogi, smukłe łydki, dobrze podkreślone mięśnie. Podniósł się, podszedł i stanął za Ewą.

Najpierw delikatnie dotknął jej ramion, następnie przesunął dłonie w dół i z powrotem w górę, w stronę szyi. Poczul, jak Ewa wypchnęła przed siebie piersi, jak naparła na niego pośladkami. Dłonie Frazera powędrowały w stronę jej nóg.

Chwycił spódnicę i podciągnął ją na wysokość talii. Nagle Ewa, wciąż przyciśnięta przez Frazera, odwróciła się w jego stronę. Przez sekundę widział jej oczy, po czym powieki opadły, a usta kobiety powędrowały na spotkanie jego warg. Przez tę sekundę Frazer był zaskoczony i zmieszany. Nigdy nie widział takiego spojrzenia, nie potrafił go zdefiniować. Jednak gdy Ewa zbliżyła się do niego, pożądanie wzięło górę, zapomniawszy o wszystkim i pocałował ją, czując przejmujący dreszcz.

Ewa uśmiechnęła się i osunęła na podłogę. Parkiet, pokryty cienkim jedwabnym dywanem, wbił się w pośladki, w łopatki, uwierał w głowę.

Twarz Ewy oświetliło słońce, doleciał do niej ciężki zapach wistarii unoszący się w powietrzu i poczuła na sobie ciało Frazera. Zdjęła ubranie i nagą skórę musnęło ciepłe powietrze.

Przepęłniało ją obrzydzenie, nienawiść i pożądanie. To, że Frazer potrafił

przysporzyć takich wrażeń, jeszcze bardziej zintensyfikowało ich grę. Tylko że gdzieś w najskrytszych zakamarkach świadomości Ewa wiedziała, że to nie gra, lecz naturalna i szczerą odpowiedź z jej strony.

Rozdział 11

Andrew Stormont siedział z tyłu swojego służbowego rovera. Po spotkaniu przy Whitehallu wieziono go do biura. Gdy samochód zbliżał się do mostu Vauxhall, przed oczami Stormonta pojawił się nowy budynek Tajnych Służb Wywiadowczych, który stał na południowym brzegu Tamizy. Gmach został

ukończony wiosną 1994 i był wykorzystywany dopiero od nieco ponad roku.

Stormont widział, jak budynek powstawał, i wówczas wydawał mu się śmieszny.

Teraz przesadna krzykliwość przywiodła Stormontowi na myśl tort urodzinowy.

Uśmiechnął się, gdy samochód zbliżał się do budynku.

Zaprojektowany przez postmodernistycznego architekta, Terry'ego Farrella, gmach, znany jako Krzyż Vauxhallu i szybko przezwany przez pracowników Zielona Bogini, był zrobiony z lukrowatego, kremowego kamienia, wypełnionego zielonymi jak pistacje oknami, które wznosiły się na wysokość pięciu kondygnacji nad rzeką. W

budynku zaprojektowano kilka wielkich atrium, które dawały światło i przestrzeń.

Nie było w tym gmachu nic ze spokojnego neoklasycyzmu Domu Tamizy, nowej siedziby MI6, działu Wywiadu w Millbanku. Krzyż Vauxhallu był monolityczny, niemal jak stara, wschodnioeuropejska twierdza, nieco tylko skromniejszy. Był

wspaniale zabezpieczony. Okna wzmocniono metalem, pomieszczenia otoczono ołowiem. Zainstalowano mokre i suche fosy. Zaprojektowano go w taki sposób, żeby przy całej swojej frywolności był odporny na zamachy bombowe i uniemożliwiał zainstalowanie podsłuchu.

Stormont uznał za ironię fakt, że Tajne Służby Wywiadowcze mają swoją siedzibę w tak rzucającym się w oczy budynku. Jednym z najnowszych pomysłów dekoracyjnych był rząd cisów umieszczony na wysokości piątej kondygnacji. Z

tego, co Stormontowi było wiadomo, drzewa przetransportowano samolotem z Włoch i poddano aklimatyzacji w Szkocji. Zdaniem Stormonta ten gmach był

publicznym manifestem, symbolem

postępu TSW, ich wejścia w dwudziesty pierwszy wiek. Pełne nadziei przesłanie o potęgę i niezależności.

Wielu starało się ograniczyć imperium wywiadu. Byli to ludzie, którzy uważali, iż jest on potęgą chylącą się ku upadkowi, zbędną w odważnym, nowym świecie, jaki uformował się po okresie zimnej wojny. Według Stormonta tacy ludzie byli żałośnie naiwni. Służby wywiadowcze zawsze będą potrzebne. Natura ludzka się nie zmieniła. Człowiek ciągle będzie w sobie podsycał myśl o zniszczeniu, o przewrocie, o zwycięstwie i o zysku.

Stormont przeczytał leżące na biurku raporty z nocy, następnie wstał, przeciągnął

się i obszedł pokój. Gabinet pachniał mocną kawą i tureckimi cygarami Davidoffa.

Był to skromny, funkcjonalny pokój, o szarej wykładzinie i białych ścianach. Jediną ozdobą piękną ale ponurą była kanciasta, metalowa rzeźba wysokości około trzech stóp, uformowana na kształt postaci ludzkiej. Jeśli Stormont kiedykolwiek odczuwał

potrzebę wygody lub zbytku, nie odzwierciedlało się to w wystroju jego gabinetu.

Wolał nie gmatwać jeszcze bardziej swojego tajnego i oficjalnego życia. W tajnej służbie Stormont wcielał się w różne postacie, które czasami posiadały osobowość podobną do jego własnej. Czasami w tym swoim życiu „publicznym”, szczególnie gdy chodziło o kontakty z kobietami, wykorzystywał wszystkie swoje profesjonalne zdolności z zakresu dyskrecji i podstępstwa, zarówno przez wzgląd na sprawy zawodowe, jak i z własnych, samolubnych, czysto osobistych powodów. Życie zawodowe i życie prywatne Stormonta od czasu do czasu przeplatało się ze sobą ale na to nie miał wpływu. Tak było w przypadku Cassie i Ewy, które wypełniały, jak to określał, nieproporcjonalnie dużą część jego myśli.

Chciałby zobaczyć te dwie kobiety znowu razem: stare przyjaciółki, być może partnerki w interesach, zjednoczone odpowiednim zbiegiem okoliczności i dziwną rywalizacją. Były rywalkami pod względem urody i osiągnięć. Zazdrość na tle seksualnym i zawodowym mogła stanowić niebezpieczną mieszankę.

Nagle do gabinetu wszedł Giles Aden, zastępca Stormonta do spraw walki z rozprzestrzenianiem zbrojeń. Aden był szczupłym, wytwornym mężczyzną człowiekiem z drugiego planu, który walczy o pierwszeństwo. Zawsze nosił

nienagannie skrojone garnitury i jaskrawe krawaty, i przyjmował postawę właściwą manekinowi krawieckiemu. W wieku czterdziestu dwóch lat, miał ciało chudego uczniaka, utrzymywane w formie dzięki ukradkowym wizytom w siłowni.

Ujawnienie tych wizyt równałoby się przyznaniu do nadmiernej próżności, która i tak była wystarczająco widoczna. Aden nie zdawał sobie jednak sprawy, iż ta jego poza była nieco nianaturalna.

Giles był niezwykle inteligentny; urodzony cynik, uzbrojony dodatkowo w negatywny stosunek do świata. To czyniło z niego idealnego zastępcę, doskonałego do przeciwstawiania się nie najlepszym pomysłom swoich przełożonych. Był siłą powstrzymującą, a nie kreatywną. Nigdy nie wcieliłby się w skórę swego szefa.

Aden stał w gabinecie i patrzył na Stormonta, który usiadł i dał swemu zastępcy znak, żeby uczynił to samo.

— A więc? — spytał, widząc na twarzy Adena nieśmiałe zadowolenie z siebie.

— Jakież wieści od Ewy? — spytał zastępca.

Stormont rozparł się w fotelu, wyprostował nogi, splótł dłonie za głową i przeciągnął się jak rozleniwiony kot.

— Jeszcze nie. Ale nie martwiłbym się, Giles. Trochę nas przetrzyma nigdy nie może się temu oprzeć, ale zadzwoni, wcześniej czy później.

— Jak ci się wydaje, co osiągnęła?

- Kto wie? Mogła osiągnąć już wiele. Zaufaj jej intelektowi. To najlepsza rzecz.
- A transakcja? Myślisz, że Frazer się na nią skusi?
- Jestem tego pewien.
- Skąd ta pewność?
- Ta transakcja ma istotne zalety.
- A mianowicie jakie?
- Ewę Cunningham i Cassie Stewart.
- Przy okazji, czy tam naprawdę są diamenty?
- Jak sam mówisz, przy okazji mogą być. Jeśli są będzie to miła premia dla Ewy i dla Firmy.
- A jeżeli ten projekt przyniesie pieniądze, pozwolisz Ewie je zatrzymać?
- To zależy.
- Od czego? Ona tego oczekuje. Wiesz o tym.

O tak, wiem. Ale to jeden z wielu czynników, nieprawdaż?

- Byłbym ostrożny, jeśli chodzi o Ewę.

Stormont wyprostował się, podciągając nogi pod fotel i skupił wzrok ' na Adenie.

- Ewa potrzebuje kontroli, nie opieki. A tym chyba zajęliśmy się skutecznie, nie sądzisz?

Aden wstał, żeby odejść. Zatrzymał się jeszcze z ociąganiem.

- Właśnie, Cassie Stewart — ten twój wcześniejszy komentarz Nie wiążesz z nią żadnych dodatkowych planów, co?

Stormont zapalił papierosa.

- Nie jestem pewien. Zastanowię się nad tym. Zobaczę, jaki obrót przybiorą sprawy.

Rozdział 12

Ewa leżała w łóżku Frazera, ledwo świadoma dalekich odgłosów — szumu samochodów, świergotu ptaków gnieźdzących się na drzewach rosnących przed domem, słabych dźwięków muzyki docierających z mieszkania sąsiada. Frazer kilka chwil wcześniej bardzo cichutko opuścił łóżko, przemierzył na palcach pokój i wyszedł. Wyczerpani swoim szaleństwem i upałem, kilka godzin temu

poszli na górę, do łóżka. Frazer natychmiast zasnął, ze swobodą właściwą komuś, kto jest przyzwyczajony do nowych partnerek.

Ewa przez jakiś czas symulowała sen. Jej umysł był niespokojny, myśli rwały się we wszystkie strony tak, że próbowała świadomie je okiełznać, delikatnie zmusić się do opanowania.

Czuła się tak, jakby spali wiele godzin. Spojrzała na zegar stojący na stoliku przy łóżku. Była dziewiąta wieczorem. Przez jakiś czas leżała nieruchomo i wpatrywała się w biały sufit. Czuła lekką satysfakcję, po części fizyczną po części wynikającą z samej obecności w łóżku Frazera, z szybkiego wejścia w jego życie. I czuła do Frazera pogardę zmieszaną z nienawiścią tak głęboką iż zdawała się przedzierać Ewie przez skórę. Znała upodobanie Tai Pana do okrucieństwa, które traktuje jako źródło korzyści i rozrywki. Ale nie odczuwała strachu ani niepewności. Tak długo czekała na tę chwilę, przez cały ten czas, gdy żyła jedynie żądzą zemsty, nie marzyła o niczym innym.

Stormont podłożył Ewę Frazerowi jak ładunek wybuchowy. Od lat wykorzystywano ją w ten sposób. Teraz podpalono lont. Był on długi, palił się wolno, ale nie sposób było go zgasić. Niezależnie od tego, czego chciał Stormont, jakie ukryte motywy mogły nim kierować — a Ewa wiedziała, że ma jakieś skryte plany — ona też je miała i podczas gdy Stormont wykorzystywał Ewę, ona wykorzystywała jego. Na razie byli sobie potrzebni. Atrakcyjność obecnej sytuacji polegała na tym, że dawała Ewie możliwość zniszczenia Frazera, jeśli tylko by zechciała, i pozbycia się Stormonta. Jeszcze niezupełnie wiedziała, jak tego dokonać. Szczegóły planu dopiero miały się zarysować. Rozkoszowała się tą niepewnością. Uśmiechnęła się do siebie i bardzo cichutko wysunęła z łóżka.

Naga przemierzyła pokój, w którym zapadała ciemność, i zatrzymała się przy drzwiach. Następnie cichutko zeszła na dół i usłyszała głos Frazera, przytłumiony przez dębowe drzwi. Stała przed nimi; jedno kolano zgięte, mięśnie rozluźnione, ale słuch wytężony, żeby wychwycić słowa sączące się ze środka. Musiała być oddalona od Frazera o jakieś dziesięć stóp, jednak niemal niemożliwe było podsłuchanie rozmowy. Mówił cicho, jak się Ewie zdawało, celowo. Ale o ile nie można było odróżnić słów, o tyle ton głosu Frazera nie pozostawiał wątpliwości.

Brzmiała w nim niemal groźba.

Nagle głos zamilkł i Ewa usłyszała skrzypnięcie krzesła. Długimi susami dopadła kuchni i znalazła lodówkę. Otworzyła ją wyjęła butelkę wody mineralnej i napiła się łąpczywie. Gdy usłyszała za sobą kroki, zachowała swobodną pozę, po czym gdy Frazer się odezwał, udała zaskoczenie, wylewając nieco wody na piersi.

— Już się obudziłaś? — Słowa Frazera były beztroskie, lakoniczne, ale przyglądał się Ewie uważnie.

Spojrzała na wodę ściekającą strużką po jej ciele i uśmiechnęła się niezdecydowanie, nieco zażenowana.

— Przestraszyłeś mnie na śmierć.

Frazer podszedł do Ewy i przesunął dłońmi po jej wilgotnym brzuchu.

— Tak to się kończy, gdy ktoś węszy.

— Nie węszyła. Konam z głodu i z pragnienia. Może uszło to twojej uwadze, ale nie jadłam obiadu ani kolacji.

Jego stężała twarz znów przyjęła zadowolony z siebie wyraz.

— Nie uszło, oczywiście. Chcesz teraz zjeść? Możemy gdzieś pójść albo każę mojej gospodyni coś przygotować.

Ewa uśmiechnęła się do niego.

— To bardzo miłe, ale przy innej okazji, dobrze?

Na twarzy Frazera pojawił się lekki, niemal niezauważalny grymas zaskoczenia.

— Oczywiście. Daj mi swój numer telefonu. — Poszedł do gabinetu i wrócił z cienkim granatowym notesem. Ty draniu, pomyślała Ewa. Tak obcesowo chcesz mnie po prostu dołączyć do listy innych nazwisk.

Frazer otworzył notatnik. Łaskawie, nie zdradzając żadnych emocji, podyktowała swój numer telefonu. Następnie, nie patrząc na Frazera, udała się do salonu, żeby pozbierać swoją porozrzucaną garderobę. Ubrała się szybko. Frazer stał w drzwiach i przyglądał się jej. Ewa nadstawiła policzek i pozwoliła się pocałować, po czym wyszła.

Na ulicy zatrzymała się na chwilę, odetchnęła głęboko. Zapaliła papierosa i ruszyła w stronę domu.

Miasto było opustoszałe, w przerwie pomiędzy godziną szczytu a porą wychodzenia z restauracji, teatrów, przyjęć i pubów. Nieliczni ludzie wyprowadzali psy albo po prostu spacerowali, ciesząc się ciepłem nadzwyczaj gorącego kwietnia. Nie było wiatru. Zapadł zmierzch. W powietrzu wisiał zapach dymu fajkowego. W pewnej odległości przed sobą Ewa dostrzegła starszego mężczyznę. Przygarbiony, szedł

ostrożnym krokiem, ale z podniesioną głową i z fajką w ręce. Mijając go, zauważyła na twarzy mężczyzny wyraz szczerego zadowolenia. Wciągnęła głęboko powietrze, delektując się aromatem i ciepłem. Przypomniały jej się lasy sosnowe na południu Francji.

Mimo że Ewa była Angielką Londyn nie stał się jej domem, podobnie jak nie było nim żadne inne miejsce. Poza tym miała przydzielone zadanie. To zawsze odsuwało realny świat na dalszy plan. Gdy opuściła ciche uliczki Belgravii i ruszyła w stronę King's Road, wciąż zdawało jej się, że odgrywa jakąś rolę. Ludzie patrzyli na Ewę, gdy ich mijała, przyglądali się sprężystemu krokowi i dumnie podniesionej głowie, ale ona czuła się jak niewidzialna i zastanawiała się, przed kim teraz gra.

Dotarła do swojego ciemnego domu. Wszystkie inne budynki były oświetlone. Z

ogrodów albo z okien otwartych na ulicę dochodziły śmiech i dźwięk muzyki. Dom Ewy był cichy, ale gdy wyjęła klucze z torebki i weszła do środka, uśmiechnęła się z zadowoleniem — to był jej własny dom, który mogła opuszczać i do którego mogła wracać, kiedy jej się podobało. Poszła do łazienki, zrzucając po drodze ubranie i tak długo stała pod prysznicem, dopóki nie zmyła z ciała, ze skóry, z włosów i z ust wszelkich śladów dotyku Robiego Frazera. Wyczerpana położyła się do łóżka i zapadła w niespokojny sen.

Zaledwie o milę dalej, przy Sloane Avenue, Xu Nan siedział na skraju kanapy ze wzrokiem utkwionym w przeciwległą ścianę. Jego ostatnia rozmowa z Robiem Frazerem trwała trzy minuty, niecałe dwieście sekund, które zdawały się niweczyć całe lata, na nowo zapisywać przeszłość i decydować o przyszłości. Gładkie słowa, przemoc sygnalizowana tonem głosu, zatrwajająca przenikliwość. Czas już nie należał do niego. Frazer czekał, żądał informacji. A gdyby Nan odmówił? Nie do pomyślenia.

Xu chciał po prostu zastygnąć w bezruchu, zamienić się w kamień. Albo wrócić do przyjemnej codzienności, w której mógłby cieszyć się swoim domem, chodzić do pracy, robić to, co do niego należy, pić kawę, rozmawiać przez telefon i o niczym innym nie myśleć. Jaka rozkosz kryje się w nudzie i w monotonii, w uśpieniu myśli.

Rozkosz utracona, za którą tęskniły nadszarpnięte nerwy.

Nie był w stanie siedzieć nieruchomo, w samotności. Poruszając się z chorobliwą nerwowością wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i pojechał do pracy w Holborn.

Jednostajność jazdy, znajome miejsca, poczucie normalności dookoła nieco go uspokoiły. Była to dziwna pora na pojawienie się w biurze, ale mógł to uzasadnić.

Powiedział trzem strażnikom, że zapomniał portfela. Wartownicy, którzy Nana znali i lubili, nie zadawali więcej pytań, przepuścili go. Gdy zniknął w windzie, wymienili podejrzliwe spojrzenia.

— Pijany?

— Może. Choć nie wyglądał. Ale jakiś dziwny.

— Damy mu pięć minut. Prawdopodobnie zaraz wyjdzie, ale jeśli nie...

— Ja pójdę — powiedział Jack, najstarszy.

Odczekali kilka minut i Jack poszedł sprawdzić, co robi Nan. Ruszył wolnym krokiem do windy, wjechał na trzecie piętro, okrążył atrium i zajrzał do gabinetu Nana. Zastał go siedzącego w ciszy i w półmroku. Lampa na biurku świeciła Nanowi w twarz. Zdawał się nieczuły na światło. Po chwili, z ociąganiem, odwrócił

głowę w stronę Jacka. Spojrzał mu w oczy i spuścił wzrok.

— No i co, znalazł pan portfel?

— Nie zgubiłem go.

— Tak też mi się wydawało. — Jack usiadł na skraju biurka. — Nie zajął się pan również pracą.

— Nie.

— Więc, hmm, o co chodzi?

Nan odwrócił się i spojrzał prosto na strażnika. Wzruszył ramionami, bezsilny i nieporadny.

— Nie wiem. W ogóle nie powinienem tu być. — Wstał. — Już idę. — Gwałtownie pomacał kieszeń marynarki. — I nic przy sobie nie mam, żadnych dokumentów, nic. Może pan sprawdzić.

Jack spojrzał na niego badawczo.

— W porządku, panie Xu. Wcale tak nie sądziłem. — Wrywkowe kontrole pracowników, szczególnie tych zatrudnionych w strategicznych działach, były powszechne. Ludzie, którzy zachowywali się podejrzanie, byli sprawdzani natychmiast, ale w postawie Nana było coś, co sprawiło, że Jack mu uwierzył. Nan wyglądał jak ktoś, kto przegrał a nie ukradł.

Gdy Nan znalazł się na zewnątrz, wsiadł do swojego samochodu, zapalił silnik i szybko odjechał. Prowadził z roztargnieniem, jak automat, niemal nie zwracając uwagi na ruch na drodze; nie słyszał wyjących klaksonów, nie widział uników innych kierowców. Jakimś cudem dojechał cało do domu. Poszedł prosto do kuchni.

Napełnił konewkę i zaczął podlewać swoje rośliny. Stały wzdłuż półek pod oknami i wyglądały jak wygłodniałe dzieci. Podlał je obficie, gładząc przy okazji niektóre liście. Następnie odniósł konewkę do kuchni i wytarł miejsca, gdzie porozlewał

wodę, aż wszystko było w należyтым porządku. Wtedy chaos panujący w jego myślach, który stłumił tą mechaniczną czynnością

wrócił, atakując zdrowy rozsądek. Nan czuł, że w tej chwili nie ma możliwości ucieczki. Skradziono mu jego niezależność, odebrano wolność i nie miał już nic do stracenia. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Robiego Frazera.

Frazer siedział w swoim gabinecie, z lampką armagnacu w dłoni. Miał wrażenie, że trafił na łut szczęścia, na coś obiecującego. Ewa i diamenty; te błyskotki miały być jego. Dzwonek telefonu wyrwał Frazera z rozmyślań.

Podniósł słuchawkę. Jakiś głos zaczął bełkotać Frazerowi do ucha, zanim zdołał wyartykułować kilka zdań.

— To koniec. Nie mogę tego więcej robić. Okłamałeś mnie, zastawiłeś pułapkę, teraz grozisz mi, że...

— Nan, nie podchodź do tego zbyt emocjonalnie. Ja...

— Pieprz się z tym swoim „zbyt emocjonalnie”. Już tego więcej nie zrobię. Jutro mam zamiar złożyć wymówienie. — Głos Nana trząśł się z podniecenia. Teraz Nan ucichł. Nie był zdolny po prostu odłożyć słuchawki. Oczekiwał jakiejś reakcji ze strony Frazera, sygnału, że przyjął to do wiadomości, jakiegoś wybuchu złości, znaku, że Nan trafił tym ciosem i że polarała się krew.

Przez chwilę panowała cisza. Gdy Frazer się odezwał, ton jego głosu był

zadziwiająco miły.

— Nałożyłem na ciebie zbyt wielki ciężar, Nan. Teraz to widzę. Przykro mi. Nie zdawałem sobie sprawy. To zbyt wiele wymagać od ciebie, żebyś nadal wyświadczał mi przysługę. Masz rację. Nie powinieneś się tym więcej zajmować.

— Frazer przerwał, usłyszał wypuszczany oddech, zrozumiał, że jego słowa odniosły skutek. — Jeśli lubisz swoją pracę, dlaczego w niej nie zostaniesz? Nie musisz rezygnować. Teraz będziesz mógł robić to, na co masz ochotę.

Po chwili ciszy znów rozległ się niepewny głos Nana. W konfrontacji z zadziwiającą uległością Frazera gniew Chińczyka stracił cel.

— Nie wiem. Nie mogę logicznie myśleć. Czuję, że mam ochotę uciec, zniknąć bez śladu, wyjechać, choćby jutro.

— Tak. Rozumiem to. — Frazer przerwał na chwilę. — Po kilku dniach możesz jednak poczuć się inaczej. Może lepiej tak się nie spieszyć. Dlaczego nie weźmiesz kilku dni urlopu, nie zastanowisz się przez jakiś czas?

Spać. To było wszystko, na co Nan miał ochotę — zasnąć na wiele dni. Frazer niemal słyszał, jak Xu dobiera słowa. Czekał spokojnie.

— Chyba masz rację. Zostanę przez kilka dni w domu.

— Tak będzie najlepiej. Odpocznij. Zostawię cię teraz, dam ci trochę spokoju, ale nie zapominaj, że jeśli będziesz chciał porozmawiać, to ja tu jestem.

Zapadła ponura cisza, groźniejsza w swej wymowie niż gniew sprzed kilku chwil.

Frazer delikatnie odłożył słuchawkę. Wyrzwał przez okno. Jego zacięta twarz odbijała się w ciemnym szkle.

Siedział w ciszy przez kilka minut, jakby zbierał siły. Następnie podniósł słuchawkę i zadzwonił do Le Maia w Hongkongu.

— Chciałbym, żebyś przyleciał tutaj pierwszym samolotem.

— Już jadę.

Rozdział 13

Ewa Cunningham tak rzucała się przez sen, że zaplątała się w prześcieradła.

Marzenia i koszmary senne połączyły się w jedno, pieszcząc ją i torturując zarazem.

Wybiła się ze snu i obudziła. Pot spływał po jej nagim ciele. Chwytała powietrze pełnymi płucami, po czym skoncentrowała na spowolnieniu oddechu, na uspokojeniu się.

Światło sączyło się poprzez zasłony. Ewa zerknęła na zegar na stoliku przy łóżku: 8.00. Leżała przez chwilę bez ruchu, uspokojona, delektując się dotykiem prześcieradła na skórze. Przypomniały jej się nocne mary. Ten obraz zawładnął jej umysłem. Starła się myśleć rozsądnie, zapanować nad strachem.

Automatycznie ponownie przeanalizowała wydarzenia. Spotkanie z Frazerem w Case Reed. Jego dom. W tym miejscu płynny przepływ myśli załamywał się. Z

emocjonalnego punktu widzenia seks był do przyjęcia. Ewa była zaskoczona zdradą ze strony własnego ciała, że zasnęło u boku Frazera. Gdy obudziła się w jego łóżku, zastanawiała się, czy zdemaskowała się czymś we śnie. Przez cały czas uważała na słowa, ale w nocy, gdy spała, czy ta ostrożność nadal funkcjonowała?

Gdy Frazer zastał Ewę w kuchni, w jego oczach dostrzegła podejrzliwość, ale była pewna, że to miało więcej wspólnego z nieczystym sumieniem Frazera niż z czymkolwiek, co mogła była powiedzieć. Jego przyciszona rozmowa w gabinecie miała pozostać tajna. Jeśli Frazer sądził, że Ewa podsłuchiwała, to co z tego? Próżność przyćmiłaby jego intelekt i intuicję. Sekretne knowania były domeną Frazera. Ewa nadawała się jedynie do seksu. Nie będzie doszukiwał się niczego więcej. Dopóki zachowa ostrożność, pozostanie niewidzialna, a była niezwykle ostrożna z natury, wymagał tego jej zawód.

Ewa wstała z łóżka, zeszła na dół i po porannej porcji codziennych ćwiczeń wzięła kąpiel. Czterdzieści minut później, ociekająca wodą, wyszła spod natrysku, naciągnęła na wilgotne ciało sukienkę w wesołych

barwach i wróciła do salonu. Okna pokoju wychodziły na wschód i poranne słońce wpadało do środka, tworząc plamę światła na podłodze.

Ewa usiadła po turecku pośrodku tej plamy i zadzwoniła do Stormonta. Była ósma czterdzieści pięć. W swoim domu przy Old Church Street Stormont właśnie jadł

śniadanie. Gdy zadzwieczał dzwonek, zerknął na telefon podłączony do służbowej linii i odczekał chwilę, zanim podniósł słuchawkę, jakby roztrząsał, kto dzwoni.

Kiedy się odezwał, jego głos był szorstki, ale pod płaszczykiem tej przesadnej gburowatości pobrzmiwało echo humoru.

— Słucham?

— Stormont. Odmeldowuję się. Głos Stormonta stał się nagle ciepły.

— Ach, Ewa.

Popijając kawę, z papierosem w dłoni Ewa zaczęła szybko i oficjalnie składać raport.

— Poszłam z Frazerem do jego domu. Wszystko wyglądało tak, jak sobie wyobrażałam — dom cichy i wspaniały, on próżny i egoistyczny. Żadnych niespodzianek, żadnych zgrzytów. Jediną rzeczą godną uwagi była tajemnicza rozmowa, jaką prowadził w swoim gabinecie, gdy myślał, że śpię. Nie słyszałam słów i nie mogę być pewna, ale w jego tonie brzmiała groźba. Po tej rozmowie telefonicznej Frazer stał się wyjątkowo złośliwy. Nie w stosunku do mnie, ale po konwersacji z tą nieszczęsną osobą sprawiał wrażenie, jakby pałał złością do całego świata.

— Nieszczęsną osobą — mówisz tak, jakbyś niemal żałowała rozmówcy Frazera.

— Chyba nie wątpisz, że tak jest.

— Podejrzewam, że po drugiej stronie linii czaił się raczej jakiś drapieżnik, a nie ofiara.

— Spójrz na to logicznie.

— Cierpliwości. Czy Frazer połknie haczyk?

— Zdaj się na mnie. Poinformuję cię.

Cassie przysła do pracy za dwadzieścia dziewięć, minęła gabinet Richardсона i skierowała się do swojego pokoju. Idąc korytarzem, skinęła głową w stronę szefa, a on zamaszczonym ruchem ręki zaprosił Cassie do środka. Weszła do gabinetu, usiadła i usłyszała, jak mówi przez telefon:

— Robie, Cassie właśnie przysła. Przełączę cię na głośnik, dobrze? — W

porządku — rozległ się głos Frazera, chłodny i beznamiętny. —

Dzień dobry, Cassie.

Dzień dobry, Robie.

Właśnie mówiłem Johnowi, że ten interes, który mi zaproponowałaś, wydaje się niezwykle obiecujący. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej. To jasne, że, w tej chwili nie mogę się zdeklarować, ale jeśli transakcja okaże się tak dobra, jak się wydaje, możesz na mnie liczyć.

— Doskonale — odparł Richardson uśmiechając się do Cassie. — Zabierzemy się do opracowania szczegółów.

— A przy okazji, jaka byłaby wasza rola i kogo byście reprezentowali?

Richardson odwrócił się do Cassie, która pochyliła się nad biurkiem, w stronę mikrofonu.

— Bylibyśmy wspólnymi inwestorami, wraz z tobą i z Ewą. Zdecydowaliśmy, że najlepszym posunięciem byłaby emisja praw poboru lub przejęcie. Razem byśmy zajęli się organizacją dokumentacją podziałem pracy, dobraniem doradców zagranicznych i podobnymi problemami, choć jestem pewna, że część spraw chciałbyś wziąć w swoje ręce.

— Och, tego rodzaju działanie pozostawiłbym wam — skłamał Frazer, zadowolony, że Cassie mu o tym przypomniała. — W końcu jesteście porządnymi, staromodnymi bankierami kupieckimi, ludźmi ułatwiającymi działanie, biznesmenami i ryzykantami. Nie reprezentujecie jakiegoś zbyt prawowitego działu odsetkowego.

— Zajmujemy się wszystkim, nieprawdaż, Cass?

— Jeśli perspektywy są obiecujące.

— Zadzwońcie do mnie niedługo — powiedział Frazer. — Jeżeli mamy się za to zabrać, to zabierajmy się szybko.

— Jak do tej pory wszystko idzie gładko — powiedział Richardson przerywając połączenie.

— Mm. — Cassie była zatopiona w myślach.

— O co chodzi?

— Och, o nic. Zastanawiałam się tylko, czy nie czas odwiedzić Owena Quaida.

— Faktycznie, chyba czas. Nie możemy posuwać się zbyt daleko, dopóki nie będziemy zupełnie pewni twojej przyjaciółki Ewy, prawda?

Cassie położyła dłonie na stole i przyglądała się swoim palcom.

— Prawda.

— Jak dobrze ją znasz? — Richardson zadawał to pytanie już kilkakrotnie. Cassie знаła metody postępowania szefa. Wydobywał różne informacje, ciągle zadając to samo, niewinne pytanie.

— A jak dobrze można kogoś znać? Wydaje mi się, że sporo o mej wiem. Jest pojętna, inteligentna, rezolutna, ma dużo energii. Potrafi być chłodna i racjonalna, jak również zapalczywa. Wczoraj wyszły na jaw obydwie te cechy. To było niesamowite, ta transformacja, ta jej przemiana.

— W stosunku do Frazera była chłodna, prawda?

— Chłodna? Nie widziałeś jej na początku spotkania? Zdawała się dla niego błyszczeć, roztoczyła cały swój urok.

— Jest piękną kobietą.

— Ale nigdy jej takiej nie widziałam. Nigdy nie widziałam, żeby była umalowana, miała na sobie biżuterię czy elegancki strój.

— Musiała się przecież szykownie ubrać na to spotkanie.

— Raczej się przebrała, niż ubrała. A potem ta sztuczka z diamentem.

— To było niezłe. Mam nadzieję, że Ewa wkrótce powiadomi oficjalnie giełdę o znalezieniu diamentów.

— Och, jestem tego pewna.

— Istnieją pewne zasady, Cass.

— Tak, wiem, że istnieją. A Ewa będzie potrafiła właściwie się do nich odnieść.

— Przestrzegać ich.

— To co innego. Hej, daj spokój — powiedziała, widząc, jak Richardson marszczy brwi. — Nie istnieje coś takiego jak klient idealny. Zawsze musi być jakaś skaza, prawda?

— Tak sędzę — odparł Richardson, zastanawiając się, jaka tkwi w nim i w Cassie.

— Ewa jest jak odwrócona karta — ciągnęła dalej Cassie — ale Frazer jest taki sam.

Dobrze się dobrali. Tylko musimy ich kontrolować.

— Myślisz, że temu podołasz?

— Przekonamy się.

Cassie wróciła do swojego gabinetu i zamknęła drzwi. Wykręciła numer Owena Quaida i oparła się wygodnie, czekając, aż usłyszy jego głos.

— Quaid. — Ze słuchawki dobiegał szum ruchu ulicznego. Owen szedł przez Berkeley Square.

— Owen, Case Reed oficjalnie potrzebuje twoich usług. Możesz do mnie wpaść?

Uśmiechnął się w stronę słońca.

— Dokąd? Do biura?

— Miejsce dobre, jak każde inne.

— Znam lepsze.

— Pomysłowość prywatnego szpicla. Jestem pewna, że znasz lepsze, ale poprzestaniemy na biurze. O drugiej, dziś po południu.

— Tobie zawsze się spieszy, Cass. Nic jutro, nie za tydzień. Dziwię się, że nie poprosiłaś mnie, żebym przyszedł od razu.

— Dobrze. Możesz przyjść od razu.

— Do zobaczenia o drugiej. Ze mną nie tak łatwo. — Wyłączył się, zanim zdążyła jeszcze coś dodać.

Robie Frazer przeprowadził krótką rozmowę telefoniczną ze swojego gabinetu przy Wilton Place. Nie zadał sobie trudu, żeby się przedstawić.

— Dowiedz się wszystkiego, czego zdołasz, o młodej Angielce, Ewie Cunningham.

Mieszka w Londynie. I o banku, który nazywa się Case Reed. Skup się na dwóch osobach, na Johnie Richardsonie i Cassandrze Stewart.

Oczekuję codziennie nowych danych. Zamknij sprawę, jak już nie będzie żadnych rewelacji.

Owen Quaid słuchał słów Frazera z cichym przerażeniem. Pozwolił sobie na krótką chwilę milczenia. Dłuższa wzbudziłaby podejrzenia. Jakikolwiek wahanie było niepożądane, ale potrzebny był mu ten ułamek sekundy, żeby pomyśleć, przeanalizować możliwości wyboru, pierwszeństwo lojalności. Nie ma czasu.

Instynkt odpowiedział za niego.

— Zajmę się tym. — Quaid wyłączył telefon, skrzywił się i zaklął siarczyście.

Frazer odłożył słuchawkę i natychmiast wykręcił następny numer.

— Ewo, dzień dobry. Jak się masz?

Jego głos brzmiał beztrosko, żartobliwie, Frazer był obrzydliwie pewny siebie. Ewa odparła bez zastanowienia: — Nieźle, nieźle. — Skryła swój niesmak i pogardę dla jego arogancji i zbytnej poufałości. Ośmielił się nie przedstawić; przyjął, iż Ewa pozna głos rozmówcy, że wyobrażała sobie jego dźwięk, czekała na telefon.

— Zastanawiałem się, czy nie chciałabyś zjeść dzisiaj ze mną kolacji.

— Dzisiaj? — Ewa nie mogła oprzeć się pokusie bycia wyniosłą. Uśmiechnęła się do siebie i nie powiedziała nic więcej.

— Nie wydałaś mi się typem osoby, która miesiące naprzód zapełnia kalendarz terminami przyjęć i wieczorków dobroczynnych. Chyba jesteś bardziej spontaniczna. — Ostatnie zdanie zabrzmiało komicznie i Ewa musiała się roześmiać.

— Touché. To czyni z nas obojga osoby spontaniczne.

— Och, ja na pewno taki jestem, nie sądzisz?

— Bardziej niż ja — odparła bezbarwnym głosem.

— No proszę, udzielono mi reprimendy. Więc mogę po ciebie przyjechać około dziewiątej?

— Nie, dziękuję. Sama przyjdę. — Nie chciała, by zbliżał się na mniej niż sto kroków do jej domu.

— Jak wolisz. W takim razie do zobaczenia o dziewiątej. — Odłożył słuchawkę mamrocząc: — Trudna dziwka.

Ewa zmarszczyła brwi i zapaliła papierosa, wciągając dym głęboko do płuc.

Poczuła, jak zalewa ją fala goryczy. Nie mogła tego zrobić jako jedna osoba. Będzie musiała się przeistoczyć, stać się kimś innym, przyjąć inną rolę. Wstała z krzesła i podeszła do lustra w holu. Odgarnęła włosy z twarzy, odwróciła powoli głowę w jedną i w drugą stronę i beznamiętnie przyjrzała się swemu odbiciu, jakby patrzyła na kogoś obcego.

Rozdział 14

Andrew Stormont przybył do Krzyża Vauxhallu o dziewiątej. Gdy wchodził, pozdrowił Elsę, swoją sekretarkę.

— Dzień dobry, Elso. Czy mogłabyś poprosić Adena, żeby do mnie przyszedł?

— Dzień dobry, Andrew. Już po niego idę. Aden pojawił się minutę później.

— Jakież nowości? — spytał stając w drzwiach. Zajął miejsce naprzeciw szefa.

Systematyczny z natury, w obecności przełożonego starał się zachowywać powściągliwe. Stormont zdecydował, że w pracy nie będą bawili się w uprzejmości, i takie postępowanie Adena było pewną formą obrony przed tą decyzją. Szef potrafił

być rozmowny i czarujący, ale nigdy nie zachowywał się tak w towarzystwie Adena.

Stormont upił łyk przyniesionej właśnie przez Elsę kawy; gorzkiej, mocnej, podanej w filiżance z chińskiej porcelany.

— Chcesz też? — brodą wskazał filiżankę.

— Nie, dziękuję. Sensacje żołądkowe.

Stormont skrył uśmiech i pochylił się nad kawą. Powściągliwość Adena zawsze zdawała się wymuszona. Jednak wszystko było lepsze niż nie kończąca się paplanina, z jakiej zastępca Stormonta słynął, kiedy zaczął dla niego pracować.

Andrew nie przepadał za Adenem, ale szanował jego umiejętności. Giles był

dokładny, staranny. Styl pracy Stormonta był bardziej spontaniczny i, czego Andrew był świadomy, nie pozbawiony wad.

— Nowe wieści. Ewa zadzwoniła do mnie dziś rano. Wczoraj, po spotkaniu, pojechała z Frazerem do jego domu i spała z nim.

— Poważnie? Łatwo poszło.

Stormont siedział ze spokojnym, niemal groźnym wyrazem twarzy. — Wcale niełatwo. Wiesz równie dobrze jak ja, ile musiało to Ewę kosztować.

— Nie sądzę, żeby specjalnie się poświęcała, Andrew.

— Może nie. Ale to nie umniejsza faktu, że jest cholernie dobra.

— Albo cholernie zła.

Stormont popatrzył na niego bez słowa. Aden szybko podniósł rękę.

— Tylko żartuję.

Stormont ciągnął dalej, monotonnym głosem:

— Nawiązała kontakt, znalazła wejście. Wydaje jej się, że groził komuś przez telefon.

— Znamy treść rozmowy?

— Nie. Nie znamy.

— Musimy się dowiedzieć czegoś więcej, prawda?

— Tak — odparł Stormont, zamyślony. Patrzył na Adena, jakby przyglądał się musze utopionej w whisky. — Carew nie podpisze zezwolenia na byle jakiej podstawie. — Carew był sekretarzem spraw zagranicznych. Jego podpis był

konieczny na podaniach TSW o zezwolenie na podsłuch rozmów telefonicznych.

Stormont ciągnął dalej:

— Nic pójdę do Carewa, dopóki nie będziemy pewni, że otrzymamy jego zgodę. Nie będą się palili do założenia podsłuchu u człowieka o pozycji Frazera — filaru śmietanki towarzyskiej, multimilionera, hojnego patrona Fundacji Thatcherowskiej.

Będą żądali udokumentowania poważnych wykroczeń.

Aden odezwał się z należyтым wahaniem:

— Zawsze możemy wybrać inne wyjście — wykorzystać kogoś niezależnego, kogo można się wyprzeć.

— Wolałbym tego nie robić, przynajmniej na razie. I tak już się narażamy nastając na Frazera. Lepiej postępujemy zgodnie z przepisami, na wszelki wypadek, gdyby wszystko wzięło w łeb.

— Sądzisz, że istnieje takie prawdopodobieństwo?

— Kto wie? Ścieżka, która wiedzie do Frazera, nie jest dobrze wydeptana. Może prowadzić w różne

strony. Na razie potrzebny jest nam materiał. Ale zdobędziemy go. Ewa go zdobędzie.

— Masz do niej ogromne zaufanie.

Stormont spojrzął przed siebie nic widzącym wzrokiem i Aden wiedział, że przez kilka sekund szef był nieobecny myślami. Stormont skupił się na jakimś odległym wspomnieniu, które przez parę chwil zdawało się całkowicie go zaprzętać. Nagle odwrócił się do Adena i powiedział ostro:

- Mam do niej ogromne zaufanie. I tak, dostarczy nam materiału.

— Jeśli nie straci głowy.

— Gdyby miała stracić głowę, nie sądzisz, że stałoby się to już dawno temu?

Aden odwrócił wzrok.

Rozdział 15

Cassie Stewart przechyliła się na bok i przeglądała regał pełen teczek w obszernej służbowej bibliotece Case Reed. Po pięciu minutach chwyciła aktówkę z dolnej półki: GV, Polityka wprowadzania firm i instrukcje^ postępowania na giełdzie w Vancouver.

— Świetnie — wymamrotała, niosąc akta do swojego gabinetu, jak trofeum wojenne.

Przez pełną godzinę czytała w skupieniu, pochłonięta lekturą. Następnie z trzaskiem zamknęła teczkę, wstała i z przebiegłym uśmiechem na twarzy udała się do gabinetu Johna Richardsona.

— John, obmyśliłam strategię działania dla „Geniusza”. Jeśli zaakceptujesz ten plan, chciałabym skontaktować się z jakimś maklerem w Vancouver i przedstawić mu go.

— Nie marnujesz czasu, co? No dobrze, mów.

Richardson słuchał z niemym podziwem, podczas gdy Cassie przedstawiała swój plan.

— Moim zdaniem jest dobry powiedział, gdy skończyła — ale masz rację, będziesz musiała skonsultować go z jakimś fachowcem z Vancouver i potrzebny jest nam makler. W zasadzie, to znam odpowiedniego człowieka. Jest mi winien przysługę lub dwie. Facet nazywa się Sam Brimton. Profesjonalista, zna wszystkich na rynku. Zbił fortunę. Bardzo bystry. Będziesz musiała na niego trochę uważać.

— Nie martw się.

Richardson rzucił Cassie szybkie, ostrzegawcze spojrzenie.

— Zadzwoń do Brimtona zaraz po lunchu. Dla niego będzie to sam początek dnia.

Powiem Brimtonowi, żeby oczekiwał telefonu od ciebie. — Zapisał numer na małej żółtej kartce i

podał Cassie, która schowała notatkę do kieszeni.

— Dziękuję, John. — Zakończyła szybko rozmowę, by nie wysłuchiwać kolejnych ostrzeżeń.

Gdy Cassie znalazła się z powrotem w swoim gabinecie, zadzwoniła do Ewy.

— Ewa, tu Cassie. Jak się masz?

— Cześć, Cass. Świetnie, cudownie, siedzę w pokoju zalanym słońcem i jem obfite śniadanie. — Przerwała, żeby przełknąć. — Czy może być coś lepszego?

— Chyba nie. Szczęściara. Posłuchaj, Robie Frazer zadzwonił dziś rano, powiedział, że jest zainteresowany sprawą jeśli przyjmimy odpowiednią strategię, zacznemy szybko działać — wiesz, raporty geologiczne, ocena projektu, tego rodzaju sprawy. Naprawdę musiałś wywrzeć na nim wrażenie.

Ewa roześmiała się w duchu i gdy się odezwała, w jej głosie brzmiał prawdziwy entuzjazm.

— To cudownie, wspaniale. Więc co teraz robimy?

— Musimy opracować strategię, biznes-plan, razem, we dwie. Chcę stać się ekspertem w dziedzinie diamentów.

— To pestka.

— Co teraz robisz?

— Poza tym, że jem śniadanie, niewiele. Dlaczego pytasz?

— Mogłabyś wpaść przed południem? Od razu weźmy się do dzieła.

— Tak, jasne. — Ewa zerknęła na zegarek: dziesiąta piętnaście. — Wyjdę za jakieś czterdzieści pięć minut.

— A więc, do zobaczenia.

Dziwna jest kolej rzeczy, pomyślała Cassie. Ewa jako przedsiębiorca. To niemal nieprawdopodobne, a jednak przyjaciółka była tak zaangażowana.

Ewa zostawiła nie dojedzone śniadanie, udała się do sypialni, przebrała w długą świetnie skrojoną czarną suknię z płótna i włożyła pasujące do niej pantofle.

Rozczesała włosy, związała je z tyłu, chwyciła raporty geologiczne oraz różne dokumenty dotyczące projektu, które dał jej McA-dam, i wyszła do Case Reed.

Pół godziny później pojawiła się w gabinecie Cassie. Przyjaciółka pracowała, pogrążona w myślach. Ewa weszła niepostrzeżenie. Przyjrzała się Cassie — była taka skupiona i poważna, gdy pochylała

się nad jakimiś papierami na biurku. Usta miała wygięte w lekkim uśmiechu, który jaśniał również w jej oczach. Przez krótką chwilę Ewa pozazdrościła Cassie jej niezależności i wolności. Uśmiechnęła się i podeszła do biurka.

Cassie podniosła wzrok i zerwała się z miejsca.

— Ewa, cześć. Pocałowały się.

— Cudownie, że Frazer połknął nasz haczyk, prawda? — powiedziała Cassie. —

Dobra robota.

— Mhm. Świetna. Ale jeszcze musimy dołożyć starań, żeby się z niego nie zerwał.

— Postaramy się. — Przerwała. — Naprawdę musiałaś wywrzeć na nim wrażenie.

Ewa dostrzegła żartobliwe iskierki w oczach przyjaciółki. Zbyła komentarz lekkim wzruszeniem ramion.

— Przy okazji — ciągnęła Cassie — przepraszam, że nie pogadałam z tobą wcześniej na temat tego spotkania. Miałam taki zamiar, ale czułam, że przeszkadzam tobie i twojemu przyjacielowi, Stormontowi.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Och, nie wiem. Nie jest chyba twoim kochankiem?

— Skoro już pytasz, nie. Dlaczego? Powinien nim być?

— Jest atrakcyjny.

— Jest wielu atrakcyjnych mężczyzn.

— On wyjątkowo.

— Spodobał ci się, co, Cassie?

— Nie przyprawił mnie o bezsenność.

To dobrze, pomyślała Ewa. Kontynuowała szybko.

— No i co zrobimy w Frazerem? Jaki będzie następny krok?

— Obmyśliliśmy taki błyskotliwy plan, że będzie musiał na niego przystać. —

Cassie wyraźnie się ożywiła.

— Powiedz mi, co powinniśmy zrobić.

Cassie przysunęła krzesło od swojego biurka i usiadła obok Ewy.

— Potrzebny nam jest zgrabny, zwięzły biznes-plan, historia projektu, kopie licencji od rządu wietnamskiego, kopie wyników przeprowadzonych testów, szczegóły dotyczące zgromadzonych funduszy, ustalenie ile pieniędzy zostało wydanych, na co, ile pozostało jeszcze w firmie, co masz zamiar z nimi zrobić oraz ile będzie kosztowało pobranie zasadniczych próbek i budowa kopalni, jeśli do tego dojdzie.

Należy też oszacować koszty innych inwestycji niezbędnych, żeby pchnąć tę sprawę na właściwe tory. Potem musimy ustalić strategię. Jak planujemy przejąć przedsiębiorstwo, ile to będzie kosztowało? Zaproponujemy różne rozwiązania.

Gdyby próbki zasadnicze okazały się cenne, możemy na tym etapie odsprzedać akcje jednej z dużych firm wydobywczych. Możemy sprzedać wszystkie udziały albo tylko ich część. Są różne opcje. I będziemy musieli wspomnieć nieco o przemyśle diamentowym, o kartelu, o dystrybucji, napomknąć, w jaki sposób diamenty będą sprzedawane. Ewa wiedziała dokładnie, jak należy działać. Została solidnie przeszkolona podczas krótkiego wprowadzenia w świat finansów, które Stormont zaaranżował dla niej w tajemnicy. Siedziała jednak nieporuszona, pod wrażeniem kompetencji Cassie. — Żadnych gadek o sprzedaży? Żadnych przewidywań zysków, ile pieniędzy możemy zarobić?

— Tak robią wszystkie wielkie banki. Produkują ryzyko papieru z bezwartościowymi kalkulacjami na przyszłość. Frazer by nas wyśmiał. Nikt nie ma pojęcia, jak to przedsięwzięcie się powiedzie. Możemy na nim

zbić majątek, albo możemy go stracić. Nie wiemy. Na tym polega natura ryzyka.

Uprawiamy hazard. Nie ma sensu udawać, że jest inaczej.

Ewa pomyślała, że ani Cassie, ani Frazer nie znają prawdziwego oblicza tego hazardu. Może, na dobrą sprawę, ona sama też go nie znała.

— Caveat emptor — strzeżcie się nabywcy. Więc co dalej? Zakładając, że Frazer się zgodzi, co robimy?

— Przejmujemy firmę.

— W jaki sposób?

— Wystosujemy do Wydziału Rejestrów Giełdowych w Vancouver notę z czymś, co się nazywa giełdową ofertą przejęcia. Następnie giełda dokona przeglądu rynku, żeby sprawdzić, czy to nie jest jakiś lewy interes.

— Jak na przykład?

— Handel wewnętrzny.

— No więc nie jest lewy.

— Niekoniecznie. Jeśli ktoś angażuje się w jakiś śliski interes, powinien to zrobić, zanim nota zostanie wysłana na giełdę.

— Aha — powiedziała Ewa. — Rozumiem.

— Tylko żartuję — odparła Cassie. — Więc — ciągnęła bardziej trzeźwo — giełda przyjmuje notę i oferta przejęcia wpływa na rynek.

— Ile zaproponujemy za akcje? Jak myślisz, ile są warte?

— To nieistotne, ile są warte. Zaproponujemy wystarczająco dużo, żeby zaspokoić chciwość ludzi, ale tyle, żeby nie wzbudzić ich podejrzeń. Jeśli przed przejęciem akcje będą po cztery dolary, zaproponujemy sześć. To powinno wystarczyć.

— A jeżeli ktoś jeszcze zdecyduje się licytować, gdy zobaczy, że firma ruszyła?

— Po pierwsze, ty jesteś dyrektorem „Geniusza”. Zarekomendujesz innym akcjonariuszom przyjęcie naszej oferty. To się wiąże z pewnymi konsekwencjami.

A po drugie, ty i Mc Adam razem macie dwadzieścia pięć procent. To daje nam całkiem niezły start.

— Niezupełnie. Nie liczyłabym na to, że McAdam stanie po mojej stronie.

— Dlaczego nie?

— Trochę zdziwaczał po pobycie w Wietnamie, po tym więzieniu. Nasze ścieżki się rozeszły.

- Czy to sprawa publiczna? Ludzie o tym wiedzą? Ewa przytaknęła.

A czy McAdam wie o twoim pragnieniu, żeby „Geniusz” został przejęty? Jest świadom, że się z nami skontaktowałaś?

— Nie. O tym nic nie wie.

— Doskonale — stwierdziła Cassie ku zaskoczeniu Ewy. — Możemy to obrócić na naszą korzyść. W ten sposób, że McAdam nie jest stroną współdziałającą, kimś, kto jest twoim współnikiem. To bardzo zmienia sprawę, ponieważ gdybyśmy połączyli twoje i jego udziały, gdyby był

stroną współdziałającą ani ty, ani my nie moglibyśmy kupić więcej akcji „Geniusza”

bez uruchomienia oferty przejęcia. Zasady mówią że jeśli jakiegokolwiek nabycie skupia w rękach akcjonariusza lub strony współdziałającej dwadzieścia pięć procent akcji lub więcej, wtedy konieczne jest zastosowanie oferty przejęcia. Twoje posiadanie dziesięciu procent oznacza, że my i Robie Frazer możemy kupić, łącznie, do dziesięciu procent „Geniusza”, zanim wystąpimy z ofertą.

— Ale skąd potrzeba skupienia większej liczby akcji przed wystosowaniem oferty?

— Są dwa powody. Jak mówiłam, daje nam to na starcie przewagę nad innymi potencjalnymi kupcami i niemal na pewno mniej zapłacimy za akcje, które kupimy przed ofertą niż za te, które nabędziemy później. Po ogłoszeniu oferty przejęcia ceny akcji niezmiennie wzrastają.

— Więc kto nabędzie akcje, zanim wysuniemy ofertę?

— Case Reed i Robie Frazer kupią pięć procent. Wówczas, gdy dwadzieścia procent będzie w naszych rękach, złożymy naszą ofertę na pozostałe osiemdziesiąt procent.

— Jak to będzie wyglądało w praktyce?

— Case Reed i Frazer założą prywatną firmę, żeby wysunąć ofertę. Będziemy współwłaścicielami firmy, pół na pół. Wtedy, gdy już wykupimy akcje, wymienisz swoją część „Geniusza” na dziesięć procent nowej firmy. Wówczas Frazer i Case Reed będą mieli po czterdzieści procent, a ty znajdziesz się w posiadaniu dziesięciu.

Ilości procentowe mogą się wahać zależnie od tego, ile akcji „Geniusza” uda nam się skupić, ale tak się mniej więcej przedstawiają.

— Wydaje się to dość proste.

— Tak, teoretycznie. Może zrobić się trochę gorąco. Zawsze tak się dzieje. Ale poradzimy sobie z tym, gdyby zaszła konieczność. Przede wszystkim musimy sporządzić biznes-plan, wysłać go Frazerowi, wezwać Tai Pana na spotkanie, namówić, żeby na wszystko przystał, i zacząć skupować akcje.

— Jak już przy tym jesteśmy — spytała Ewa — czy wprowadzicie w to jeszcze kogoś?

— Wolałabym nie. Zrobiłby się tłok, zbyt wiele osób by się wtrącało. — Cassie uśmiechnęła się. — Może zainwestuję część swoich własnych pieniędzy, jeśli nie będzie ci przeszkadzało, że jestem współinwestorką.

— O ile nie boisz się ryzyka.

— Skoro Case Reed się nie obawia...

— Ale w przypadku Case Reed to są pieniądze kogoś innego. Cassie zastanowiła się przez moment.

— Chcesz mi powiedzieć, że nie powinnam w to inwestować własnych pieniędzy?

— Oczywiście, że nie. Tylko nie inwestuj więcej, niż możesz pozwolić sobie stracić.

— Ewo, jak na pomysłodawczynię tej transakcji, nagle zachowujesz się bardzo asekuracyjnie.

— Jesteś moją dobrą przyjaciółką, Cassie. Wierzę w ten interes, ale wiem, jak ogromne jest ryzyko.

— Zaryzykuję, chyba że próbujesz mi powiedzieć, że me powinienam.

— Nie, Cass. Nie próbuję. Śmiało. Zainwestuj swoje pieniądze.

— Tak zrobię.

Cassie odniosła wrażenie, że Ewa uśmiechnęła się niemal smutno. Poderwała się z miejsca.

— Muszę iść do toalety. Zaraz wracam.

Ewa patrzyła, jak Cassie znika. Starła się zachować obojętny wyraz twarzy.

Rozejrzała się dyskretnie dookoła, świadoma, że tuż obok, w sąsiednim pomieszczeniu, siedzi sekretarka Cassie. Ewa nie zauważyła niczego ciekawego.

Telefon dzwonił nieustannie. Sekretarka odebrała go u siebie w chwili, gdy Cassie stanęła w drzwiach.

— To Andre w Stormont, do pani.

Ewa zeszywniała. Sekretarka mówiła cicho, ale Ewa słyszała każde słowo.

Dostrzegła, że Cassie zerknęła na nią ukradkiem. Następnie wyjęła słuchawkę z rąk sekretarki.

Cassie mówiła spokojnie, cicho, ale można było rozróżnić poszczególne słowa.

Wydawała się miło zaskoczona.

— Och, witam. — Słuchała przez chwilę, po czym powiedziała: — Nie będę miała wiele czasu. W porządku. Tutaj, za kwadrans pierwsza, w takim razie do zobaczenia. — Odłożyła słuchawkę i wróciła do gabinetu.

Ewa zauważyła, że Cassie stara się kontrolować wyraz swojej pięknej, na ogół szczerzej twarzy. A więc rozgrywki dopiero się zaczynają.

Rozdział 16

Ponad godzinę zajęło przyjaciółkom sporządzanie dokumentów. Emma zaczęła je przepisywać na maszynie i robić kopie wszelkich licencji oraz wyników badań geologicznych. Ewa ociągała się z wyjściem tak długo, jak tylko mogła, dając Cassie szansę, żeby powiedziała jej o spotkaniu ze Stormontem.

O wpół do pierwszej Cassie spojrzała na zegarek.

— Muszę wykonać kilka zaległych telefonów. Właściwie już skończyłyśmy. Jeśli będę miała coś nowego, zadzwonię do ciebie.

— Jasne — powiedziała Ewa, marszcząc lekko czoło z rozczarowania i ociągając się chwilę.

Cassie zaczęła składać swoje papiery. Ewa podniosła się z prawdziwą niechęcią.

— Dobrze — odezwała się, przerywając krótką ciszę. — Pracowita dziewczyna.

Zostawiam cię twojemu zajęciu. Pójdę pospacerować w słońcu, kupię kilka ciuchów, zjem lunch; będę robiła to, czym zajmują się niepracujące damy.

— Ciesz się tym — odparła Cassie, która najwyraźniej nie potraktowała komentarza przyjaciółki jako uszczypliwości pod swoim adresem. — To już długo nie potrwa. A przy okazji, czy jesteś zadowolona z transakcji, z mojego planu?

— Bardzo pomysłowy. Jestem zadowolona.

Ewa wyszła szybko na Savile Row. Kupiła w kiosku „Standard” i skierowała się do kawiarni przy Clifford Street, wybierając miejsce, które pozwoliłoby jej na obserwację wejścia do Case Reed. Zerknęła na nie sponad rozpostartej gazety.

Stormont pojawił się o dwunastej czterdzieści pięć. Niósł dużą torbę ze sklepu

„Fortnum & Mason”. Ewa po raz pierwszy patrzyła na niego okiem postronnego obserwatora.

W Case Reed recepcjonistka zaanonsowała przybycie Stormonta. Cassie otworzyła torebkę i wyjęła ze srebrnego pudełka małe ręczne lustro.

Uczesała swoje długie, ładne włosy i umalowała usta. Przez chwilę przyglądała się sobie, następnie zamknęła pudełeczko, natarła skronie perfumami i zeszła do gościa.

Stormont czekał odwrócony do Cassie plecami, przyglądał się jednemu z obrazów, które ozdabiały ściany. Patrzyła na jego muskularną sylwetkę. Z całej postawy Stormonta emanowała pewność i swoboda. Podeszła cicho i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ramienia mężczyzny. Świadom jej obecności, w tym samym momencie zaczął się odwracać, żeby spojrzeć Cassie w oczy. Cofnęła dłoń. Uśmiechnęli się.

Stormont pochylił się, by pocałować Cassie w obydwie policzki. Włosy kobiety delikatnie musnęły mu twarz.

— Cassie, wspaniale cię widzieć. Tak się cieszę, że udało mi się na chwilę odciągnąć cię od zajęć.

Uśmiechnęła się.

Skinął głową w stronę torby.

— Mam kilka rzeczy z „Fortnum”. Pomyślałem, że to ładny dzień na piknik. Lepiej i szybciej niż w restauracji, skoro już udało ci się wygospodarować nieco czasu.

— To cudowny pomysł.

Wyszli z Case Reed na słońce odbijające się świetliście od chodnika. Ewa obserwowała ich po drugiej stronie ulicy. Zauważyła, że oboje są bardzo ożywieni, a ich ciała chylały się nieznacznie ku sobie. Patrzyła, dopóki nie zniknęli z pola widzenia, po czym odłożyła gazetę i wyszła z kawiarni, udając się szybkim krokiem w przeciwną stronę.

Cassie i Stormont poszli do Hyde Parku. Cassie usiadła i oparła się o pień dużego drzewa. Stormont na wół siedział, na wół leżał naprzeciwko niej. Ściągnął

marynarkę, poluzował krawat. Ona zdjęła swój granatowy płócienny żakiet, pod którym miała prostą granatową sukienkę bez rękawów, sięgającą ponad kolana, ale wysoko odsłaniającą uda, kiedy siedziała. Stormont patrzył na Cassie, gdy się wierciła, szukając najwygodniejszej pozycji.

Cassie wydawała się kompletnie nieświadoma, że Stormont ją obserwuje. W pewnej chwili podniosła wzrok i odwzajemniła jego uśmiech, dając Stormontowi do zrozumienia, że doskonale zdaje sobie sprawę, iż się jej przygląda. Uśmiech Cassie mówił: świetnie, nie krępuj się. Stormont poczuł, że krew szybciej krąży w jego żyłach. Otworzył butelkę szampana z winnic Taittinger i napełnił dwa wysokie kieliszki.

Jesteś dobrze przygotowany — stwierdziła Cassie podnosząc szampana do ust.

Och, to nie wszystko — powiedział wyjmując pasztet z gęsich wątróbek, wędzonego łososia i sałatkę.

Jedli przez pewien czas w skupieniu, delektując się tą chwilą i rozmyślając, co jest im pisane.

— Ciekawy pomysł — odezwała się Cassie unosząc brwi.

— Co?

— Piknik, zamiast obiadu w ciemnej restauracji.

Stormont znów poczuł się przyjemnie zaskoczony jej bezpretensjonalnością, otwartą akceptacją tych skromnych awansów.

— A chciałabyś zjeść kolację w ciemnej restauracji? — Pochylił się w stronę Cassie zaglądając jej głęboko w oczy.

Odwróciła wzrok.

— Zobaczymy. — Po chwili odezwała się: — Więc jak się poznaliście z Ewą?

— Nasze rodziny przyjaźnią się od dawna. Poznałem Ewę, gdy miała jakieś trzy lata. — Przerwał.

— To już szmat czasu.

Cassie nie skomentowała tej fałszywej śpiewki — strach przed starością co za wyświechtany frazes.

Patrzyła na silne, sprężyste ciało, na blask bijący z jego oczu.

Mijanie czasu, utrata sił zdawały się niesłusznymi obawami dla mężczyzny czterdziestoletniego, któremu wiek, z tego co widziała, jedynie dodawał

atrakcyjności. Był to niemożliwy do akceptacji, niegodziwy, wygodny, acz nieprzekonujący wybieg. Cassie spojrzała na zegarek i podniosła się z gracją.

— Muszę iść. Moje spotkanie... Zerwał się.

— Oczywiście. — Szybko uprzątnął pozostałości po pikniku. — Odprowadzę cię.

Stormont czuł, że Cassie nie życzy sobie jego towarzystwa. Była zatopiona w myślach, szła szybko, z rzadka na niego spoglądała. Zdawała się skupiona na sprawach, które nie miały ze Stormontem nic wspólnego. Przyływ nagłej, irracjonalnej zazdrości zaskoczył go przyjemnie.

Dotarli do Case Reed udając, że delektują się przyjacielską ciszą.

— W takim razie tutaj cię zostawię. — Spojrzał w jej piękne, niebieskie oczy, tak przejrzyste mimo tajemniczej zadumy. Znów poczuł dreszcz pożądania, silniejszy niż wcześniej.

Cassie, ożywiona własnymi myślami, popatrzyła Stormontowi w oczy. Odwróciła się ku niemu, gdy się pochylał, żeby ją pocałować. Chwycił Cassie za ramiona, nie wypuszczając po pocałunku, trzymając usta tuż przy jej twarzy. Szepnął Cassie do ucha:

— No i co z kolacją?

Uśmiechnęła się i nareszcie otrząsnęła z zadumy.

— Zgoda.

Stormont wypuścił Cassie ze swych ramion, a ona odwróciła się i weszła do środka.

Stormont patrzył, jak zatrzęsęły się za Cassie drzwi. Rozejrzał się uważnie, przeszedł z Savile Row na Clifford Street i wstąpił do kawiarni. Usiadł przy stoliku stojącym przy oknie i wziął do ręki „Standard”, który ktoś tam zostawił. Na wpół

zasłonięty, spoglądając ponad gazetą, zaczął obserwować ulicę.

Pojawiła się kelnerka z uprzejmym uśmiechem.

— Czym mogę panu służyć?

Machnął ręką, jakby chciał się jej pozbyć, ale się opanował i złożył zamówienie.

— Dużą kawę. Kelnerka chciała zaproponować klientowi lunch, ale coś w spojrzeniu Stormonta ją powstrzymało. Spiesznie przyniosła gościowi kawę i zostawiła go w spokoju.

Była za pięć druga, pięć minut przed spotkaniem Cassie. Ruch pieszych przed Case Reed w porze lunchu był duży. Kilka sekretarek i paru pracowników wystukało kod przy drzwiach i weszło do środka. Stormont zauważył beznamiętny, znudzony wyraz ich twarzy.

Pięć po drugiej zobaczył, jak w stronę Case Reed idzie jakiś mężczyzna. Miał na sobie dżinsy i luźną kurtkę. Człowiek ten, z wyglądu trzydziestoletni, poruszał się z kocią zwinnością i gracją. Gdy się zbliżył, Stormont dostrzegł na jego twarzy ten sam tajemniczy uśmiech jaki nieco dyskretniej malował się dziesięć minut temu na obliczu Cassie. Mężczyzna zatrzymał się przed Case Reed i nacisnął dzwonek.

Czekał przez chwilę, odezwał się do interkomu, popchnął drzwi i zniknął w środku.

Stormont wstał, wyjął trzy jednofuntowe monety, zostawił je na stole i opuścił

kawiarnię. Przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w Savile Row, do swojego samochodu, w którym czekał kierowca.

Rozdział 17

Cassie siedziała w swoim gabinecie i czekała na Owena Quaida. Emma pojawiła się wraz z nim pięć po drugiej. Podszedł do Cassie z szerokim uśmiechem na ustach.

Cassie przyjrzała mu się, oceniając kurtkę, białą koszulę, dżinsy, skrywające, ale jednocześnie podkreślające walory tego znajomego, muskularnego ciała. Popatrzyła na twarz Quaida, na jego niebieskie oczy z odcieniem zieleni, na bujne ciemne włosy, nie przystrzyżone tak krótko jak u bankierów. Wzrok Cassie spoczął na ustach mężczyzny.

Wstała, gdy wszedł do gabinetu. Emma starała się skryć naganne spojrzenie, gdy Ouaid chwycił Cassie za ramiona, przyciągnął do siebie i pocałował namiętnie.

Cassie roześmiała się i po chwili odsunęła od niego. Krew uderzyła jej do głowy.

— Spocznij, proszę. — Z przesadną formalnością wskazała krzesło. Usiadł, z szeroko rozstawionymi kolanami, i pochylił się nad biurkiem, ku Cassie.

— Wyglądasz fantastycznie. — Jego akcent zdradzał, że miał matkę Amerykankę i dwadzieścia lat spędził w Nowym Orleanie, mimo że mieszkał w Anglii od dziesięciu lat, a jego ojciec był Brytyjczykiem.

Cassie pomyślała przez chwilę o Stormoncie, o jego salonowej rezerwie, i porównanie dwóch mężczyzn, ku jej zaskoczeniu, wypadło pomyślnie dla Quaida, który był człowiekiem niezwykle zdecydowanym. Jakaż swoboda po ospałym maruderstwie Stormonta oraz mężczyzn jego pokroju. Jednak Stormont, ze swoimi zmrużonymi oczami, ze spokojną elegancją również przypadł Cassie do gustu.

— Może się przejdziemy? — spytał Quaid niskim głosem. Cassie rozłożyła ręce.

— Nie mogę. Nie możemy.

Przyglądał jej się przez chwilę, Quaida cieszył widok Cassie, tak atrakcyjnej w eleganckiej sukience. Odetchnął głęboko.

— Dobrze. Interesy. Oddaję swoje profesjonalne usługi w twoje ręce. Czego ode mnie oczekujesz?

— Mamy nowe przedsięwzięcie, nowego kandydata.

Quaid patrzył na Cassie badawczo. W jej głosie brzmiało podniecenie; zawsze tak było, gdy rozkręcała nowy interes. Ale dzisiaj wyczuł w jej tonie coś więcej, lekkie wahanie, jakby rezerwę.

— Opowiedz mi o nim — powiedział czule.

Cassie zaskoczyła czułość Quaida, którą na ogół okazywał jedynie w łóżku.

— Chodzi o kobietę, którą znam. Byłyśmy przyjaciółkami w Oksfordzie. Nie widziałam jej przez całe lata, jednak wciąż jesteśmy koleżankami. To ona podsunęła nam ten wspaniały interes.

— Jak ta kobieta się nazywa?

— Ewa Cunningham.

Quaid sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów i zapalniczkę. Pochylił się nad płomieniem i podpalił papierosa skrywając twarz. Cassie poszła przynieść mu popielniczkę. Gdy wróciła, zaciągnął się głęboko.

— Co chcesz wiedzieć? — spytał.

— To co zawsze. Czym się zajmuje? Z kim się spotyka? Z kim rozmawia? Czy ma jakieś nałogi? Jeśli to się da ustalić, ile ma pieniędzy i na co je wydaje? Wiesz, to co zwykle — ucięła.

— Masz wyrzuty sumienia, prawda?

— Oczywiście, że tak. To moja przyjaciółka. Ale ten interes jest wystarczająco ryzykowny, żeby nie podejmować dodatkowo ryzyka osobistego. Ja znam Ewę, ale Case Reed jej nie zna. A poza tym, jak dobrze naprawdę zna się swoich przyjaciół, szczególnie tych, których nie widziało się od lat? Zrobiłabym wszystko, żeby tego uniknąć, ale nie mogę.

Quaid pozwolił jej mówić, kryjąc swój niepokój. Po chwili urwała i popatrzyła na niego. — Coś nie tak?

— Martwi mnie trochę to, co mówisz. Martwi ciebie, martwi i mnie. Sięgnęła ponad biurkiem i ścisnęła dłoń Quaida.

— Tak już jest. Będziemy musieli przez to przebrnąć. Przez chwilę się nie odzywał.

— Mogłabyś wynajść do tego kogoś innego. Może byłoby lepiej spojrzeć na sprawy z pewnego dystansu. — Troskliwie, delikatnie — to była odpowiednio wysunięta sugestia. Nadzieje Quaida były próżne.

Cassie potrząsnęła głową.

— Nie. Jeśli ktoś ma to zrobić, to chcę, żebyś to był ty.

Oddech zamarł mu w płucach i, wbrew własnej woli, ciężko wypuścił powietrze.

Cassie zaniepokojona podniosła wzrok. Z uwagą patrzyli na swoje zmartwione twarze.

— Co ci leży na żołądku, Owen? O co chodzi?

— Nie, nic. Nic poza tym, co mi powiedziałaś. To chyba aż nadto, nie sądzisz?

Cassie potrząsnęła głową. Cokolwiek to było, nie wydobędzie od Owena informacji.

Wiedziała, jak potrafi być uparty. Quaid ciągnął spieszenie dalej.

— Lepiej opowiedz mi, co to za interes. Wspomniałaś, że jest ryzykowny.

Wszystkie twoje interesy są ryzykowne, to wiem. Taki jest charakter twojej pracy.

Jednak szczególnie to podkreślałaś. O co chodzi?

— Masz rację. W tym wypadku lepiej będzie, żebyś wiedział. Myślimy o zainwestowaniu do spółki z biznesmenem z Hongkongu — może o nim słyszałaś, Robie Frazer — sporych pieniędzy w pewne przedsięwzięcie na Dalekim Wschodzie. Firma diamentowa w Wietnamie. — Cassie urwała, żeby sprawdzić reakcję Quaida. Wzrok miał utkwiony w Cassie, słuchał z uwagą. Opowiedziała mu wszystko o projekcie, o Ewie i Grangerze McAdamie. Gdy skończyła, przez chwilę zaniemówił.

— Cholera — odezwał się w końcu. — Do diabła, co to za interes? Cassie odparła zdecydowanie:

— Bardzo obiecujący interes. Potencjalnie szalenie dochodowy. Może przyćmić wszystko, co dotychczas zrobiliśmy.

— I chcesz pomóc starej przyjaciółce. Jak ona, do diabła, znalazła kopalnię diamentów w Wietnamie? Co tam robiła?

— To chyba nie jest twoja sprawa, prawda?

— Oczywiście, że jest i dobrze o tym wiesz. Jak mam zebrać dla ciebie wiarygodne informacje, jeśli nie posiadam żadnych danych? Czego oczekujesz? Ewa Cunningham dzisiaj wstała, zjadła śniadanie, przeprowadziła kilka rozmów telefonicznych, poszła do fryzjera, kupiła parę butów?

Patrzyli na siebie gniewnie ponad biurkiem. Po chwili inne uczucia wzięły górę i roześmiali się oboje cicho.

— Boże, co za bałagan — powiedziała Cassie.

— Faktycznie.

Znów Cassie dostrzegła przelotny grymas skrytej troski, który pojawił się na twarzy Quaida. Mężczyzna milczał przez chwilę.

— Ta transakcja jest dla ciebie ważna, prawda?

— Tak.

— No więc posłuchaj, co zrobimy. Przeprowadzę dochodzenie w sprawie Ewy Cunningham. Dostarczę raport, ustny i pisemny. Oszczędzę ci jakichkolwiek nieistotnych szczegółów osobistych, czegokolwiek, co byłoby żenujące, a nieważne dla sprawy. W porządku?

Cassie przytaknęła i czekała, co Quaid jeszcze powie.

— Tylko bądź ostrożna. Oboje musimy być ostrożni.

— Dlaczego? Co masz na myśli?

— Chyba nie chcesz, żeby Ewa się dowiedziała, że kazałaś ją szpiegować, prawda?

— Nie. Nie chcę.

— Więc nie możemy podejmować ryzyka, że zorientuje się, iż za nią chodzę, a potem, przy innej okazji, zobaczy nas razem.

Cassie poczuła nagłą słabość. Nigdy nie sądziła, że Quaid wyprze się jej znajomości.

— W porządku — powiedział, przyglądając się jej. — Wciąż możemy się spotykać.

Tylko będziemy musieli robić to bardzo dyskretnie.

Gdy znalazł się na ulicy, Quaid przeklął samego siebie. Przez wzgląd na Cassie i z uwagi na własne dobro powinien był odejść, nigdy więcej się z nią nie zobaczyć, przedstawić Cassie fikcyjny raport, rujnący opinię Ewy, niszczący całe przedsięwzięcie. Ale Quaid był do Cassie zbyt przywiązany. Jego uczucie było mieszaniną miłości, troski i chęci chronienia Cassie przed rzeczami, które były jej obce. Naszała go krótka, pocieszająca myśl. Może nie będzie musiał się trudzić, żeby zniszczyć Ewę. Przy odrobinie szczęścia ta kobieta i tak będzie zdemoralizowana do cna. Uznał to jednak za mało prawdopodobne. Ewa jest przyjaciółką Cassie, nie może być zepsuta.

Cassie stłumiła zdenerwowanie i starała się myśleć trzeźwo. Skupiła się na tym, co miała do zrobienia. Szybko wciągnęło ją opracowywanie fascynującej transakcji, stała się generałem w

spódnicy, siedzącym w swoim gabinecie i planującym finansową bitwę. Cassie postrzegala ją raczej jako grę. Najczęściej zwycięstwo przypadało w udziale temu, kto najkorzystniej nagiął zasady, nie wychodząc przy tym poza granice prawa. Ileż było miejsca na pomysłowość, kreatywność i podstęp.

To nie były jedynie cyfry na papierze. Wiele zależało od właściwego przewidzenia reakcji innych. Sama gra dostarczała tylko części ekscytujących przeżyć, drugą część stanowiły pieniądze w różnej postaci — tym razem przybierające formę drogich kamieni. Diamenty, mimo że jeszcze były w ziemi, błyszczały oślepiająco.

Cassie podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Sama Brimtona.

Sekretarka zrealizowała połączenie. W głosie Brimtona brzmiała ironia.

— Ach, to pani jest tą protegowaną Johna Richardsona, hmm?

— Tak, to ja.

— I chce pani zająć się rynkiem w Vancouver?

— Tak.

— Jak mogę pani pomóc?

— Potrzebny jest mi makler z Vancouver. Case Reed może kupić część pewnej firmy zajmującej się zasobami mineralnymi. Możliwe, że już za kilka dni. Potrzebny nam będzie również doradca w postaci banku kupieckiego. Jeśli zaistnieją sprzyjające okoliczności, w pewnym momencie być może będziemy chcieli przedłożyć ofertę wykupienia tej firmy.

— To, co przed chwilą usłyszałem, sprowadza się do tego, że nic mi pani nie powiedziała. Nie przekazała mi pani żadnej informacji.

— Dokładnie tyle zamierzałam panu powiedzieć. Pragnę również zapytać, czy nie zechciałby pan być naszym maklerem.

— Czułbym się zaszczycony.

— Świetnie. W takim razie umowa stoi. Teraz może mi pan powiedzieć, jako że oficjalnie jest pan naszym maklerem, czy mój projekt się nadaje. — Cassie pokrótce przedstawiła Brimtonowi strategię, jaką obrała z Richardsonem i z Ewą nie wymieniała jednak nazwy firmy.

— Moim zdaniem wygląda to nieźle.

— Za kilka dni odbędzie się zebranie, wszystkich przygotuję. Wtedy zatelefonuję do pana, podam nazwę firmy i wskazówki dotyczące skupowania akcji. W

międzyczasie musimy założyć panu konto. Może mógłby pan poprosić swoją asystentkę, żeby zadzwoniła do mojej i ustaliła szczegóły?

— Tak, zrobię to. — Przerwał na chwilę. — Niech pani posłucha, pani Stewart. Jeśli to wszystko ruszy, byłbym ostrożny. Nasz rynek nie jest taki jak w Londynie. Tutaj gra się dość drapieżnie, mamy różnego rodzaju operatorów pozbawionych skrupułów, masę manipulacji. Nie chciałbym, żeby się pani sparzyła. Proszę się upewnić, że wszystko pani wie o tej firmie, że ma pani jej pełny obraz. Nie powinna pani pozwolić, żeby ktoś wiedział więcej, rozpowszechnił plotki i manipulował

ceną. Tym ludziom wcale nie są potrzebne niepodważalne fakty. Wszystkie informacje są przekazywane szeptem, ale zanim ktokolwiek się zorientuje, że tak jest, może być za późno. Niech pani lepiej zadba, żeby się o swoich przeciwnikach wszystkiego dowiedzieć, łącznie z tym, jakiego koloru papieru toaletowego używają. — Brimton przerwał i dodał beztrząskko: — Oczywiście nie zaszkodziłoby, gdyby wszelkie złe wieści dotarły do pani, zanim wystąpić z ofertą przejęcia.

— Chyba nie sugeruje pan, że ktoś mógłby blankować, panie Brimton? — Kiedy spekulanci celowo rozpowszechniają złe, nieprawdziwe wieści o firmie, żeby kupić akcje, które sprzedali wcześniej po wyższej cenie, zwano to blankowaniem. Takie postępowanie naruszyło wszelkie zasady funkcjonowania giełdy, ale zyski, jakie można było dzięki niemu osiągnąć, skutecznie tłumili wszystkie skrupuły.

Brimton roześmiał się, ale w jego głosie brzmiało ostrzeżenie.

— Ależ niczego takiego nie sugeruję. Po prostu informuję panią o powszechnie stosowanych praktykach, to wszystko. Chcę, żeby pani poznała smak giełdy. Mamy tu wielu ludzi bez skrupułów, pani Stewart. Nie zawsze można prowadzić czystą walkę, jeśli chce się wyjść z niej zwycięsko.

— Dziękuję za ostrzeżenie.

— Jeśli chce pani działać serio, potrzebni będą pani przyjaciele tutaj, na miejscu.

— Dziękuję za propozycję, panie Brimton. Właśnie to pragnęłam od pana usłyszeć.

— Zrobię co w mojej mocy. Mogła pani mieć mniej szczęścia. Wszyscy mogliście mieć mniej szczęścia.

Cassie odłożyła słuchawkę. Doszli do porozumienia. Nie wiedziała jeszcze dokładnie, na czym polegało ani ile będzie kosztowało, ale była pewna, że jest korzystne. Miała świadomość, że Brimton, ostrzegając ją, iż będzie potrzebowała przyjaciół, mówił szczerze. Cassie zdała sobie również sprawę z mądrości twierdzenia, że na rynku, gdzie wszyscy grają nieuczciwie, jest się kalekim, jeśli usiłuje się prowadzić czystą grę. Gdyby ktoś miał stosować nieczyste chwyt, lepiej żeby był to Sam Brimton niż Case Reed, nawet jeśli obie firmy były ze sobą powiązane.

Cassie przyłapała się na rozmyślaniach o tym, jak naiwna absolwentka, jaką była osiem lat temu, przemieniła się w trzeźwo myślącą kobietę z praktyką. Cassie wiedziała, że potrafi działać sprawnie, że nie męczą jej skrupuły. Osiem lat temu nie przeprowadziłaby takiej rozmowy. Ale w tym świecie nie było miejsca na delikatność. Musiała grać zgodnie z przyjętymi zasadami, a to często oznaczało konieczność ich łamania albo pozwalania, żeby ktoś łamał te reguły w jej imieniu.

Trzeba było jedynie odwrócić głowę w drugą stronę. Tylko że tym razem Cassie nie chciała odwracać głowy. Pragnęła to wszystko dokładnie obserwować. U Ewy dostrzegła to samo pragnienie, identyczne podniecenie podszyte strachem.

Rozdział 18

Na randkę z Frazerem Ewa ubrała się w jasnoniebieską płócienną sukienkę i włożyła beżowe pantofle. Umalowała usta i skropiła się perfumami. Nie potrzebowała makijażu. Ciało miała opalone, jej oczy błyszczały, a włosy były lśniące.

Uśmiechnęła się do swojego odbicia, obracając się przed lustrem. Dobra przynęta, godny przeciwnik.

Przybyła na Wilton Place dziesięć po dziewiątej. Frazer powitał Ewę pocałunkiem, kieliszkiem szampana i zaprowadził do ogrodu za domem. Usiedli na drewnianych krzesłach przy stoliku. Wziął jej rękę i przesunął palcami po skórze. Ewa starała się ukryć zakłopotanie.

Nagle przestał ją gładzić i zaczął przyglądać się badawczo wewnętrznej części ramienia kochanki, od łokcia do nadgarstka.

— Co to jest? Co sobie zrobiłaś?

Przesunął palcami po lekko odbarwionych śladach na skórze, które ciągnęły się po wewnętrznej stronie obydwu przedramion. Ewa powstrzymała się od wyrwania ręki.

— Masz bardzo dobry wzrok.

— Odpowiedz mi o tym.

Ewa poczuła nagły przypływ gniewu. Chciała wyrwać rękę i wrzasnąć na niego: Operacja plastyczna! Przeszczepy skóry, żeby ukryć blizny. Przeszczepiona tkanka nie przyjęła się zbyt dobrze, a na dodatek pewnego lata przypiekłam się na słońcu.

Te miejsca nie opalają się tak samo jak normalna skóra. Zadowolony? Stłumiła gniew i odpowiedziała spokojnie:

— Miałam wypadek na nartach w Val d'Isère. Najechałam na łatą ziemi bez śniegu.

Lodowa koleina rozszarpała mi kombinezon narciarski, zdarła naskórek i warstwę tkanki. — Przerwała. — Podobno miałam szczęście, że nie wykrwawiłam się na śmierć. Tydzień wcześniej ktoś zginął w ten sposób, na tym samym stoku. Lód przeciął tej osobie tętnice. — Ewa wzruszyła ramionami, jakby opowiadała dawną historię.

— I stąd masz te blizny — odezwał się Frazer.

— Tak — powiedziała cicho Ewa. — To było dwa lata temu. Nie zniknęły. I tak miałam szczęście.

Frazer dostrzegł jej mroczne spojrzenie. Miał wrażenie, że Ewę ogarnęło przygnębienie.

Dotknął twarzy kochanki.

— Każdy boi się śmierci.

Odwróciła wzrok bez słowa. Frazer pocałował Ewę w rękę, przesuając delikatnie językiem po ciemniejszej skórze. Ewa poczuła, jak kręci jej się w głowie od walczących ze sobą uczuć. Po chwili Frazer przestał i wciąż trzymając jej rękę, ze schyloną głową, uśmiechnął się namiętnie. Ewa dotknęła dłoni mężczyzny, po czym cofnęła rękę i sięgnęła do leżącej na ziemi torebki. Wyjęła z paczki papierosa i zapaliła.

Wypuściła dym i odwróciła wzrok. Intymna więź, która między nimi powstała, daleko wybiegała poza granice przyjemnego seksu i prostych, dobrze sprawdzonych praw, które mu towarzyszyły.

— Lubisz brzydotę, mam rację? — spytała.

— Potrafi być intrygująca, nie sądzisz? W idealnym pięknie może tkwić coś mdłego.

— A więc co myślisz o Cassie Stewart? Czy ona reprezentuje piękno idealne?

— Jest bardzo piękna. — Frazer spoglądał na Ewę badawczo. — Nie miałem okazji dokładnie jej obejrzeć, przyjrzeć się, czy ma jakieś ukryte skazy. Ale nie powiedziałbym o niej mdła.

— Nie. W jej pięknie tkwi niemal jakaś zادیorność. To coś nowego, dziwnego. W

Oksfordzie była inna.

— Co ją zmieniło?

— Skąd mam wiedzieć? Minęło osiem lat. Wystarczająco dużo, żeby wiele mogło się wydarzyć. — Ewa poczuła, że wkracza na niebezpieczne tory. Przyjęła beztronski ton. — To prawdopodobnie raczej ja. Ja się zmieniłam, inaczej postrzegam rzeczy.

Pochyliła się i pocałowała Frazera, namiętnie, powoli. Kiedy oderwała się od jego ust, w oczach mężczyzny był głód i pożądanie. Ewa uśmiechnęła się, czując, że ma go pod kontrolą. — Kiedy kolacja? Umieram z głodu.

— Lada moment. Zjemy w domu. Moja gospodyni ją przygotowuje. — Spojrzał na zegarek. — Zawoła nas za minutę.

Wieczór minął w przyjemnej atmosferze, przy dobrym winie i jedzeniu. Żadne z nich nie mówiło o transakcji. Ewie zdawało się, że Frazer chciał tego uniknąć. Mógł

być kochankiem i partnerem w interesach, ale niejednocześnie. Kochał się z kobietą, a z partnerem w interesach rozmawiał o transakcjach. Ewa z zadowoleniem zaakceptowała tę metodę.

Frazer był dobrym gospodarzem; miał urok kochanka, pewnie czującego się w swojej roli, któremu nie przeszkadzają emocje. Ich wcześniejsze zakłopotanie intymną sytuacją powoli odchodziło w zapomnienie. Ewa mniej walczyła ze sobą radowała się ciepłem wieczoru, siedząc w ogrodzie i delektując się pysznym jedzeniem, popijając dobre wino, słuchając i opowiadając zabawne historyjki.

Frazer nie zdradził Ewie niczego, co mogłaby w jakiś sposób wykorzystać, opowiadał jedynie błahe anegdoty na temat Hongkongu i Londynu; typowa konwersacja prowadzona przez cynicznego, choć rozluźnionego biznesmena. Ich rozmowa była zabawna, lecz niemal mdła — cecha, której Frazer wyraźnie nie lubił.

Był ostrożny, ale niekoniecznie przez wzgląd na swego gościa. Ewa sądziła, że była to raczej typowa ostrożność człowieka, posiadającego swoje tajemnice albo pragnącego ustrzec się przed zażyłością, której skutkiem mogłoby być otwarcie się w jakimkolwiek stopniu. Taka poza zadowoliłaby wielu znajomych Frazera, którzy po prostu oczekiwali, że będzie odgrywał Tai Pana, jakiego znali i podziwiali. Ale Ewę to udawanie frustrowało, denerwowało, napawało chęcią zajrzenia głębiej, choć nie starczało jej na to śmiałości. Nie była jeszcze siebie pewna, obawiała się, że jej pytania mogą zabrzmieć zbyt obcesowo. Przez chwilę pożałowała, że nie ma w sobie otwartości Cassie. Dla przyjaciółki to byłoby łatwe. Nie miała nic do ukrycia, nie ciążyły na niej sekrety tajnych akcji. Cassie nie musiała grać.

Ewa poczuła, jak jej ciało tężeje, więc odsunęła od siebie myśli o Cassie i skupiła wyłącznie na Frazerze. Mimo ogromnego wdzięku był tak mocno skażony, że trucizna parowała wszystkimi porami jego skóry. Ewa przyglądała mu się z uwagą.

Może był po prostu amoralny, cierpiał na psychopatyczny brak sumienia. Albo mógł być dobrym aktorem. Ewa spojrzała w dal. Nie wiedziała, co gorsze.

Zastanawiała się też, jak Frazer postrzegał ją samą — jako kogoś, kto jest beztroski i szczęśliwy, kto nie ma żadnych tajemnic, czy też podejrzewał, iż kryje się w niej coś więcej, że jest aktorką. Dobrą czy złą? Musi rzucić mu jakiś ochłap, odstłonić się nieco, bo będzie szukał, choćby z czystej ciekawości. Nie da jej nic z siebie, ale niewątpliwie będzie chciał wziąć coś od niej, uzależnić emocjonalnie. Takie osobowości egzystowały dzięki zdolności wyciągania od innych tego, czego same by nie oddały. Przeciwnicy Frazera mogli brać tylko to, co chciał dać. Ta myśl otrzeźwiła Ewy. Ujęła dłoń Frazera ponad stołem.

— Chodźmy do łóżka. — Tam gra była łatwa, stopniowo stawała się wręcz zbędna.

Ciało Ewy spełniało swoje zadanie z przerażającą swobodą.

Następnego ranka Ewa obudziła się o siódmej, wstała z łóżka i wzięła prysznic. Gdy wróciła do sypialni Frazera, popatrzyła z niesmakiem na swoją płócienną sukienkę, która leżała pognieciona na podłodze. Przeniosła

wzrok na Frazera, który wciąż spał. Po cichutku przeszła przez sypialnię do przyległej garderoby.

Wzdłuż dwóch ścian stały szafy. Pod trzecią znajdowały się dwie wysokie komody z szufladami. Ewa najpierw otworzyła szafy: rzędy garniturów, spodni i marynarek. Na półkach leżały poukładane dzinsy, koszule i swetry. Wyjęła parę dzinsów i włożyła je na gołe ciało, maksymalnie dociągając pasek. Ponownie szybko przeszukała półki, usiłując znaleźć podkoszulek.

Zesztywniała, gdy usłyszała za sobą kroki Frazera, ale nie przerwała plądrowania półek, stojąc z jedną nogą lekko przygiętą, z głową przechyloną na bok, jakby zastanawiała się, co na siebie włożyć.

— Co robisz? — Głos Frazera zabrzmiał nadzwyczaj ostro. Ewa odwróciła się w jego stronę.

— Nie mogę znaleźć żadnego cholernego podkoszulka. Nie mam ochoty ubierać się w to samo, co miałam na sobie zeszłego wieczoru. — Podeszła do Frazera, na pół

goła, i pocałowała kochankę w usta, jakby nie zwróciła uwagi na jego ostry ton.

Uśmiechnął się, ale głos nadal miał szorstki.

— Powinnaś mi była powiedzieć. Znalazłbym ci coś.

— Nie chciałam cię budzić. Bałam się, że by cię to wprawiło w zły humor. I miałam rację, co? — powiedziała zaczepnie. — Masz zły humor. Czym się tak przejmujesz?

Że znajdę jakieś damskie fatałaszki wciśnięte gdzieś w kąt? — Rozluźniła się, gdy zobaczyła rozbawienie w jego oczach. — Nie musisz się martwić. Jestem bardzo tolerancyjna. Wiem, że nie mam ciebie na własność.

Roześmiała się i poczuła, jak spada napięcie.

— No to gdzie masz jakąś koszulkę? Nie mogę tak iść do domu. Frazer odwrócił się w stronę komody z szufladami, wyjął biały podkoszulek i wręczył go Ewie.

Wciągnęła go na siebie.

— Dziękuję.

Frazer patrzył, jak Ewa wpycha podkoszulek w jego dzinsy. Męskie ubranie wisiało na Ewie luźno, ale wciąż można było dostrzec zarys kształtnego ciała, silne mięśnie.

Wyobraził sobie jej gładką skórę. W tych źle dopasowanych rzeczach wyglądała jeszcze bardziej pociągająco niż zwykle. Frazer przyciągnął Ewę do siebie i pogładził dłońmi jej ciało, zsuwając luźne dzinsy, układając kochankę na podłodze.

Godzinę później znów patrzył, jak się ubiera.

— Jesteś głodna? Margaret przygotowuje nam śniadanie.

— Porządne, z jajecznicą? — spytała Ewa z nadzieją w głosie.

— Jem jajka codziennie. Do diabła z cholesterolem.

Dziesięć minut później zasiedli do stołu w jadalni, znów swobodni w swoim towarzystwie. Ewa zabrała się do bekonu, jajeczniczy, pomidorów, kielbasek i grzybów. Margaret bez mrugnięcia wniosła kawę. Najwyraźniej gosposia była przyzwyczajona do widoku kobiet przy śniadaniu. Ewa pomyślała, że prawdopodobnie regularnie pojawiają się tutaj nowe damskie twarze. To była jej najlepsza osłona.

Kobiety są wścibskie. Wszystkie, oprócz tych najbardziej sumiennych lub najmniej zainteresowanych, plądrują szafy i szafki w łazience, szukając śladów pobytu innej kobiety — kremu do twarzy, perfum, butów, sukienek. Frazer z pewnością powiąże jej poszukiwania z tym wzorcem. Ewa miała do tego dodatkową wymówkę — chęć zmiany ubrania. Nic nie znalazła, ale ustanowiła odpowiedni precedens, który wyjaśniał słabostki jej płci.

Spojrzała na Frazera skrytego za „Timesem”. Widziała jedynie jego oczy. Wydawał się zupełnie rozluźniony, z zadowoleniem pochłaniał śniadanie.

Margaret weszła niemal niesłyszalnie. Stała przy drzwiach i nie odzywała się.

Czekała, aż Frazer spojrzy w jej kierunku.

— Telefon.

Wstał i wyszedł za gosposią.

Zamknął za sobą drzwi gabinetu i podniósł słuchawkę.

— Tak?

— Tu Le Mai. Właśnie przybyłem na Heathrow.

— Przyjedź prosto do mnie.

Gdy Frazer wrócił do jadalni, po jego porannym rozleniwieniu nie zostało śladu.

Ewa zauważyła, że się niecierpliwi. Skończył śniadanie szczękając sztućcami, odsunął talerz i obdarzył jedzącą wciąż Ewę wymownym spojrzeniem. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na ogród. Ewa nie spieszyła się, jakby niczego nie zauważyła. Ze znudzoną obojętnością przewracała strony „Daily Telegraph”.

Następnie podniosła się, podeszła do Frazera i pocałowała go w policzek.

— Do widzenia. — Ruszyła do wyjścia.

Frazer, ku jej rozbawieniu, zdawał się zaskoczony, jakby nie oczekiwał, że tak łatwo się Ewy pozbędzie.

Owen Quaid patrzył, jak Ewa wychodzi z domu Frazera. Opuścił się nisko w fotelu swojego wynajętego samochodu, nie rzucającego się w oczy, wiśniowego mondeo.

Sądził, że Ewa złapie taksówkę. Mieszkała pół godziny drogi stąd i niewątpliwie tego ranka była zmęczona. Przeszła przez Wilton Place i ruszyła Wilton Crescent w stronę Belgrave Square. Quaid widział, jak czekała na skraju placu. Zrobił pełne okrążenie i wrócił akurat, gdy zajmowała miejsce na tylnym siedzeniu taksówki. Był

przekonany, że Ewa pojedzie do domu, chciał to jedynie sprawdzić. Wpuścił między taksówkę a swój wóz trzy samochody i ruszył za nią.

Taksówka zatrzymała się przy sklepiku na King's Road. Quaid zaparkował nieco dalej i patrzył, jak Ewa wychodzi ze sklepu z papierową torbą pełną gazet, butelką mleka i bochenkiem chleba.

Śledził ją na tyle długo, że widział, jak taksówka skręca w Langton Street, po czym zawrócił i pojechał do swojego biura przy Notting Hill. Gdy już tam się znalazł, zadzwonił do niewielkiej firmy, która handlowała informacjami na temat rachunków telefonicznych, danymi medycznymi, zestawieniami transakcji regulowanymi kartami kredytowymi i wyciągami bankowymi.

— Na kiedy? — spytał mężczyzna po drugiej stronie linii.

— Na zaraz — odparł Quaid.

— Tak, jasne — odpowiedział mężczyzna i odłożył słuchawkę.

Ewa wykonała codzienne ćwiczenia. Pół godziny później, z lekką głową i zlna potem, zadzwoniła do Stormonta. Odezwała się jego sekretarka.

— Ma teraz zebranie, ale jest tutaj Giles Aden. Chce z panią rozmawiać.

Zanim Ewa zdążyła się sprzeciwić, Aden przejął słuchawkę.

— Ewa, chciałem w tobie porozmawiać. Co słyhać?

— Wyciągnij Stormonta z tego zebrania, co, Giles?

— Cóż, Ewo, chciałbym, ale jest z...

— Nie interesuje mnie, z kim Stormont się spotyka, Giles.

Aden stłamsił w sobie odpowiedź i poszedł przywołać swojego szefa.

Stormont podjął słuchawkę minutę później.

— Ewo, co się dzieje?

— Stormont, potrzebny jest podsłuch telefoniczny. Mam wrażenie, że Frazer coś knuje, ale potrzeba

czegoś więcej niż mojej osobistej kontroli, żeby się dowiedzieć co. Przydałaby się również pluskiewka podsłuchowa u niego w domu. W

przeciwnym razie marnujemy czas.

— W porządku, Ewo. Do tej pory opierałem się temu, ponieważ żaden sekretarz spraw zagranicznych nie lubi podpisywać zezwoleń na zainstalowanie podsłuchu u osób tego kalibru co Frazer. Ale masz rację, tracimy czas. Dzisiaj skieruję do pana Carew prośbę o podpisanie tego zezwolenia.

— Świetnie. To pomoże ustalić przynajmniej jedną rzecz.

— Jaką?

— Że Frazer coś knuje. Wątpię, czy odkryjemy coś naprawdę obciążającego, ponieważ Frazer jest bardzo ostrożny. Zdaje się otwarcie i szczerze rozmawiać, ale się nie zdradza. Jestem pewna, iż zakłada, że jego telefony mogą być na podsłuchu.

Prawdopodobnie nagramy jedynie jakieś mało znaczące rozmowy, w które nie będzie się zbytnio angażował. Jednak nigdy nic nie wiadomo, może wpadniemy na jakiś trop. Ile to potrwa?

— Przy odrobinie szczęścia, dzisiaj mogę zdobyć autoryzację. Wtedy wybierzemy odpowiedni moment, żeby zadziałać.

— Czy chcesz, żebym ja to zrobiła? W końcu mam dostęp. Stormont nie odzywał się przez chwilę.

— To trochę ryzykowne. Gdyby Frazer cię przyłapał, z twojej nowo stworzonej tożsamości nic by nie zostało.

— Dostarcz mi wszystko. Ja to zrobię.

— Dobrze — zgodził się Stormont po kolejnej chwili milczenia. — Zaraz ci to wyślę. A ty tymczasem nie pozwól, żeby Frazer zajął się czymś innym. Przypominaj mu o diamentach i uważaj.

— Nie martw się.

— Musisz być ostrożna, Ewo.

— Na miłość boską Stormont. Mówisz tak, jakbym nie była.

— Wiem. Wiem, że będziesz uważać. To dlatego, że oboje mamy świadomość, do czego jest zdolny.

Rozdział 19

Owen Quaid chodził niespokojnie po swoim biurze, wypalając jednego za drugim pół paczki papierosów. W końcu zgasił ostatniego, zerwał się i poszedł do gabinetu swojego kolegi, Paula Blacka. Black był bystrym trzydziestopięcioletkiem, miał

falowane czarne włosy, długi kościsty nos z garbkiem pośrodku, uważne niebieskie oczy i przedwcześnie pomarszczoną twarz. Whisky, papierosy i praca tajnego agenta wryły swoje piętno.

Ci dwaj mężczyźni połączyli swe siły cztery lata temu, częściowo na zasadzie eksperymentu. Przedtem obydwaj działali niezależnie, ale otrzymywali zadania, które przerastały ich możliwości. Ani jeden, ani drugi nie wiedział, albo nie przyznawał się, że wiele wie o koledze. W ich zawodzie nie przedstawiało się życiorysów i referencji. Jeden i drugi opierał się jedynie na tym, co udało mu się wyszperać, oraz na instynkcie. Quaid zdobył informację, że Black pracował przez ponad dziesięć lat na Dalekim Wschodzie. Nie wiedział dokładnie, co jego kolega tam robił, ale nie zamierzał pytać. Żaden z nich nie chciał zdradzać swoich tajemnic w zamian za tajemnice drugiego. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że przy opowiadaniu anegdot z przeszłości współzawodnictwo pomiędzy nimi weźmie górę nad rozsądkiem i rezerwą. Ich biznesem rządziła dyskrecja i nie chcieli tego zmieniać. Po dziesięciu latach praktyki mieli to niemal we krwi; dyskrecja przeradzała się w skrytość. W ich zawodzie było to niezbędne. Mimo tych ograniczeń ufali sobie wzajemnie i dobrze im się razem pracowało.

Prowadzili przynoszącą zyski firmę, świadcząc usługi dla niewielkiej grupy klientów. Pensje wypłacali im przede wszystkim biznesmeni, którzy pragnęli sprawdzić swych partnerów w interesach. Quaid i Black prowadzili dochodzenia w sprawach finansowych i osobistych. Gdy potrzeba było większej liczby osób do prowadzenia obserwacji, wynajmowali pracowników na umowę zlecenie. Nie mieli takich możliwości jak wielkie korporacje zajmujące się międzynarodowymi akcjami, na przykład „Kroll”, ale gwarantowali anonimowość, której „Kroll”, mimo całej swojej dyskrecji, zapewnić nie mógł.

Quaid i Black byli wynajmowani przez ludzi, którzy woleli nie ujawniać zapotrzebowania na tego typu usługi firmie tak wielkiej jak „Kroll”.

Firma Blacka i Quaida była na tyle mała, że mogli pozostać niemal niewidzialni.

Nazywała się „Black Property Services”. Rachunki, pomijając wysokość kwot, wyglądały niewinnie. Mieli przestronne i niekrępujące biuro w rezydencjalnej dzielnicy Notting Hill. Quaid był doskonałym śledczym, który dzięki osobistemu urokowi i podstępom potrafił zdobyć najlepiej strzeżone informacje. Dobrze znał

tajemnice na sprzedaż, przekupnych urzędników bankowych i pracowników administracji medycznej, speców komputerowych, którzy aż się palili, żeby zademonstrować swoje umiejętności. Quaid wiedział też, jak szukać białych plam w ludzkich życiorysach. Miał świetny instynkt.

Wszedł szybko do gabinetu Blacka. Wspólnik podniósł wzrok, pociągnął długi łyk kawy i wyjął papierosa z paczki leżącej na biurku. Każdy jego ruch był niedbały, swobodny. Siedział uśmiechnięty i czekał na złe wieści, które, jak wyczuł, spowodowały napięcie Quaida. Jakikolwiek miały to być nowiny, zachowanie Blacka zdawało się mówić, że to żaden problem, że nie sprawiają mu one kłopotów.

Quaid przysiadł na skraju biurka i powiedział beznamiętnie:

— Mamy kłopoty. Tak wysoko wdrapałem się na górę gówna, że będę musiał piąć się dalej albo w nim utonę.

Black uniósł brwi i jego uśmiech przybladł, ale nic nie odrzekł.

— Konflikt interesów — dwie strony i obydwie prowadzą dochodzenie przeciwko sobie. Zgodziłem się na wynagrodzenie; na oba wynagrodzenia.

— Kto?

— Robie Frazer i Cassie Stewart.

— To grube ryby, Owen. Czy ci mózg sfiksował, czy znudziło ci się życie?

Quaid po raz pierwszy tego ranka się uśmiechnął.

— O co w tym wszystkim chodzi? — spytał Black.

— O odkrycie diamentów w Wietnamie. Cassie ma przyjaciółkę z Oksfordu, Ewę Cunningham, która spędziła osiem ostatnich lat na Dalekim Wschodzie, rzekomo na hippisowskim szlaku.

Black wyczuł w głosie współnika powątpiewanie, ale nic nie powiedział. Quaid ciągnął dalej.

— Cunningham związała się z amerykańskim geologiem, który sądzi, że odkrył

diamenty na północ od Hanoi. Wyciągnęła go z więzienia — chodziło o lokalną awanturę — i dostała w zamian dziesięć procent udziałów w firmie diamentowej.

Przyszła z propozycją do Case Reed. Potrze-

buje więcej pieniędzy, żeby przeprowadzić dalsze testy. Case Reed wybrało Frazera jako współinwestora. Cassie poprosiła mnie, niezbyt zgodnie ze swoim sumieniem, żeby przeprowadzić dochodzenie w sprawie jej przyjaciółki, Ewy. Najwyraźniej sądzą, że Frazer jest poza wszelkimi podejrzeniami.

Black przerwał krztusząc się ze śmiechu.

— Przecież jest bogaty, prawda? — powiedział do Quaida. — Ale w obronie Cassie przemawia fakt, że może po prostu pomyślała, iż jeśli człowiek pokroju Frazera ma jakieś sekrety, ukrył je tak dobrze, że nawet nie warto ich szukać.

— Daj spokój. Kogo to obchodzi? Są tysiące instytucji finansowych, które aż dyszą żeby zrobić jakiś interes z Frazerem. Wszystkim zależy na jego prestiżu, na umiejętności zarabiania ton pieniędzy. Każdy ma nadzieję, że uszczknie nieco midasowych zdolności Frazera. Nikogo nie obchodzi, co Frazer mógł robić w przeszłości, jak doszedł do pieniędzy. To się nazywa świętość bogactwa. Nikt nie chce grzebać głębiej. Ludzie są oślepieni szacunkiem, obezwładnieni chciwością.

— Nie będę z tobą polemizował. Cassie nie jest jedną z tych zaślepionych, ale nie przyjdzie jej do głowy, żeby zważyć we Frazera. On stoi 0 klasę wyżej od niej. Od Case Reed również. Cassie nigdy wcześniej nie spotkała nikogo takiego jak Frazer. Nie ma wystarczającego doświadczenia, żeby ciągnąć tę sprawę dalej. Wydaje jej się, że jest roztropna, ponieważ sprawdza Ewę. W każdym razie zgodziłem się przeprowadzić dochodzenie w sprawie Ewy. Ale kilka godzin wcześniej zadzwonił do mnie Frazer

1 poprosił, żebym skontrolował dla niego Case Reed, Johna Richardsona — szefa firmy — Cassie i Ewę Cunningham. Odruchowo się zgodziłem.

— W przypadku Frazera nie miałeś zbytniego wyboru.

— W ogóle nie miałem. Gdybym mu odmówił, pożegnałbym się z najlepszą częścią naszych interesów. — Quaid milczał przez chwilę, czując na sobie wzrok Blacka. —

I muszę przyznać, że chciałem się dowiedzieć, co tu się dzieje. Czułem, że będę mógł w jakiś sposób chronić Cassie. Potem, kiedy Cassie powiedziała mi o tych diamentach w Wietnamie, o Ewie i Frazerze, cóż mogłem rzec? Jeśli odmówiłbym pomocy, jakie miałbym wytłumaczenie? Że to jest konflikt interesów, że już sprawdzam ją dla Frazera?

Black zdusił swojego papierosa i zapalił następnego.

— Mogłeś ją o tym poinformować. To żaden precedens, że inwestor prowadzi dochodzenie w sprawie swoich wspólników.

— To prawda. Ale powiedziałaoby to jej wiele o mentalności Frazera. Jeśli ma z nim wejść w profesjonalny układ, wolałbym, żeby nie wiedziała, jakie naprawdę są metody postępowania Frazera. Mogłaby zacząć zadawać kłopotliwe pytania. Wiesz, jaka jest ciekawska i domyślna. Będzie dla niej znacznie bezpieczniej, jeśli pozostanie ufna, jeśli odniesie

ważenie, że Frazer jest po prostu kolejnym klientem, choć niezwykle bogatym i operatywnym.

— W porządku. Już to przerabialiśmy. Pewnie się domyślasz, co sędzę na temat słuszności takiego postępowania, ale nie będę kwestionował twojej decyzji. Nie jesteśmy komputerami. Wszyscy robią niemądre rzeczy z pobudek osobistych.

Właśnie dlatego obydwaj mamy pracę. Jednak to będzie cholernie trudno kontrolować. Chcesz chronić Cassie, ale jeśli Frazer nabierze jakichkolwiek podejrzeń, że działamy na dwa fronty, stanie się to niebezpieczne dla nas wszystkich. A jeżeli dowie się, że ty i Cassie macie romans...

— Zabezpieczyłem się przed tym — odparł Quaid. — Powiedziałem Cassie, że na wszelki wypadek, gdyby Ewa zorientowała się, iż jest śledzona przez swoją starą przyjaciółkę z Oksfordu, powinniśmy zachować ostrożność. Nie możemy ryzykować, że Ewa skojarzy nas razem.

— Kupiła to?

— Kupiła.

— Wiesz, że najbezpieczniejszą rzeczą jaką można zrobić, żeby ochronić Cassie, to zniechęcić ich do tej transakcji. Sprawić, by Case Reed się z niej wycofało.

— Myślałem o tym, ale Cassie jest cała w skowronkach, i trudno byłoby zniechęcić Frazera.

— Co masz zamiar powiedzieć Frazerowi na temat Cassie?

— Och, złożę mu ładny, sterylny raport, zwyczajowe dane. Poza tym, Cassie nie ma nic do ukrycia.

— Każdy ma coś do ukrycia. Cassie na przykład romans z tobą. Czy pomyślałeś o jej rachunkach telefonicznych? Twój numer będzie na wszystkich wykazach.

— O ile Frazer zechce je sprawdzić — a nie sądzę, żeby miał ochotę czymś takim się kłopotać, gdy przeczyta mój raport. Będę musiał napisać, że od czasu do czasu wykonujemy zlecenia dla Case Reed. Jest to ryzykowne, ale w ten sposób Frazer będzie wiedział, że nie działamy przeciwko niemu.

— Racja — zgodził się Black. — Nie przyszłoby mu do głowy, że jesteśmy tak chorzy na umyśle. — Przerwał patrząc w przestrzeń. — Ewa Cunningham mnie martwi. Chciałbym wiedzieć, jakie zebrałeś o niej informacje. Szlak hippisowski na Dalekim Wschodzie przez osiem lat? To nasuwa kilka pytań. Potem wyciągnięcie kogoś z więzienia. Ile to kosztowało? Skąd wzięła pieniądze? Czym ona się zajmuje? To niezwykle przeobrażenie z hippiski w przedsiębiorcę. Do tego ta kobieta nie zaczyna interesów od otwarcia małego sklepiku na rogu. W jakiś sposób dostała się do pierwszej ligi. Pomogę ci, w miarę moich możliwości, Owen, ale nie będę udawał, że mi się to podoba.

Rozdział 20

Le Mai przyjechał z Heathrow do Belgravii taksówką. Przy południowym krańcu Belgravia Square zapłacił taksówkarzowi i przeszedł pieszo niewielki kawałek do domu Frazera przy Wilton Place. Niósł jedynie niedużą płócienną torbę —

niezbędne rzeczy na okoliczność, jak się spodziewał, niedługiego pobytu.

Cokolwiek miał zrobić dla Frazera, na pewno chodziło o coś pilnego. Mimo właściwego Tai Panowi luzu, zwięzłość polecenia natychmiastowego przyjazdu do Londynu nakazywała pośpiech.

Margaret otworzyła Le Maiowi drzwi. Skinęła głową i cofnęła się, żeby mógł przejść.

— Do gabinetu? — spytał.

— Tak.

Le Mai zapukał, poczekał na „wejść” Frazera i przekroczył próg.

Frazer stał przy oknie, nie widzącym wzrokiem patrzył na ogród. Jego oczy szukały jakichś dalszych horyzontów. Odwrócił się do Le Maia i zmierzył Chińczyka spojrzeniem, w którym mieszła się

duma i niedbałość właściciela.

— Mamy kłopoty z naszym przyjacielem Xu Nanem.

— Nie można na nim polegać?

— Właśnie. — Frazer wyjął klucz z kieszeni. — Skrytka depozytowa — wiesz gdzie. Plany, klucze. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, weź kogoś z Chinatown.

Jak skończysz, przyjedź do mnie. Na razie zatrzymaj się w hotelu.

— To pilna robota?

— Pilna.

Giles Aden wstał zza biurka za piętnaście pierwsza i udał się do ulicznej kawiarni w pobliżu Krzyża Vauxhallu, by kupić jakąś porządną kanapkę. Nie chciał jeść w bufecie zakładowym, wolał odosobnienie swojego biura, które dawało Adenowi możliwość opanowania gnębiącego go niepokoju. Po drodze, pod wpływem impulsu, wszedł do gabinetu Andrew Stormonta.

Szef rozmawiał przez telefon. Dostrzegł czającego się Adena i kiwnął żeby wszedł, kończąc szybko rozmowę.

— Co nowego?

Aden przysunął sobie krzesło, bez pośpiechu usadowił się na nim wygodnie i zebrał myśli.

— Chodzi o Ewę. Nie jestem pewien, czy to rozsądne, żeby zlecić jej zainstalowanie pluskiew podsłuchowych. To może zrujnować cały plan.

Stormont przyglądał mu się przez chwilę. Aden miał nieszczerą minę, ukrywał coś za maską troski.

— Jeśli zostanie nakryta, to jedynie rozłoży nam akcję — powiedział w końcu Stormont. — Poza tym potrzebuję czegoś więcej niż podsłuch telefoniczny.

Niezbędny mi podsłuch domowy. Ktoś musi to zrobić. Dla osoby z zewnątrz, nie posiadającej tak swobodnego dostępu do domu Frazera, ryzyko, iż zostanie złapana, jest znacznie większe. Oczywiście w wypadku Ewy też istnieje. Tak zwane ryzyko skalkulowane — próbujemy swoich szans. A teraz powiedz, co ci naprawdę nie daje spokoju.

— Jakbyś nie wiedział. Ewa. Wiem, powiesz mi, jaka jest dobra, ale założenie, że prowadzi uczciwą grę, jest z twojej strony dowodem niezwykłego zaufania. Chyba że masz w zanadru coś, o czym mi nie mówisz.

Stormont roześmiał się. Aden z minuty na minutę stawał się śmielszy i bardziej nerwowy.

— Tak. Mam z zanageru coś, o czym ci nie powiedziałem. — Stormont oznajmił to z uśmiechem, jednak Aden skrzywił twarz w reakcji na tak bezceremonialne poniżenie. — Chociaż pewnie to cię specjalnie nie uspokoi.

Aden przestał kontemplować wygląd swoich butów i spojrzał zaskoczony. Czekał, aż Stormont zacznie mówić.

— Cassie Stewart i Ewa są sobie bliskie. Jeszcze bardziej zbliża je fakt, że pracują razem przy tej transakcji. Cassie jest bystrą kobietą — wydaje się bardzo spostrzegawcza.

Aden zastanawiał się, na jakiej podstawie Stormont mógł tak oceniać Cassie.

— Ale pomiędzy tymi kobietami jest coś jeszcze. Jakieś napięcie.

— Jakie napięcie? Zazdrość?

— To byłoby najprostsze wyjaśnienie. Ale obopólna zazdrość? Zazdrość na ogół działa w jedną stronę.

— Jeśli jedna zazdrości drugiej, to ta druga to wyczuje i zareaguje w jakiś sposób.

— Bardzo często obiekt zazdrości jest zupełnie nieświadomy tego uczucia. Ale pomiędzy tymi kobietami coś się rozgrywa. Są starymi przyjaciółkami, mają skrajnie odmienne osobowości, od czasu Oksfordu prowadziły zupełnie różny tryb życia, jednak okoliczności znów rzuciły je na tę samą arenę. Obie zdają się zataczać wokół siebie koła. Sondują się wzajemnie, ostrożnie dobierają słów, gdy o sobie mówią. Ich układ nie jest taki spontaniczny, jaki miał być. Ewa wkroczyła na terytorium Cassie i jedynym wyjściem jest współzawodnictwo.

— Poczekaj chwilę. Chyba nie chcesz powiedzieć, że widziałeś je razem, że spotkaliście się wszyscy w trójkę?

Stormont tłumił rozbawienie. W jego roześmianym wzroku Aden dostrzegł odpowiedź.

— Musiałeś oszaleć, żeby rzucać się w taką szaradę. Jeśli Cassie Stewart wspomni Frazerowi, że cię poznała, a Frazer wysledzi, jak wchodzisz do budynku, o którym wszyscy w Londynie wiedzą że jest siedzibą Wywiadu, możesz zniszczyć tajną tożsamość Ewy.

— Ani Frazer, ani nikt inny nie może mnie powiązać z tym budynkiem. Po pierwsze, jak wiesz, Munro mnie wszędzie wozi i sprawdzamy, czy nikt nas nie śledzi. Nigdy nie zbliżylibyśmy się do tego miejsca, gdybyśmy mieli kogoś na ogonie. Po drugie, na czas trwania naszej akcji wykorzystam bazę gdzie indziej. Od jutra będę wysiadał na Tooley Street.

— Tak czy siak, nie powinieneś kontaktować się z Ewą poza lokalem konspiracyjnym. I oczywiście nie powinieneś spotykać się z Cassie Stewart.

— Znam zasady, Aden. Jeśli nie zawsze się do nich stosuję, to nie dlatego, że o nich zapominam.

— Po co je łamać?

— Bo muszę widywać się z Ewą żeby mieć pewność, iż wszystko jest w porządku.

— I nikt inny nie może tego robić?

— Tylko ty, szef i ja wiemy o jej roli w tej akcji. Masz świadomość, że z tobą nie będzie chciała się spotykać, a oczywiste jest, że szef nie zajmuje się doglądaniem agenta. To pozostawia mnie. I nie będę próbował wyznaczyć do tego nikogo innego.

Jak taka osoba mogłaby ją zrozumieć, skąd znałaby jej przeszłość? Po prostu nikt inny by tego nie pojął, nie wiedziałby, jak z nią postępować i na co zwracać uwagę, a Ewa nie ufałaby nikomu poza mną.

— Sądzisz, że może wrócić do heroiny?

— Moim zadaniem to bardzo mało prawdopodobne, ale muszę być pewien. I muszę wszystkiemu przyglądać się z bliska, mieć pewność, że nie podejmie żadnego niepotrzebnego ryzyka.

— Dlaczego miałyby je podejmować?

— Jej skłonność do ryzyka jest znacznie większa niż u przeciętnej osoby. Niemal się nim delektuje. Obydwaj o tym wiemy. Muszę ją hamować. Nie mogę tego robić na odległość.

— To przywodzi mi na myśl moje początkowe pytanie. Dlaczego ją wykorzystujemy, skoro to wszystko jest oparte na tak kruchych podstawach?

— Ponieważ chcę mieć Frazera, a Ewa go dostanie.

— Dobrze. Widzę, że nigdy nie dasz się przekonać. Ale po co te spotkania z Cassie?

Czym to można usprawiedliwić?

— Spotkanie się z nią jest jeszcze jednym sposobem czuwania nad akcją i kontrolowania Ewy. Cassie jest lojalna względem Ewy. Ewa nie jest szczególnie lojalna względem Cassie. Jak ma być lojalna? Musiałaby się rozpołować. Ale sądzę, że za jakiś czas Cassie zacznie inaczej postrzegać swoją przyjaciółkę. Będzie się do niej zbliżać i jednocześnie oddalać. Zacznie o Ewie bardziej otwarcie mówić. Cassie jest właśnie tym kimś, kogo mam w zanadru.

— Mówiłeś o tym szefowi?

— Wie, ile trzeba. Jeśli złamię zasady, poniosę za to pełną odpowiedzialność.

— Za wystawienie twoich ukochanych, Cassie i Ewy, na ryzyko? Stormonta zastanowiła gorycz w głosie Adena. Wątpliwości zawodowe można było zrozumieć, ale teraz zabrzmiała nowa nuta, niemal

osobista, i uderzyła w ostrzegający ton, który Stormont zapamiętał. Przyglądał się, jak Aden z powrotem przywdział maskę szacunku, jakby zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko.

— Ewa i Cassie już są wystawione na ryzyko. Moja interwencja ma zredukować ryzyko zasadnicze, nawet jeśli wprowadzi nowe, mniejsze zagrożenia. To igranie z szansami, Aden. Nie w każdej sytuacji można kierować ludźmi albo akcjami zgodnie z kodeksem. Zawsze działałem w ten sposób, wiesz o tym.

— Wiem. — Znał również efekty. Do tej pory Stormont odnosił spektakularne sukcesy w swoich akcjach. Ale ta akcja była inna. Tutaj wchodziło w grę ryzyko, o którym nawet Stormont nie wiedział. To dawało Adenowi szaleńczą satysfakcję.

Uśmiechnął się. Ty arogancki draniu, pomyślał, wstając i niemal życząc sobie, żeby Stormont, ten wspaniały umysł, tak gładko, tak błyskotliwie odgrywający różne role, musiał pewnego dnia zdrześć i zdać sobie sprawę, że zgubiły go własne żądze.

Stormont patrzył, jak jego zastępca odchodzi. Aden nigdy nie będzie potrafił

przewodzić operacji. Zbyt łatwo dawał się prowokować. Stormont wiedział, że nie powinien być tak drażnić podwładnego, ale nie mógł się powstrzymać. Odsunął od siebie myśli o Adenie, podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Cassie.

— Cassie, tu Andrew Stormont.

— Andrew. Jak to miło. — Wydawała się przyjemnie zaskoczona, ale znowu podjęli starą grę. Stormont wiedział, że zatelefonował wcześniej, niżby można się było spodziewać po jego chłodnym zachowaniu na ostatniej randce.

Szczerze zaskoczenie Cassie potwierdzało, że jej odczucia były podobne.

— Zastanawiałem się nad kolacją. Może chciałabyś do mnie dołączyć dziś wieczorem?

— Z wielką przyjemnością ale nie mogę.

— A więc jutro? — Stormont sam się sobie dziwił; znów złamał niepisane reguły delikatnego stopniowania miłosnych awansów.

— Jutro byłoby wspaniale.

Gdyby Cassie grała zgodnie z regułami, udałaby, że jest zajęta przez całe tygodnie i nie ma wolnego żadnego piątkowego wieczoru. W najlepszym wypadku wymamrotałaby coś, że może przełożyć jakieś plany, że postara się z nim zobaczyć.

Prawda była taka, że miała jakieś plany i faktycznie je przełożyła. Stormont poczuł

przyjemny dreszcz wynikający z faktu, iż Cassie zgodziła się natychmiast, bez żadnego wahania.

— O której by ci odpowiadało?

— O dziewiątej?

— Doskonale. Czy mam po ciebie przyjechać?

— Tak, dziękuję.

— Gdzie mieszkasz? — spytał, mimo że znał już adres. Był przyzwyczajony do kłamstwa. Cassie podała adres i odłożyła słuchawkę.

Przeszył ją dreszcz zwiastujący jakieś komplikacje. Mężczyzna innej kobiety. To było jak obrót pieniędzmi należącymi do drugiej osoby. Można było się mniej angażować, a kiedy przyszło ponieść koszt, płacił ktoś inny. Stormont niby nie należał do Ewy. Oboje upierali się przy niewinności swojej przyjaźni, może nawet nieco zbyt mocno. Powróciły do Cassie echa przeszłości. Już wcześniej spotykała się z mężczyznami Ewy, ale wtedy nie wynikały z tego żadne konsekwencje. Ewa była tak niezależna, niewzruszona.

Rozdział 21

Cassie przez całe popołudnie nie mogła sobie znaleźć miejsca. Usiłowała napisać wstępny raport na temat projektu Ewy, ale nie potrafiła się skupić i co chwila robiła sobie przerwy; chodziła do automatu z kawą albo poplotkować z sekretarką.

Opuściła biuro o szóstej i w promieniach słońca szła w stronę Knightsbridge. Ciepło wczesnego lata sprawiło, że coraz więcej widać było na ulicach krótkich sukienek.

Spojrzała na swoją biurową garsonkę, której spódnica odsłaniała nogi trzy cale nad kostkami — długość modna, ale niegustowna. Ukradkowo, z ciekawością jakby dotykała kogoś innego, Cassie przesunęła dłonią po swojej talii i biodrze, wyczuwając zarys jędrnego ciała.

Doszła do butiku Harveya Nicholasa, skąd pochodziła większość jej garderoby, i minęła go. Zatrzymała się przed Miss Selfridge, po czym weszła do środka. Powitała ją grzmiąca muzyka i półki z krótkimi sukienkami. Wybrała całe naręczce strojów i skierowała się do zbiorowej przymierzalni. Rozebrała się aż do bielizny, obserwując w lustrach dyskretne spojrzenia innych kobiet. Uśmiechając się, wkładała kolejno różne sukienki i wybrała trzy; dwie z krótkimi rękawami i jedną z cienkimi ramiączkami, wszystkie kończące się wysoko na udach. Wyposażona w swoje zakupy zatrzymała taksówkę i pojechała do domu.

Gdy przybyła na miejsce, David Wilson szczekał garnkami w kuchni. Cassie krzyknęła „cześć”, wpadła do środka, żeby nalać sobie kieliszek białego wina, i wycofała się szybko. David ruszył za nią również z lampką wina w dłoni. Klapnął

obok Cassie na kanapie.

— Muszę trochę odpocząć. Chyba byłem zbyt ambitny. Teraz wszystko jest w piekarniku, więc już za późno. — Spojrzał na Cassie z powątpiewaniem. — Zawsze możemy kupić coś na wynos.

— Jestem pewna, że wszystko będzie pyszne.

David w ciszy i skupieniu pociągał wino. Patrzył, jak Cassie napiła się nieco, wstała, podlała kwiatki, wróciła, dwukrotnie włączyła i wyłączyła telewizor.

— Cass, na miłość boską usiądź. Zachowujesz się jak kon wyścigowy.

— Wiem. Przepraszam. Skaczę tak dzisiaj cały dzień. David przyjrzał się jej badawczo. Cassie odwróciła wzrok.

— No dobrze. O co chodzi? Biznes czy mężczyzna?

— Czasami jesteś niesamowity. .

— Wiem I na dodatek jeszcze mam rację. Więc co to jest?

— No dobrze, powiem ci, żebyś mnie nie zadreślał przez cały wieczór. Oparł się wygodnie, skrzyżował ramiona, na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

Cassie ponownie wypła trochę wina, uśmiechając się tajemniczo. David wiedział, że ten uśmiech nie ma z jego osobą nic wspólnego

— To wszystko zdaje się kręcić wokół Ewy — zaczęła Cassie. Patrzyła w przestrzeń i nie zauważyła nagłego grymasu, który przebiegł przez twarz Davida. Ciągnęła dalej tym samym, entuzjastycznym tonem. — Jej transakcja jest niezwykle ekscytująca.

Naprawdę mam co do tego przedsięwzięcia dobre przeczucia.

— To chyba nie wszystko? Czy jeszcze coś dotyczącego *Ewy!*

— Kilka dni temu poznałam jej przyjaciela. Wczoraj zjadłam z nim lunch. Jutro wieczorem jesteśmy umówieni na kolację.

— Myślałem, że jutro wychodzisz z tym idiotą Jamesem Jakimśtam.

— Takie miałam plany, ale je zmieniłam.

— To do ciebie niepodobne. Zazwyczaj, jeśli masz na to jakiś wpływ, nie zmieniasz planów.

— Nie. Zazwyczaj nie.

— Więc kto to taki?

— Nazywa się Andrew Stormont.

— I czym się zajmuje? — W głosie Davida słychać było teraz zdenerwowanie.

Cassie nie zwróciła na to uwagi, przyzwyczajona do jego dociekań na temat innych mezczyzn.

- Wiesz, nie mam pojęcia, czym się zajmuje. Nie rozmawialiśmy na ten temat.

— I jest miły, porządny? Podoba ci się?

_ Nie wiem, czy jest miły i porządny. Jest atrakcyjny, inteligentny i ma w sobie jakiś drapieżny spokój. Posiada dość silną, w pewien sposób niepokojącą osobowość.

— Dlaczego niepokojącą?

— Jakby za tym spokojem kryła się bezwzględność. Nie chciałabym mieć go za przeciwnika.

— I masz zamiar się z nim zadawać?

— Nie sędzę, żeby tę swoją drugą naturę odsłonił przed kobietą. Nic jest typem mężczyzny, który uważa płęć piękną za przeciwników, za wrogów, nawet jeśli są w nim zadurzone. Nie jest gardzącym kobietami playboyem.

— Uważaj, Cass. Z tego co mówisz, może być osobą nieco kłopotliwą.

— Możliwe, że taki jest.

— Co się stało z twoją wrodzoną ostrożnością? Gdzie się podziała zasada „winny, dopóki nie zostanie dowiedzione inaczej”?

— Już mi się znudziła ta ostrożność. Poza tym, zasada nie zawsze się sprawdza.

Można poświęcić masę czasu, żeby kogoś poznać i zacząć czuć się bezpiecznie, będąc przekonanym, że osoba ta nie jest już obca. Ale naprawdę nigdy się nikogo nie zna do chwili, gdy coś zerwie sztuczną maskę i nagle to, co widzisz, bardzo się różni od tego, co sobie wyobrażałeś. — Uśmiechnęła się lekko. — Nigdy nie ma gwarancji. Trzeba próbować, rzucać wyzwanie losowi.

Zadzwonił telefon, odbierając Davidowi możliwość odpowiedzi. Podniósł

słuchawkę.

— Do ciebie. To Owen.

— Owen, cześć. Jak się masz?

Ton głosu detektywa wstrząsnął Cassie.

— Musimy porozmawiać. Nie przez telefon. Czy mogę do ciebie wpaść?

Nie odzywała się przez chwilę, zdenerwowana brzmieniem jego głosu.

— Jasne. Przyjdź teraz.

Odłożyła słuchawkę, opróżniła kieliszek i napełniła go ponownie. David przyglądał

się Cassie ze zmarszczonym czołem.

— A teraz o co chodziło?

— Nie wiem. Ale cokolwiek to jest, nie będzie zabawne.

— Zleciłaś mu śledzenie Ewy, prawda?

David wiedział, że Case Reed przeprowadzało tajne dochodzenia w sprawach swoich klientów. Cassie zawsze potrzebni byli zausznicy i zwierzała się Davidowi z większości swoich problemów. Wiedział o jej przyjaźni z Quaidem, kilka razy spotkał go w domu i raczej lubił. Byłoby inaczej, gdyby wiedział o ich romansie, i dlatego o tym Cassie mu nie powiedziała.

Cassie przytaknęła.

— Nie miałam wyboru. Zupełnie mi się to nie podoba. Niektórzy ludzie bardzo by chcieli poznać sekrety swoich przyjaciół, ale ja wolałabym o nich nie wiedzieć.

Lubię mieć margines wątpliwości. Każdy ma na sumieniu ciemne sprawy. Gdyby wszyscy je znali, diametralnie zmieniłoby to nasze wzajemne stosunki. To jak podsłuchiwanie — nigdy nie dowiesz się o sobie niczego dobrego. Ale ja muszę znać prawdę. To należy do moich zawodowych obowiązków. Nie mogę zrobić wyjątku tylko dlatego, że Ewa jest moją przyjaciółką.

David przytaknął. Zdawał sobie sprawę z zażenowania Cassie i jedynie słuchał w milczeniu. Wynajęcie Quaida do śledzenia Ewy było niesmaczne i nic co mógłby powiedzieć, nie przekonałoby Cassie, że jest inaczej. Zanim pojawił się Quaid, Cassie i David opróżnili butelkę wina. Detektyw wszedł

powoli do domu, zdawał się przygaszony. Cassie zaprowadziła Quaida do ogrodu.

Usiadł obok niej na trawie.

— Co się dzieje?

— Zaczęły napływać informacje na temat Ewy. Niełatwo mi to powiedzieć, Cass.

Jest uzależniona od heroiny.

— Ewa? Przestań, to śmieszne.

— Przedstawiam ci fakty. Leczyła się na to cztery lata temu w klinice specjalistycznej w zachodniej Szkocji. W tej chwili jest zdrowa, o ile ćpuna da się wyleczyć.

— Skąd o tym wiesz?

— Czytałem jej karty medyczne, zapiski lekarza.

— Jak, do cholery, je zdobyłeś?

— Tak jak zawsze, Cassie. To rutynowe postępowanie. Wiesz o tym. - Do diabła z rutynowym postępowaniem. Boże, nienawidzę tego

wszystkiego. Owen, jesteś w stu procentach pewien? Nie mogłeś się pomylić? — Absolutnie nie.

— Nie chcę o tym wiedzieć. Żałuję, że doszło do tej rozmowy.

— Cass, nie chowaj głowy w piasek. Nie mogłem tego zataić. To jest bardzo ważne, nawet jeśli Ewa teraz jest czysta, co zdaje się prawdą.

— Dlaczego miałyby się narkotyzować? Jeśli ktokolwiek kiedykolwiek miał

wszystko, to właśnie ona.

— Chyba żartujesz.

— Nie żartuję. Jest bogata, inteligentna, piękna, pewna siebie. Ma jakiś wspaniały dom na wsi, czy też jej rodzina go ma, i do tego fantastycznego brata — kiedyś z nim chodziłam. Studiowaliśmy na jednym roku w Oksfordzie. Byli sobie bardzo bliscy.

Ma też piękną matkę, widziałam jej zdjęcia. Może to dlatego, że wszystko było zbyt doskonałe? Po prostu Ewa musiała coś zrobić, żeby zakłócić tę sielankę.

— To chyba niezupełnie tak.

Cassie spojrzała na Quaida, zaskoczona. Patrzył na nią ze swoją dawną czułością i zachowywał się jak strofujący ojciec — był cierpliwy i tolerancyjny.

— A jak?

— Po części masz rację. Ewa wiodła sielankowe życie. Do chwili ukończenia, dwunastu lat. Wtedy jej matka odeszła, pojechała do Afryki Południowej i zamieszkała z jakimś mężczyzną. Dziewięć miesięcy później najstarszy brat Ewy, który wtedy miał dwadzieścia dwa lata, popełnił samobójstwo. Jej ojciec wycofał się wówczas zupełnie z życia, ale dopilnował, żeby córka i jej drugi brat, Johnnie, mieli pieniądze — przypadkowo Johnnie dostał ich znacznie więcej niż Ewa. Ona miała dobrze wyjść za mąż.

Cassie patrzyła w ziemię.

— Zupełnie źle ją oceniłam, co? Nie miałam pojęcia. Nigdy o tym nie mówiła, jej brat również nie. Gdybyś ich znał, nawet by ci to nie przyszło do głowy. To wszystko wydawało się takie idealne, Ewa sprawiała wrażenie takiej zrównoważonej, odpornej, jakby nic nigdy jej się nie przytrafiło. — Cassie odczuwała gniew połączony z wyrzutami sumienia. — Jak, do diabła, się tego wszystkiego dowiedziałeś?

— Dzisiaj pojechałem do wioski znajdującej się na jej rodzinnych posiadłościach.

Zjadłem lunch w pubie, porozmawiałem z gospodynią. Kochała Ewę, powiedziała, że była wspaniałym dzieckiem, bardzo przyjacielskim, skromnym. Po tych wszystkich wydarzeniach rzadko ją widywali. Ewa i Johnny niemal cały czas spędzali razem, nigdy nie przychodzili do wioski, jak to mieli niegdyś w zwyczaju.

— Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Gdy ją poznałam, wydawała się taka szalona, taka szczęśliwa. Była w stanie robić najbardziej niesamowite rzeczy. — Cassie przeniosła się myślami w przeszłość. Mówiła mechanicznie, zdawało się, że bardziej do siebie samej niż do Quaida. — Raz pojechałyśmy na narty. Nie istniał

taki stok, po którym by nie zjechała. Było nas tam dziesięcioro, sami bardzo dobrzy narciarze. Po jakimś czasie nikt nie chciał z Ewą jeździć. Naprawdę. Rzucała się w dół zboczy, które nawet nie były zboczami. Raczej urwiskami. Uwielbiała to.

— Dla mnie nie świadczy to o fakcie, że była szczęśliwa. To raczej wizerunek człowieka, który desperacko chce o czymś zapomnieć. Zdaje się, że mocno się popisывała.

— To nie było popisывanie się. Nie tylko. Taka już była, taka silna.

— To lepsze, niż gdyby miała się poddać.

— Więc skąd nagle ta heroina? Ewa zdawała się tak odporna; musiała poradzić sobie ze zdarzeniami z przeszłości?

— Czy z takimi sprawami w ogóle można sobie poradzić? Wydaje mi się, że większość ludzi po prostu żywi nadzieję, że jakoś będą mogli brnąć dalej.

— Więc heroina była ucieczką pewnym rodzajem rebelii? Ewa zawsze miała w sobie coś z rebeliantki. Uwielbiała ryzyko, podniecenie, wychodzenie poza granice wyznaczone przez środowisko. To bardzo ekscytujące — balansowanie na krawędzi, wychylanie się poza nią siłowanie z samym sobą może nawet próby samozniszczenia, sprawdzenie ile można znieść. Zawsze to u niej wyczuwałam.

Nigdy nie zauważyłam niczego, co by mogło być tego dowodem, ale wiedziałam.

Wystarczyło, że na nią zerknęłam, a już byłam pewna, iż jest to osoba podejmująca ryzyko. Ta iskrząca się energia to właśnie jeden z powodów, dzięki którym moja przyjaciółka jest tak atrakcyjna.

Cassie mówiła w przestrzeń. Nagle odwróciła się do Quaida.

— Kiedy to się zaczęło?

— Z tego, co wiem, jakieś osiem lat temu. Około sześciu miesięcy po opuszczeniu Oksfordu.

— I nie bierze od czterech lat?

— Pr^puSzam że to się zaczęło na Dalekim Wschodzie. Tam łatwo wpaść w szpony nałogu. W niektórych miejscach to część lokalnej kultury — zadumała się Cassie.

— Co masz zamiar zrobić? Powiesz Richardsonowi ! Cassie zassała policzki, zaczęła je przygryzać.....

— Ewa była uzależniona. Teraz jest zdrowa. Najwyraźniej stara się odmienić swoje życie. Jak mogę powiedzieć Richardsonowi? Nie mam prawa jej tego zrobić.

_ Więc okłamiesz Richardsona?

Cassie przytaknęła.

Quaid podjął decyzję. On też okłamie Frazera.

Rozdział 22

Ewa spędziła czwartkowy wieczór w samotności. Siedziała w domu, słuchała nagrania „Don Giovanniego” O ósmej zamówiła kurczaka *tikka masala* z pobliskiej hinduskiej restauracji. Wypiła do niego dwie puszki heinekena, a gdy skończyła, zapaliła papierosa i delectowała się czarną kawą.

Mimo muzyki, zapachu przypraw i tytoniu, w domu zdawała się panować jakaś pustka. Ewa siedziała bez ruchu, skoncentrowana. Nie korzystała z telefonu i on też nie dzwonił. Bardzo niewielu osobom powiedziała, że wróciła do Londynu. Nie chciała, żeby jej przeszkadzano, nie życzyła sobie zbytecznych drinków i przyjęć powitalnych. Horda ciekawskich znajomych, starych i nowych, pytałaby: — Co robiłaś na Dalekim Wschodzie? Czym się teraz zajmujesz? Zabierasz się za interesy? To bardzo ciekawe. Powiedz mi coś więcej na ten temat. Jak wszyscy tajni agenci, Ewa nie wiedziała, w którym miejscu kończy się praca, a w którym zaczyna prawdziwe życie. Obie te rzeczy były dokładnie przemieszane. Życie Ewy było sprawą tajną, podobnie jak uzależnienie od heroiny, która nią zawładnęła. Tak często działo się z fałszywymi maskami, przeważnie trudno było ich się pozbyć, gdy stawały się bezużyteczne. Nie można prowadzić oszukańczego życia i nie splamić się przy tym. Wysiłek związany z maskowaniem się był czasami tak wielki, że po prostu łatwiej było wcielić się w odpowiednią postać. Problem polegał na tym, jak później odzyskać własną osobowość.

Ewa zapaliła papierosa i poczuła, że poci się lekko. Angielskie lato nagle stało się wilgotne. Powróciło do niej wspomnienie czterech lat uzależnienia, uniesienia i rozpacz. Ewa wiedziała, że w kilka sekund po tym, jak narkotyk dostanie się do krwiobiegu, będzie znowu uzależniona, zdawała sobie sprawę, jaka czeka ją przyszłość, napatrzyła się dosyć, żeby mieć świadomość, co będzie dalej. W każdej chwili, oprócz tych szczęśliwych godzin, gdy heroina działała kojąco, usuwając w cień wszystkie

problemy, Ewa miała niezwykle poczucie zagrożenia, zdawała sobie sprawę, że czeka ją ogromna bitwa, przygotowywała się do niej. Nie wiedziała, co sprawiło, że udało jej się przestać brać.

Uśmiechnęła się ponuro. Zwyciężyła heroinę. Teraz równowaga sił została odwrócona. Robie Frazer nie wiedział nic o fałszywej tożsamości Ewy. Nie zdawał

sobie sprawy, jakie niebezpieczeństwo drzemało w jego łóżku, u jego boku.

Podskoczyła na dźwięk telefonu, który stał na stoliku obok kanapy. Pochyliła się i podniosła słuchawkę.

— Ewa, tu Robie.

— Robie, cześć. — Udała mile zaskoczoną.

— Zastanawiałem się, co robisz jutro wieczorem. W sobotę rano muszę pojechać na wieś, ale pomyślałem, że w piątek moglibyśmy zjeść dobrą kolację, porozmawiać o diamentach, uczcić koniec tygodnia. Co ty na to?

— To świetny pomysł. Mogę przyjść około dziewiątej?

— Doskonale. Więc do zobaczenia.

Frazer odłożył słuchawkę, zadowolony ze zbliżającej się przyjemności. Od porannego spotkania nie miał żadnych wiadomości od Le Maia. Czekanie nie było łatwe. Le Mai nigdy nie zawiódł, ale jednak...

Aby utrzymać nerwy na wodzy Frazer skupił myśli na Ewie, na jej cielesności. Seks był lekiem na wszystkie racjonalne problemy, wszelkie irracjonalne zmartwienia.

Sama obecność Ewy wprawiała Frazera w amok, a gdy jej nie było i nie dawał

upustu swoim fizycznym żądom, łapał się na rozmyślaniach o tej kobiecie. Jej cicha samowystarczalność była frustrująca. Ewa zdawała się nie posiadać żadnych słabych punktów, właściwych innym kobietom. Nigdy nie pytała, kiedy znowu się zobaczą nigdy nie dzwoniła, nigdy nie chciała się dowiedzieć, ile dla niego znaczy.

Większość kobiet zadawała to pytanie, nawet na tak wczesnym etapie znajomości.

Ale Ewie obce były wszystkie te poczynania. Zdawała się oddawać Frazerowi na jego zasadach. Była to dziwna bierność u kogoś tak emanującego siłą jak Ewa.

Frazer zastanawiał się, czego ona chce. Pewnie jego pieniędzy na swój diamentowy interes. To było najprostsze wyjaśnienie i najbardziej przekonujące. Jednak wciąż Frazerowi nie wystarczało. Jutro spróbuje trochę Ewą potrząsnąć, zobaczy, co z niej wydobędzie. Do tej pory powinien dostać wstępny raport od Quaida.

Po krótkiej rozmowie z Frazerem Ewa poszła na spacer. Była dziewiąta. Niebo ciemniało, ale ulice pozostały jasne, oświetlone iluminowanymi oknami wystawowymi i latarniami. Ewa poczuła się częścią ruchliwego zbiorowiska pieszych. Alienacja i wyobcowanie, które wcześniej tak mocno jej

doskwierały, zdawały się słabnąć. W tym wszystkim nie chodziło jedynie o Frazera. Pracowała oczywiście dla Stormonta, ale on wiedział, że dla Ewy jest to sprawa znacznie bardziej osobista. Frazer miał być jej katharsis. Zadaniem Ewy było schwytać go w pułapkę i oddać Stormontowi, i na tym ta sprawa powinna się dla Ewy zamknąć. Miał to być koniec Frazera, który już więcej nie będzie wpływał

na jej życie.

Nagle poczuła nadmiar energii, zapragnęła, żeby sprawy potoczyły się szybciej, sama chciała je przyspieszyć. Dreszcz ryzyka i nagroda w postaci tego, co miała osiągnąć, zupełnie nie rekompensowały możliwych strat, gdyby wszystko potoczyło się niepomyślnie. Jednak Ewa dokonała wyboru i teraz będzie zgodnie- z nim żyła i umrze, jeśli zajdzie taka konieczność.

Rozdział 23

Stormont zadzwonił do Ewy w poniedziałek z samego rana, wykorzystując dla bezpieczeństwa cyfrowy system transmisji Vodaphone. System ten zmieniał słowa w cyfry, a te z kolei były elektronicznie przesyłane do przekaźników lokalnych, które wprowadzały je do linii telefonicznej. Każdy, kto kontrolowałby fale radiowe, usłyszałby jedynie piski. System Vodaphone był niezwykle trudny do rozszyfrowania. Mimo że ani Stormont, ani Ewa nie podjęliby ryzyka przeprowadzenia w tym systemie swobodnej rozmowy, pozwalał na podstawową komunikację.

Ewa właśnie skończyła poranne ćwiczenia i nieco brakowało jej tchu, gdy odebrała telefon.

— Mam nadzieję, że ci w niczym nie przeszkodziłem? — spytał Stormont.

— Nie — odparła Ewa, opanowując oddech. — Gimnastyka. Stormont szybko wyobraził sobie Ewę samą w mieszkaniu, jej lśniące od potu ciało i gładką skórę.

— Co słyhać w sprawie transakcji?

— Nieźle. Moja przyjaciółka już wszystko opracowała. Czekam na następne oficjalne spotkanie. Zachęcę ją, sprowokuję, żeby to zorganizowała.

— Świetnie. Pewnie ucieszy cię wiadomość, że nasz przyjaciel podpisał zezwolenie na założenie podsłuchu — zadzwonił bezpośrednio do mnie i spytał, czy faktycznie mamy ważny powód, żeby ścigać taki wzór doskonałości.

— Ale go przekonałeś.

— Tak. Podsłuch powinien działać dziś wieczorem. A jeśli chodzi o pluskiewkę pokojową, zaplecze dla ciebie jest już przygotowane. Będziemy sprawdzali nagrania dwa razy dziennie.

— Dobrze. Otrzymałam urządzenie wczoraj po południu. Niezły sprzęt. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zainstaluję je dziś wieczorem.

Stormont nie odzywał się przez kilka chwil. Nagle powiedział z zadziwiającą czułością:

— Bądź ostrożna, przyjaciółko.

Owen Quaid zadzwonił do Frazera ze wstępными raportami tuż przed lunchem.

Detektyw siedział w swoim gabinecie, a Paul Black słuchał z zainteresowaniem, z uchem przyklejonym do drugiego aparatu.

— Jak na razie wszyscy obserwowani są czysti — powiedział Quaid. — Nic niezwykłego. Żadnych nieprawidłowości. Z rzeczy osobistych też nic — nikotyna, alkohol, kochankowie, ale bez przesady. Żadne z nich z tego powodu nie miało problemów.

— Ulżyj nieco mojej ciekawości. Kim oni są? Jakież dane, skąd się wzięli?

— Cassie Stewart urodziła się w małej wiosce w zachodniej Szkocji. Skromne pochodzenie. Zarobiła sporo pieniędzy w City, ma ładny dom w Chelsea. Wiedzie jej się dobrze, ale nie jakoś rewelacyjnie. Miła dziewczyna, ludzie ją lubią. Nie znalazłem u niej żadnych brudów. — Quaid szybko zmienił temat. — Richardson jest taki, jak widać. Farma na wsi, dom przy Trevor Square. Szkoła w Eton, Gwardia Narodowa, a potem City. On też jest lubiany. Podobno jest niezwykle bystry, znacznie bardziej niż się wydaje.

Frazer roześmiał się.

— On to kawałek gówna, do którego ktoś doczepił fragment mózgu. Jedyna bystra rzecz u Richardсона, to woda w jego kiblu. Nie rozśmieszaj mnie, Quaid.

— Zdaję relację z tego, czego dowiedziałem się od osób, które go znają.

— Ludziom się wydaje, że każdy, kto pracuje, jest bystry. Powiedz mi o Ewie. Nie oczekiwałem niczego ciekawego, jeśli chodzi o Cassie i Richardсона ale Ewa jest inna. Wydaje mi się, że w jej życiorysie można coś znaleźć.

Quaid i Black popatrzyli na siebie marszcząc brwi.

— Po tym, jak zdobyła stopień naukowy w Oksfordzie, zniknęła na osiem lat na Dalekim Wschodzie. Uczyła wiejskie dzieci angielskiego w Wietnamie, Laosie i Tajlandii. Utrzymywała się z majątku rodzinnego. Pochodzi z bogatej rodziny.

Ojciec właściwie nic nie robi, poza czytaniem, polowaniem i wędkowaniem. Nie jest zbytnio związany z liwą. Nic są poróżnieni, ale nie utrzymują bliskich stosunków. Matka mieszka w Afryce Południowej. Uciekła dawno temu. Jeden brat, który dziedziczy lwią część majątku. Ewa ma dom w Chelsea, zarejestrowany na jej matkę. Oprócz tego i skromnego kieszonkowego sama musi sobie radzić. Pije, pali, ale z umiarem. Najbardziej chyba lubi swoje własne towarzystwo.

— To wszystko dość nudne.

— Mogłem to trochę upiększyć, ale nie płacisz mi za bajki. Frazer milczał przez chwilę.

— Zastanawiam się, czy jej nie pośleć przez tydzień całą ekipą.

— Jeśli chcesz. Frazer uśmiechnął się.

— Tak, chcę. — Odłożył słuchawkę.

— Cholera — zaklął Quaid. — Będziemy chyba musieli mu wymyślić jakiś soczysty kawałek. — Nie powiedział Blackowi o heroinie. Wspólnik nie miał

pojęcia, że Quaid właśnie nakłamał Frazerowi.

— Naprawdę czegoś chce się doszukać, co? — odezwał się Black. — Mogłoby się zdawać, że traktuje to niemal jak jakiś sport. Ta dociekliwość wydaje się wykraczać poza normalne sprawdzanie partnera w interesach.

— Mają romans.

— Coś tu za dużo osobistych brudów — powiedział Black spoglądając twardo na Quaida. — Zbyt wiele kłamstw. To się robi coraz gorsze.

Gdy Black opuścił gabinet i oddalił się, Quaid wziął telefon i zaczął dzwonić do ludzi, których zatrudniał na umowę zlecenie. Zorganizował ekipę dwunastu osób do prowadzenia tygodniowej obserwacji dwadzieścia cztery godziny na dobę, poczynając od przyszłego poniedziałku. Mieli pracować na zmiany.

Frazer siedział w swoim gabinecie, dziwnie rozczarowany. Ewa nie pasowała do takiej niemal mieszczańskiej rodziny. Coś innego musiało ją ukształtować.

Zadzwonił telefon, wrywając Frazera z zadumy. Le Mai mówił krótko, z nutą niepokoju w głosie.

— Nasz przyjaciel wyjechał na wieś. Nie wiemy dokąd. Powiedziano nam, że wróci w poniedziałek albo we wtorek.

— Spróbuj go znaleźć. Niech ktoś tu czeka, na wypadek gdyby wrócił wcześniej.

Frazer poszedł zjeść lunch. Nie pił — miał zbyt podły humor.

Cassie siedziała w swoim gabinecie i usiłowała zdecydować, czy jest głodna na tyle, że powinna zmusić się do wyjścia i kupienia kanapki. Roześmiała się w duchu, gdy przypomniała sobie, jak zeszłego wieczoru wróciła do domu obładowana nowymi sukienkami, w nastroju szczęśliwej bez troski. Podniecenie Cassie wiązało się z czekającym ją wyzwaniem i z ryzykiem, z transakcją i ze Stormontem.

Wcześniej Cassie sądziła, że te sprawy potrafi kontrolować. Czowała się tak, jakby miała jasny obraz sytuacji i dzięki temu mogła przewidzieć i wyprzedzić zdarzenia.

Wiadomość o uzależnieniu Ewy od heroiny wszystko zmieniła. To odkrycie wykraczało poza

wyobrażenie Cassie o przyjaciółce. Spowodowało lawinę komplikacji. Będzie musiała okłamać Richardsona i czuła, że jak w przypadku większości kłamstw, to jedno pociągnie za sobą następne.

Cassie nigdy nie musiała niczego ukrywać ani taić. To dawało jej pewną wolność i siłę. Teraz wiedziała, że je traci. Czuła się tak, jakby wkraczała na obce terytorium, o którego istnieniu zawsze wiedziała, ale świadomie unikała nań wstępu.

Przeanalizowała zobowiązania, jakie miała względem Ewy, i sprawa całej transakcji zaczęła się komplikować. Cassie nie pragnęła już tak się z nią spieszyć. Jednak takie postępowanie było dla Cassie nietypowe i Richardson nabrałby podejrzeń. Cassie na ogół albo od razu odrzucała propozycje transakcji, albo bez reszty się im poświęcała. Będzie musiała maskować kłamstwa — kłamstwa, które można by określić jako niedopatrzania, ale jednak kłamstwa. Mimo że Cassie działała dla dobra sprawy, nie była pewna konsekwencji. Już nie wiedziała, czy potrafi je przewidzieć i poradzić sobie z nimi. Martwiło ją to i podniecało zarazem. Odezwało się jeszcze coś: odrobina poczucia winy względem Ewy. Winy, że nie potrafiła właściwie ocenić przyjaciółki, że nie obeszała się z Ewą i z jej bratem delikatniej.

Cassie nigdy nie dostrzegła ich cierpienia, nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby rodzeństwo pocieszyć. Zauważała jedynie bijącą od nich energię i nie zadała sobie trudu, by wejrzeć głębiej.

Cassie wstała i poszła do gabinetu Johna Richardsona. Usiadła naprzeciwko niego.

'— Muszę ruszyć ten diamentowy interes. ' — Czego ci potrzeba?

— Dodatkowych informacji. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o diamentach, o tej dziedzinie biznesu.

Richardson zastanawiał się przez chwilę.

— Mam przyjaciela, z którym mogłabyś porozmawiać. On byłby w stanie powiedzieć ci coś na ten temat. Zadzwońię do niego, zobaczę, czy będzie mógł nam pomóc.

Gdy Cassie wróciła do swojego gabinetu, Richardson zatelefonował do przyjaciela, Aubreya Goldsteina. Po krótkiej wymianie uprzejmości biznesmen przeszedł do rzeczy.

— Aubrey, potrzebuję pomocy. Zaproponowano nam związany z diamentami interes. Zajmuje się tym moja koleżanka, Cassandra Stewart. Chciałaby się dowiedzieć czegoś więcej o tej dziedzinie. Pomyślałem, że może... —

dyplomatycznie zawiesił głos.

— Wiesz, że z zasady nie lubię z nikim o tym rozmawiać. Znasz moje wymagania, jeśli chodzi o dyskrecję.

— Znam. Nie prosiłbym cię o to, gdybym nie miał do Cassie absolutnego zaufania.

Potrafi dochować tajemnicy.

— Jako że to ty dzwoniisz i dajesz mi takie zapewnienie, nie mogę odmówić. Ale nie wiem, na ile potrafię wam pomóc.

Wystarczy, że z nią porozmawiasz, pomyślał Richardson.

— Dzięki, Aubrey. Jestem ci naprawdę wdzięczny — powiedział.

— Jaka ona jest? — spytał Goldstein szybko. — Spodoba mi się?

— Jest inteligentna, pełna ciepła, zabawna. Nie może ci się nie spodobać.

— Hrara. — Goldstein zdawał się nieporuszony.

— Poza tym jest piękna.

— Naprawdę? — Goldstein uśmiechnął się w duchu. — No to podaj tej kobiecie mój numer. Powiedz, że czekam na jej telefon.

Richardson udał się do gabinetu Cassie i zameldował:

— Porozmawia z tobą ale musisz zachować dyskrecję.

— Boże, to brzmi strasznie tajemniczo.

— W tym biznesie wszyscy są tajemniczy.

— Kim on jest? Co robi?

— Nazywa się Aubrey Goldstein. Napisał kilka książek o diamentach. Wie wszystko, czego chciałabyś się dowiedzieć, i znacznie więcej. Niczego poza tym nie mogę ci powiedzieć.

— Nie możesz, czy nie powiesz?

Richardson udał, że nie słyszy. Otworzył swój notatnik z adresami i zapisał

nazwisko oraz numer telefonu na żółtej kartce. Wręczył ją Cassie.

— Czekam na twój telefon.

Cassie uważnie przyjrzała się Richardsonowi. Był zamyślony i spięty. Schowała numer do kieszeni i stwierdziła, że nie będzie zadawać mu więcej kłopotliwych pytań. — Rozważam zwołanie spotkania na poniedziałek — ty, ja, Ewa i Frazer —

powiedziała. — Rozmawiałam z Brimtonem. Nie zakwestionował niczego w moim planie. Przyjęłam go, jako naszego oficjalnego maklera. Czekam, aż wydam mu instrukcje dotyczące kupna.

— Ile potrzebujemy pieniędzy? — spytał Richardson.

— Do pierwszego etapu, żeby wykupić pięć procent udziałów — sto tysięcy akcji po sześć dolarów za jedną — musimy mieć sześćset tysięcy dolarów kanadyjskich.

Mamy już otwarty rachunek maklerski. Potrzeba mi jedynie gotówki. — Cassie przesłała Richardsonowi uśmiech.

— A więc nadszedł czas na podjęcie zasadniczej decyzji?

— Tak.

— Dobrze. Powiedz mi, jak ty się zapatrujesz na ten interes? Dlaczego powinniśmy do niego przystąpić — to znaczy, jeśli uważasz, że powinniśmy.

Cassie milczała przez chwilę.

— Sądzę, że powinniśmy w to wejść, ale musimy być w pełni świadomi, w co się angażujemy. — Przerwała ponownie, zastanawiając się czy kłamstwo, niewyjawienie wszystkiego do końca, daje się wyczytać z jej twarzy. Spojrzała badawczo na Richardсона, który patrzył na Cassie spokojnie.

— Biznes diamentowy jest bardzo ryzykowny. Inwestycje w Wietnamie są śliskie.

Wchodzimy po uszy w ryzyko, jeśli chodzi o dziedzinę i lokalizację. Z drugiej strony, gdy diamentowe interesy są trafione, zyski stają się ogromne, większe niż te, jakie do tej pory osiągnęliśmy przy jakiegokolwiek transakcji. Wietnam może się stać nowym, prężnym rynkiem. Wielu inwestuje w tym kraju mnóstwo pieniędzy, a inni noszą się z takim zamiarem. Jeśli nasz interes się powiedzie i sytuacja w kraju pozostanie stabilna, będą ustawiały się kolejki inwestorów pragnących się do nas wkupić.

Do tego mamy Robiego Frazera, człowieka o cechach Midasa. Sam jego współudział podniesie wartość tej transakcji i, co ważniejsze, posiadamy dostęp do jego rzeczoznawców. Frazer prawdopodobnie zna tuziny inwestorów, którzy pędem kupią każdą rzecz, jakiej się dotkną. I mamy Ewę, która jest niezwykle zapalona do tego interesu i zdaje się inwestować w niego wszystko, co posiada. Ta jej pasja sięga niezwykle daleko. Całe przedsięwzięcie będzie bardzo złożone. Trzeba się liczyć z ogromnymi problemami. Potrzebny nam ktoś z Ewy energią i motywacją żeby przez to wszystko przebrnąć. Tak więc powiedziałabym, że potencjalnie plusy znacznie przewyższają minusy, ale wszyscy muszą zdać sobie sprawę, że w zasadzie decydujemy się na uprawianie hazardu. Jeśli to nam nie przeszkadza, powinniśmy wejść w ten interes.

— Mnie to nie przeszkadza. Jak do tej pory raporty mineralne wyglądają bardzo obiecująco. Zgadzam się z tym, co mówiłaś na temat Ewy i Frazera. Zdaję sobie sprawę z trudności. Dalej. Bierzemy się za twoją transakcję. Dopilnuję, żeby były pieniądze.

Cassie uśmiechnęła się szeroko.

— Świetnie. Cudownie. Richardson rozbudził w niej entuzjazm.

— Przyjmuję, że Ewa i Frazer zgodzą się na twój plan.

— Och, oczywiście, że się zgodzą.

— Uważałbym nieco na tę dwójkę, Cass. W ich wypadku niczego nie można przyjmować za pewnik.

— Richardson wstał. — Muszę iść na lunch. Umów spotkanie na poniedziałek. Będę tam.

Gdy wychodził ze swojego gabinetu, odwrócił się i przyjrzał Cassie przez chwilę.

— Wszystko w porządku, co? Przez moment miałaś jakiś dziwny wyraz twarzy.

— Często miewam dziwny wyraz twarzy, John. Wszystko gra.

Cassie opuściła gabinet Richardsona i wróciła do siebie. Usiadła spokojnie, delektując się chwilą. Czuła się tak, jakby przed momentem wystartowała w wyścigach. Rozradowana, podniecona zadzwoniła do Frazera, obiecała, że po południu zostanie mu dostarczony przez kuriera biznes-plan i umówiła się na spotkanie na dziesiątą rano w poniedziałek. Następnie zatelefonowała do Ewy.

Zarówno Frazer, jak i Ewa połknęli przynętę. Byli bardzo układni, mieli nienaganne maniery, ale nie potrafili ukryć swojego podniecenia. Następnie Cassie zadzwoniła do Aubreya Goldsteina.

— Dzień dobry. Czy mogłabym rozmawiać z Aubreym Goldsteinem?

— Kto mówi?

— Cassie Stewart, z Case Reed.

— Ach, panna Stewart. Tu Goldstein. Chciała pani porozmawiać o diamentach? —

Nieco zniekształcony głos był głosem starego, mądrego człowieka.

— Tak.

Zapadła cisza i Cassie usłyszała szelest papieru. — W poniedziałek muszę wyjechać. Czy zależy pani na spotkaniu przed poniedziałkiem?

— Tak by było najlepiej. Gdyby pan mógł jakoś wygospodarować nieco czasu...

— Właśnie miałem jeść lunch. Jestem pewien, że moja gospodyni jakoś sobie poradzi. Nie zechciałaby mi pani towarzyszyć?

— Z przyjemnością. To bardzo miło z pana strony.

— Doprawdy to drobiazg. — Podał Cassie swój adres. Z niecierpliwością czekał na jej wizytę. Jak większość pięknych kobiet, okazaną pomoc przyjmie jako hołd złożony urodzie, nie będzie niczego podejrzewać.

Cassie dotarła do Holland Park piętnaście po pierwszej. Aubrey Goldstein mieszkał

w dużym domu z frontonem ozdobionym stiukami, mieszczącym się przy spokojnej, okolonej drzewami alei. Musi nieźle zarabiać na książkach i na konsultacjach, pomyślała Cassie. Gdy nacisnęła dzwonek, zauważyła dwie kamery skierowane w dół z drugiego piętra. Poczula się obserwowana. W domofonie odezwał się jakiś głos.

— Tak?

— Cassie Stewart.

Kilka sekund później drzwi otworzyły się zamasyście. Przed Cassie stanął niski, krępy mężczyzna o siwych włosach i jasnoniebieskich oczach.

— Panna Stewart? Jestem Goldstein.

Cassie wyciągnęła rękę. Pisarz uściśnął ją mocno.

— Proszę wejść. Zechciałaby się pani czegoś napić? W lodówce jest schłodzone białe wino.

— Z przyjemnością — odparła Cassie.

Goldstein zaprowadził Cassie do kuchni i nalał wino. Obsługiwał ją z czarującą niezdarnością kogoś, kto jest przyzwyczajony do służących i gospodyń. Przeszli na kamienny taras, z którego rozciągał się widok na wielki, dobrze utrzymany ogród.

Nakrycia na drewnianym stole były przyszykowane dla dwóch osób. Usiedli, a gospodyni przyniosła rybę z grilla i sałatkę.

— Mam nadzieję, że się pani tym naje — powiedział Goldstein z przeproszającym uśmiechem.

— Jest wyśmienite — odparła Cassie.

Goldstein spoglądał dyskretnie na jej twarz. Cassie zrobiła się bardzo czujna.

— Więc chce się pani dowiedzieć jeszcze czegoś o diamentach?

— Właśnie.

— To fascynujące kamienie. — Goldstein odsunął talerz na bok i oparł

się o poręcz krzesła. W miejsce twardego spojrzenia, z którym przywitał Cassie, pojawiła się dobrotliwa łagodność. - Słowo diament pochodzi od greckiego *adamas*, co znaczy „daję się okiełznać” albo „poddaję się”. W ciągu dziejów zawsze toczono jakąś walkę z diamentami. Byli zwycięzcy! pokonani. Już w 800 roku przed naszą erą kamienie te były cenione w Indiach jako talizmany. Podobno zapewniają hart ducha, odwagę i zwycięstwo w boju, oraz stałość w miłości. Według niektórych legend diamenty tracą swoją magiczną moc, kiedy nosząca je osoba grzeszy.

Wtedy kamień przejmuje ten grzech jako klątwę. — Go dstein uśmiechnął się. — Dzieje słynnych diamentów przywodzą na myślenie bajki albo powieści przygodowe -

morderstwa, klątwy, odważni mężczyźni i piękne kobiety. Niewiele się zmieniło, może poza tym, że brak **już** śmiałych, a zarazem pięknych kobiet.

Cassie poczuła się dziwnie zażenowana tą uwagą która zabrzmiała jak przestroga.

- Interes, w który się pani wdaje, jest ryzykowny — kontynuował

Goldstein.

— Taki jest charakter naszej pracy.

— Nie wydaje mi się. Niech pani nie poczyta tego za megrzeczność, ale sprawy, którymi zajmowaliście się do tej pory, nie mają nic wspólnego z tym interesem.

Nawet nie stanowią do mego wprowadzenia.

Cassie spojrzała na Goldsteina pytająco.

— Nie wiem jakie ma pani do mnie konkretne pytania, ale najlepsze co mogę zrobić, to panią przygotować, przechylić szalę bardzo, bardzo nieznacznie na pani stronę.

— To byłoby pomocne.

— Nie ma pani zbyt silnego ego, prawda? Nie w złym tego słowa znaczeniu Większość ludzi ze świata finansów zaprotestowałaby uważając że wiele wiedzą po czym zanudzałaby mnie opowieściami o wszystkich przeprowadzonych przez siebie transakcjach.

— Ego jest u mnie równie silne jak u innych. Po prostu wiem, kiedy je kontrolować.

Goldstein rozparł się na krześle i napił wina.

— No dobrze. Powiem pani. Istnieją ogólnie przyjęte formy postrzegania diamentów - to najlepsi przyjaciele dziewcząt, dobra inwestycja najstarsza rzecz, jaką można wziąć do ręki. - Przerwał i dodał niemal z niedowierzaniem: — Czy wiedziała pani, że niektóre diamenty mają miliony lat? To dlatego wierzy się, że reprezentują wieczną miłość błądzącą tak stare jak wieczność. W każdym razie —

Goldstein stał się bardziej rzeczowy — mają jeszcze inny aspekt; są źródłem dochodów, stanowią ogromny biznes. Roczna sprzedaż diamentów dochodzi do kwoty czterdziestu miliardów dolarów. Inwestorzy czerpią ogromne zyski z trafionych przedsięwzięć, z ponadstuprocentowymi dochodami z akcji. Te zyski coś łączy — Centralne Biuro Sprzedaży, znane powszechnie jako kartel. Około osiemdziesięciu procent rocznej produkcji przechodzi przez CBS. Diamenty są sortowane, oceniane i sprzedawane na Charterhouse Street, w londyńskim City, gdzie mieści się główna baza De Beers poza Afryką Południową. Jest to sześciopiętrowy nowoczesny budynek ze szkła, zbudowany jak forteca. W każdy piąty poniedziałek nowego roku wybrana grupa przedsiębiorców diamentowych

zostaje zaproszona na drugie piętro gmachu przy Charterhouse Street, żeby odebrać sakwę przewiązaną wstążką. Wewnątrz znajduje się tekturowe pudełko. W pudełku umieszczone jest coś, co przypomina kopertę, a zwie się papierkiem. Nie oszlifowane kamienie znajdujące się w papierku są do siebie podobne i należą do jednej z setek klas, na jakie CBS sortuje swoje dostawy. Każde pudełko zawiera kamienie warte średnio od dwóch do pięciu milionów dolarów. Kontrahent kupuje, lub nie, za cenę umieszczoną na pudełku. Nie ma negocjacji i nierozsądnie jest odmówić przyjęcia pudełka. Jest to niezwykle dobrze przemyślany system, podlegający żelaznej dyscyplinie i nie powinien się zmieniać. Na świecie jest znaczna nadwyżka podaży diamentów. Istnieją ogromne rezerwy. Gdyby CBS nie ograniczało sprzedaży oraz nie ustalało i nie podtrzymywało cen, w większości klas drastycznie by one spadły.

Cassie zrobiła wielkie oczy.

— To bardzo inteligentna działalność. W ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat CBS

zrobiło dla diamentów coś, czego nie udało się dokonać producentom ropy z OPEC

ani nawet kokainowym baronom z kartelu w Medellin. CBS miało siłę i zdolność wprowadzić na rynek swój własny porządek i zbudowało syndykat, który przetrwał

nie tygodnie czy miesiące, ale dziesięciolecia. Oczywiście zdarzały się odstępstwa

— kiedy londyński handlarz diamentami zdecydował się zakupić kamienie poza kartelem, w Angoli; kiedy Zair postanowił spróbować działać na własną rękę; kiedy Moskwa załamała rynek, żeby zdobyć pieniądze na swoje wybryki w Afganistanie. Ale w tym klubie takie zdrady są krótkotrwałe. Przynajmniej do tej pory. Teraz Rosjanie przysparzają kłopotów. Najlepsze rosyjskie diamenty, warte miliony funtów, pojawiają się na rynku, nie przechodząc przez CBS.

— Dlaczego Rosjanie tak postępują, skoro obniża to ceny światowe? Goldstein uśmiechnął się.

— Chcą miejsca w zarządzie De Beers w Afryce Południowej i pragną mieć coś do powiedzenia w sprawie prowadzenia CBS w Londynie.

— Czy im się to uda?

— Poczekamy, zobaczymy. Ale to wprowadza destabilizację; kolejne ryzyko, którego powinna być pani świadoma.

Goldstein dolał wina.

— Co jeszcze stanowi zagrożenie? — spytała Cassie.

Goldstein milczał przez chwilę. Gdyby nie oczy, które przewiercały Cassie, słaby uśmiech na ustach pisarza nadawałby mu łagodny wygląd.

Jak przystało na kogoś, kto dobrze rozszyfrowywał innych, Cassie wyczuła, że Goldstein posiada podobną umiejętność, i znów się zmieszała. Goldstein łyknął

trochę wina i jego badawcze spojrzenie złagodniało. Sprawiał wrażenie, jakby podjął jakąś decyzję.

— Powinna pani wiedzieć jeszcze o wielu sprawach, na wypadek gdyby miała pani kłopoty, a istnieje prawdopodobieństwo, że tak się zdarzy.

Spokojna beztroska, z jaką mówił o mających nastąpić komplikacjach, wzmogła niepokój Cassie. Przypomniała sobie, że Goldstein jest przecież pisarzem, przyjacielem Johna Richardсона, który miał jej pomóc.

— Diamentowy biznes jest wykorzystywany do wielu celów, oprócz tego oczywistego. Na przykład do manipulacji ceną akcji, gdy dana firma jest notowana na giełdzie. Miesiącami, czasami latami cena opiera się na nadziei, a w tym czasie prowadzone są badania próbek. Poza tym są jeszcze ci, którzy wykorzystują handel diamentami dla swoich własnych, rzekomo wzniosłych celów. —
Dostrzegł

pytające spojrzenie Cassie. — Wywiady państwowe. Są blisko związane z De Beers

— oddają sobie wzajemne przysługi.

— Jak?

— To proste. Przedsiębiorcy diamentowi mają powód do podróżowania po całym świecie, do Rosji, do Angoli, do Afryki Południowej, wszędzie. Istnieją długie okresy, kiedy niczym szczególnym się nie zajmują — gdy czekają na wyniki testów przeprowadzanych na próbkach. Mają masę czasu, żeby robić to, co zechcą. I są dobrze kryci.

— A przysługi wyświadczone w drugą stronę?

— Służby wywiadowcze mogą pomóc w zapewnieniu, że pewne ilości diamentów, które w przeciwnym razie pominęłyby kanały CBS, wracają pod jego kontrolę.

— Na przykład? Kto byłby przeciwny kartelowi, skoro w interesie tak wielu ludzi leży, żeby nadal działał i żeby z nim współpracować?

— Amerykanie — odparł prosto. — Tam CBS jest nielegalne z powodu Aktu Antytrustowego Shermana. Działalność biura jest sprzeczna z amerykańskim prawem dotyczącym monopoli. Wspominałem pani już o Rosjanach. Domagają się większej części sprzedaży światowej i większych wpływów w CBS. Do tego jeszcze dochodzą przemytnicy, którzy nie mogą działać poprzez oficjalne kanały.

— A w jaki sposób służby wywiadowcze mogą skierować ten towar do CBS?

Goldstein roześmiał się.

— Tego już sama będzie się pani musiała dowiedzieć. Niech pani wyteży swoją wyobraźnię i intuicję. Proszę doszukać się logiki. Trzeba zwracać uwagę na pewne sprzeczności — niemal zawsze można się ich dopatrzeć. Ważne są elementy nieprzewidywalne, nielogiczne, niemal samoniszczące.

I, moja droga, proszę uważać na siebie. To najlepsza rada,

jaką mogę pani dać. — Oczy Goldsteina przez sekundę były niemal łagodne.

Lunch dobiegł końca. Goldstein wstał, wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyciągnął wizytówkę.

— To numer mojej sekretarki. Jest w stanie połączyć panią ze mną, gdziekolwiek bym się znajdował.

— Podał Cassie wizytówkę i odprowadził gościa do holu. —

Proszę zadzwonić do mnie, gdyby pani potrzebowała jakiejś pomocy. A przy okazji

— spytał, otwierając drzwi — to pani przedsięwzięcie, to w jakimś ciekawym miejscu?

— Tak — odparła Cassie, którą dziwny ton Goldsteina wyprowadził z równowagi.

— W Wietnamie.

Cassie przez chwilę zastanawiała się, czy rozsądnie postąpiła mówiąc Goldsteinowi, gdzie znajduje się złoże. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że w tym momencie popełniła błąd. Goldstein pożegnał się z nią. Uścisnęła pisarzowi dłoń, rozstali się i Cassie poszła wzdłuż Holland Park Road. Rozmyślała o wszystkich ostrzeżeniach: Richardsona, Brimtona, a teraz Goldsteina. Przestróg przybywało, jak zdechłych much latem.

Goldstein obserwował Cassie, dopóki nie zniknęła mu z oczu, następnie zamknął

drzwi i podniósł słuchawkę. Wykreślił numer zamiejscowy i nie podając swego nazwiska, powiedział:

— Nieco informacji o przedsięwzięciu wietnamskim. Dotarło do Londynu, do firmy kapitałowo-inwestycyjnej Case Reed.

Zapanowała cisza. Następnie twardy głos oznajmił:

— Pilnuj spraw. Poczekamy. Nadejdzie czas. Będziesz naszym konsultantem.

Warunki takie, jak zwykle.

Rozdział 25

Osiódmego wieczorem Ewa poszła pobiegać. Biegała przez godzinę wokół parku Battersea. Spadające płatki kwitnących drzew, które rosły nad rzeką tworzyły pod jej stopami pachnący dywan. Dzień był ciepły, a park pełen ludzi spacerujących z psami, biegających, grających w tenisa i w bile, czy po prostu leżących na trawie.

Sielankowość tego widoku jakoś dziwnie podniosła Ewę na duchu.

Wróciła do domu mocno spocona, delektując się lekkim wysiłkiem, sprawnością ciała tak łatwo

poddającego się jej woli. W domu zrobiła czterdzieści pompek i sto przysiadów. Rozluźniła mięśnie, ochłonięła trochę i sprawdziła sobie puls. Ewa zawsze lubiła to robić. Przypomniała sobie, jak przed laty sprawdzała tętno, gdy przechodziła specjalny trening strażacki, tuż po wstąpieniu do służby wywiadowczej. Wtedy musiała nabrać kondycji. Przy wolniejszym tętnie znacznie łatwiej było utrzymać nieruchomo pistolet. Ideałem było około pięćdziesięciu pięciu uderzeń na minutę. Ewie udało się wtedy zejść do pięćdziesięciu czterech. Teraz miała pięćdziesiąt jeden.

Wzięła prysznic i starannie ubrała się na randkę z Frazerem. Włożyła dość krótką fałdowaną czarną sukienkę i czarne buty. Bawiło ją strojenie się w te modne ciuszki po tylu latach noszenia dżinsów i szortów. Zerknęła na siebie w lustrze i niemal zaskoczyło ją własne odbicie. Zastanawiała się, jak ją odbierał Frazer.

Sprawdziła niewielką paczkę, którą poprzedniego popołudnia przyniósł kurier TSW: przekaźnik w formie gniazdka elektrycznego. Niemożliwe do odróżnienia od gniazdka standardowego, używanego w Wielkiej Brytanii, zawierało miniaturowe urządzenie elektroniczne. Po zainstalowaniu, zasilany sieciowo przekaźnik działał

bez przerwy. Wykorzystywał wąskie pasmo UKF, od 365 do 455 Mhz. Był zdolny wyłapywać wszelkie rozmowy w pomieszczeniu, w którym został zainstalowany.

Ewa zawinęła urządzenie w chusteczkę i włożyła do torebki. Zatrzasnęła ją i zamknęła drzwi. Wyrzuciła z głowy zbędne myśli, pozostawiła jedynie te najbardziej niewinne, żeby Frazer nie mógł zauważyć żadnego podenerwowania, podniecenia czy strachu. Dotarła do domu Frazera dziesięć po dziewiątej.

Gospodarz pocałował ją na powitanie.

— Wyglądasz cudownie. Promiennie.

— Dziękuję. Dopiero co biegałam przez godzinę. To chyba dlatego.

— Przez godzinę? Cholera. Gdybym kiedykolwiek wpadł na pomysł, żeby z tobą pobiegać, wybij mi to z głowy. — Zaprowadził Ewę do ogrodu, gdzie na drewnianym stole stała butelka szampana w kubelku z lodem. Wręczył gościowi kieliszek i przyglądał się Ewie, gdy stała pijąc i spoglądała na pędy róż w pełnym rozkwicie.

— Masz świetną kondycję, prawda? Jesteś w doskonałej formie. Przyszło mi to do głowy, gdy cię zobaczyłem po raz pierwszy. Stałaś odwrócona do mnie plecami.

Pamiętam, że wyglądałaś jak sprinterka gotowa do startu. Byłaś, jak by to określić, gotowa do walki. Ewa usiadła na drewnianym krześle.

— Gotowa do walki? Chyba tak. Mam masę do zrobienia.

— A cóż takiego?

Spojrzała na Frezera ze zdziwieniem.

— Przeprowadzić tę transakcję, oczywiście. Diamenty. To może się okazać wielką sprawą, zupełnie mnie przerosnąć. Ale przy waszej pomocy, twojej i Case Reed, sędzę, że może się udać, nie uważasz?

— Pomogę ci zarówno z chęci zysku, jak też z jakichkolwiek innych powodów.

Mnie także się wydaje, że to może być wielka sprawa. Ale chcę się dowiedzieć, dlaczego to robisz.

— Frezer usiadł naprzeciwko Ewy, oparł ręce na stole i pochylił

się w jej stronę. — Chcę się dowiedzieć, do czego zmierzasz, Ewo. Po co ta transakcja? Dlaczego chcesz ją przeprowadzić? I w co grasz ze mną?

Ewa roześmiała się.

— Jesteś strasznie naiwny. Mam z tobą romans. Wydawało mi się, że to nie ulega żadnej wątpliwości. — Do tego sam doszedłem, ale do niczego ponadto.

Zastanawiasz mnie. Większość kobiet chce czegoś więcej poza romanssem. Och, zawsze zdarzają się przygody na jedną noc, o których zapomina się nad ranem. Ale ty do nich nie należysz. Poza tym istnieją dłuższe znajomości. Wtedy kobiety, choćby nie wiem jak subtelne, czekają na jakiś sygnał, zadają mi pytanie, które właśnie zadałem tobie. Ale ty o nic nie pytasz. Wdajesz się beztrąsko w romans ze mną, mimo że to może skomplikować tę transakcję, na której tak ci zależy.

Dlaczego? Ewa westchnęła.

— Posłuchaj. Mało o mnie wiesz. To w porządku, że pytasz, szczególnie że być może zostaniemy partnerami w interesach, a więc spróbuję ci odpowiedzieć. —

Sięgnęła do torebki po papierosy, obok których leżała chusteczka z zawiniętym aparatem podsluchowym. Ostrożnie wyjęła paczkę.

Zapaliła i zaciągnęła się głęboko, wypuszczając dym w górę, w wieczorne powietrze.

— Nie rozmyślałam zbyt wiele na te tematy. Nie przeprowadzam samo-analizy.

Większość rzeczy robię spontanicznie, instynktownie. Ufam swojej ocenie i kiedy chcę coś zrobić, robię to. Nie zastanawiam się nad konsekwencjami. Stawiam im czoło, gdy się pojawiają. Ludzie zbyt często zamartwiają się godzinami próbując przechytryć przyszłość. Tak intensywnie skupiają się na tym, co ich zdaniem może się wydarzyć, że kiedy sprawy przybierają inny obrót, są zupełnie zaskoczeni i dezorientowani. — Przerwała i przyjrzała mu się. — Rozumiesz mnie?

Spoglądając na Ewę, ponownie napełnił kieliszki. Na twarzy Frazera malowała się ciekawość i szacunek.

— Chyba tak. Żyjesz chwilą ufasz sobie, nie przejmujesz się nikim innym. Ale ta transakcja do tego nie pasuje, przyznasz. Musisz planować, musisz starać się panować nad przyszłością zapobiegając problemom, jeszcze zanim się pojawią.

— Właśnie. To jest jeden z powodów, dla których to robię. Nigdy przedtem nie podejmowałam się czegoś podobnego. Chcę spróbować, zobaczyć, jak sobie poradzę. Poza tym jest jeszcze masa innych powodów. — Jakich na przykład?

Ewa pociągnęła spory łyk szampana.

— Muszę czegoś dokonać, czegoś znaczącego. Przez wiele lat bardzo niewiele osiągnęłam. Uczyłam angielskiego dzieci w zapadłych wioskach całego świata. To było cudowne życie, ale tylko na jakiś czas. Mam teraz trzydzieści lat. Czuję, że dojrzałam do czegoś innego. I, bez owijania w bawełnę, potrzebne mi są pieniądze.

Wzruszyła ramionami.

— Historia stara jak świat. Moja rodzina była dość zamożna, ale w najlepszych czasach ojciec nie zarządzał majątkiem zbyt ostrożnie. Brat odziedziczył dom i większość tego, co zostało z fortuny. Ojciec zabezpieczył mnie finansowo, ale w znacznie mniejszym stopniu niż brata. Jestem dziewczyną, powinnam dobrze wyjść za mąż i mążnek miałby obowiązek mnie utrzymywać. Taki scenariusz mi nie odpowiada. Ale nie mam pretensji. Mogłabym żyć całkiem dobrze z procentów od kapitału, który miał być odłożony, ale ojciec padł ofiarą krachu Lloydsa. Należał do jednego z bardzo złych konsorcjów, wiele stracił. Nie wiem ile, ale na tyle dużo, że kapitał zabezpieczający mój i mojego brata znacznie się uszczuplił. To, co ojciec miał mi zostawić, skurczyło się prawie do zera. Jak więc widzisz, to bardzo proste.

Nigdy nie musiałam troszczyć się o pieniądze. Teraz to się zmieniło, szczególnie że odkryłam coś, co może mi ich przynieść znaczną ilość. Dla mnie to wspaniała szansa. Nigdy nie byłabym w stanie podjąć normalnej pracy od dziewiętej do siedemnastej. Więc jeśli zastanawiasz się, czemu wydaję się taka skupiona, dlaczego nie uganiam się

za tobą jak inne kobiety, to powód jest taki, że skoncentrowałam myśli na tym przedsięwzięciu. Na nim zależy mi najbardziej. Rozumiesz?

Wyciągnął ramię, żeby dotknąć jej ręki. Wzrok Frazera stał się ciepły i zadziwiająco współczujący. Patrzył na Ewę z powagą.

— Rozumiem lepiej, niż ci się wydaje. Byłem drugim synem. Gdy mój ojciec zmarł, starszy brat wszystko odziedziczył. Nagle odebrano mi wszelkie przywileje, zostałem odsunięty, znalazłem się w cieniu brata, właściwie bez żadnych własnych pieniędzy. Ty i ja dążymy do tego samego. Do pieniędzy, które pozwolą nam pieprzyć wszystko i wszystkich. Mnie udało się je już zdobyć, ale nigdy nie jest dość, pobudzają tylko mój apetyt. Ty dopiero zaczynasz. Poczekaj, a sama się przekonasz. To uzależnia.

Uśmiechnęli się do siebie w milczącym zrozumieniu, jakby stali się nagle partnerami, jakby znaleźli się po tej samej stronie. Ewa wstała.

— Przepraszam. Muszę iść do toalety.

Wzięła torebkę i weszła do domu, oddychając głęboko, żeby uspokoić nerwy. Udała się do gabinetu Frazera. Zatrzymała się na chwilę i nasłuchiwała. Następnie, bardzo szybko, wyjęła z torebki zawiniątko i niewielki śrubokręt, odkręciła gniazdko zasilania pod biurkiem Frazera i zastąpiła je gniazdkiem z podsłuchem. Starła odciski palców chusteczką i wsunęła stare gniazdko do torebki. Następnie poszła na górę do sypialni Frazera, rozebrała się i położyła w jego łóżku.

Po pięciu minutach przyszedł jej szukać. Znalazł Ewę i uśmiech powoli rozjaśnił jego twarz.

— A to co? Odrzuciła kołdrę.

— W zasadzie nie mam ochoty na kolację, a ty?

Rozebrał się nie spuszczać z Ewy wzroku. Namiętność ogarnęła ich w sposób naturalny, spontanicznie, ożywiając oboje bardziej niż tego oczekiwali.

O północy obudził ich telefon. Frazer z jękiem chwycił słuchawkę.

— Słucham? Tak, poczekaj. Daj mi minutę.

Odłożył słuchawkę, odwrócił się do Ewy i pocałował ją delikatnie.

— Hongkong. To będzie długa i nudna rozmowa. Śpij dalej. Odbiorę w gabinecie.

— Wracaj szybko — powiedziała Ewa zaspanym głosem.

Gdy wrócił, udawała, że śpi. Leżała nieruchomo i czuła, jak Frazer się rzuca i przewraca niespokojnie. Uśmiechnęła się w ciemności. Za kilka godzin, jeśli zgodnie z obietnicą Stormonta podsłuch telefoniczny został już załączony, dowie się, jaki był prawdziwy charakter tej długiej i nudnej rozmowy.

Rozdział 26

Otej samej porze, gdy Ewa dotarła do willi Robiego Frazera, Andrew Stormont zatrzymał się u drzwi domu Cassie. Spojrzał na elegancką fasadę. Ten dom zdawał

się idealnie pasować do właścicielki. Gdy Stormont nacisnął dzwonek, usłyszał

szaleńcze szczekanie i głos Cassie, strofującej psa.

— Nesta, cicho bądź. Przestań robić taki harmider. Roześmiana Cassie otworzyła drzwi.

— Przepraszam za mojego psa. Uważa za swój obowiązek mnie chronić.

— Mądry pies. — Stormont pochylił się, żeby pocałować Cassie, i poczuł cudowny zapach perfum, nieco cięższych niż te, których używała, gdy spotkali się ostatnim razem.

— Proszę wejść. — Nesta skakała wokół stóp Stormonta, a on energicznie tarmosił

psi kark. — Chcesz trochę szampana?

— Z przyjemnością. — W normalnych okolicznościach, w piątkowy wieczór jechałby właśnie do swojego domu na wsi. Jakież to było dziwne uczucie znajdować się tutaj, w Londynie, na randce z piękną kobietą wyglądającą niezwykle młodo w tej krótkiej sukience i wzbudzającą w nim tak bolesne pożądanie.

— To David Wilson, mój współlokator — powiedziała Cassie wskazując mężczyznę o długich kończynach, który podniósł się z kanapy, wyciągnął uprzejmie wiotką dłoń i zmierzył Stormonta taksującym spojrzeniem. — David, to jest Andrew Stormont.

Mężczyźni podali sobie ręce, wymienili powściągliwe pozdrowienia.

Cassie otworzyła szampana i napełniła trzy kieliszki. Stormont z akceptacją spojrzał

na nalepkę na butelce. Wziął kieliszek, usiadł w głębokim fotelu i wyciągnął nogi na perskim dywaniku. Powoli przyglądał się otoczeniu. Wszystkie sprzęty wokół

zdawały się wiele mówić o osobowości Cassie. Panował tu nastrój szczęśliwej codzienności, atmosfera

domu, w którym przyjemnie jest mieszkać, który sprawiał radość. Nie było tutaj sterylności wewnątrz projektowanych przez obcego dekoratora. Stormont był pewien, że Cassie sama wszystko dobrała.

Nagle zrobiło mu się jej żal. Jakkolwiek potoczy się ta operacja, nie pozostanie ona bez wpływu na Cassie. Stormont nie potrafił przewidzieć, co się stanie. Będzie musiał czuwać nad wszystkim w miarę następowania wydarzeń. Nie potrafił jej również ochronić. Nie mógł być psem, który szczeka na wrogów Cassie.

David Wilson wyraźnie przyjął taką rolę, lecz nie stanowi dobrej ochrony, pomyślał

Stormont, przyglądając się współlokatorowi Cassie. Jest oddany, ale Cassie sama będzie musiała stoczyć swoje bitwy. Stormont zastanawiał się, jak sobie poradzi, i zaczął porównywać jej siłę z siłą Ewy. Ewa była mocna, dobrze wyszkolona i gotowa do walki. Cassie, jeśli coś się nie uda, nie będzie miała pojęcia, jakie piekielne moce ją opętały; nie posiadała doświadczenia.

Na prośbę Cassie poszli na kolację do „Rakesa”, ciemnej restauracji urządzonej w podziemiach, która zawsze przywodziła Cassie na myśl buduar kokoty —

prześliczny buduar, gdzie podawano wyśmienite jedzenie, jednak emanujący seksem, jak miejsce schadzek. Zaśmiała się w duchu i zastanowiła się, o co chodzi Stormontowi — oczywiście poza seksem. Czuła, że ma jakieś ważniejsze powody.

Siedział przed Cassie w ciemnym garniturze i jasnoblękitnej koszuli. Jego ubranie miało idealną linię, podobnie jak skryte pod tkaniną ciało. Wszystko było mocne i zdecydowane — sylwetka, głos,

umysł. Stormont miał również niesłychaną siłę woli, która nie objawiała się jednak w jego wygórowanym mniemaniu o sobie czy w arogancji, w cechach, jakich Cassie najbardziej nie lubiła u mężczyzn. Była widoczna w postawie Stormonta, w jego niewypowiedzianej wierze w siebie, w ciekawości świata i ludzi.

Przejrzeli menu, złożyli zamówienie, po czym Stormont zasypał Cassie gradem pytań. Zadawał je pod pretekstem chęci lepszego jej poznania. Pytania były niewinne, ale Cassie wyczuwała kierującą Stormontem skrytą ciekawość. Z reguły nie lubiła, gdy ją indagowano. Wielu mężczyzn zadawało mnóstwo pytań w przekonaniu, że pozwalając kobietom opowiadać o sobie, co rzekomo było ulubionym zajęciem płci pięknej, panowie manifestują swoje zainteresowanie. Ale Cassie wolała mniej bezpośrednie metody. Gdyby nie czuła do Stormonta takiego pociągu, gdyby nie była tak zniewolona jego urokiem, zbyłaby te indagacje ziewnięciem i zmianą tematu. Jednak zauważyła, jak Stormont ją obserwuje, jakby próbował rozwiązać łamigłówkę.

— Masz strasznie groźnego współlokatora. Strzeże cię jak smok.

— Dlaczego on wszystkich tak interesuje?

— Wszystkich?

— Ewa też o niego wypytywała, chciała się dowiedzieć, czy jest moim kochankiem.

— A jest?

— Nie. Jest po prostu przyjacielem. Czy to takie dziwne?

— Robisz na mnie wrażenie osoby niezależnej, kobiety sukcesu. Nie przypuszczałbym, że potrzebny ci współlokator.

Cassie wzruszyła ramionami.

— Nie lubię mieszkać sama. Nigdy nie lubiłam.

— Dlaczego?

Odwróciła wzrok, jakby zastanawiała się nad doborem odpowiedzi. Nagle spojrzała Stormontowi prosto w oczy i odezwała się przyciszonym głosem.

— Nienawidzę chwil, gdy leżę w łóżku, słyszę różne odgłosy i zastanawiam się, skąd mogą pochodzić. Nie lubię echa, jakim rozbrzmiewa pusty dom, kiedy się do niego wchodzi. Czuję się bezpiecznie, gdy w tym domu ktoś jest. Obecność drugiej osoby sprawia mi przyjemność. David jest bardzo zabawny. Potrafisz to zrozumieć?

— Tak — odparł cicho. — Potrafię. — Chciał się dowiedzieć, dlaczego ma takie lęki, skąd się biorą, ale Cassie odwróciła wzrok, jakby pragnęła uniknąć dalszych pytań.

— Po prostu trochę mnie to dziwi — odezwał się Stormont. — Nieco nie zgadza się to z twoim

wizerunkiem niezwykle przebojowej kobiety z City.

— Sam to powiedziałeś. To tylko wizerunek.

— Ale wyjaśnij mi, dlaczego podjęłaś pracę w City? Przecież to miejsce przypomina nieco gniazdo węży.

— Może być gniazdem węży, jeśli się na to pozwala. Wielkie banki są gorsze niż Case Reed. W City przebywałam jedynie cztery lata, jednak wystarczająco długo, żeby nabrać doświadczenia. Potem przenieśliśmy się do Case Reed. Jest znacznie bardziej cywilizowane — nie prowadzi się tam prawdziwej polityki biurowej. Mam wolną rękę, mogę robić mniej więcej to, co uważam za słuszne.

— Ale to wciąż City, mimo że nie samo jego centrum. Co cię w tym pociąga?

— Ryzyko.

— Lubisz je?

— A nie powinnam?

— Twoje życie wygląda na bardzo poprawne i uporządkowane. Ryzyko to dla ciebie chyba coś obcego.

— Dlatego mogę sobie na nie pozwolić. Lubię ryzyko.

— Czemu?

— Zagrzewa mnie do walki, pozwala zachować dystans, przewidywać, bawić się.

To nie jest ryzyko bezsensowne. Jest skalkulowane. Ryzyko to zysk — bankierska maksyma.

— Więc nigdy nie podejmujesz ryzyka dla samego ryzyka?

— A po co? Jaki miałyby to mieć cel?

— To niezwykle racjonalne, bardzo rozważne.

— Zdaje się, że wielu ludzi lubi popadać w tarapaty tylko po to, żeby zobaczyć, czy uda im się z nich wybrnąć.

— Ale ty nie czujesz takiej potrzeby. Wiesz, że poradziłabyś sobie, więc gdzie tu sens?

— Po prostu nie chcę podejmować ryzyka bez ważnego powodu. Kelnerzy zabrali naczynia po pierwszym daniu. Cassie wykorzystała

tę przerwę, żeby rozejrzeć się po restauracji, celowo wycofując się z konwersacji.

Dość analizy.

— Jak idzie twój interes z Ewą Cunningham? — spytał Stormont beztrąsko.

Cassie milczała przez chwilę i przyglądała mu się otwarcie, zanim odpowiedziała.

— Jeszcze niewiele się wydarzyło. Zwołałam spotkanie na poniedziałek. Wtedy sprawy powinny ruszyć z miejsca.

— Będiesz Ewę finansować?

— Ją złożyć...

— Jak chcesz działać?

— Przestań, Andrew. To sprawy firmy. Chyba nie sądzisz, że cię w nie wprowadzę?

Potrząsnął głową. Nie oczekiwał żadnych szczegółów, chciał jedynie zbadać, w jakim stopniu Cassie potrafi zachować dyskrecję.

Przez cały czas, gdy mówił, gdy słuchał, część jego myśli skupiała się na Ewie.

Zastanawiał się, jak jej idzie z Frazerem, trzymał za Ewę kciuki i bał się o nią.

— No więc — powiedziała Cassie, kończąc jagnięcinę. — Zadałeś wiele pytań na mój temat i została zachwiana równowaga. Ja o tobie prawie nic nie wiem.

— A co byś chciała wiedzieć?

— Och, na początek, na przykład, czym się zajmujesz.

— A jak sądzisz?

Cassie przyjrzała mu się. Milczał przez dłuższą chwilę. Stormont, mimo że często sam patrzył na ludzi w ten sposób, poczuł się nieswojo. Zrozumiał Ewę: Cassie miała niezwykłą zdolność obserwacji.

W końcu odezwała się.

— Mógłbyś zajmować się wieloma rzeczami. Pracować w City albo być biznesmenem. Mógłbyś być psychiatrą lub wziętym dziennikarzem. Albo w jakiś sposób wykonywać wszystkie te zawody naraz. Sprawiasz wrażenie dyletanta, ale jesteś zbyt zaangażowany w sprawy zawodowe. Pracujesz nad czymś, co jest dla ciebie niezwykle ważne, i pasuje do tego jedynie moja teoria, że zajmujesz się psychiatrą. Na to jednak jesteś zbyt występny.

Roześmiał się.

— A więc kim jestem?

Przypomniała sobie rozmowę z Aubreyem Goldsteinem.

— Chyba nie spodoba ci się moja odpowiedź.

— Dlaczego nie, na Boga?

— Ponieważ sędzę, że jesteś szpiclem.

Stormont roześmiał się znowu, lekko i serdecznie. Cassie pomyślała, że była to reakcja człowieka, który nie ma nic do ukrycia albo potrafi świetnie kłamać.

— Jest mi bardzo miło, że zaszczycasz mnie takimi honorami — powiedział. —

Prawda jest bardziej przyjemna. Zajmuję się handlem nieruchomościami.

— Rozczarowałeś mnie.

— Przykro mi. Zrobię co w mojej mocy, żeby ci to jakoś wynagrodzić. — Wzrok Stormonta przesunął się z twarzy Cassie na jej szyję, a następnie na piersi. Podniósł

oczy i zauważył, że Cassie mu się przygląda z na wpół pogardliwą satysfakcją, że tak wyczuła jego intencje.

— A właściwie to jaki diabeł ci podpowiedział, że mógłbym być szpiegiem? Znasz jakichś szpiegów? Czy kogoś ci przypominam?

— W zasadzie tak.

— Kogo? Dlaczego jestem do niego podobny?

— Masz w sobie coś takiego. We wzroku. Wydajesz się szczery, ale wciąż masz się na baczności i bez przerwy obserwujesz. Obserwujesz, lecz sam ujawniasz tylko tyle, ile zechcesz. Znam takie zachowanie. Wszyscy tak postępujemy, gdy kłamiemy, ale w wypadku kłamstw to pojawia się cyklicznie. Ty jesteś napięty bez przerwy, jakbyś musiał ciągle się maskować.

— Teoria pomysłowa, ale mylna.

— W porządku. Mylę się, ale jestem pomysłowa. Zapomnijmy o tym. Bądź nadal spekulantem nieruchomościami i spróbuj mi to jakoś wynagrodzić, a ja postaram się nie być taka pomysłowa.

Spojrzeli na siebie, oboje świadomi nowej ambiwalencji uczuć — wrogości równie silnej, jak pożądanie.

Stormont odwiózł Cassie o północy. Zaparkował samochód przed jej domem nie wyłączając silnika. Pocałował Cassie delikatnie w usta, tylko raz.

— Do zobaczenia wkrótce — powiedział. Cassie wysiadła z samochodu.

Stormont poczuł nieoczekiwany zawód. Ta kobieta była jednocześnie odległa i bliska, nieuchwytna, a jednak w zasięgu dłoni.

W domu, w gabinecie, z whisky w dłoni, Stormont nadal o niej rozmyślał. Czy była tak spostrzegawcza, że domyśliła się, iż jest szpiegiem, czy po prostu zgadywała, igrała z nim? Pociągnął whisky. Cała

operacja niebezpiecznie wymykała się spod kontroli. I Stormont miał przeczucie, że Cassie Stewart będzie dla niego większym zagrożeniem, niż przypuszczał.

Niezależnie od tego jak bardzo jest spostrzegawcza, wciąż istnieje wiele spraw, których nigdy nie rozgryzie. Cassie mogła stanowić zagrożenie, ale Stormont wiedział, że z łatwością sobie z nim poradzi.

Rozdział 27

W sobotni poranek Cassie pozwoliła sobie na wyjątkowo późną pobudkę, o dziesiątej. Wciągnęła na siebie dzinsy i obcisłą koszulkę, poszła do nowo otwartych delikatesów obok Worlds End, przy King's Road i kupiła dwa rogaliki bez dodatków oraz dwa z migdałami, sok pomarańczowy i mleko. Gdy wróciła, w kuchni pojawił

się David, ubrany w dolną część pidżamy.

Cassie na minutę wsunęła rogaliki do piekarnika, po czym ułożyła je w stos na talerzu i wniosła do salonu. David ruszył za nią z kawą.

— Miło spędziłaś wieczór? — spytał. Cassie przytaknęła z pełnymi ustami.

— Nieźle. Co o nim sądzisz? — Wiedziała, że nie było to rozsądne pytanie. David nawet bez żadnej zachęty mieszał z błotem jej zalotników i narzeczonych, ale Cassie była ciekawa, a poza tym David prawie zawsze miał rację.

Przez chwilę milczał kończąc swojego rogalika.

— Uważam, że to wilk. Będąc tutaj schował kły. Ale urządził na ciebie potężne łowy. Nie chciałbym zobaczyć oczu Stormontą gdy znajdzie się z tobą sam na sam w ciemnym pokoju. Prawdopodobnie bym go zabił.

Cassie roześmiała się.

— Wilk — hmm. Jak sądzisz, czym się zajmuje zawodowo?

— To pewnie jeden z facetów z City. Jest w nim ten specyficzny brak skrupułów.

Dlaczego pytasz? Na ogół nie chcesz znać mojego zdania. Czemu masz taką minę i dziwny wyraz twarzy?

— Naprawdę? — Cassie wyglądała tak, jakby wyrwano ją z głębokiej zadumy.

Najwyraźniej były to przyjemne myśli, ponieważ się uśmiechała, jednak ten uśmiech nie wydał się Davidowi szczególnie miły.

— Cass, sprawiasz wrażenie, jakbyś planowała czyjaś egzekucję.

Stormont zadzwonił do Ewy o jedenastej. Właśnie wróciła z domu Robiego Frazera.

Odebrała telefon w charakterystyczny, szorstki sposób.

— Halo. — Brzmiało to jak wyzwanie, a nie jak pozdrowienie.

— Jak ci poszło?

— Łatwo. Wszystko było na miejscu przed dziewiątą trzydzieści. O północy zadzwonił telefon, który musiał odebrać w gabinecie. To może być coś obiecującego.

— Świetnie. Jak tylko to będzie możliwe, załatwię dla nas obojga kopie taśm i transkrypty. Aden i zespół podsłuchujących w tej chwili analizują nagrania z podsłuchu telefonicznego i z pluskwy. Selekcjonują to, co może być istotne.

— A ty? Jakies nowe wieści?

Stormont zawahał się. Musi jej powiedzieć o spotkaniach z Cassie. Dowie się i tak.

Cassie nie miała powodu, żeby Ewie nie mówić. Lepiej jeśli dowie się o tym od niego.

— Dość dziwne wieści. Wczoraj wieczorem widziałem się z Cassie Stewart. —

Przerwał, czekając na reakcję Li wy. Milczała. Stormont ciągnął dalej, czując że drży lekko. — Zjedliśmy kolację, trochę sobie pogadaliśmy. Spytała mnie, czym się zajmuję. Powiedziałem, żeby zgadła, i zgadła.

— Jak to zgadła?

— Oświadczyła bardzo wolno i wyraźnie, iż sądzi, że jestem szpiclem.

— Co?

— Nie przejmuj się. Wybrnąłem z tej sytuacji. Ale, do diabła, jak na to wpadła?

— Ode mnie się nie dowiedziała. Jeśli nad tym się zastanawiasz.

— Nawet przez moment nie przyszło mi to do głowy. Ale jak, do licha, doszła do takiego skojarzenia?

— A jak sądzisz?

— Nie mam zielonego pojęcia. Myślę, że jest bardzo bystra, choć na ogół nie afiszuje się tym. Jedynie od czasu do czasu promienieje całym swoim intelektem.

Czułem się tak, jakbym stał w świetle reflektora.

— Mówiłam ci, że w Cassie jest coś takiego — jakaś cicha czujność.

— Stwierdziła, że przypominam jej kogoś, kto jest szpiegiem.

— Kogo?

— Nie powiedziała.

— Chyba Cassie nie chodziło o mnie? Trudno doszukać się między nami podobieństw.

— Mogła mieć ciebie na myśli. Opisała wyraz mojej twarzy — jak nałożona na stałe maska, która ma wszystko skryć, zataić prawdziwe uczucie.

— Cholera. Miała zupełną rację.

— Ty też masz taką twarz, Ewo. Zawsze można znaleźć na niej ten wyraz, jeśli wiadomo, czego się szuka.

— A skąd, u diabła, Cassie miała wiedzieć, czego szukać?

— No właśnie. Sądzę, że jej nie doceniliśmy.

— Więc co zrobimy?

— Będziemy ciągnęli wszystko dalej. A co możemy zrobić? Musimy jedynie uważnie ją obserwować ją, jak sokoły. Wiesz, wydaje mi się, że Cassie powiedziała to celowo. Zabrzmiało to niemal jak ostrzeżenie.

— Przed czym?

— Nie wiem. Żeby postępować ostrożnie. Może żeby postępować ostrożnie z nią osobiście — wiesz, nie oszukiwać jej, ponieważ jest zbyt spostrzegawcza. W ten sposób chciała dać do zrozumienia, że pozbędzie się mnie przy pierwszym przejawie nieuczciwego zachowania.

— I co jeszcze? — odezwała się Ewa.

— Spytałem ją o interesy prowadzone z tobą. Bardzo delikatnie dała do zrozumienia, żebym się zamknął, bo to są sprawy firmy i że dobrze o tym wiem, więc po co pytam. Wydaje mi się, że było to ostrzeżenie dla ciebie i dla mnie co do tej transakcji. Wie, że się przyjaźnimy.

— Powiedz mi, Andrew, jak twoje spotkania z Cassie mają się do naszej akcji? Mam nadzieję, że nie zamierzasz wykorzystać Cassie, żeby mnie szpiegowała.

— A niby dlaczego miałbym to robić? Ufam ci. Nie mam potrzeby cię szpiegować.

Ewa nie odezwała się.

— Uważaj na nią, Ewo. Nie wiem, jaką grę prowadzi Cassie, ale sądzą, że może być bardziej przebiegła, niż zakładaliśmy.

— Nie zapominaj, że jesteśmy po tej samej stronie. Wszyscy chcemy zarobić pieniądze na tej transakcji. A wracając do sedna, to ty na nią uważaj. Cassie podejrzewa, że jesteś szpiegiem. Możesz mieć z nią romans, w porządku. Tylko mnie w to nie mieszaj i, na miłość boską nie schrzaj tej operacji.

Głos Ewy kęsał przez telefon. Odłożyła słuchawkę nie dając Stormon-towi możliwości odpowiedzi.

Transkrypty i kopie nagrań dotarły o dwunastej; po jednej kopii dostarczono Ewie i Stormontowi. Stormont otrzymał również raport dołączony przez Gilesa Adena, odpowiedzialnego za ten aspekt operacji.

Jakość nagrania była doskonała. Zarówno Ewa, jak i Stormont przesłuchali je natychmiast, chłonąc każde słowo i niuans, jakby rozmowa toczyła się na żywo.

Najpierw odezwał się Frazer.

— Gdzie się podziewałeś, Chin? Od kilku dni próbuję się z tobą skontaktować.

— Interesy. W czym problem?

— Nan już się nie nadaje. Będziesz musiał poczekać nieco dłużej na swoje informacje.

— Co się stało z Nanem?

— Nie chce współpracować.

— Co zrobisz?

— W tej chwili ta sprawa jest załatwiana.

— To znaczy, że jeszcze nie została załatwiona?

— Będzie załatwiona.

Nastąpiła długa przerwa. Gdy Ha Chin odezwał się ponownie, jego głos był oziębły, zdecydowany.

— Mam nadzieję. Spieprzyłeś sprawę, Frazer. Wziąłeś nieodpowiedniego człowieka.

— Takie ryzyko. Zdarza się.

—Mnie się nie zdarza. Ta rozmowa w ogóle nie powinna mieć miejsca.

— Jest bezpieczna.

— Skąd możesz mieć pewność? Szczególnie teraz. Zaczynasz popełniać błędy, Frazer.

— Nie. To ty zaczynasz popadać w obłąd. Tracisz kontrolę, Ha Chin. Podśluch jest sprawdzany co tydzień. Dzisiaj też będzie sprawdzony.

Stormont od razu zadzwonił do Ewy. Mówił szybko, nerwowo.

— Musisz natychmiast usunąć stamtąd tę pluskwę. Możesz przez nią wpaść. Zdaje się, że masz najwyżej kilka godzin.

— Frazer ma wyjechać na weekend. Mogłabym zadzwonić, sprawdzić, czy jest w domu, i udać przed gospodynią że czegoś zapomniałam. — Ewa zachowywała się zupełnie spokojnie, bezpośrednie zagrożenie wyostrzyło jej zdolność logicznego myślenia. Była w pełni świadoma konsekwencji, na jakie zostałaby narażona, gdyby Frazer odkrył pluskwę.

— Zabierz się do tego od razu — powiedział Stormont.

Ewa zadzwoniła do domu Frazera. Margaret odebrała telefon i poinformowała Ewę, że Frazer właśnie wyjechał.

— Dzięki Bogu, że pani jest na miejscu. Zostawiłam coś dziś rano, strasznie mi przykro. Bardzo by pani przeszkadzało, gdybym wpadła na chwilę, żeby to zabrać?

— Będę w domu — odparła Margaret powściągliwie.

Ewa odłożyła słuchawkę, wzięła torebkę, którą miała ze sobą zeszłego wieczoru, i złapała taksówkę na Wilton Place.

Margaret otworzyła drzwi i usunęła się na bok z zimnym uśmiechem. Musi mnie nienawidzić, pomyślała Ewa. Sądzi, że jestem kolejną łowczy -nią pieniędzy Frazera.

— Chyba zostawiłam to w łazience na górze. Margaret zmierzyła ją od stóp do głów.

— A co?

— Moje pigułki antykoncepcyjne. Są na długiej tekturce, takie lekko szare i...

— Wiem, jak wyglądają. Proszę. Niech pani ich poszuka. — Margaret odwróciła się i ruszyła w głąb domu.

Ewa patrzyła, jak gospodyni znika, po czym poszła szybko i cicho przez hol do gabinetu. Modliła się, żeby drzwi nie były zamknięte na klucz. Nie były. Zatrzasnęła je delikatnie za sobą i zbliżyła się do biurka Frazera. Schyliła się, odkręciła gniazdko i zastąpiła je tym, które było zainstalowane wcześniej. Opuściła gabinet, pobiegła na górę i powoli zeszła z powrotem na dół. Doszła do holu w chwili, gdy Margaret pojawiła się tam ponownie.

— Nie mogę ich znaleźć. Pewnie wypadły mi gdzieś na ulicy. Margaret uśmiechnęła się półgębkiem, jakby chciała powiedzieć, że

tam jest ich miejsce.

Ewa była już przy wyjściu. Gospodyni ruszyła za nią otworzyła drzwi i zamknęła je z trzaskiem. Gdy tylko Ewa weszła do domu, natychmiast zadzwoniła do Stormonta.

— Mam. Gospodyni była w domu i niechętnie, ale wpuściła mnie.

— W porządku, ale to wciąż są jedynie półśrodki usuwania szkód. Gospodyni powie Frazerowi, że tam byłaś, że czegoś szukałaś. Jest mało prawdopodobne, iż Frazer skojarzy to ze swoim komentarzem, dotyczącym przeprowadzenia przeglądu podsłuchu, ale nie jest niemożliwe.

Ewa zaczęła się śmiać.

— Co cię tak rozbawiło? Odpowiedziała pomiędzy atakami śmiechu.

— Po prostu oznajmiłam jego gospodyni, że zapomniałam swoich tabletek antykoncepcyjnych. Margaret pomyśli, że to część jakiejś niecnej akcji, żeby usidlić Frazera.

— Bo tak jest. I nie podchodziłbym do tego tak niefrasobliwie.

— Nie podchodzę niefrasobliwie. Tylko że to ich naprowadzi na niewłaściwe tory.

— Uwielbiasz grę bez skrupułów, prawda, kochanie?

— Sądziłam, że to ci się podoba.

Nastąpiła dziwna chwila ciszy. Ewa nie mogła pozbyć się wrażenia, że postąpiła wbrew woli Stormonta. Gdy odezwał się ponownie, jego głos brzmiał oficjalnie.

— Twój aparacik odebrał rozmowę pomiędzy Frazerem a jego pracownikiem o jedenastej trzydzieści, dzisiaj rano. Aden właśnie dostarczył mi kopię. Lada chwila ty też powinnaś ją otrzymać. Przesłuchaj i oddzwon do mnie.

Nagranie dotarło pięć minut później. Ewa włączyła magnetofon. Usłyszała trzask zamykanych drzwi i głos Frazera.

— Wciąż żadnego śladu?

Drugi mężczyzna miał ciężki chiński akcent z Hongkongu.

— Nie. Ale jesteśmy gotowi.

Nastąpiło krótkie milczenie, po czym Frazer odezwał się ponownie.

— Co zamierzasz?

— Czy uważasz za możliwe, że pozostawił u swojego adwokata list, który miałby zostać otwarty po śmierci? Taka zemsta z za grobu skierowana przeciwko tobie?

Frazer roześmiał się, jakby usłyszał dobry żart.

— Coś takiego nigdy nie przyszłoby mi do głowy. Uważa mnie za przyjaciela. Poza tym, jego adwokat jest jednocześnie moim. — Przerwał. — Jeśli naprawdę nie daje ci to spokoju i jeżeli to nie będzie miało wpływu na inne sprawy, możesz tam pójść dziś wieczorem, przejrzeć jego papiery, sprawdzić, czy nie ma czegoś wskazującego na działalność innego adwokata.

— Tak. Tak zrobię.

— Trzymaj się z dala od mojego domu. Najlepiej jeśli nie będziesz widziany. I tak mnie nie zastaniesz. Właśnie wyjeżdżam na wieś. Zadzwon tam do mnie, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale zachowaj ostrożność.

Dało się słyszeć odgłosy szurania przesuwanych krzeseł, a następnie zapadła cisza.

Ewa natychmiast zatelefonowała do Stormonta.

— Niezłe.

— Niezłe. Nie poznajesz tego głosu — tego giermka Frazera?

— Nie — odparła Ewa, sięgając myślami wstecz. — Nigdy wcześniej go nie słyszałam. Nie znam go. — Mówiła prawdę.

— Jak odbierasz tę rozmowę? — spytał Stormont.

— Chińczyk jest najwyraźniej facetem od brudnej roboty albo został sprowadzony, żeby nadzorować tę robotę. Pozostaje pytanie, na kogo czyhają.

— Przynajmniej wiemy, że nie na ciebie. Na jakiegoś faceta, który zniknął. —

Nastąpiła długa cisza, zanim Stormont odezwał się ponownie. — To dobra i zła nowina. Mamy coś, co możemy wykorzystać, jakąś nić. Ale to jest jednocześnie ostrzeżenie. Frazer to morderca. Twoja niewinna zabawa z Margaret może odwrócić jego uwagę, lecz wciąż będzie podejrzliwy. Nie możesz pozwolić, żeby przyszło mu do głowy, że byłaś tam z innego powodu.

— Wiem.

— Najgorsze jest to, że teraz będziesz musiała działać „nago”, bez osłony, bez żadnych urządzeń. Będziesz zmuszona zdobywać informacje z pierwszej ręki. Im bardziej potrzebna ci ochrona, tym mniej jesteśmy w stanie ją zapewnić. Nie możemy ryzykować, że Frazer znajdzie coś, co by nas obarczyło. — Znowu nastąpiło długie milczenie. - Ryzyko wzrasta, Ewo. Nie chcę wszczynać alarmu, ale wiesz, że możesz wycofać się w każdej chwili, jeśli nie jesteś zdecydowana, by ciągnąć to dalej.

Poczuła się zaskoczona. Nigdy nie przyszłoby Ewie do głowy, że Stormont pozwoliłby jej się wycofać na tym etapie. Natychmiast stała się podejrzliwa.

— Co się dzieje, Andrew? Nie mam najmniejszego zamiaru rezygnować. Wiesz o tym. I z ochotą będę działać nago, jak to ładnie ująłeś. Robiłam to już wcześniej wystarczająco często. Będę ostrożna.

— Będziesz musiała być ostrożna — powiedział Stormont ponuro. — I ty, i Frazer.

Skarżysz się, że nigdy nie dostarczam ci wystarczających informacji, że nigdy nie masz pełnego obrazu. Tym razem ci go naświetlę. Wiesz, kim jest Ha Chin?

— Powiedz.

— Oficjalnie jest wysoko postawionym politykiem i odnoszącym niezwykle sukcesy biznesmenem — hotele, biurowce, oprogramowanie komputerowe.

— A nieoficjalnie?

— Wszystkim, co ci przyjdzie na myśl. Tajemnice handlowe, narkotyki i broń. Ma niezłą siatkę

organizacyjną. Jest bezlitosny. Zabija dla wygody, usuwa wszelkie zagrożenie. To stawia Frazera bezpośrednio na linii ognia, a jeśli mu przyjdzie do głowy, że tyle wiesz o Ha Chinie, ty również będziesz celem.

— W porządku. A więc oni obaj są celem dla nas. Jeśli poradzę sobie z Frazerem, dam radę również Ha Chinowi. Obydwaj mają ręce splamione krwią. Nie byłoby wielkiej tragedii, gdyby niechcący porozlewali swoją własną.

— To nie należy do naszego planu, Ewo. Chcemy Frazera żywego. Ustaliliśmy, że prowadzi interesy z Ha Chinem. To ogromny przełom. Jeśli zdobędziemy dowody, że Frazer sprzedaje Ha Chinowi tajne informacje, narkotyki lub broń, to może wystarczyć, żeby zmusić Frazera do współpracy z nami. Nie zapominaj, że o to właśnie chodzi. A gdy już dostaniemy od Frazera to, czego chcemy, kto wie, co się stanie, co Chińczycy mogą mu zrobić. Jednak na razie potrzebny jest nam żywy.

Na razie, pomyślała Ewa — jakby w ogóle miał nadejść taki czas, kiedy Stormont i Firma dobrowolnie wycofają swoje macki.

Rozdział 28

Wponiedziałek rano Cassie obudziła się o szóstej. Wzięła prysznic, umyła włosy i ubrała się szybko. Następnie poszła do kuchni, nastawiła ekspres do kawy, po czym nakarmiła koty i Nestę. Pies chodził za Cassie, zdziwiony podnieceniem, jakie wyczuwał u swojej pani.

Cassie wyniosła swoją potrójną kawę na zewnątrz, na drewniany stół ustawiony z tyłu ogrodu i usiadła w spokojnym słońcu wczesnego poranka. Cudownie było przebywać w ogrodzie, w samotności, w spokoju, kiedy pół świata jeszcze spało, nieświadome piękna cichego poranka. Cassie poczuła się tak, jakby zdobyła punkt w niewidzialnej grze.

Przez godzinę siedziała w słońcu, dolewając sobie kawy z dzbanka podgrzewanego na kuchence. Gdy o siódmej trzydzieści wychodziła do pracy, umysł Cassie był

świeży jak powiew wiatru.

Wzięła taksówkę i przybyła do Case Reed o siódmej czterdzieści pięć. Przez dwie godziny pracowała z fabryczną wydajnością sprawdzając wszystkie szczegóły swojego planu, upewniając się, że nie ma żadnych prawnych, taktycznych ani finansowych błędów.

Za piętnaście dziesiąta weszła do gabinetu Richardsona. Uśmiechnął się do Cassie, gdy przekraczała próg, delektując się jej widokiem. Była ubrana w szeroką jedwabną spódnicę w niebieskie wzory, kończącą się kilka cali nad kolanami, sztywną koszulę z białego płótna, przewiązana szerokim niebieskim paskiem, i wysokie niebieskie buty. Miała na sobie cenną biżuterię — szafirowo-złotą bransoletę i pasujące do niej kolczyki. Włosy ściągnęła w długi koński ogon, odsłaniając zdecydowane rysy twarzy.

— Dobrze wyglądasz — powiedział Richardson, ograniczając się do nieodzownego komentarza. — Jesteś gotowa do spotkania?

Cassie uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Jestem. Chcę przedstawić Ewie i Frazerowi, co przygotowałam. Nie mam zamiaru marnować czasu na omawianie milionów sposobów, na jakie można przeprowadzić tę transakcję. Mogą się zgodzić na mój pomysł albo w ogóle go odrzucić. Jeśli przyjdzie współpracować z tą dwójką, musimy to robić na naszych warunkach.

— Czyżbyś była względem nich podejrzliwa?

— Nie, po prostu jestem rozważna. Oboje mają silne osobowości. Ta transakcja będzie wystarczająco trudna, nawet bez ich ingerencji.

— Musimy im ufać, Cass.

— Oczywiście. Ale nie zaszkodzi, jeżeli będziemy zawsze o krok przed nimi, żeby asekurować się na tyle, na ile to możliwe.

— Mówisz o nich tak, jakby byli niemal naszymi przeciwnikami. Z kim walczymy?

— Z nikim. Jesteśmy po tej samej stronie. Wszyscy chcemy zarobić. A ja muszę mieć pewność, że wybierzemy najlepszy sposób.

Zabrzączał interkom Richardsona.

— Robie Frazer jest tutaj — oznajmiła recepcjonistka.

— Proszę go przysłać na górę. — Richardson odwrócił się do Cassie. — Pieniądze są przygotowane. Wszystko jest na swoim miejscu. Powodzenia.

— Dziękuję — odparła Cassie. Richardson założył jej stryczek na szyję. Wymienili uśmiechy i udali się na spotkanie.

Robie Frazer czekał na nich w sali narad, stojąc zwrócony plecami do drzwi. Cassie omiotła wzrokiem gibką wysoką sylwetkę. Frazer przybrał lekceważącą pozę. Po chwili odwrócił się, najpierw w stronę Cassie. Wytrzymał jej wzrok, cierpliwie znosząc oględziny. Następnie skinął głową Richardsonowi w powściągliwym pozdrowieniu.

Otworzyły się drzwi i weszła Ewa Cunningham. Pozostała trójka przestała się witać i skupiła uwagę na przybyłej. Ewa, całując Cassie i ściskając dłoń Richardsona, zerknęła na Frazera, obserwowała, jak reaguje, gdy sądzi, że jest pochłonięta czym innym. Podeszła do Frazera, podała mu rękę, spojrzała w niebieskie oczy. Ujął dłoń Ewy i uściśnął ją. Cofając rękę przesunął palcami po jej palcach. W oczach Frazera widać było żądzę, podziw, typową dla niego hardość, ale Ewa nie dostrzegła podejrzliwości.

Ewa zajęła miejsce i zapaliła papierosa. Frazer usiadł obok niej. Cassie spojrzała na nich, gdy tak siedzieli ramię w ramię przy polerowanym stoliku z palisandru. Mimo że byli od siebie oddaleni o dwie stopy, ich ciała chyliły się ku sobie. Trwali w milczeniu.

Cassie zajęła miejsce po przeciwnej stronie, obok Richardsona. Zaczynamy bitwę, pomyślała. Czasami podczas takich spotkań celowo siadała obok klienta, ale to tylko wzmagало napięcie i dezorientację. Zawsze zadziwiał ją stereotyp zachowań w sali posiedzeń. Interesy mogły być najbardziej wyrafinowane, ale ludzkie reakcje nie zmieniły się od epoki kamienia łupanego.

Weszła sekretarka Cassie i przyniosła kawę oraz wodę mineralną.

Cassie nieprzerwanie przyglądała się Ewie i Frazerowi. Byli swobodni, ale skupieni.

Zdawało się istnieć między nimi jakieś porozumienie, milcząca zgoda. Ich ciała wciąż pochylały się ku sobie, mimo że głowa Ewy nieznacznie odsuwała się w drugą stronę, jakby Frazer ją przyciągał i odpychał jednocześnie.

Jak powiedziała Richardsonowi, łatwo było zjednoczyć ich wszystkich wspólną motywacją zbitcia fortuny na tej transakcji. Ich głód pieniędzy był namacalny. Ale w powietrzu nie unosiła się atmosfera jedności. Wręcz przeciwnie, wyczuwało się przeciwstawne motywy. Może sprawiała to jedynie wyobraźnia Cassie, która doszukiwała się ukrytych, nie istniejących znaków. Przypuszczalnie Aubrey Goldstein i Sam Brimton zatruli ją niepotrzebnymi podejrzeniami. Spojrzała ponownie na dwie twarze naprzeciwko niej, skupione, zdecydowane, uśmiechające się uprzejmie i, przynajmniej w tej chwili, absolutnie nieprzekonujące.

Nalano kawę i wszyscy popijali, sadowiąc się wygodnie. Cassie zaczęła mówić.

— Oto moja propozycja. Jeśli na nią przystaniecie, jeszcze dzisiaj możemy uruchomić tę transakcję.
— Nie dopowiedziała zawartej w tych słowach groźby; zgodzicie się na moją ofertę albo z transakcji nici. Ciągnęła dalej, spokojna, pewna, pełna zaufania do tego, co przygotowała.

— Proponuję, żebyśmy utworzyli firmę, która przejmie „Geniusza”. Ewa włoży do nowego przedsiębiorstwa swoje dziesięć procent, w zamian za pięć procent akcji.

Procentowo ilość akcji Ewy spadnie, ponieważ my, Case Reed i Robie Frazer, zainwestujemy w nową firmę po dziesięć milionów funtów każdy. To powinno wystarczyć na zasadnicze badania gruntowe. Jeśli potrzeba nam będzie więcej pieniędzy, w przyszłości możemy przeprowadzić dofinansowanie. Następnie Case Reed i Robie, wykorzystując nową firmę, wykupią po pięć procent akcji „Geniusza”

— dokładnie po cztery i dziewięć dziesiątych procenta. Cena akcji wynosi cztery dolary. Sugeruję, żebyśmy zaproponowali sześć. Przy tej cenie pakiet będzie kosztował nieco poniżej sześciuset tysięcy dolarów kanadyjskich.

Razem stanowimy stronę współdziałającą i nasze pakiety się skumulują. We czwórkę będziemy właścicielami nieco poniżej dwudziestu procent. Posiadanie dwudziestu lub więcej procent wprowadza w życie wymogi dotyczące oferty przejęcia. Gdy już zgromadzimy akcje, wysuniemy ofertę. Powiadomimy o naszych zamiarach Wydział Rejestrów Giełdy w Vancouver. Gdy przyjmą notę, zacznie się licytacja. Przy wykorzystaniu tej metody będziemy płacić gotówką, więc musimy być w stanie udowodnić nasze zdolności płatnicze. Listy od bankierów firmy powinny być

wystarczające.

Przyjmując, że przejęcie pójdzie gładko i firma zostanie sprywatyzowana, zaczniemy badanie próbek. Gdy je już zakończymy i rezultaty będą obiecujące, możemy zastanowić się nad przyjęciem partnera na zasadach joint venture, który pomógłby nam sfinansować budowę kopalni. Może całkowicie wyprzedamy akcje. Alternatywnie, możemy zdecydować się na przeprowadzenie licytacji w taki sposób, żeby pozostawić na tyle dużo akcji „Geniusza” w obrocie, abyśmy mogli uniknąć rejestru. To powinno się okazać pożyteczne. Moglibyśmy wykorzystać ten manewr do zdobycia większej ilości pieniędzy dla potrzeb naszej operacji, albo zredukować nasze własne pakiety, jeśli okaże się, że zysk jest wystarczający. W ten sposób zastawialibyśmy sobie możliwość wycofania się w każdej chwili, jeśli cena akcji będzie to gwarantowała. Mam przygotowane wszystkie dokumenty niezbędne do zawiązania nowej firmy; firmy prywatnej. Dy-rektorami będziemy we czwórkę.

Cassie obserwowała, jak zebrani starają się nadążyć za jej słowami. Frazer i Ewa wydawali się lekko zaskoczeni, gdy Cassie podsunęła im dokumenty do podpisu. . ,

— Jeśli uważacie, że zachodzi taka potrzeba, możecie skonsultować te dokumenty z waszymi prawnikami, ale to naprawdę nic skomplikowanego. Dokumenty są bardzo przejrzyste. Ryzyko, które się za nimi kryje, jest ogromne. Ale wydaje mi się, że wszyscy mieliśmy dość czasu, żeby przemyśleć niebezpieczeństwo. Będziemy się z nim rozprawiać, w miarę jego pojawiania się. — Przerwała i skierowała wzrok po kolei na każdego z nich. — Case Reed ryzyko nie przeszkadza. Jesteśmy gotowi je podjąć.

Pytanie zawisło w powietrzu. Nie chciała naciskać: albo się decydujecie, albo nie.

Ewa pochyliła się w stronę przyjaciółki.

_ Powiedzmy, że podpiszemy twoje dokumenty, zawiążemy twoją firmę, naszą firmę. Co dalej?

_ Kilka dni potrwa skompletowanie dokumentów. Będziemy musieli się zgodzić na zakontraktowanie kanadyjskiego banku handlowego, który zorganizuje dla nas licytację. Sami nie możemy tego zrobić — potrzebny nam ktoś, kto dobrze zna lokalne praktyki rynkowe. Będzie nam również potrzebny makler, na wypadek gdybyśmy chcieli dokonywać jakiegoś skupu, jako wstępu do oferty licytacyjnej albo w połączeniu z nią.

Wokół stołu zapanowała cisza, którą w końcu przerwał Robie Frazer.

— Vancouver to podstępny rynek. — Oparł się na krześle, mierząc Cassie wzrokiem.

— Poradzimy sobie z nim. — Cassie uśmiechnęła się. — Zautajcie mi. — Czują na sobie trzy pary oczu, widziała zaintrygowane spojrzenia. Zastanawiali się, co też Cassie knuje. Cała trójka wiedziała, że nie powinna pytać — przynajmniej nie na takim forum, gdzie wszelkie rozmowy są oficjalne. Ale w jej obietnicy zajęcia się sprawą tkwiła jakaś ironia. „Zaufajcie mi” w żargonie City zaczęło oznaczać: „Jeśli macie tyle odwagi, zdajcie się na mnie” albo w najgorszym wypadku „mam was gdzieś”.

Patrzyli w jasne, niebieskie oczy, które spoglądały na nich niewinnie. Wokół Cassie Stewart roztaczała się aura sumiennosci. Nikt by w Cassie nie wątpił. Jednak w jej słowach brzmiała nie tylko obietnica, zapewnienie, ale coś jeszcze, coś niemal nieuchwytnego — pogrożka.

Frazer odezwał się ponownie, najpierw do Cassie.

— Wolałbym, żeby doszło do sprywatyzowania firmy. Bez pozostawiania akcji na rynku. Załatwianie spraw z posiadaczami mniejszych pakietów jedynie stwarza komplikacje.

Następnie odwrócił się do Ewy.

— Miałem cię zapytać. Kto właściwie zajmuje się techniczną stroną działań na miejscu, w Wietnamie?

— Australijska firma budowlana o nazwie „ConCo”. Parają się wszystkimi sprawami technicznymi. Granger McAdam i ja dozorujemy ich prace.

— Czy Granger podejmuje wiele decyzji?

— Już nie. Za bardzo zaprzyjaźnił się z butelką.

— Czy jesteś mocno związana z tą właśnie firmą budowlaną?

Ewa poczuła, że Frazer zajął pewne stanowisko. Starła się odszyfrować jakie.

— Niekoniecznie. Dlaczego?

— Pomyślałem sobie, że mogłabyś rozważyć zatrudnienie innej firmy budowlanej, którą znam. Prowadzą działania w Azji. Mają doskonałą renomę. Może mógłbym wynegocjować lepsze warunki finansowe, niż posiadasz obecnie.

Ewa przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu.

— Porozmawiaj z Michaeliem Risem — on jest księgowym firmy w Vancouver. Ma u siebie wszystkie kosztorysy. — Spojrzała do swojego notesu, zapisała numer i podała go Frazerowi.

Cassie ze zdziwieniem patrzyła na ustępliwość Ewy. Spodziewała się, że będzie broniła swoich praw właścicielki złoza. Frazer zwrócił się ponownie do Cassie.

— Macie już nagranego własnego maklera w Vancouver?

— Mamy. To Sam Brimton, z Brimton Dixon. Znasz kogoś, kogo moglibyśmy zatrudnić? — Cassie uśmiechnęła się. — Czy chciałbyś, żeby cię z nim poznać?

Tupet Cassie wywołał na twarzy Ewy szeroki uśmiech.

— Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony — odpowiedział Frazer. — Mam własnego maklera.

— To oczywiste — odparła Cassie.

— Jesteś bardzo pewna, że przystaniemy na tę transakcję, prawda? — spytał Frazer.

— A nie powinnam? — odbiła piłeczkę Cassie.

Frazer nie odpowiedział. Popatrzył na nią przez chwilę, po czym wyjął wieczne pióro z kieszeni, podpisał dokumenty i przesunął je w stronę Cassie. Ewa spojrzała na niego, następnie zerknęła na przyjaciółkę. Również złożyła podpis i przesunęła kopię przeznaczoną dla Case Reed w kierunku Cassie, która pozbierała papiery jak trofea.

Pierwszy manewr został wykonany — deklaracja chęci działania, akt rejestracji jednoczący ich wszystkich we wspólnym wysiłku. To był początek. Jeśli ich cele były różne, to wyścig do ich osiągnięcia zaczął się w tej właśnie chwili.

Rozdział 29

Ewa i Frazer razem wyszli ze spotkania. — Co powiesz na lunch? — spytał Frazer, gdy już byli na zewnątrz. — Najpierw mam kilka spraw do załatwienia. Spotkamy się, powiedzmy o pierwszej, w „Savoy Grill”?

Jego oczy były nieprzeniknione, jak zwykle. Jeśli nabrał jakichś nowych podejrzeń, nie dał tego po sobie poznać. Ale to wcale nie sprawiało, iż Ewa była przekonana, że takie podejrzania nie istnieją.

— Świetnie. W takim razie do zobaczenia — odparła. Pocałowali się w policzki i ruszyli w różne strony.

Po upływie około pół minuty Ewa rzuciła spojrzenie przez ramię. Zobaczyła oddalającego się Frazera, łatwo poznała jego wysoką sylwetkę, miarowy, pewny krok. Wyróżniał się nawet z odległości stu jardów. Nie pasował do ulicy pełnej garniturów w prążki; był tak nieskazitelny, że nigdy nie udałoby mu się wmieszać w tłum. Emanowała od niego jakaś arogancja i pogarda. Bardziej niż przymioty fizyczne wyróżniała Frazera otaczająca go aura celowości działania, połączona z lekceważeniem dla napotkanych ludzi. Na ulicy zajmował więcej miejsca niż przeciętny człowiek. Nie kulił ramion, nie przeciskał się bokiem przez tłum. Szedł

prosto przed siebie, zmuszając innych do zmiany kroku, do manewrowania wokół

niego. Posuwał się, nie zważając na ich ustępstwa.

Ewa spojrzała na swoją świetnie skrojoną zieloną sukienkę. Też się wyróżniała. Ale z łatwością potrafiła usunąć się w cień i nikt nie zwracał na nią uwagi. Umiała wtopić się w tłum, stać się niewidzialna. Frazer z tego zrezygnował. Wystawiał się światu na cel w błędnym założeniu, że jest nietykalny. Być może jakaś mała część jego podświadomości traktowała to jako wyzwanie. Ewa patrzyła za Frazerem, aż zniknął w bocznej ulicy. Odwróciła się i ruszyła w stronę Bond Street.

Dwie godziny do zabicia. Dni, tygodnie... Nienawidziła oczekiwania, pragnęła, żeby to, co miało się wydarzyć, zaczęło się natychmiast. Wie-

działa, że coś nieprzewidzianego pokrzyżuje plany Stormonta. Takie akcje zawsze żyły swoim własnym życiem. Wszystko polegało na tym, żeby to, co się stanie, obrócić na własną korzyść.

Skręciła z Bond Street w Brook Street i dotarła do Hannover Square. Poszła do parku, który znajdował się pośrodku placu, i usiadła na ławce w cieniu plątan. O

jedenastej w parku nie było nikogo poza kilkoma alkoholikami, którzy kołysali się nieznacznie na ławkach, pieszcząc puszki z piwem. Obok szybko przesuwali się pojedynczy pracownicy biur i ludzie, którzy wyszli na zakupy.

Przez godzinę Ewa siedziała bez ruchu na ławce; piękna kobieta, zrównoważona i opanowana, zatopiona w nieodgadnionych myślach. Pijacy przyglądali jej się przez chwilę; cóż to za dziwoląg pośród ich szeregów? Następnie, gdy już przywykli do widoku Ewy, zajęli się czymś innym i wkrótce o niej zapomnieli.

O dwunastej Ewa podniosła się i wyszła z parku. Pijacy, zdziwieni tym nagłym ruchem, znów wlepili w Ewę wzrok i odpowiedzieli uśmiechem na jej uśmiech.

Patrzyli, jak ich mija i znika. Uwagę lumpów zwróciła kolejna, nagła zmiana. Z

jednej z ławek poderwał się mężczyzna, którego wcześniej nawet nie zauważyli, i ruszył za Ewą wolnym, niedbałym krokiem.

Zmarszczyli brwi, gdy ich mijał.

— Dziwak — wystękał jeden z pijaków. Polubili Ewę, dostrzegli emanujące z niej ciepło, wyczuwali, że jest po ich stronie. Ten mężczyzna się pijaczkom nie spodobał

i wiedzieli, że jest do nich nieprzychylnie nastawiony.

— Sukinsyn! — głośno bluznął za nim inny pijus.

Ewa usłyszała odległy okrzyk, wyczuła w nim wrogość. Nie odwróciła się. Szła dalej, mijając rząd jasno oświetlonych witryn Fenwicka. Spojrzała w nie, widząc pośród woskowych manekinów swoje własne odbicie.

Obserwowała kłębiący się przed nią tłum, który w porze lunchu wypełnił ulicę.

Popatrzyła na drugą stronę chodnika i ujrzała morze napływających twarzy. Skręciła z Brook Street w Bond Street, weszła głównym wejściem do Fenwicka i zatrzymała się przy stoisku Chanel, tuż przy drzwiach. Wypróbowała na dłoni kilka pomadek, przytrzymała rękę przy ustach i przejrzała się uważnie w lusterku. Kupiła dwie szminki, płacąc kartą kredytową i rozglądała się ze znudzeniem, gdy ekspedientka wypisywała rachunek. Wzrok Ewy zatrzymał się przez ułamek sekundy na otaczających ją ludziach. Odwróciła się, schowała zakupy do kieszeni i wyszła z powrotem na ulicę.

Przeszła kawałek i powtórzyła ten sam manewr; w Fogalu kupiła pończochy, w Smythson's papeterię, po drugiej stronie, u Yves St. Laurenta, szybko przejrzała półki i opuściła sklep. Nie miała już

wątpliwości. Ktoś ją śledził. Przymaszerowała w pełnym słońcu od Mayfair do Picadilly i dalej StranDEM.

Punktualnie o pierwszej przybyła do „Savoy Grill”. Starszy kelner podszedł do niej, gdy tylko przekroczyła próg. Kiedy oznajmiła, że jest z Robiem Frazerem, cichy szacunek kelnera stał się widoczny w każdym geście. Kryjąc rozbawienie, Ewa ceremonialnie podążyła za nim do usytuowanego pośrodku restauracji stołu, przy którym siedział już Frazer. Kiedy szła do stolika, była świadoma, że wiele głów odwraca się w jej stronę, a rozmowy raptownie cichną. Zdawała sobie sprawę, że to nieme zainteresowanie jej osobą było wynikiem tego, z kim miała jeść lunch, wiązało się jednak również z wyglądem i płcią Ewy. Była jedyną kobietą na sali.

Gdy Frazer wstał i pocałował Ewę w policzek, zwróciła na to jego uwagę.

— Czuję się jak ekshibicjonistka.

— Przecież to leży w twoim charakterze, nieprawdaż? Ale zdawało mi się, że zdążyłaś się do tego przyzwyczaić.

— Przywykłam do uwagi, jaką na siebie zwracam, ale nie jestem przyzwyczajona do tego, że ściągają ją ze względu na honor spożywania z tobą lunchu.

— Och, nie przyszłoby mi do głowy, że z tego powodu zainteresowanie twoją osobą może być jeszcze większe. Wszyscy patrzą na ciebie, bo jesteś piękna. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

— Jesteś fałszywie skromny. Rozejrzyj się, zobacz, jak cię obserwują. To ty jesteś tutaj w centrum uwagi, Frazer, i dobrze o tym wiesz.

Uśmiechnął się, kręcąc głową.

— Wiesz, naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, jaką cieszysz się estymą. Ta sala jest pełna najznamienitszych przedstawicieli świata finansów, ale wszyscy największą uwagę zwracają na ciebie. Jesteś lokalną grubą rybą miliarderem dnia.

Traktują cię tutaj jak gwiazdę. Dlaczego tracisz czas na drugorzędną kopalnię diamentów w Wietnamie?

Frazer oparł się na krześle i przyglądał się jej z uśmiechem.

— Co za przemowa!

— Odpowiesz mi?

— Dlaczego pytasz o to teraz, gdy już złożyliśmy podpisy?

— Chyba wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Nie miałam okazji widzieć, jak inni reagują na twój widok.

Milczał przez chwilę i pociągnął łyk wina.

— Tu nie chodzi o drugorzędną transakcję diamentową w Wietnamie i nie pieniądze są najważniejsze. Teraz pieniądze zarabia się przy okazji.

— O co chodzi w takim razie?

Westchnął ciężko, niezadowolony z tych dociekań, ale zwabiony możliwością wyeksponowania własnego ego. Odpowiedział, jakby ofiarował Ewie prezent.

— Chodzi o ryzyko, o nieznaną. Nie muszę już zarabiać pieniędzy. Ale to mnie bawi. To taki sprawdzian, jak bieg na sto jardów w szkole. Nie wygrywa się zbyt często. Ale trzeba przyjmować wyzwania, żeby

mieć jakiś bodziec. Łatwe zarabianie pieniędzy już mnie nudzi. Teraz potrzeba mi jakiegoś poczucia ryzyka. I do tego wszystkiego jest dla mnie niezbędna perspektywa znacznego zysku. Nie zdegenerowałem się do stadium wyrzucania pieniędzy dla przyjemności. Nie jestem aż tak prózny, żeby sądzić, iż wszystko, czego się dotknę, zamienia się w złoto. Tylu biznesmenów, którzy odnoszą sukcesy, pada ofiarą takiego sposobu myślenia; wierzą w swą nietykalność, niemal modlą się, żeby im udowodnić, iż jest inaczej. Ja nie uprawiam bezmyślnego hazardu. Szukam dużego ryzyka, które przynosi wysokie zyski. Twój diamentowy projekt do tego pasuje. Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli to przedsięwzięcie się powiedzie, będziemy siedzieć na milionach dolarów rocznie. Przerwał.

— I w tej transakcji jest coś jeszcze.

— Co?

— Diamenty, Wietnam, ty, Cassie Stewart. To zestawienie mnie intryguje. Nawet dzisiaj, to spotkanie. Cassie Stewart wchodzi do sali i przedstawia swój projekt.

Rzuca nam niemal wyzwanie, mówiąc między wierszami: Inwestujcie, ufajcie mi, jeśli nie brak wam odwagi. Ona prowadzi jakąś grę. Ty prawdopodobnie też ją prowadzisz.

— A ty?

— Poczekam, zobaczę, co ty i Cassie wymyślicie.

— Ona prowadzi jakąś grę? A jak ci się wydaje, jaką?

— Jeszcze nie wiem. Ale się dowiem. Możesz ostrzec Cassie.

— Sam ją ostrzeż. Nie jestem jej aniołem stróżem.

— Chyba masz rację, nie jesteś. A właśnie, Margaret mówiła, że wróciłaś w sobotę; podobno coś zgubiłaś.

Na twarzy Frazera nie widać było zbytniego zainteresowania. Jednak wbity w Ewę ostry,

nieustępliwy wzrok mówił co innego. Frazera zgubi jego własna próżność, pomyślała Ewa. Nigdy nie potrafi oprzeć się chęci zmanifestowania, że nie jest głupcem. Sprawdź mnie, przyjrzyj się mojej reakcji. W porządku. Tylko nie zdradzaj się przy tym.

— Tak. Zgubiłam coś.

— Podobno tabletki antykoncepcyjne.

— Zgadza się.

— Znalazłaś je?

— Nie. — Ewa patrzyła Frazerowi w oczy.

— Więc co zrobiłaś?

— Zadzwoiłam do swojego lekarza. Telefonicznie wydał polecenia mojej aptece.

— A więc wszystko w porządku? Ewa schyliła głowę.

— A co, jeśli nie byłoby w porządku? — zapytał z pewną ciekawością. —

Urodziłabyś dziecko, Ewo?

Odwróciła od Frazera wzrok.

— Odpowiesz mi? Popatrzyła na niego ponownie.

— Prawdopodobnie tak, Frazer. Ale to tylko hipoteza, nie ma znaczenia.

— Przyznaj — Frazer obrzucił spojrzeniem jej ciało — nasze dziecko nieźle by wyglądało, nie sądzisz?

Ewa zmusiła się do skupienia wzroku na jego twarzy. Przyglądała się zmysłowemu rysom, oczom.

— Nie igraj ze mną Frazer. To nudne. Pewnego dnia może trafisz na kobietę, której nie będziesz w stanie kupić. Wtedy nie wyda ci się to taką niewinną zabawą. Po prostu uznaj, iż masz szczęście, że nie musisz płacić za kolejną aborcję.

— Wydaje ci się, że tego bym chciał? Ewa pochyliła się w jego stronę.

— Nie interesuje mnie, czego ty byś chciał. Im prędzej to zrozumiesz, tym lepiej.

— Och, Ewo. Co za protesty. Wydaje mi się, że nie jesteś nawet w połowie tak twarda, za jaką chcesz uchodzić.

Cassie wróciła z lunchu z Johnem Richardsonem o trzeciej. Siedziała w swoim gabinecie i piła szóstą tego dnia kawę. Analizowała pomysły dotyczące transakcji.

Na biurku leżał czysty notes i wieczne pióro. Niektórych spraw lepiej było nie przelewać na papier. Na nim powinny znajdować się suche dane. Przypuszczenia, kalkulacje, przewidywania ludzkich zachowań i posunięcia taktyczne, wszystko, wcześniej czy później, znajdowało odzwierciedlenie w zyskach, jeśli miało się rację, albo w stratach, jeżeli się jej nie miało.

Cassie zajęła się papierkową robotą a następnie, o czwartej, za pośrednictwem nowego systemu, który zainstalowała w swoim komputerze tydzień wcześniej, połączyła się z giełdą w Vancouver. To był pierwszy dzień, kiedy mogła uzyskać takie połączenie. Wzrok Cassie przesuwał się po ekranie, aż odnalazła „Geniusza”.

Cztery dolary za akcję. Sprawdziła przesłaną przez Richardsona pocztą wewnętrzną notę finansową. Sześćset tysięcy dolarów kanadyjskich, którymi mogła się zabawić. Nadszedł czas kupna.

Podniecona, jak zwykle przy kupnie czy sprzedaży, podniosła słuchawkę i zatelefonowała do Sama Brimtona w Vancouver.

— Sam, tu Cassie Stewart.

— Cassie, jak się masz? Przeprowadzasz tę transakcję?

— Mam nadzieję, Sam. Ile byłby wart „Geniusz”, powiedzmy, dziesięć tysięcy akcji?

— „Geniusz”? Idziesz na całość, co? Roześmiała się.

— Próbuję.

— Rozumiem, że chcesz kupić.

— To ja zdecyduję, a ty masz się tym zająć.

— Cholera, Cassie. To nie są zbyt ruchliwe akcje. Dziesięć tysięcy wstrząśnie rynkiem. Zdajesz sobie z tego sprawę?

— Trudno.

Zawodowcy giełdowi zwyczajowo pytali o ceny akcji, bez ujawniania, czy mają zamiar kupić je czy sprzedać, ponieważ maklerzy reprezentujący drugą stronę zmodyfikowaliby cenę, żeby pasowała do ich potrzeb. Cassie wiedziała, że otrzyma lepszą ofertę, jeśli spyta Brimtona bez przedstawiania swoich intencji.

Brimton zgadywał.

— Pewnie będziesz kupować. Trzy sześćdziesiąt do czterech sześćdziesiąt.

— To spora rozbieżność. Na ekranie jest cztery, Sam.

— Nie w przypadku kupna pół procenta wartości firmy. A jeśli mnie pamięć nie myli, na początek masz zamiar nabyć pięć procent. Musisz się przygotować na zapłacenie znacznie większej kwoty niż cztery dolary za akcję, żeby zgromadzić pakiet tej wielkości.

— Zobaczymy. Na razie badam grunt. Jeszcze nie wiem, czy będę kupowała dalej.

— Cztery sześćdziesiąt, Cass.

— Nie jestem zainteresowana taką ceną, Sam. Cztery czterdzieści pięć i interes stoi.

Zapadła długa cisza. Brimton wiedział, o co jej chodzi. Zdawał sobie sprawę, że dla zasady będzie starała się wynegocjować cenę. Żeby zrobić miejsce dla targów, podbił cenę o dziesięć centów. Ale Cassie przejrzała ten fortel i zbiła ją o jeszcze pięć centów. Roześmiał się. Był świadom, że zdobędzie akcje „Geniusza” po dość niskiej cenie. Firma od jakiegoś czasu nic nie robiła i rynek był nią znudzony.

— Dobra. Stoi. Kupujesz dziesięć tysięcy „Geniusza” za cztery czterdzieści pięć na normalnych warunkach.

— Stoi.

— Witam w Vancouver, Cass.

Cassie przerwała rozmowę i przekazała swojej sekretarce szczegóły dotyczące transakcji, którymi należało się zająć. Usiadła wygodnie i czekała. Zastanawiała się, jak długo potrwa, zanim wieści się rozejdą. Najpierw Brimton powiadomi ludzi, którym winien jest jakąś przysługę, a potem nowina obiegnie rynek, aż skończy się spis długów do spłacenia. Cassie czekała i obserwowała. W ciągu dziesięciu minut cena akcji wzrosła do czterech i pół dolara, następnie do pięciu. Zaśmiała się w duchu, gdy zobaczyła zwyżkowanie ceny, obserwowała, jak jej osobiste przepowiednie sprawdzają się na ekranie, w miarę napływania ofert finansistów z Vancouver.

Wykonała kilka telefonów, zweryfikowała swoje plany. Popołudnie minęło niepostrzeżenie. Tuż przed wyjściem z biura, o siódmej, jeszcze raz spojrzała na ekran.

Cena akcji „Geniusza”, wypisana przez całe popołudnie na zielono, co oznaczało tendencję zwyżkową właśnie zmieniła kolor na czerwony. Przez następne dziesięć minut Cassie, sparaliżowana złością i niemocą obserwowała, jak cena spada do dwóch dolarów. Zatelefonowała do Brimtona.

— Co się, do diabła, dzieje?

— Nie mam najmniejszego pojęcia, ale na pewno nie ma to nic wspólnego ze mną.

— To pewne, nie przy takiej tendencji. Tyle sama wiem. Żadnych doniesień?

— Żadnych.

— Czy ktoś blankuje?

— Na to mi wygląda.

— Chcę wiedzieć kto i dlaczego, a jeśli to nie blankowanie, to co się, do licha, dzieje. Wiem, że masz znajomości w branży, Sam. Jak myślisz, dlaczego właśnie ciebie zakontraktowałam? Jeśli ktokolwiek jest w stanie się dowiedzieć, co się dzieje, to jedynie ty.

— Zrobię, co się da. W grę wchodzi niezła suma.

Jeśli domysły Cassie były słuszne, Brimton skupował „Geniusza” za około cztery dolary w oczekiwaniu, że Case Reed wcześniej czy później dokona przejęcia, co spowoduje znacznąwyżkę ceny. Ale teraz jego inwestycja straciła w ciągu kilku minut połowę wartości. Będzie się starał dowiedzieć, co się dzieje, zarówno z uwagi na własne dobro, jak i na dobro Cassie.

— Masz szczęście, że nie kupiłaś całych swoich pięciu procent — oznajmił.

— Można tak powiedzieć.

— Całkiem bystre zagranie.

— Chyba nie sugerujesz, że ja mam z tym coś wspólnego, Sam? W końcu sam mówiłeś, że nie mam pojęcia, jak działa ten rynek, że jestem osobą z zewnątrz.

Tylko ktoś kompetentny mógł wywinać taki numer. Jeśli to blankowanie.

— Racja, ale dla ciebie to nie są wcale takie złe wieści, prawda?

— Właśnie straciłam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w pierwszej rozgrywce na twoim rynku. Zgodzisz się, że nie jest to powód do dumy.

— Zależy dla kogo.

— Słuchaj, Sam, możemy tak gaworzyć przez całą noc. Zadzwoń do mnie do domu, jak się czegoś dowiesz. — Podała Brimtonowi swój numer i odłożyła słuchawkę.

Zamknęła biurko i poszła do domu unikając Johna Richardsona. Brimton zatelefonował do niej o dziewiątej czasu londyńskiego.

— To jest blankowanie i sprawy wyglądają coraz gorzej. — Jego głos był twardy. —

Masz przyjaciółkę o nazwisku Cunningham, co?

— Może.

— Właśnie. Historyjka jest taka, że nakarmiła cię jakimiś bezpodstawnymi danymi i namówiła do przejęcia na drodze licytacji. To zwykły wybieg, żeby podnieść cenę akcji Cunningham, aby mogła

sprzedać swój pakiet, zarobić trochę pieniędzy, spłacić długi. Najwyraźniej ten projekt pochłonął wszystkie jej oszczędności i stoi na krawędzi bankructwa. Cassie milczała.

— Nie jest to niemożliwe, co? — spytał Brimton.

— Nie bądź śmieszny. To niezła historyjka, na tyle prawdopodobna, że rynek ją kupił. Ktokolwiek za tym stoi, nie jest głupcem, ale przysięgam ci, że to nie sprawka Ewy Cunningham. Naprawdę sądzisz, że ja i Case Reed dalibyśmy się jej tak wykorzystać?

— Gdybym za każdym razem, kiedy widziałem coś podobnego, dostawał centa, byłbym bogaty.

— Już jesteś.

— Właśnie.

Cassie odłożyła słuchawkę i zadzwoniła do Ewy.

— Ewa, tu Cassie. Mamy małe problemy. Chciałabym o tym z tobą porozmawiać, teraz, jeśli ci to nie przeszkadza.

— Jasne. Dalej.

— W cztery oczy. Będę u ciebie za pięć minut.

— Co się stało?

— Manipulacja udziałami. Ktoś igra z cenami akcji „Geniusza” i z nami.

Cassie pojechała taksówką prosto do Ewy. Ze zdziwieniem rozejrzała się dookoła.

Poza kilkoma niezbędnymi meblami pokoje były niemal puste. Jedynym dowodem na to, iż dom jest zamieszkały, były duże ilości perskich dywanów porozkładanych w pokojach i kolekcja płyt. Cassie zauważyła, że Ewa posiadała wysoce specjalistyczną aparaturę muzyczną i dziesiątki poustawianych płyt kompaktowych.

W domu nie było rozgardiaszu, Cassie nie dostrzegła też nigdzie żadnych zdjęć.

— Gdzie twoje książki? — spytała, przypominając sobie księgozbiór Ewy z czasów Oksfordu; rzędy publikacji na każdy temat.

— Ach, moje książki. Wciąż w przechowalni. — Ewa nie miała zamiaru wyjaśniać Cassie, że książki bardziej niż cokolwiek innego stwarzały atmosferę domu, a Londyn nie był jej domem — nie teraz i nie w tych okolicznościach.

Ewa naląła dwie duże whisky.

— No to mów. — Przyjrzała się Cassie uważnie. Był w niej chłód, którego Ewa wcześniej nie dostrzegała.

— To bardzo proste — powiedziała Cassie, biorąc duży haust whisky. — Ktoś puścił w obieg plotki, które spowodowały, że cena „Geniusza” spadła z pięciu dolarów na dwa. To się nazywa blankowanie. Jest to sztuczna manipulacja ceną akcji, niezgodna z prawem.

— Poczekaj chwilę. Gdy sprawdzałam po raz ostatni, kilka dni temu, cenę akcji, wynosiła cztery dolary. Nagle wzrasta do pięciu i spada do dwóch? Może wydam się naiwna, ale zawsze sądziłam, że istnieje coś

takiego jak obiektywna wartość, pewna wartość stała, którą nie da się manipulować.

Cassie skrzywiła się.

— To najczystsza forma teorii, ale na rynku nie ma ona zastosowania. Wartość jest zależna od punktu widzenia. Ludzie nie zawsze postępują logicznie, racjonalnie.

Rynki to jedynie skupiska wielu indywidualności i jak każda zbiorowość ludzka są podatne na masowe złudzenia, panikę i histerię. Na przykład Polly Peck. Jednego dnia byli warci miliardy dolarów, następnego prawie nic. To samo z Maxwellem.

Przygotowanie zasadzki na wartość wcale nie jest takie skomplikowane. Wszyscy są żądni spektakularnych sukcesów. Jeśli pojawia się coś, co może wydawać się spektakularnym sukcesem, każdy się na to rzuca, jeszcze bardziej podkreślając widowiskowość zjawiska i lokomotywa idzie w ruch. Może nawet zdarzyć się tak, że sama siedzisz w tej lokomotywie. To nie ma znaczenia, jeśli dość wcześnie do niej wskakujesz i wyskakujesz, jeżeli za tobą wciąż czeka długi ogonek ludzi, którzy są gotowi wskoczyć po tobie i możesz sprzedać akcje po zawyżonych cenach.

— Ale ludzie na pewno zdają sobie z tego sprawę. Ile razy można powtarzać ten sam manewr?

— Nigdy nie przeceniaj ludzkiej bezmyślności w obliczu chciwości. Widziałam to już tyle razy, że trudno sobie wyobrazić. Wystarczy, że zarysujesz przed kimś możliwość zarobienia dziesięciu milionów funtów, a ten ktoś z miejsca traci zdolność krytycznego myślenia. To tak jakby marzenia stawały się ważniejsze od rzeczywistość. Nie wolno dopuścić, żeby coś je rozwiało. To powszechne postępowanie w całym kraju. Wyjadacze z City są równie podatni na te chwytły.

— Więc jak się przed tym ustrzec?

— Niezbędny jest zawodowy cynizm — nigdy nie można ufać nikomu ani niczemu do końca. Winny, dopóki nie zostanie dowiedziona jego niewinność. To tylko dygresja. Ten spektakularny sukces, ta lokomotywa, cena akcji sięgająca stratosfery

— w końcu ktoś przygląda się temu chłodnym okiem, zaczyna dostrzegać mankamenty i je wytykać. Nagle wszyscy chcą sprzedać akcje, górę biorą instynkty stadne i cena udziałów spada na łeb. To się może wydarzyć w ciągu kilku minut. —

Cassie wzruszyła ramionami. — Jaka jest wartość akcji? Taka, ile się za nie dostanie. Jest nie zawsze prawdziwa, ale często możliwa do przewidzenia, o ile rozumie się psychologię rynku. A jeśli się ją zna, można rynkiem manipulować.

Przez jakiś czas.

— To niesamowite. Wszyscy sądzą że rynkami finansowymi sterują naukowe prawa i specjalistyczna technologia, te wszystkie komputery, telefony, ekrany i Bóg wie co jeszcze.

— Nie. To tylko takie zasadzki, infrastruktura. Rynki nie są zimne i opanowane przez technologię. Są sterowane instynktem i emocjami.

— A o co chodzi w przypadku „Geniusza”? Jaką plotkę rozpowszechniają?

— Plotka głosi, że wystawiłaś Case Reed do wiatru przekonując nas, że działka w Wietnamie ma jakąś wartość, a faktycznie nie posiada żadnej. Że doprowadziłaś do uruchomienia przejęcia tylko po to, żeby wywindować cenę akcji, abys mogła sprzedać swój pakiet i zarobić trochę pieniędzy. Rzekomo widmo bankructwa doprowadziło cię do takiej desperacji, że zrobiłabyś wszystko, aby zdobyć nieco gotówki.

Ewa wyciągnęła przed siebie ręce i przyglądała się swoim paznokciom. Cassie zauważyła żyłkę pulsującą na skroni przyjaciółki.

— Więc ktoś, kogo nigdy nie spotkałam, rozpowszechnia o mnie jakieś plotki, ponieważ moim nazwiskiem po całej giełdzie...

— Twoim i moim.

— Uważasz, że ta historia jest prawdziwa, że ja się za tym kryję?

— Nie jestem pewna, co o tym sądzić. Czasami się zastanawiam, jak dobrze cię znam. Co naprawdę robiłaś w Wietnamie, Ewo? Teraz, gdy nad tym rozmyślam, twoja opowiadka o życiu na hippisowskim szlaku wydaje mi się mocno naciągana.

— Byłaś gotowa w nią uwierzyć, gdy sądziłaś, że zarobisz pieniądze. Czy aż taki wpływ ma na ciebie ta mała, giełdowa czkawka? Chryste, Cassie. Nigdy nie uważałam cię za paranoiczkę.

— Ewo, nie pieprz bez sensu. Nie jestem w najmniejszym stopniu paranoiczką.

Może ten niewielki problem pozwolił mi na spojrzenie z innej perspektywy, kazał przyjrzeć się nieco dokładniej.

— Jeśli taki problem nie daje ci spokoju, może powinnaś zastanowić się nad całą transakcją. Sądziłam, że jesteś przyzwyczajona do przedsięwzięć o wysokim stopniu ryzyka. Jeżeli będziesz biegła do mnie z histerycznymi oskarżeniami za każdym razem, gdy pojawią się drobne trudności, może nie powinniśmy prowadzić razem interesów. Nie mam zamiaru cię niańczyć.

— Nie potrzebuję niańki. Oczekuję prawdy. — Cassie wpatrywała się w Ewę.

— Chryste, prawda wcale nie jest ci niezbędna. Nigdy nie przyjmowałaś dobrze prawd, które ciężko było znieść, zgadza się, Cassie? Wszystko zawsze musiało być miłe i ładne. Nie dostrzegasz prawdy poprzez warstwę lukru, którą jesteś pokryta.

— A ty jesteś taka harda i zdecydowana, Ewo. Wszystko już widziałaś, przez wszystko przeszłaś. — Gdy tylko Cassie zamknęła usta, powróciły do niej słowa Quaida. Zbyt późno przypomniała sobie o dzieciństwie Ewy, o tym co wiedziała o życiu przyjaciółki.

Cassie była zdziwiona, jak łatwo ogarnął je gniew i jak szybko Ewa się opanowała.

— Jeśli to ci przynosi ulgę, możesz tak sądzić — odparła Ewa.

Siedziała spokojnie i zdawało się, że przedłużająca się cisza w ogóle jej nie przeszkadza. Cassie nie mogła znieść milczenia.

— Przepraszam, Ewo. Chyba to wszystko mną wstrząsnęło. Nie chciałam, żeby sprawy przybrały taki obrót.

Ewa uśmiechnęła się.

— Chciałaś. I ja zadałabym takie samo pytanie o Wietnam. Przeżyłam niekonwencjonalne osiem lat. Dziwię się, że wcześniej nie byłaś bardziej dociekliwa.

— Jestem twoją przyjaciółką. Nie uważałam tego za konieczne.

— Jesteś również bankierem.

W obliczu zrozumienia Ewy, opór Cassie się załamał.

— Dobrze. Odsuńmy na bok sprawy osobiste. — Powoli udawało jej się pozbierać.

— Zaczniemy jeszcze raz. Opowiedziałam ci historyjkę o blankowaniu, żeby zobaczyć, czy nie sprowokuje ona jakichś skojarzeń co do osoby, która się za tym kryje. Z tego co wiem, istnieje prawdopodobieństwo, że jest w to zamieszany twój przyjaciel, Granger McAdam.

Ewa zachowywała się tak, jakby nic niestosownego wcześniej nie miało miejsca.

— Dlaczego miałyby to robić? Jemu zależy, żeby cena była jak najwyższa.

— Możliwe. Skąd, do licha, mam wiedzieć, czyja to sprawka? Z racjonalnego punktu widzenia nie ma to żadnego sensu. Mój makler w Vancouver podejrzewał, że gdy tylko zakontraktuje „Geniusza”, Case Reed go przyjmie, a ja wydam polecenia co do kupna. Ta wiadomość przedostałaby się na rynek dość szybko. To powinno było podnieść i utrzymać cenę, która zwykowała, tak jak przewidywałam.

Potem, ni stąd, ni zowąd drastycznie spadła.

— Poczekaj chwilę. A co z poufną informacją? Zdajesz się zupełnie nie brać pod uwagę wewnętrznych informacji i interesów robionych na ich podstawie przez ludzi z rynku. Sprawa wygląda niemal tak, jakbyś sama ją nagrała.

— Vancouver żyje z poufnych informacji. Wiedziałam, że jest duża szansa, iż każdy makler, którego wynajmiemy, przekaże je swoim przyjaciołom. Wprowadzenie kogoś do takiego interesu to duża przysługa. Oddałam tę przysługę Brimtonowi w zamian za to, żeby w przyszłości on się nam zrewanżował. I nie rób takiej zdziwionej miny. Potrzebnych nam będzie co niemiara takich przysług, jeśli transakcja ma się powieść. Brim-ton ostrzegł mnie, że Vancouver nie gra fair, że czekają nas kłopoty.

— Cassie, o co, do diabła, ci chodzi? Gadasz o tych wszystkich przysługach jednych dla drugich. Czy to nie jest niezgodne z przepisami, czy przy okazji nie łamiesz prawa?

— A co ja zrobiłam? Zakontraktowałam maklera, to wszystko. Nie mogę przyjmować odpowiedzialności za to, co dzieje się potem, jak wykorzysta posiadane informacje. I możesz być pewna, że będę tak samo

ostrożna z przysługami, które mi wyświadczy w rewanżu. Przestań być taka cnotliwa. To również dla twojego dobra. A co myślałaś, że jak to będzie wyglądało?

Miło, ładnie i nieskomplikowanie?

Ewa obrzuciła Cassie spojrzeniem, w którym było coś bliskiego podziwu.

— Nie, nie sądziłam że będzie ładnie i miło. To jest dzika dżungla, a ty jesteś niezłym fachowcem. Ale, kochana, niezależnie od tego jaka byłaś bystra, jest tam ktoś, kto cię wyprzedza o jeden krok, robi coś, co dla nas nie ma sensu, ale możesz założyć się o ostatniego centa, że ma sens dla niego. A co do oddanych przez ciebie przysług, jakoś nieszczególnie pomogły w naszym przypadku.

— Niezupełnie masz rację — odparła Cassie, nagle pogrążając się w myślach. —

Nie zwróciłam na to uwagi, gdy dotarły do mnie te nowiny, ale z perspektywy, to wszystko może być dla nas bardzo korzystne. Istnieje szansa, że będziemy mogli przejąć firmę za znacznie niższą cenę, niż przewidywaliśmy.

— Czy w uprzejmy sposób próbujesz mi zakomunikować, że jeśli to nie ja i nie ty, to w takim razie może być Frazer?

— Nic takiego nie powiedziałam. Nie uważam, żeby podobne zagranie było w jego stylu. To zbyt ordynarne.

— Więc wracamy do punktu wyjścia. Ktoś bez wyraźnego powodu robi coś, co nie ma sensu.

— Do tego się to mniej więcej sprowadza — powiedziała Cassie. Podniosła się, żeby wyjść. — Ale

dowiemy się, kto za tym stoi. Nikt nie pozostaje niewidzialny na zawsze.

Rozdział 31

T e Mai siedział w nie rzucającym się w oczy, szarym samochodzie, jLzaparkowanym przy liczniku parkingowym i czekał. Obok Le Maia siedział inny mężczyzna, zwerbowany spośród Chińczyków z Hongkongu zamieszkałych w Soho. Obserwował przeciwną stronę ulicy. Obydwaj mieli na sobie czapeczki baseballowe, których daszki zaciały im twarze. Żaden się nie odzywał. Poruszały się jedynie ich oczy

Le Mai rozpoznał czerwone BMW Xu Nana z odległości trzydziestu jardów.

Zobaczył, jak jedzie ku niemu wzdłuż Sloane Avenue, sprawdził numery rejestracyjne i dał kuksańca swojemu towarzyszkowi Obydwaj mężczyźni przyglądali się w milczeniu. Samochód skręcił w lewo i kierował się do wjazdu do podziemnego garażu. Patrzyli, jak Nan wsuwa swoją przepustkę do automatu, widzieli, jak podniosła się barierka i samochód Xu zniknął.

Odczekali dziesięć minut, po czym wysiedli z auta, przeszli przez ulicę i ruszyli w dół podjazdu do garażu, chyląc głowy i odwracając je, żeby skryć twarze przed kamerami systemu bezpieczeństwa. Kamery zarejestrują jedynie dwóch idących mężczyzn, ich twarze nie będą widoczne.

Wjechali windą na siódme piętro, wysiedli i poszli głównym korytarzem, rozglądając się wokół. Była jedenasta wieczorem. Korytarz świecił pustką.

Przystanęli przed drzwiami Nana i nasłuchiwali. Dotarła do nich muzyka, na tyle głośna, że zagłuszyła odgłos klucza wsuwanego do zamka — zapasowego klucza Frazera. Gdy Tai Pan kupił Nanowi mieszkanie, dorobił sobie komplet kluczy dla własnej potrzeby, na wypadek taki jak ten.

Drzwi do mieszkania otworzyły się zamasyście. Nan, stojący w salonie zbladł z przerażenia. Chciał krzyknąć, ale zanim wydobył z siebie słos 'Le Mai ruszył w jego stronę i zakrył Nanowi usta szorstką dłonią która śmierdziała potem. Nan wyrwał

się przez chwilę, zanim strach unieruchomił go zupełnie. Drugi mężczyzna podszedł do niego z tyłu

i związał Nanowi ręce kawałkiem jedwabiu. Napastnik był wyjątkowo delikatny.

Nie miał zamiaru zostawić śladów dla policji.

Ruchy obydwu mężczyzn były dziwnie oszczędne. Le Mai zdjął dłoń z ust Nana i bardzo szybko zastąpił ją kłębkim jedwabiu, który wepchnął tak głęboko, że ofiara nie mogła mówić ani swobodnie oddychać. W oczach Nana widać było przerażenie.

Obydwaj mężczyźni mieli na dłoniach rękawiczki, jaskrawożółte, niemal odblaskowe w na wpół oświetlonym pokoju. Nan ze zgrozą przyglądał się napastnikom.

Le Mai wyciągnął z kurtki pistolet i wycelował go w ofiarę. Nan poczuł, jak w spodniach zrobiło mu się ciepło, gdy, tracąc panowanie, oddał mocz.

— Chcielibyśmy, żebyś napisał krótki liścik, Nan — oświadczył Le Mai rozglądając się wokół. Zauważył długopis i jakieś kartki obok telefonu. Przyniósł je. — To wystarczy. Mam ci powiedzieć, co masz napisać?

Nan kręcił głową w desperackim „nie”.

— Żeby cię zachęcić... — Le Mai skinął w stronę drugiego mężczyzny, który z torby wyciągnął obcęgi. Le Mai wpatrywał się w przerażone oczy Nana. — Radzę ci, żebyś był posłuszny. I tak umrzesz — albo w niesamowitych mękach, albo bezboleśnie. Co wolisz? Nie robi mi to różnicy.

Nan spojrział na obu mężczyzn i dostrzegł w ich oczach zdecydowanie.

Zachowywali się niemal swawolnie. Ich zobojętnienie w stosunku do tego, co mieli zrobić, doprowadziło Nana do szału. Rzucił się w stronę Le Maia, który szybko odsunął się do tyłu. Nan zatoczył się, stracił równowagę i stracił jedną z roślin z półki wiszącej na ścianie. Porcelanowa doniczka rozprysła się na drewnianej podłodze. Le Mai zaklął i sięgnął do swojej torby, podczas gdy drugi mężczyzna złapał Nana za ramiona i przytrzymał nieruchomo.

— Napiszesz? — spytał Le Mai trzymając strzykawkę i igłę tuż przy twarzy Nana, przesuając ją powoli w kierunku lewego oka młodego Chińczyka. — Dla twojej informacji, w strzykawce znajduje się kwas siarkowy. Ukłucie igły w porównaniu z paleniem kwasu wyda ci się pieszczotą.

Nan zaczął skomleć. Dźwięk był stłumiony przez zwitek jedwabiu, który miał w ustach. Wziął podane przez Le Maia pióro i papier.

— Gdzie jest twój portfel? — spytał Le Mai.

Nan skinął w stronę stolika w drugim końcu pokoju. Le Mai przyniósł portfel, otworzył go i wyciągnął kartę kredytową.

— Upewnij się, że twój podpis pasuje do tego, który widnieje na tej karcie, dobrze?

Le Mai zaczął dyktować. Nan pisał mocno rozdygotaną ręką. Notka brzmiała:

„Przykro mi, musiałem to zrobić”.

Gdy tylko Nan złożył podpis, Le Mai wyrwał mu kartkę, przyjrzał się jej i przytaknął. Drugi mężczyzna podniósł doniczkę i połamaną roślinę, po czym wsadził je do torby. Wyjął chusteczkę i starł kilka grudek ziemi, które zostały na drewnianej podłodze. Następnie obydwaj mężczyźni chwytana i wyprowadzili na balkon. W ostatniej chwili odwiązali mu ręce i wyjęli knebel z ust.

Następnie wypchnęli Nana, głową w dół, poprzez

ctło wylądowało na bruku z przerażającym łoskotem. Mężczyźni przeszli z powrotem przez pokój,

sprawdzili, czy korytarz jest pusty, i opuścili mieszkanie.

Nikt ich nie widział, gdy szli do windy. zjeżdżali do podziemnego garażu. Cztery minuty po zamordowaniu Xu Nana siedli w samochodzie i jechali wzdłuż Sloane Avenue. Po drugiej stronie budynku, dookoła ciała leżącego na chodniku, zebrał się tłum. Z kącika ust nieboszczyka spływała strużka krwi, intensywnie czerwona na tle popękanego betonu.

Rozdział 32

Gdy Cassie wyszła, Ewa siedziała cicho w swoim fotelu, popijając whisky i dokładnie analizując ich rozmowę. Następnie zadzwoniła do Stormonta.

— Czy możemy się spotkać?

— Oczywiście. Ale tym razem zgodnie z przepisami. Musimy zachowywać większą ostrożność.

— Masz rację. W klubie?

— Do zobaczenia na miejscu.

Klub był osobistym lokalem konspiracyjnym Stormonta, nie monitorowanym, nie wykorzystywanym przez nikogo poza Stormontem i od czasu do czasu, za jego nadzwyczajnym przyzwoleniem, przez jeszcze jedną czy dwie osoby.

Stormont wyszedł ze swojego domu na Old Church Street i złapał taksówkę.

Dwukrotnie ją zmieniał i kluczył na piechotę, żeby mieć pewność, iż nie jest śledzony, aż w końcu dotarł do ciemnej uliczki w Soho. Zszedł po schodach do klubu jazzowego urządzonego w piwnicy i ruszył przez główną salę do toalet na tyłach budynku. Tam znajdowało się wyjście na zaułek pomiędzy kamienicami.

Stormont wydostał się na zewnątrz i doszedł do końca zaułka, do drzwi pomalowanych na ciemny kolor. Wyjął klucz z kieszeni, otworzył drzwi i wszedł do środka. Zapalił światło. Jego oczom ukazał się salon oraz niewielka łazienka i kuchnia na końcu krótkiego korytarza. Stormont usiadł na zakurzonej kanapie ustawionej po drugiej stronie salonu i czekał.

W tym czasie Ewa udała się do swojej sypialni i wybrała odpowiedni strój: krótką czarną spódnicę z zamszu, białą jedwabną, bluzkę, czarne pończochy, wysokie czarne buty. Pomalowała usta czerwoną pomadką, a oczy podkreśliła wyrazistą czarną kredką. Oceniała w lustrze swój wygląd, zastanawiając się, co Stormont o niej pomyśli. Następnie chwyciła torebkę i papierosy, po czym wyszła na ulicę.

Spacerowym krokiem ruszyła wzdłuż King's Road, rozglądając się za taksówką. Po drodze przystanęła, żeby przyjrzeć się wystawom, rozluźniona, zrelaksowana, jak inni wieczorni spacerowicze i jak ci, którzy ją śledzili. Było ich dwoje, kobieta i mężczyzna. Udawali, że są parą. Ewa wiedziała, że jest ich więcej, gdzieś z przodu, i pewnie jeszcze jacyś w samochodzie, czekają na instrukcje. Musiała ich zgubić tak, żeby nikt nie zauważył, że robi to umyślnie. Tylko zawodowiec zorientowałby się, że jest śledzony, a Ewa nie mogła sobie pozwolić, żeby wzięto ją za

profesjonalistkę.

Po chwili zastanowienia zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i podała adres prywatnego drink-klubu w Mayfair. Pięć minut później wysiadła z samochodu przed pięciopiętrowym budynkiem. Zadzwoiła do drzwi. Otworzył jakiś mężczyzna.

— Cześć. — Zafundowała mu promienny uśmiech. — To jest naprawdę żenujące.

Umówiłam się tu z członkiem klubu na drinka. Poznam jego twarz, odnajdę go bez problemu, ale nie pamiętam, jak się nazywa. Zawarliśmy znajomość bardzo późno zeszłej nocy. — Wyglądała na lekko zmieszanią. — Wiesz, jak to jest.

Mężczyzna roześmiał się i od góry do dołu zmierzył Ewę badawczym spojrzeniem.

— Tak, wiem, jak to jest. — Otworzył przed nią szeroko drzwi.

— Dziękuję. — Drzwi zatrzasnęły się za Ewą. Wiedziała, że ci, którzy ją śledzili, nie byli członkami klubu i nie mają tutaj wstępu. Poszła szybko do toalety w piwnicy. Tam zamknęła się w kabinie i nadwerężając szwy spódnicy, wydostała się przez okno. Wybiegła po schodach prowadzących z suterenu na tylną uliczkę i ruszyła najszybszym krokiem, na jaki mogła sobie pozwolić bez zwracania na siebie uwagi. Zatrzymała pierwszą przejeżdżającą taksówkę i poprosiła kierowcę, żeby zawiózł ją do Regents Park. Przez całą drogę sprawdzała, czy nikt jej nie śledzi. Nic na to nie wskazywało. Żeby się upewnić, zapłaciła za kurs, przeszła kawalek i zła-pała następną taksówkę. Dopiero gdy już była przekonana, że nikt za nią nie podąża, podała taksówkarzowi adres, pod którym miała się spotkać ze Stormontem, na Old Compton Street.

Gdy przybyła do klubu jazzowego, obrała taką samą trasę jak Stormont, przez salę klubową do drzwi na końcu zaułka. Zapukała lekko. Stormont otworzył, odsunął się na bok i wpuścił ją. Następnie zamknął drzwi, oparł się o nie i przyjrzał się Ewie.

— Nieźle się ubrałaś do tej roli.

Odwróciła się powoli w jego stronę, z dłońmi opartymi na biodrach.

— Podoba ci się?

Miał zamiar się roześmiać na tę jej oczywistą zaczepkę, ale się powstrzymał. Patrzył na Ewę z nie skrywanym podziwem. Emanowało od niej piękno i pewien rodzaj kociej gracji.

— Podoba mi się. Bardzo.

Ewa podeszła do krzesła stojącego w przeciwległym końcu pokoju.

— Mamy problem — powiedziała.

Stormont przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

— Cassie odwiedziła mnie dziś wieczorem, mocno przejęta. Najwyraźniej ktoś blankuje „Geniusza”. Dzisiaj cena akcji wzrosła do pięciu dolarów, po czym spadła do dwóch. — Ewa opowiedziała Stormontowi o plotkach i o wewnętrznym handlu informacjami oraz o ufnej akceptacji tego zjawiska przez Cassie. Nie wspomniała o konflikcie, jaki miał miejsce między nimi dwiema. — Wszyscy chcielibyśmy się dowiedzieć, kto za tym stoi — zakończyła.

Stormont wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, poczęstował Ewę, po czym wstał, wziął z półki butelkę glenlivet i dwie szklanki. Wylał je z kurzu i wręczył

Ewie jedną.

— Problem z tymi lokalami konspiracyjnymi polega na tym, że są zupełnie niedostępne dla sprzątaczek.

Nalał whisky do obydwu szklanek, podał Ewie ogień, a następnie sam zapalił.

— Jak myślisz, kto się za tym kryje? Ewa wzruszyła ramionami.

— Naprawdę nie wiem. Cassie, Case Reed i Frazer, wszyscy odnoszą korzyść z obniżenia wartości akcji. Wiem, że to nie ja. Może Cassie? Mimo że to brzmi nieprawdopodobnie, sądzę, iż byłaby do tego zdolna. Im lepiej ją poznaję, lni bystrzejsza mi się wydaje.

Stormont roześmiał się.

— Nie jest wcale taka niewinna, jaką udaje — ciągnęła Ewa — chociaż naprawdę nie sądzę, że to Cassie się za tym kryje. Ani Frazer. Nabiorę więcej pewności, gdy z nim o tym porozmawiam, przyjrę się jego reakcji. To chyba nie w stylu Frazera, ale kto, do licha, może to robić? Nie widzę żadnego logicznego powodu.

— Cóż, pilnuj tej sprawy, przyglądaj się jej dokładnie. Ktoś tutaj coś knuje i nie możemy ignorować faktu, że ten atak jest wymierzony w ciebie.

— Tak. To mi się zupełnie nie podoba. Nie mam pretensji, jeśli oskarża się mnie o to, co zrobiłam, ale o to, czego nie zrobiłam... — urwała. — To po pierwsze.

— Jest coś jeszcze?

Ewa łyknęła trochę whisky i powiedziała bezbarwnym głosem:

— Jestem śledzona. Odkryłam to w południe po spotkaniu w Case Reed. Wydaje mi się, że to musiało się zacząć dzisiaj, ale nic jesieni pewna. Jest ich sześcioro, cała ekipa. Zawodowcy, ale nie kompletnie niewidzialni. Byli ostrożni. Chyba nie przypuszczają, że jestem profesjonalistką. Podjęli tylko takie środki, jakie zastosowaliby w przypadku przeciętnego Toma, Dicka czy Harry'ego. Dlatego dość łatwo ich zauważyłam. Nie martw się, nie mają pojęcia, że ich spostrzegłam. Teraz znów mnie

śledzili. — Stormont zaczął coś mówić, ale Ewa uniosła rękę, żeby mu przerwać. —

Zgubiłam ich. Sądzą że jestem w prywatnym klubie w May-fair. Gdy stąd wyjdę, udam się tam znowu, przedostanę się od zaplecza i opuszczę lokal głównym wyjściem, a oni niczego się nie domyślą. — Zobaczyła, że Stormont nieco się rozluźnił, ale w jego twarzy wciąż widać było napięcie. Ciągnęła dalej: — Kim oni, do diabła, są i czego szukają?

Gdy Stormont siedział z Ewą w tym zapuszczonym pokoju, wytworzył się dziwny intymny nastrój. Stormont czuł do Ewy silny pociąg i, mimo iż to skrywała, wiedział, że Ewa też go pożąda. Podniecenie podsycił fakt, że gra się już zaczęła.

Mieli całą wspólną noc, żeby zaplanować swoją reakcję; sami, w towarzystwie jazzowych rytmów, które pobudzały ich zmysły.

Spojrzał na jej twarz, lśniącą w przyćmionym świetle. Dostrzegł w oczach Ewy to samo podniecenie, które sam odczuwał.

— Szybko się zaczęło. — Zaciągnął się papierosem i łyknął trochę whisky.

Ewa przytaknęła.

— A ty co o tym sądzisz? — spytał ją.

— Wydawałoby mi się, że w tym wypadku właściwą odpowiedzią jest ta najbardziej banalna.

— Frazer?

— Tak.

— Jak do tego doszłaś?

— Ma coś do ukrycia. Wie, że prowadząc ze mną interesy i romansując odsłania się, więc decyduje się na przeprowadzenie szybkiego sprawdzianu. Jeżeli niczego nie znajdzie, zacznie grzebać głębiej. Możliwe, że odkryje coś, o czym nie powinien wiedzieć.

— Jak myślisz, która wersja się sprawdzi?

— Pracuję zakładając, że jestem bezpieczna. W przeciwnym razie bym tu teraz nie siedziała. Myślę, że własna próżność i ciekawość Frazera napawają go przekonaniem, że wie lepiej, niezależnie od moich pustych wyjaśnień. A ty co o tym sądzisz?

— Według mnie Frazerem kieruje ciekawość i naturalne inklinacje do podejrzliwości. Jak chcesz rozegrać tę sprawę?

— Tak jak do tej pory, jakby się nic nie zmieniło. Seks będzie tu bardzo pomocny.

— Czy sprawia ci to przyjemność? Seks z Frazerem? — Słowa Stormonta były twarde, pozbawione emocji.

Ewa pochyliła się ku niemu.

— Lubię seks, Andrew. Pewnie z tobą też by mi się podobało. Tym razem Stormont roześmiał się. Sięgnął po swoją whisky i opróżnił

szklankę, przez cały czas nie spuszczać z Ewy wzroku. Wstał i przeszedł powoli obok jej krzesła, w stronę półki. Napełnił szklanki, odstawił butelkę na miejsce, następnie pochylił się nad Ewą, ustami niemal dotykając jej ucha.

— Być może powinnaś spróbować.

Odwróciła głowę, tak że jej usta znalazły się o milimetr od warg Stormonta.

— Być może kiedyś spróbuję. — Uniosła szklankę. Stormont odsunął się i wrócił na swoje miejsce.

— Moglibyśmy obserwować ekipę śledczą — powiedział, jakby nic pomiędzy nimi nie zaszło — ale to jest cholerne ryzyko, gdyby nas spostrzegli. Ktokolwiek to jest, ujawni się prędzej czy później. Prawie na pewno to Frazer. Obserwuj dalej.

— Frazer z całą pewnością coś knuje. Jakby ustawiał się na właściwej pozycji.

Dzisiaj na spotkaniu zapytał, czy w pełni odpowiada mi firma budowlana, która zajmuje się złożem. Udzieliłam wymijającej odpowiedzi, żeby zobaczyć, o co mu chodzi. Spytał, czy nie rozważyłabym możliwości zatrudnienia firmy, którą on zna.

Twierdzi, że są bardzo dobrzy, i zasugerował, iż być może udałoby mu się wynegocjować lepsze ceny.

— I co powiedziałaś?

— Odparłam, że byłabym zachwycona i kazałam mu porozmawiać z księgowym firmy. Wcale mnie nie zdziwi, jeśli Frazer pojawi się z bardzo konkurencyjną propozycją.

— I co wtedy?

— Będę musiała wyrzucić obecną firmę budowlaną i wpuścić ludzi Frazera.

— To pewne firma fasadowa.

— Tak mi się wydaje. W żadnym oficjalnym rejestrze akcjonariuszy nie będzie żadnego powiązania między nim a tą firmą. Wszystko wezmą na siebie jakieś niewielkie, niewinne konta gdzieś na Kajmanach. W każdym razie oznacza to, iż Frazer wykonuje ruch, że ma jakiś własny plan.

— Na to wygląda.

— Podejrzewam, że wcześniej czy później będzie chciał pojechać do Wietnamu.

Stormont wyprostował się na krześle.

— Zanim gdziekolwiek pojedziesz, przedyskutujemy ten temat. W Wietnamie byłabyś niezwykle narażona na zdemaskowanie. Nie jestem pewien, czybym na to pozwolił.

— Jeśli Frazer planuje jakąś nieczystą rozgrywkę, to właśnie tam ją przeprowadzi.

Nie mogę wtedy po prostu siedzieć w domu.

— Zobaczymy, jaką strategię obierzemy. Ale informuj mnie o wszystkim. Ostatnia rzecz jakiej pragnę, to żebyś prowadziła z Frazerem otwartą walkę.

Ewa uśmiechnęła się, obrzucając Stormonta spojrzeniem, w którym była widoczna niechętna zgoda. Cokolwiek miało się wydarzyć, była gotowa. Ewą nie kierowała ślepa wiara w siebie, to pochodziło z innego

źródła, którego Stormont nie był w stanie wykryć. Przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu, po czym odezwał się:

— Musisz uśpić czujność Frazera. Uważam, że powinnaś zrobić coś nielogicznego, nieprzewidywalnego.

Ewa spojrzała pytająco. - Czy, gdy przebywasz w jego towarzystwie, zachowujesz się chłodno i rozważnie?

— Tak sędzę. Skomentował to. Powiedział, że nie jestem taka jak inne kobiety.

— To zacznij taka być. Niech nabierze pewności. Zatelefonuj do niego o pierwszej w nocy. Zadzwoń do Frazera teraz i powiedz, że już do niego jedziesz.

— Nie mogę tego zrobić. Nigdy w życiu tak nie postępowałam — nie uganiałam się za nikim.

Stormont roześmiał się.

- Byłabyś zdziwiona, ile kobiet tak się zachowuje. Musisz sprawić, żeby Frazer był z siebie zadowolony, Ewo. Jeśli będziesz postępować jak inne kobiety, pomyśli, że ma cię w garści. To go upewni, że jesteś taka jak wszystkie. W

przeciwnym wypadku stanowisz zagrożenie.

- Jeśli pozwolę mu być zadowolonym z siebie, znudzi się. Zacznie się rozglądać za następnym, bardziej wyzywającym podbojem.

— To delikatny stan równowagi. Znalazłaś się zbyt daleko po stronie rzucającej wyzwanie. — Stormont spojrzał na zegarek. — Czy ty albo Cassie rozmawiałyście z Frazerem o blankowaniu?

— Ja nie. Cassie chyba miała taki zamiar. Sędzę, że z nim pomówi.

— Zadzwoń do Frazera teraz. Umów się na spotkanie. Powiedz o blankowaniu i jednocześnie kokietyj go. Będziesz Frazera atakować z dwóch różnych stron.

Zobacz, czy się odsłoni.

Ewa podniosła się, podeszła do telefonu i wykręciła numer. Była dwunasta trzydzieści. Frazer odpowiedział po trzech dzwonekach.

— Robie, tu Ewa. Jestem w klubie, towarzystwo wyjątkowo nudne... Stormont usłyszał, jak Frazer się roześmiał. Patrzył na Ewę, na jej oczy do połowy zakryte powiekami, na pełne usta, przebiegły uśmiech. Nie wiedział, co odparł Frazer, słyszał jedynie słowa Ewy.

— Już jadę.

Odłożyła słuchawkę, podeszła do Stormonta, pochyliła się nad nim i przycisnęła mocno dłonie do swoich pośladków. Pocałowała Stormonta w usta, pozostawiając na nich czerwony ślad.

— Lepiej zabiorę się do tego, co mi nakazałeś. Stormont nie podniósł się.

— Ewo, nie możemy spotkać się ponownie, chyba, że zdarzy się coś nieprzewidzianego. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Przyglądała mu się przez chwilę nic nie mówiąc. Spojrzenie Ewy stało się łagodniejsze.

— Wiem. — Odwróciła się w stronę drzwi. Stormont patrzył, jak wychodzi i znika.

Siedział w zapuszczonym pokoju przez trzy godziny na wypadek, gdyby ekipa śledząca Ewę dotarła za nią do klubu i zdecydowała się przyjrzeć każdemu, kto opuszcza lokal tuż po niej. Wstał o trzeciej trzydzieści, unosząc ze sobą zapach Ewy

— jej skóry i perfum — oraz wciąż czując na ustach słaby smak szminki.

Rozdział 33

Robie Frazer siedział w swoim salonie, którego ogromne okna wychodziły na ogród.

Obok Frazera stała butelka whisky. Popijał powoli, delektując się łagodnym pieczeniem trunku. Rozmyślał o Ewie, o tym, że jedzie do niego teraz, otwarcie, bez pretekstu zaproszenia na obiad czy na drinka. U innych kobiet takie zachowanie by go nudziło, byłby to przewidywalny manewr. W przypadku Ewy stało się to tak nieoczekiwane, że jeszcze bardziej go ekscytowała, jeszcze goręcej jej pragnął.

Le Mai siedział naprzeciwko Frazera i przyglądał mu się. Tai Pan nigdy wcześniej nie wydawał się tak pełen energii. Mimo że rozparł się na krześle, z wyprostowanymi nogami, jego mięśnie pozostały napięte, jakby był gotów poderwać się w każdej chwili.

— Lepiej zniknij — odezwał się do Le Maia Frazer. — 'Przychodzi do mnie kobieta.

Spij w błękitnej sypialni i nie pokazuj się.

Le Mai się podniósł.

— Jakaś wyjątkowa kobieta?

Pytanie zaintrygowało Frazera. Przyglądał się Le Maiowi i myślał.

— Tak. Na swój własny, dziwny sposób.

— Bardzo piękna?

— Tak, piękna. Ale to najmniej istotne.

Frazer powoli wyprostował się na krześle. Le Mai odebrał ten gest jako sygnał do zakończenia spotkania, opuścił pokój i poszedł na górę. W błękitnej sypialni stanął

w ciemności przy oknie, wyglądał i czekał na wyjątkową kobietę Frazera. Widział, jak podjeżdża taksówka i jak kobieta z niej wysiada. Zapłaciła kierowcy i ruszyła w stronę domu. Le Mai bacznie się jej przyglądał. Gdy drzwi się otworzyły i Frazer wpuścił kobietę do środka, Le Mai nadal patrzył na miejsce, w którym stała, jej widok nie dawał Chińczykowi spokoju.

Frazer zamknął za Ewą drzwi. Stała przed nim w swoim seksownym ubraniu, jak obietnica rozkoszy. Przyciągnął Ewę do siebie, przycisnął dłońmi do ściany i pocałował, przytrzymując za plecy. Tuląc Ewę, spojrzał jej w oczy, które błyszczały szyderczo i prowokacyjnie. Kochał się z nią tam, gdzie stali, i patrzył w oczy, aż do momentu gdy je zamknęła, a twarz wykrzywił grymas ekstazy.

Następnie zaprowadził Ewę na górę, położył w swoim łóżku, przykrył kołdrą i legł

obok. Zasnęli niemal natychmiast. Ich twarze błyszczały w świetle księżyca przenikającym przez otwarte okna.

W pokoju dwa piętra wyżej Le Mai siedział na parapecie. Słuchał ich, chłonał każdy dźwięk. Przywoływał obraz kobiety, której ciało okrywało teraz jedynie chłodne powietrze. Wyobrażał sobie jej oczy i zastanawiał się, jak patrzyły na Frazera. Z

uczuciem czy z nienawiścią?

Następnego ranka Frazer obudził się o siódmej. Ewa leżała obok, lekko od niego odwrócona. Przyjrzał się jej wyrazistym rysom. Nawet gdy odpoczywała, na twarzy Ewy malowało się napięcie. Nie było w niej spokoju. Spełnienie fizyczne wywoływało u Ewy uśmiech triumfu, kocie zadowolenie. Nie uspokajało jej, nie sprawiało, że miękła, czy stawała się bardziej ustępliwa. Zawsze był w Ewie opór, to odwracanie się od kochanka, nawet przez sen. Niezależnie od tego, jak bardzo go pragnęła, Frazer był pewien, że może w jednej chwili odejść, raniąc go w jakiś sposób. Wyczuwał, że Ewa ma ochotę zadawać ból. Wiele kobiet posiadało tę cechę, szczególnie te piękne, które wielokrotnie cierpiały z powodu własnej urody.

Ale ta teoria nie pasowała do drapieżności Ewy. Frazer nie potrafił sobie wyobrazić, żeby dała się komukolwiek wykorzystać, nie mógł się dopatrzeć czegoś, co chciałaby pomścić. Jednak było w niej coś gwałtownego.

Ewa nagle się obudziła. Zobaczyła, że Frazer jej się przygląda, i oczy Ewy rozszerzyły się, a następnie na wół zamknęły. Przyciągnęła jego twarz do swoich piersi i przytuliła. Frazer poczuł miękkość pod ustami i ogarnęła go oszałamiająca żądza połączona z zaspokojeniem, mieszanina seksualnego i macierzyńskiego ukojenia.

Leżeli przez pół godziny, rozbudzeni, aż budzik przerwał ciszę. Usiedli.

— Znów będę potrzebowała dzinsów i koszulki. Nie pójdę w tym do domu. —

Wskazała gestem na odzież leżącą obok łóżka.

Frazer roześmiał się i wstał. Gdy przyglądała mu się, jak szedł do garderoby, uderzyło ją że Frazer i Stormont są do siebie podobni. To było coś więcej niż podobieństwo fizyczne; łączyła ich jakaś dodatkowa cecha — błyskotliwość, talent, ostrożność, czujność. Różnica polegała na sposobie, w jaki te przymioty wykorzystywali. Frazer wrócił z ubraniem i rzucił je u jej stóp. Nagle Ewa chwyciła Frazera i pociągnęła na podłogę, nawet przez chwilę nie starając się walczyć z żądzą która przez moment przyćmiła wszystkie inne doznania.

Zanim wzięli prysznic i zjedli śniadanie, przy cichej dezaprobachie Margaret, zrobiła się jedenasta. Wciąż siedzieli przy stole, czytając gazety, gdy gospodyni zaanonsowała, że dzwoni Cassie Stewart. Frazera nie było przez pięć minut. Kiedy wrócił, Ewa przyjrzała mu się uważnie, uśmiechając się dobrotliwie.

Zauważyła, że Frazer też ją obserwuje.

— Słyszałaś o tym blankowaniu?

— Cassie powiadomiła mnie o tym zeszłego wieczoru.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— A kiedy miałam to zrobić? Wczoraj, jak przyjechałam, albo dzisiaj rano, gdy się obudziłam? Moje słowa byłyby mało składne, nieco chaotyczne i wypowiedane na bezdechu, ale poza tym zupełnie nie było powodu, dla którego miałabym cię nie poinformować. Przepraszam. Następnym razem będę o tym pamiętać.

Frazer na chwilę zaniemówił.

— Widzę, że wyznajesz filozofię, iż interesy załatwia się w biurze.

— Skoro już poruszyłeś ten temat, udajmy przez chwilę, że jesteśmy w biurze —

zapropozowała Ewa.

— Dobrze.

— Czy mógłbyś mi wyjaśnić, co się, do diabła, dzieje? Chcę przez to powiedzieć, że ty jesteś starym wyjadaczem, Cassie również siedzi w tym biznesie, ale ja niewiele wiem. To nieco żenujące, że rano przystępuję do transakcji, a po południu zaczynają się różne rozgrywki, ktoś rozpowszechnia o mnie plotki, niszczy moją firmę.

— Wiem tak samo niewiele jak ty. Znam tego rodzaju gierki, ale nie mam pojęcia, kto je prowadzi i dlaczego. To naprawdę dziwne, bo sprawa wygląda tak, jakby ktoś niemal oddawał nam przysługę. Im niżej spadnie cena, tym lepiej dla nas i dla naszego przejęcia — dopóki spada bez powodu, a nie z konkretnych przyczyn.

— Mówiłam ci wiele razy, że to dobry interes, ale ryzykowny. Te plotki to kompletna bzdura. Możesz sprawdzić moje potwierdzenia udziałów, zadzwoń do banku. Nie handlowałam żadnymi akcjami „Geniusza”.

— W porządku. Wierzę ci. Na ogół wiem, kiedy ludzie kłamią.

— To dobrze, bo wydaje mi się, że ty też mówisz prawdę. To w każdym razie niczego nam nie wyjaśnia. Ty tego nie robisz, ja tego nie robię, Case Reed tego nie robi, w takim razie kto to jest i dlaczego się tym zajmuje?

— Skąd masz pewność, że to nie sprawka Case Reed?

— Naprawdę sądzisz, że to w ich stylu? Czy możesz sobie wyobrazić, żeby John Richardson stosował jakieś nieczyste chwyt?

— Nie. Ale uważam, że twoja przyjaciółka Cassie Stewart nie jest tak nieskazitelną niewinną istotką jaką udaje.

— Przeceniasz ją. — Ewa miała nadzieję, że Cassie nie opowiedziała Frazerowi o wzajemnym wyświadczeniu sobie przysług z maklerem z Vancouver. Odnosiła wrażenie, że byłoby z pożytkiem dla Cassie, gdyby skryła swoją bystrość przed Frazerem. Będzie musiała jakoś dać jej to do zrozumienia.

- Być może. Ale raczej zgadzam się z tobą. Nie sądzę, że to robota Case Reed.

— Mógłbyś się dowiedzieć? Muszą istnieć jakieś sposoby, żeby zdobyć takie informacje.

Frazer przyglądał się Ewie przez chwilę.

— Istnieją. Porozpyruję trochę. To twoja firma — zrozumiałe, że się denerwujesz. A ja też nie lubię, gdy ktoś się zabawia moim kosztem

— We wtorek, z samego rana Cassie spotkała się z Richardsonem. — Mamy problem z

„Geniuszem”. Ktoś chyba blankuje. Richardson nieznacznie uniósł jedną brew, ale poza tym pozostał

nieporuszony. Czekał na wyjaśnienie ze strony Cassie. Gdy skończyła, milczał przez chwilę.

Cassie uspokoiło jego opanowanie. Richardson, niezależnie od tego jaki napotkał

problem, zawsze działał tak, jakby mógł go rozwiązać dzięki spokojnym przemyśleniom. W przypadku popełnienia błędu nigdy nie unosił się gniewem, nie żywił urazy, jedynie w skupieniu planował rozwiązanie.

— Ewa i Frazer pojawili się na parkiecie i niemal natychmiast zaczęło się to blankowanie — odezwał się w końcu. — Nie sądzę, żeby Frazer był tak mało subtelny, aby obciążać się w ten sposób. To sprawia, że według mnie, to raczej nie on się za tym kryje. Jeśli chodzi o twoją przyjaciółkę Ewę, z tego co o niej wiemy, wydaje się to przekraczać jej możliwości. Ale nie ufałbym jej do końca. I Ewa, i Frazer mają wszelkie powody, żeby manipulować akcjami, jeśli sądzą że ujdzie im to na sucho.

— Może Frazer czuje się nietykalny — odparła Cassie. — Nikt by nie przypuszczał, że obciążylby się w taki sposób, więc wszyscy sądzimy, iż jest niewinny.

— To zupełnie możliwe. — Richardson zmienił temat. — Rozmawiałaś z Aubreyem Goldsteinem?

— Zjadłam z nim lunch. Goldstein był bardzo pomocny.

— Tak sądziłem. — Richardson przypatrywał się Cassie, jakby na coś czekał.

Cassie myślała szybko, ale odpowiadała powoli.

— Spytał mnie, gdy już wychodziłam, gdzie znajduje się to złożo diamentów.

— I powiedziałaś mu.

— Powiedziałam, że w Wietnamie, ale „Geniusz” nie jest tam jedynym przedsiębiorstwem diamentowym. Nie sądziłam, że zdradzam zbyt wiele, nie przyszło mi do głowy, że może to wykorzystać. Cholera, John, przepraszam, jeśli schrzaniłam sprawę, ale Goldstein nie sprawiał na mnie wrażenia kogoś niebezpiecznego. I byłam ostrożna — dałam mu tylko jedną wskazówkę, przyznając, że to mi się wymknęło.

— Albo tylko tyle wyciągnął.

— Chyba nie sądzisz, że to naprawdę on? Cassie zdziwił uśmiech na twarzy Richardsons.

— Jest po prostu kolejnym kandydatem, którego powinniśmy umieścić na naszej liście podejrzanych. Nie możemy nikogo wykluczyć, prawda?

— Oprócz nas. — Cassie roześmiała się. — Co masz zamiar zrobić? — spytała szybko. — Porozmawiasz z Goldsteinem i z Frazerem?

Goldstein — zamknięty w sobie, milczący jak głaz. I Frazer, ostry i śliski jak lód.

Konfrontacja niewiele da.

— Niech pomyślę.

Nieco później Richardson odbył rozmowę telefoniczną.

— Peter, tu John. Wiem, że powinienem cię uprzedzić wcześniej, ale zastanawiałem się, czy nie mógłbym wpaść na kilka chwil. Świetnie. Dzięki.

Richardson odłożył słuchawkę i wyszedł z biura. Pojechał kawałek taksówką i wysiadł przed potężnym, nie rzucającym się w oczy budynkiem — siedzibą jednej z największych prywatnych agencji śledczych na świecie. Podał swoje nazwisko recepcjonistce, a następnie wjechał windą na piąte piętro, do gabinetu Petera Bawdena, dyrektora naczelnego. Bawden powitał go uściskiem dłoni.

— Kawę?

— Tak, poproszę.

Richardson czekał, aż zostanie przyniesiona kawa. Upił trochę i delikatnie postawił filiżankę na spodku.

— Chciałbym, żebyś przyjął ode mnie zlecenie. Raport potrzebny mi jest jak najszybciej. Nie mogę pozwolić sobie na luksus czekania. Nie musisz się starać, żeby zdobyć wszystkie dane. Nawet gdybyś miał na to czas, dość ciężko byłoby wejść w ich posiadanie. Jeśli ta osoba ma coś do ukrycia, robi to cholernie skrzętnie.

— A więc czego chcesz?

— Twojej opinii. Domysłu, hipotezy. Jakichkolwiek faktów czy plotek, na jakie natrafisz. — I to ci wystarczy?

— Może będzie musiało.

— Mam wrażenie, że już podjąłeś decyzję.

— Nie, jeszcze nie podjąłem. Zaszło coś, co zmusiło mnie do zastanowienia. Coś podejrzewam, mam jakieś przeczucie. — Richardson machnął dłonią. — Zaczynam gadać jak Cassie Stewart, z tą jej intuicją.

— A jednak Cassie na ogół ma rację, prawda? Co ona o tym sądzi?

— Nie pytałem jej, ale ostatnio dziwnie się zachowuje. Mam wrażenie, że stara się coś zataić.

— Kim jest ten człowiek, John?

Richardson westchnął i przygotował się na reakcję pełną niedowierzania.

— Robie Frazer.

Bawden milczał. Łyknął nieco kawy i popatrzył na Richardsona znad filiżanki. Ci dwaj mężczyźni byli starymi przyjaciółmi. Studiowali razem, a firma Bawdena regularnie przeprowadzała dochodzenia dla Case Reed.

— Lepiej powiedz mi, w czym tkwi problem. Nikt nie kazałby śledzić Robiego Frazera ot, tak sobie.

— Podejmiecie się tego zlecenia? Bawden milczał przez moment.

— Podejmiemy się.

Cassie widziała, jak Richardson wrócił do Case Reed. Wydawał się dziwnie przygaszony. Wszedł do swojego gabinetu ze zwieszoną głową nie zwracając uwagi na otoczenie. Cassie chciała tam zajrzeć i porozmawiać z nim, ale rezerwa Richardsona powstrzymała ją.

Zamiast tego poszła do kawiarni przy Clifford Street i kupiła trzecią tego dnia kawę.

Gdy wróciła, wypiła ją i zatelefonowała do Owena Quaida.

— Owen, zabierz mnie na lunch, weź mnie na kolację, zrób coś ze mną dobrze?

Zaraz tutaj oszaleję.

— Och, moje biedactwo. Co robi dzisiaj twój żaloszny współlokator? Cassie rozchmurzyła się.

— Wspominał coś, że będzie studiował w bibliotece w Kensington. Zdaje mi się, że chodzi do tego przybytku podrywać dziewczyny. Najwyraźniej aż się tam od nich roi.

— Nie mów. To znaczy, że u ciebie w domu nikogo nie ma?

— Chyba powiem swojej sekretarce, że się wybieram na długi lunch.

— Do zobaczenia, ślicznotko.

Cassie złapała taksówkę i przyjechała do domu pięć minut przed przybyciem Quaida. Otworzyła mu drzwi i pocałunkiem zwabiła do holu. Przyciągnął Cassie do siebie tak mocno, że przez cienki jedwab spódnicy poczuła szwy jego dzinsów.

Każdy mięsień jędrnego ciała Quaida był wypukły, jak alfabet Braille'a. Całował

Cassie pożądliwie, a ona odwzajemniała pocałunki. Zawsze je odwzajemniała, ale nigdy nie zaczynała pierwsza.

Ouaid wcisnął dłonie pod ramiona Cassie i patrzył na nią nie przerywając pocałunków. Powieki Cassie trzepotały unosząc się i opadając. Zaprowadził ją na górę, do łóżka. Gdy się położyli, poczuł na sobie wzrok Cassie. Szeroko otwarte oczy, czułe i skupione wyłącznie na nim spojrzenie. O czym

myślała? Zdjął z Cassie ubranie, oczarowany jej jasną skórą i oddał się miłosnemu uniesieniu.

Godzinę później siedzieli w ogrodzie z butelką cierpkiego schłodzonego chablis, działającego jak balsam na wysuszone podniebienia. Nesta i koty leżały spokojnie u ich stóp, pławiąc się w południowym słońcu.

— Kochanie, gdy rozmawialiśmy rano przez telefon, sprawiałaś wrażenie roztrzęsionej i jakkolwiek chciałbym sądzić inaczej, wiem, że tęsknota za mną nie była wyłącznym tego powodem — powiedział Quaid.

— Naprawdę tęskniłam za tobą. Nie czuję się najlepiej, gdy cię długo nie widzę. —

Zawsze ten zawadiacki wzrok, gdy mówiła o uczuciach. — Ale masz rację, nie tylko o to chodziło. — Opowiedziała Quaidowi o blankowaniu. — Nie lubię, gdy tracę kontrolę.

— Rozmawiałaś z Ewą i z Frazerem?

— Tak. Ale naprawdę nie sądzę, by oni mieli z tym coś wspólnego.

— Mm. — Quaid zmarszczył brwi. Cassie spojrzała na niego pytająco.

— Owen, jest coś, o czym mi nie mówisz. Dotyczy to transakcji albo Ewy lub Frazera. Wiem, że milczysz nie bez powodu i że nie powinnam pytać. Ale nie mogę tak siedzieć ze świadomością że wiesz coś, o czym ja nie mam pojęcia. Więc cokolwiek to jest, czy zechcesz mi powiedzieć?

Quaid wyjął papierosy z kieszeni dzinsów i zapalił jednego. Wydmuchnął dym nad głową Cassie. — Och, Cass. Naprawdę stajesz się uciążliwa. Ciekawość i zdolność obserwacji są bardzo przydatne, ale czasami lepiej jest pozostawić sprawę w spokoju i nie szperać po kątach.

— Nic na to nie poradzę. Gdy sprawdzi się kilka kątów, wyobraźnia ciągnie dalej.

— Wiem. Zawodowa podejrzliwość. Chyba zaraziłaś się tym ode mnie.

— Możliwe. No i co, powiesz mi?

— Nie powiniennem, Cassie. Już myśląc o tym łamię niemal wszystkie zasady. To nie jest jakaś niewinna zabawa. Konsekwencje są poważne, znacznie groźniejsze niż możesz sobie wyobrazić. Zajmujesz się czymś, czego w ogóle nie powinnaś tknąć.

— W głosie Quaida zabrzmiał gniew, ale Owen jakby nagle się opanował i przemówił łagodnie. — Skoro nalegasz, powiem ci. Tylko tyle mogę zrobić, żeby cię chronić. — Nie dodał, że jednocześnie naraża na niebezpieczeństwo siebie i Paula Blacka.

— Och, na miłość boską Owen. To brzmi strasznie melodramatycznie. Albo mnie rozśmieszysz, albo przerażysz. — Cassie wyciągnęła do Quaida rękę i dotknęła jego policzka. — Wiem, że czasami trudno ze mną wytrzymać, że jestem krnąbrna. Ale cokolwiek powiesz, możesz mi ufać bezgranicznie. Martwię się tą transakcją szczególnie teraz, gdy doszło do blankowania. Dzieje się coś naprawdę

dziwnego i nie chodzi wyłącznie o te manipulacje. Nie bardzo wiem o co. Może faktycznie tym razem

dałam się ponieść wyobraźni. Ale mam dziwne przeczucie, że dzieje się coś, co z diamentową transakcją nie ma nic wspólnego.

Mówiła coraz szybciej i przychodziły jej do głowy różne podejrzenia.

Quaid chwycił dłoń Cassie i ścisnął ją.

— Hej, powoli. Opowiedz mi o wszystkim, niezależnie od tego jak dziwne może ci się to wydawać.

— Nie mam nic do dodania poza tym, co już sam wiesz. Właśnie w tym rzecz. To jedynie masa domysłów, które chodzą mi po głowie. I uczucie niepokoju, błędzenia w ciemności. Nie cierpię tego.

— Dobrze. Zdradzę ci, co wiem. Nie odpowie to na wszystkie twoje pytania, ale może coś wyjaśni. Powód, dla którego od samego początku tak niechętnie odnosiłem się do tej transakcji, jest taki, że zanim poprosiłaś, żebym się tym zajął, zadzwonił do mnie Robie Frazer i kazał śledzić Ewę, Johna Richardсона i ciebie. — Mnie? Dlaczego, do diaska, miałby mnie śledzić? Albo Richardсона?

- A czemu nie? Ty przeprowadzasz dochodzenie w sprawie swoich partnerów do interesów. Praca dla renomowanej firmy nie oczyszcza cię, jedynie ułatwia zatajenie wszelkich brudów. Twarz Cassie stężała ze złości.

Quaid ciągnął dalej:

- Kiedy Frazer zlecił mi przeprowadzenie dochodzenia w twojej sprawie, nie miałem wyboru. Pewnie mogłem powiedzieć, że się nie zgadzam, ale jest jednym z moich najlepszych klientów i nie lubi, gdy się go odsyła z kwitkiem.

Poza tym chciałem mieć jakąś kontrolę nad tym wszystkim. Gdybym mu odmówił, po prostu wynajęłby kogoś innego. Wiem, że to niezgodne z zasadami.

Przewidywałem, iż się zdenerwujesz. Ale jeśli ktokolwiek miał grzebać w twoim życiorysie, sądziłem, że lepiej będzie, jeśli ja to zrobię.

— Nie jestem pewna, czy nie wolałabym, żeby był to ktos zupełnie obcy. To koszmar, gdy kochanek zna wszystkie twoje tajemnice.

— Nie, jeśli się nie ma nic do ukrycia.

— Na Boga, Ouaid, każdy posiada jakieś sekrety. — Cassie przerwała, po czym zadała konkretne pytanie: — Więc czego się o mnie dowiedziałeś? Jakie informacje przekazałeś Frazerowi?

— Nieistotne. Ze właściwie jesteś czysta, że nie znalazłem nic godnego uwagi, żadnych pikantnych tajemnic.

— Tylko tyle? -Tak

Cassie roześmiała się i Quaid odniósł wrażenie, że usłyszał w tym śmiechu ulgę.

— Boże, wychodzę na strasznie nudną osobę.

— Niektórzy podejmują ryzyko i źle je oceniają. Ty ryzykujesz w sposób wyrozumowany. Na tym polega różnica.

— Dzięki, Owen. Ładnie to ująłeś. Nie jestem asem w prawidłowej ocenie ryzyka.

Po prostu miałam szczęście — nigdy nie musiałam kłaść na szalę zbyt wiele. To wszystko. Nie ma sensu tego wyolbrzymiać.

— A więc trzymaj tak dalej, Cass. W każdym razie Frazerowi wystarczył raport, jaki otrzymał na wasz temat. Dotyczył ciebie i Richardsona. Ale nie uwierzył w nieskazitelność Ewy. Ponieważ nie miałaś zamiaru mówić Richardsonowi o jej uzależnieniu od heroiny, nie mogłem poinformować o tym Frazera. Zachowanie Ewy jest niekonwencjonalne, ale nie wzbudza szczególnych podejrzeń. Jednak Frazer po prostu nie chce w to wierzyć. Ma z nią romans — może to sprawia, że jest nieufny.

— Co? Mają ze sobą romans?

— To chyba nie jest takie dziwne, prawda?

— Nie — odparła Cassie powoli. — Dostrzegam ich wzajemne zauroczenie.

— Tak, to na pewno daje się zauważyć, ale zostaw Frazera dla Ewy.

— Dlaczego tak mówisz?

— A jak ci się wydaje? Przez zazdrość. — Quaid szybko ciągnął dalej: — W

każdym razie Frazer był przekonany, że nie dowiedziałem się wszystkiego o Ewie, więc kazał ją obserwować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— I co odkryłeś?

— To ciekawa dama.

— Dlaczego?

— Chodzi o sposób, w jaki spędza czas.

— Powiedz mi. Konkretnie.

— Dobrze. Konkretnie. Wczoraj wstała o wpół do siódmej i zaczęła dzień godzinnym biegiem wokół parku Battersea. Przebywała w domu do ósmej trzydzieści. Potem wyszła elegancko ubrana, wstąpiła do cukierni przy King's Road, siedziała w słońcu przy stoliku na zewnątrz, zjadła dwa ciastka, wypila sok pomarańczowy i dwie cappuccino. Później na godzinę udała się do Case Reed.

Następnie poszła na spacer i przez godzinę siedziała w parku przy Hannover Square, potem dokonała kilku zakupów na Bond Street i zjadła lunch z Frazerem w „Savoy Grillu”. Kilka godzin spędziła w domu. Następnie wybrała się do Biedecome, czy jakoś tak, klubu judo przy Fulham Road. Przez półtorej godziny trenowała judo. I jest w tym dobra.

— Jak dobra?

— Ujmijmy to w ten sposób: z łatwością skopałaby mi tyłek.

— Jezu. A po treningu?

— Na kilka godzin pojechała do domu. Potem ty Ewę odwiedziłaś, zdaje się, że w ogromnym pośpiechu. Wyszłaś, a pół godziny później, około jedenastej, Ewa pojawiła się znowu, bombowo ubrana i poszła sama do prywatnego drink-klubu w Mayfair. Nie wiemy, z kim się tam spotkała — nie mogliśmy dostać się do środka. Opuściła klub po dwóch godzinach i poszła do domu Frazera, gdzie spędziła noc. Quaid czekał, aż Cassie coś powie.

— To niesamowite. Zajmuje się tyloma sprawami, prowadzi tak aktywny tryb życia

— jedna godzina spędzona w samotności, a następna wypełniona po brzegi. Wydaje się mieć tyle różnych wcieleń, tak zaskakuje. W niektórych aspektach jej życie jest niemal spartańskie — biegi oraz judo, i przesiadywanie przez godzinę na parkowej ławce. Ale z drugiej strony śniadanie i lunch w „Savoyu”, zakupy, drink-kluby, seks z Frazerem... tyle różnych wizerunków.

— Wiem. To niesamowite. Ewa jest przy tym tak spokojna, że sprawia wrażenie, jakby grała w przedstawieniu.

— Może gra, bo wie, że jest śledzona.

— Nie sądzę. Nie zdradziła się z tym.

— To chyba oczywiste, prawda? Jeśli jest dobra, niczego nie da po sobie poznać.

— Co masz na myśli, mówiąc „dobra”? — spytał Quaid ostrym głosem.

— Och, nie wiem. Nie mam pojęcia, co chciałam przez to powiedzieć. Chyba nic.

— Owszem, chciałaś. Dalej, wykrztuś to z siebie. Nie możesz oczekiwać, żebym ci pomógł, jeśli zamykasz się w sobie za każdym razem, gdy tak ci wygodnie.

— Naprawdę nic nie wiem. Mam po prostu pewne podejrzenia. Quaid czekał uparcie.

— Dobrze. Tylko się nie śmieję, jeśli to zabrzmiało jak stek bzdur. — Cassie starała się traktować całą tę sprawę bez troski, ale jej głos brzmiał poważnie. — Kilka dni temu rozmawiałam z pewnym gościem, który jest ekspertem od diamentów. To przyjaciel Johna Richardсона. W każdym razie

opowiedział mi o diamentowym interesie, o tym co nazwał jego stroną oficjalną a potem udzielił mi czegoś w rodzaju ostrzeżenia.

— Jakiego ostrzeżenia?

— Sama nie jestem pewna. Zaczął rozprawiać o ubocznych sprawach związanych z diamentowym biznesem. O ludziach, którzy wykorzystują ten interes do innych celów.

— O kim, na przykład?

— O służbach wywiadowczych.

Milczeli przez długą chwilę. W końcu Quaid zapytał:

— I z czym to wiążesz?

— Nie wiem. Nie mogę przestać zastanawiać się, czy Ewa nie ma do czynienia z wywiadem.

— A niby dlaczego miałyby mieć?

Cassie nie odpowiedziała od razu. Chciała wspomnieć o Andrew Stormoncie i jej podejrzeniach względem niego, ale coś podpowiedziało Cas-sie, żeby zatrzymała te informacje dla siebie. Zamiast tego mówiła o Ewie.

— Osobowość Ewy jest znacznie bardziej skomplikowana, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Po prostu to przeczuwam. I trochę dziwi mnie, że przez osiem lat żyła jak hippiska na Dalekim Wschodzie, uzależniła się od heroiny, a potem znalazła to złożenie diamentów i tak nagle spoważniała.

— To wcale nie jest niezwykle. Taki obraz po prostu nie pasuje do twojego widzenia świata. To rzadkie, ale nie ma w tym niczego podejrzanego.

— Wiem. I nie oceniam jej. Absolutnie nie. Jeśli chodzi o zerwanie z konwenansami, zupełnie mi to nie przeszkadza. — Cassie milczała przez chwilę. —

Do tego Frazer. Może on pracuje dla wywiadu?

Quaid roześmiał się.

— Nie. Nigdy w życiu.

— Dlaczego? Dlaczego, do licha, nie?

— Posłuchaj, Frazerowi zależy jedynie na pieniądzach i na mocnych wrażeniach.

Najlepiej jak jedne i drugie się ze sobą wiążą. Jest zupełnie amoralny — nie poświęcałby się dla żadnej sprawy. Czasami wywiad to wykorzystuje, ale nie w przypadku Frazera. Jemu nie można by zaufać.

Cassie odstawiła swój kieliszek i intensywnie wpatrywała się w Qu-aida.

— Poczekaj chwilę. Czy my rozmawiamy o tym samym Robiem Frazerze? On podobno...

— Obudź się, Cass. Nie słuchaj tych „podobno”. Jak ci się wydaje, w jaki sposób się zarabia miliard funtów tak szybko i niepostrzeżenie jak on?

— Co zrobił? Jak doszedł do fortuny?

— Jak sądzisz, dlaczego kazał mi sprawdzić ciebie, Richardsona i Ewę?

— Powiedz mi.

— To bardzo proste. Ponieważ ma coś do ukrycia i chce mieć pewność, że jego potencjalni partnerzy w interesach są tymi, za których się podają. Wyznaj mi —

Quaid zmienił ton — czego oczekujesz po tej transakcji z nim i z Ewą?

Cassie spojrzała na Owena, zdziwiona jego chłodną logiką.

— Chyba chcę zarobić pieniądze. Interesuje mnie ten projekt, diamenty, Wietnam i przyznaję, że pragnę się wzbogacić.

— Skoncentruj się na tym. Nie przejmuj się Frazerem ani Ewą. Nie zaprzataj sobie głowy domysłami, co mogli albo co mogą zrobić. Jeśli musisz przeprowadzić tę transakcję — a z tego co widzę, nic co powiem cię nie powstrzyma — skoncentruj się po prostu na zarabianiu pieniędzy. Frazer prawdopodobnie nie przystąpiłby do tego interesu, gdyby nie zwęszył zysku, więc powinnaś wykorzystać szansę, żeby też trochę zarobić.

Podejmij się tego, sprzedaj swoje udziały i się wycofaj. Zostaw ich przy najbliższej sposobności, rozumiesz?

— A z jakiego innego powodu Frazer mógłby przystąpić do tej transakcji, jeśli nie dla pieniędzy?

— Kto wie, co się dzieje w głowie Frazera? W jego wypadku nic nigdy nie jest jasne. — Quaid zamilkł. Myśli Cassie wirowały w zawrotnym tempie.

— Dlaczego w ogóle służby wywiadowcze miałyby się mieszać do takiej transakcji?

— spytała nagle.

— Kto wie? Nie mają powodu. To tylko wytwór twojej wyobraźni. Ale słuchaj, Cass, jeśli z jakiejś przyczyny są w to zamieszani, nie oszukuj się. Bez względu na to, jak postąpisz, zrobią co mają do zrobienia. Jeśli zacznie się dziać coś dziwnego, najlepszym wyjściem dla ciebie jest uciekać gdzie pieprz rośnie. Na razie, na miłość boską udawaj, iż niczego nie podejrzewasz. Zrób swoje i wycofaj się, jak tylko zarobisz pieniądze. Dobrze?

Ich spojrzenia się spotkały. Quaid widział, że Cassie myśli intensywnie, ale się nie odezwał. Cassie pożegnała się z nim i wróciła do swojego biura. Miała wrażenie, że porusza się we mgle, bardziej wyczuwając, niż widząc drogę. Włączyła ekran i sprawdziła cenę „Geniusza”; wciąż dwa dolary. Zadzwoiła do Brimtona.

— Jakieś nowiny?

— Żadnych. Dalej to samo, ale wieść się już nie rozchodzi. Cena zatrzymała się.

— To dobrze. Kupię resztę udziałów. Ile za osiemdziesiąt dziewięć tysięcy akcji?

Przepraszam, że nieparzysta liczba, ale nie mogę skumulować więcej niż pięć procent.

— Co ty, do diabła, robisz, Cassie? Jako twój makler powinienem nie tylko przeprowadzać dla ciebie transakcje, ale również służyć radą.

— Oczywiście, że powinieneś. Ale już postanowiłam. Podaj mi cenę, Sam.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Możesz tego żałować.

— To moje zmartwienie.

— I to swoje pieniądze wyrzucasz w błoto. Dwa i pół.

— Stoi. Kupuję osiemdziesiąt dziewięć tysięcy akcji „Geniusza” po dwa i pół.

Cassie wiedziała, że będzie musiała zapłacić za tak duży pakiet znacznie więcej, niż wynosiła cena na ekranie, ale dwa i pół to było niewiele w porównaniu z sześcioma dolarami, na które była przygotowana. Po blankowaniu sytuacja uległa zmianie, lecz Cassie w głębi duszy nie mogła pozbyć się wrażenia, że to tylko zasłona dymna. Z

uśmiechem odłożyła słuchawkę. Potencjalne zyski właśnie potężnie wzrosły.

Ryzyko również.

Rozdział 35

Ewa i Frazer właśnie skończyli lunch. Siedzieli w salonie i czytali gazety, gdy weszła Margaret.

— Ktoś do pana.

Frazer, na wpół leżący na kanapie, podniósł się i bez słowa wyszedł za gospozię z pokoju. Ewa usłyszała trzaśnięcie drzwi i szmer cichych rozmów. Zamknęły się kolejne drzwi, po czym zapadła cisza.

Le Mai czekał w gabinecie Frazera. Przyglądał się, jak Tai Pan wchodzi i zajmuje miejsce.

— Co się stało? — spytał Frazer.

— Nie jestem pewien, nie do końca. To było dawno temu, a ludzie się zmieniają.

Ale jeśli się nie mylę, mamy problem. Ty masz problem.

— Skończ z tymi zagadkami, Le Mai.

Frazer słuchał, podczas gdy Chińczyk mówił o swoich podejrzeniach. Gniewne spojrzenie Frazera po chwili stało się lodowate. Wstał i wrócił do salonu.

Gdy wszedł, Ewa podniosła wzrok. Zauważyła, że Frazer przyjrzał jej się uważnie.

Patrzyła, jak siada, bierze gazetę, przewraca strony i czyta. Widziała oczy Frazera poruszające się wzdłuż linijek i miała pewność, że nie trafia do niego ani jedno słowo. To starannie zaaranżowane przedstawienie nie było w stanie skryć złości, jaka wtargnęła wraz z nim do pokoju. Ewa również przeglądała gazetę, modląc się, żeby udało jej się zataić strach. Wysilek siedzenia na krześle, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, niemal wyciskał z niej poty. Siłą woli zmusiła się do opanowania; oddychała powoli, głęboko i bezgłośnie. Kącikiem oka zauważyła, że Frazer wstał i podszedł do niej. Wyciągnął rękę i chwycił odsłonięte ramię Ewy.

Jego palce zacisnęły się jak obręcz. Pociągnął Ewę ku sobie.

— Co byś powiedziała na niewielką podróż? Ewa odłożyła gazetę.

— Zależy dokąd, kiedy i z kim.

— Do Hongkongu, dziś po południu, ze mną.

— A dlaczego miałabym mieć na to ochotę?

— Prowadzę tam interesy i za długo mnie nie było. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy zahaczyć o Wietnam, obejrzyć twoje złożę.

Kolejny punkt zwrotny, następny fałszywy krok. Ewa wiedziała, że musi go uczynić.

— Dobrze. Pojadę. Daj mi godzinę na spakowanie i spotkam się z tobą tutaj.

— Nie ma czasu. Jeśli wyruszymy od razu, złapiemy popołudniowy samolot.

Możemy kupić wszystko, co ci potrzebne, w Hongkongu. Mój kierowca poczeka, żebyś wzięła swój paszport w drodze na Heathrow.

I nie będę miała możliwości powiadomienia kogokolwiek, że wyjeżdżam. Ewie przypomniało się ostrzeżenie Stormonta. Nagle jej zadanie stało się poważne.

Świadoma niebezpieczeństwa, mówiła ze swobodą:

— Będę musiała zrobić dużo zakupów, Frazer. Mam nadzieję, że twoja karta kredytowa to wytrzyma.

— Och, sądzę, że tak. — Przywołał Margaret. — Wyjeżdżamy do Hongkongu.

— Chyba powinnam zadzwonić do Cassie — powiedziała Ewa, przeciągając się. —

Już dość się denerwuje tym blankowaniem. Jeśli do tego jej znikniemy, dostanie zawału. Też będziesz musiał porozmawiać z Cassie. — Przerwała. — Przy okazji, co jej powiemy? Że wyjeżdżamy razem, ni stąd, ni zowąd — może się to wydać nieco dziwne.

Frazer podszedł do okna i wyrztał na ogród.

— W końcu jakie to ma znaczenie, co ona sobie pomyśli? Ewa stanęła tak blisko Frazera, że niemal go dotykała.

— Dla mnie to ma znaczenie. Usiłuję zdobyć dzięki Cassie pieniądze. Nie mogę sobie pozwolić na luksus lekceważenia jej zdania.

— Usiłujesz również zdobyć pieniądze dzięki mnie. Do czego ona jest ci potrzebna?

— Wydawało mi się, że to zrozumiałe. Cassie mnie tobie przedstawiła. Jestem jej winna jakąś lojalność. Poza tym nie wiedziałabym, jak postępować, gdyby nie porada banku kupieckiego.

— Ale teraz chyba nie jest ci potrzebna, Ewo? A co byś powiedziała na propozycję, że sfinansuję to w całości, a moi bankierzy będą ci służyli radą?

— Czy to się nie nazywa konflikt interesów, Robie? Nie wydaje ci się, że powinnam sobie zapewnić chociaż minimalną ochronę przed tobą?

Stali przez chwilę w milczeniu, mierząc się wzrokiem. Frazer odwrócił

się.

— A więc zadzwoń do tych swoich ochroniarzy, jeśli są coś warcu. Ewa wykręciła numer. Frazer podszedł i włączył głośnik telefonu. Ewa stała obojętnie.

— Cass, tu Ewa. Posłuchaj, wyjeżdżam z Frazerem do Wietnamu, żeby rzucić okiem na nasz teren. Chyba chce się przekonać, że to złoże naprawdę istnieje.

Zapadła krótka cisza, zanim Cassie zapytała ostrym tonem:

— Kiedy jedziecie?

— Dziś po południu, do Hongkongu.

— A do Wietnamu?

— Do Wietnamu? — Ewa rzuciła spojrzenie w stronę Frazera. — Prawdopodobnie jutro.

— Nie jesteś tego pewna?

— Nie mam w głowie międzynarodowego rozkładu lotów. Powiadomię cię, gdy tam dotrę.

— Co ty, do diabła, knujesz, Ewo? Próbujemy tu przeprowadzić transakcję. Są sprawy, o których należałoby porozmawiać, nie tylko o blankowaniu. Musisz teraz jechać?

— Frazer chce obejrzeć złożę. To chyba wystarczający powód, prawda? — Głos Ewy stał się łagodniejszy. — Nie robię celowych trudności, Cass.

Przez chwilę obie milczały, a gdy Cassie się odezwała, wydawała się trochę zmieszana.

— Ja też nie. To rozsądne ze strony Frazera, że chce obejrzeć złożę. Ale to wszystko stało się tak nagle. Mamy teraz być partnerami. Nie powinniście ot tak sobie wyjeżdżać, bez konsultowania się z nami.

Frazer włączył się do rozmowy.

— Tu Robie Frazer, Cassie. Obawiam się, że na całym świecie prowadzę masę interesów, których należy doglądać. Chyba nie oczekujesz, że będę się z tobą konsultował za każdym razem, gdy muszę o nie zadbać, prawda?

— Nie interesują mnie twoje sprawy, Robie, tylko nasza transakcja. Mamy tutaj poważny problem z tym blankowaniem. Nie chcę więcej niespodzianek albo to przedsięwzięcie zacznie nam się wymykać z rąk.

— Więc może, gdy przyjrę się temu złożu, nabierzesz nieco pewności. Przy okazji, czy słyszałaś coś więcej na temat blankowania?

— Nic. Plotka wciąż krąży. Na razie jej nie dementujemy. Na dłuższą metę jest dla nas korzystna, jeśli tylko tendencja spadkowa się zmieni. Ale nie zapominaj, że na razie wszyscy jesteśmy stratni. Kupiłam akcje, zanim cena spadła. Przypuszczam, że ty też. Rozmiar strat nie jest tu najważniejszy. Chodzi o zasadę. Ktoś się zabawia naszym kosztem. Nie podoba mi się to, i domyślam się, że tobie również.

— Nie należy to do moich ulubionych rozrywek. Cassie zignorowała Frazera.

— Posłuchaj, Ewo, skoro musisz jechać, pozostań w kontakcie. Dzwoń do mnie stamtąd, gdzie będziesz, dobrze?

Nieświadomie Cassie rzuciła Ewie koło ratunkowe.

— Zadzwoń, obiecuję. Zadowolona?

— Nie do końca.

Ewa i Robie usiedli obok siebie na tylnym siedzeniu bentleya, prowadzonego przez szofera Frazera.

— Dokąd? — spytał Frazer.

— Na Langton Street. — Ewa zmuszała się do głębokich, cichych oddechów, z przerażeniem patrząc, jak samochód coraz bardziej zbliża się do jej domu.

— Wejść — powiedział Frazer wyskakując z auta i spiesząc za nią gdy zatrzymali się przed domem. Ewa zamarła i już miała się odwrócić, by zmierzyć go lodowatym spojrzeniem, ale poszła dalej. Czowała, że Frazer stoi za nią i miała nieodpartą ochotę wbicia mu obcasa w ciało. Otworzyła drzwi.

— Tylko wezmę swój paszport.

Weszli do salonu. Frazer przyglądał się Ewie, jak otwiera biurko i wyjmuje dokumenty. Rozejrzał się. Jej przeszłość, raporty Quaida, były tak samo tajemnicze jak to mieszkanie.

— Idziemy? — spytała.

Wyszli z domu i Ewa zamknęła drzwi. Nie zdążyła zadzwonić do Stormonta. Miała nadzieję, że Cassie go poinformuje, że ten temat przewinie się w ich rozmowach.

Siedzieli z przodu samolotu, lecieli pierwszą klasą. Teraz, gdy Frazer miał już Ewę na pokładzie, stał się niemal obojętny. Czytał, jadł, pił, spał, od czasu do czasu odzywał się do niej od niechcenia, jakby była słuchaczką która nie ma wyboru. Ewa czuła, jak narasta w niej złość, na myśl o siedzącej u boku Frazera, nieświadomej i przepełnionej wielką nadzieją dziewczynie, którą mogłaby być.

Rozdział 36

W środę wieczorem czasu lokalnego przybyli do Hongkongu. Frazer żwawo przemierzał lotnisko, jakby długi lot nie miał na niego żadnego wpływu. Wokół

rozbrzmiewał harmider.

Ewa szła przy boku Frazera, świadoma uwagi, jaką na siebie zwracał. Wydawał się obojętnie przyjmować to zainteresowanie. Ewa czuła spojrzenia również na sobie: ciekawskie, wrogie, zazdrosne. Była nałożnicą Tai Pana. Status Ewy określało obojętne lekceważenie, jakie Frazer jej okazywał. A Frazer był Tai Panem, wszedł w tę rolę niemal natychmiast, gdy wsiedli do samolotu. W Londynie zachowywał

resztki rezerwy i poczucia humoru. W Hongkongu ta maska spadła odsłaniając jego prawdziwe oblicze. Ewa, gardząc Frazerem, zmusiła się, żeby podążać za nim krok w krok.

Kierowca Frazera czekał w starym ołowianoszarym rolls-roysie. Wtopili się w ruch uliczny, mknąc obok innych rollsów, mercedesów, porsche i BMW, błyszczących koni mechanicznych, których tu widziało się więcej niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Ewa obrzuciła wzrokiem drapacze chmur, wznoszące się murem wzdłuż ulicy. Dla niej Hongkong był

dalekowschodnim Manhattanem, jednak bardziej epatującym zarówno swoją biedą, jak i bogactwem. Miasto rozrastało się niemal na jej oczach.

Ciemność stanowiła tło dla neonów, które błyszczały i pulsowały, dla oświetlonych iglic wieżowców z dzielnicy Central. Nowy Jork nie miał nic wspólnego z Hongkongiem. Tutaj wszystko skupiało się na jednym; na pieniądzu.

Ewa odwróciła się do Frazera, który siedział pochylony lekko w przeciwną stronę i wyglądał przez okno.

— Dlaczego nie lecimy helikopterem?

— Wolę jechać samochodem. Lubię podróż z lotniska. To pewna forma aklimatyzacji.

Patrzyła, jak Frazera taksował wzrokiem biurowce, ich okna lśniące upiornie w blasku błękitnych neonów; luksusowe drapacze chmur z basenami na dachach i, w miarę jak wjeżdżali na Peak, wielkie wille oświetlone niczym torty urodzinowe. Przez cały czas w oczach Frazera widać było to samo podniecenie.

Dotarli do jego domu — ogromnej białej willi, przylepionej do zbocza; budynku, któremu Stormont przypatrywał się niegdyś z daleka. Majordomus i lokaj, obydwaj Chińczycy z Hongkongu, powitali Frazera na podjeździe. Gospodarz wprowadził

Ewę do środka.

— Kim pokaże ci twoje pokoje.

Kim, majordomus, wiódł Ewę w milczeniu po krętych schodach. Ewa rozejrzała się: marmury, żyrandole, mahonie, dywany, obrazy — wschodni przepych połączony z angielską powściągliwością. Wszędzie było mnóstwo kwiatów. Jednak panował tu ponury nastrój. Kim zatrzymał się przy końcu długiego korytarza.

— Pani pokoje.

Ewa weszła do salonu. Jej uwagę zwrócił wiekowy ciemny parkiet, śmigły wentylatorów pod sufitem, chińskie dywany, które miejscami były wytarte, olejne obrazy przedstawiające kwiaty, akty, ogrody. Był to pokój kobiecy, pokój kochanki.

Sypialnia jeszcze bardziej przypominała buduar. Ściany miały kolor ochry, znajdowało się tu wielkie, rzeźbione drewniane łóżko, a szafy zionęły pustką.

Ewa odwróciła się nagle, usłyszawszy dźwięk, który dobiegł z salonu. W drzwiach sypialni ukazał się Frazer. Gdy Ewa dostrzegła jego wyraz twarzy, ugięły się pod nią nogi. Frazer podszedł do Ewy, chwycił ją za ramiona i popchnął na łóżko. Jedną ręką zadarł sukienkę, a drugą przycisnął do jej piersi. Ewa wpatrywała się w oczy Frazera, błyszczące tuż przy jej twarzy, i dostrzegła, że patrzy na nią jak na swoją własność. Widziała chorą przyjemność, jaką mały chłopiec czerpie z obrywania skrzydeł złapanym muchom.

Ewa próbowała wywalczyć sobie pod Frazerem nieco miejsca. Nagle jednym, trafnym kopnięciem ugodziła go kolanem w krocze. Odskoczył do tyłu, skulił się.

Wstała, wygładziła sukienkę "i czekała, aż Frazer dojdzie do siebie. Gdy zaczął

miarowo oddychać, wykonał krok w jej stronę. Ewa wyciągnęła rękę i uderzyła Frazera w twarz. Jedno uderzenie, które zakłóciło ciszę panującą w pokoju.

— Nigdy więcej nie dotykaj mnie w ten sposób. Jestem świadoma, że tak traktujesz chińskie dziewczyny. Pewnie niektórym to się podoba. Mnie nie. Rozumiesz? —

Ewa była opanowana i słowa wypowiadała z mocą która ostudziła jego żądzę. Przez chwilę Frazer patrzył na Ewę, jakby ją widział po raz pierwszy, po czym odszedł.

Ewa, próbując uspokoić swój oddech, czekała na skrzypnięcie zamykanych drzwi.

Usłyszała jedynie odgłos oddalających się kroków. Udała się do salonu, podeszła do otwartych drzwi i trzasnęła nimi z taką furią że aż pękła futryna.

Tej nocy była sama. Lokaj przyniósł jej tacę z jedzeniem. Nie tknięte ostygło w salonie.

Ewa stała przy oknie w sypialni, spoglądała w dół na Central, na drapacze chmur i na Morze Południowochińskie, które widniało w oddali. Zastanawiała się, ile szkód wyrządził Frazer, tak bardzo ją poniżając. Następnego ranka obudziło Ewę pukanie do drzwi. Zerwała się z łóżka

— Proszę.

Pojawił się Kim niosący tacę ze śniadaniem, którą ustawił na stoliku przy łóżku.

— Ned, kierowca, będzie czekał na panią za godzinę. Pan Frazer polecił mu zabrać panią na zakupy. Najwyraźniej potrzebuje pani trochę odzieży. — Obrzucił

wzrokiem Ewę, która była naga od pasa w górę.

Ewa zjadła śniadanie, posiłek pełen cholesterolu, we frazerowskim stylu dopełniony mango oraz papają i popiła to wszystko doskonałą jak zwykle, kawą. Następnie wzięła prysznic i z niesmakiem włożyła na siebie zmięte ubranie. Za minutę dziesiątą, jak jej polecono, wyszła ze swojego salonu, przemierzyła korytarz i zeszła po schodach do głównego holu po czym opuściła mieszkanie Frazera.

Jakiś Euroazjata opierał się o zielonego astona martina zaparkowanego na podjeździe.

— Ned? Skinął głową.

— Czas na zakupy.

Zjechali z Peaku do zatłoczonej dzielnicy Central. Ned zostawił samochód w podziemnym parkingu. Wjechali windą na parter.

Na zewnątrz, w obezwładniającym upale, Ewa odwróciła się do niego

— Masz mi towarzyszyć i płacić za wszystko, zgadza się? I powinieneś mnie pilnować, upewnić się, że nie ucieknę i nie wykonam żadnych telefonów. — Ewa przyjrzała się jego atletycznej budowie, oceniła umięśnioną sylwetkę i wyobraziła sobie, jak stacza z nim walkę.

— Zgadza się.

— A więc możemy trochę się zabawić.

Najpierw zatrzymała się u Chanel. Kupiła szykowny kostium buty oraz torebkę i wyszła w nowym ubraniu, nie mając na sobie bielizny. W innym sklepie nabyła dessous, przybory toaletowe, inny strój dzienny trzy suknie wieczorowe od Valentino, walizkę od Vuittona a w Gap' dzinsy, koszulki, kostium kąpielowy i buty, w których mogła biegać. Ned pilnował jej przez cały czas, przyglądając się zakupom.

W południe Ewa spojrzała na zegarek.

— Jestem głodna. Czy dostałeś pozwolenie, żeby zabrać mnie na lunch /

Ned był nieco zakłopotany.

— Pan Frazer powiedział „co zechce”. Polecił, by spełnić każde pani życzenie.

Lunch też się chyba do tego zalicza, prawda?

— Lunch zdecydowanie się do tego zalicza. — Ewa ruszyła w stronę chińskiej restauracji na cyplu. Elegancka kobieta w kostiumie Chanel natychmiast otrzymała stolik. Ned nie odstępował Ewy ani na krok.

Skończyła lunch o wpół do trzeciej.

— Doskonale. Był wyśmienity. Teraz znowu wybierzemy się na zakupy.

Ned przytaknął, zrezygnowany. Jego niepokój powrócił nagle, gdy Ewa przystanąła na chwilę przed sklepem jubilerskim Bulgari. Wszedł za nią do środka.

Ewa pochyliła się i wyszeptała ochroniarzowi do ucha:

— Sprawdźmy, ile warta jest ta karta kredytowa, co?

Był zakłopotany. Wielkimi oczami patrzył, jak wybiera zegarek ze złotą bransoletką platynowy pierścionek oraz kolczyki. Odwróciła się do niego.

— To powinno wystarczyć.

Suma sięgnęła dwustu dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów, według chińskiego przelicznika, czyli

około dwudziestu dziewięciu tysięcy funtów. Ned podszedł z kartą kredytową i wręczył ją ekspedientowi. Ewa pochyliła się nad kontuarem i przyglądała się temu z zainteresowaniem. Ekspedient z uśmiechem wziął kartę i czekał na autoryzację. Ku rozbawieniu Ewy otrzymał ją. Zastanawiała się, jak wysoki jest limit kredytowy Frazera.

Sprzedawca podsunął Nedowi rachunek, a ten podpisał go niechętnie. Ewa wyszła ze swoimi zakupami. Stanowiły dla niej zwrotną inwestycję. Mogła zamienić biżuterię na gotówkę, tracąc jednak na tej transakcji. Wcześniej widziała paserów i zapamiętała, gdzie stoją.

— Teraz do domu — powiedziała do Neda.

Kiedy wrócili, po Frazerze nie było śladu. Ewa wybrała jeden z czterech nowych kostiumów kąpielowych, przebrała się, przemaszerowała przez dom z ręcznikiem kołyszącym się na ramieniu i poszła popływać w basenie.

Rzuciła ręcznik na rozgrzane kafelki i zanurkowała w chłodnej niebieskiej wodzie.

Po kąpieli przez ponad godzinę opalała się na skraju basenu.

O szóstej Ewa wróciła do domu i zdrzemnęła się trochę. Wzięła prysznic, włożyła jeden z nowych strojów, długą, srebrzystoszarą jedwabną suknię. O ósmej usiadła na łóżku i czekała.

Po kilku minutach usłyszała skrzypnięcie drzwi i odgłos czyichś kroków. Pojawił się gospodarz.

Ewa powoli podniosła się z łóżka. Przystanąła przed Frazerem i pozwoliła, by się jej przyjrzał. Zauważyła, że Tai Pan poruszyło jej piękno. Pocałowała go w policzek.

— Dziękuję za to wszystko.

— Zgoda?

Im więcej wydała, tym mniej miała mu do wybaczenia. Zrozumiała to równanie.

— Zgoda.

Ujął ją za ramię. Palce Frazera delikatnie muskały jej obnażone ciało.

— Zejdźmy na dół na drinka.

Pili szampana w salonie i prowadzili niezobowiązującą konwersację. Atmosfera wciąż była napięta. Kim podał kolację. Frazer wstał i wyszedł do holu, Ewa ruszyła za nim. Z pokoju przy jadalni wyłonił się jakiś mężczyzna. Przyjrzał się Ewie z uwagą. Frazer odwrócił się w jej stronę. Jego twarz wyglądała jak maska.

— Ewo, chyba nie poznałaś jeszcze Le Maia. Le Mai, to jest Ewa Cunningham.

Chińczyk zrobił krok do przodu i podał Ewie rękę. W butach na obcasach była od niego znacznie wyższa. Spojrzała na Le Maię z góry i delikatnie uściśniła jego dłoń.

Sprawiała wrażenie, jakby kompletnie ignorowała obecność Chińczyka.

Frazer powiedział Le Maiowi: — Dobranoc — a ten odwrócił się i zniknął w swoim pokoju.

W trakcie kolacji Ewa udawała, że nic się nie stało. Starła się, by w jej oczach nie widać było strachu. Spojrzała na swoją suknię. Pogłaskała srebrzysty jedwab i przypomniała sobie, w jakie łąchmany jeszcze niedawno było odziane jej wymizerowane ciało. Czy Le Mai skojarzy tę piękną kobietę z narkomanką którą była w Hongkongu?

O wpół do jedenastej Frazer podniósł się i zapytał:

— Masz ochotę na drinka w bibliotece?

— Tak, dziękuję.

Frazer odsunął się i Ewa pierwsza wyszła z jadalni.

— Muszę poprawić makijaż — rzuciła przez ramię. Frazer skinął głową i udał się do biblioteki.

W łazience spojrzała w lustro i uważnie obserwowała swoje odbicie. Wyjęła pomadkę, ale ręka jej drżała i szminka rysowała zygzaki na skórze. Ewa wytarła usta. Miała świadomość, że Le Mai ją poznał i wszystkie wysiłki, aby zmienić swój wizerunek, pójdą na marne.

Weszła do sypialni i wyjrzała przez okno. Usłyszała, że ktoś naciska klamkę. W drzwiach stał Frazer.

Ewa starała się, by jej głos brzmiał spokojnie.

— Boże, ale tu duszno. Trzeba trochę przewietrzyć. Frazer podszedł do Ewy i wziął ją pod ramię.

— Wypijemy drinka na tarasie. Tam będziesz mogła odetchnąć. — Poprowadził

Ewę na dół. — Jutro jedziemy do Wietnamu. Nie masz nic przeciwko temu?

Rozdział 37

Różnica czasu wynosiła osiem godzin i gdy Ewa Cunningham kładła się spać w Hongkongu, w Londynie pito popołudniową herbatkę

— Martwię się o Ewę. — Andrew Stormont niedbale odstawił filiżankę na spodek.

Naczynie przewróciło się i gęsta kawa po turecku rozlała się na raport. — Cholera jasna —

wymamrotał Stormont, ścierając płamę chusteczką. — Ewa od trzech dni nie daje znaku życia.

Giles Aden uniósł jedną brew, ze zdziwieniem patrząc na Stormonta.

— Och, na miłość boską nie załamuj rąk. Zadzwoń do Angusa Faw-leya. Każ mu się dowiedzieć, gdzie jest Frazer. Może to nam coś wyjaśni.

— Co masz zamiar zrobić? — spytał Aden.

— Zamierzam umówić się z Cassie Stewart, sprawdzić, czy wie, gdzie podziewa się Ewa.

Na dźwięk dzwonka Cassie rzuciła się do telefonu.

— Tak, słucham.

— Cassie?

— Kto mówi?

— Andrew Stormont.

— Och, Andrew. Cześć.

— Nie poznałem cię po głosie.

— Mam zły dzień. Jak się nad tym zastanowić, to nawet zły tydzień.

— Może cię rozweselę jakąś miłą kolacją?

Cassie spojrzała posępnie na gęsto zapisane rubryki swojego terminarza.

— Mam wrażenie, że bez przerwy jestem zajęta.

— W takim razie może dzisiaj? Skoro wszystkie wieczory masz zarezerwowane... , Cassie zmarszczyła czoło i jeszcze raz zerknęła do notesu.

Poczuła

dziwną potrzebę spotkania się ze Stormontem.

_ W porządku. Możesz po mnie przyjechać o dziewiątej.

Stormont odłożył słuchawkę z uczuciem ulgi. Aden wszedł do pokoju.

— Fawley właśnie oddzwonił. Rozmawiał z Frazerem. Jest w Hongkongu. — Aden zawiesił głos. — Jutro wyjeżdża do Wietnamu. Musi dopilnować tam pewnych interesów.

— Założę się, że jest z nim Ewa — powiedział Stormont. — Najwyraźniej postawił

ją w takiej sytuacji, że nie mogła zadzwonić.

— Może jest tylko przesadnie ostrożna.

— Jestem pewien, że ma ku temu powody.

— Więc w co on się teraz bawi?

— Przedstawić ci kilka wariantów?

Aden przytaknął. Rozparł się na krześle i splótł dłonie na brzuchu.

— Może sprawdza Ewę w zwyczajny, męski sposób. Usiłuje ją oswoić, uzależnić od siebie. To wcale nie jest niemożliwe. Ewa jest typem kobiety, z którymi mężczyźni lubią w ten sposób postępować. Jej niezależność jest wyzwaniem. Dla człowieka tak aroganckiego jak Frazer to jak rzucenie rękawicy. Tak brzmi najlepsza wersja.

— A najgorsza?

— A M ci się wydaje? Zadzwoń do naszych stacji w Hongkongu, Sajgonie i w Hanoi. Każ im zwracać uwagę na Ewę i Frazera. Nie mają ich śledzić, jedynie dyskretnie obserwować. Ale niech zachowają ostrożność. Nie wolno im robić nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia Frazera. Nie możemy ryzykować, by Frazer coś zauważył, żeby przejrzał naszą grę.

— O ile jeszcze tego nie zrobił — dodał Stormont niemal od niechcienia.

— Sądysz, że to możliwe?

— Frazer może się czegoś domyślać. Jest niezwykle nieufny. Nie wydaje mi się jednak, żeby podejrzewał Ewę. Gdyby tak było, nie miałbym wyboru, musiałbym natychmiast przerwać akcję. — Zapadła długa cisza. — Na razie działamy dalej, zakładając, że Frazer o niczym nie wie.

— W ten sposób narażasz Ewę. Nie możesz mieć pewności, że Frazer się czegoś nie domyśla. Wszystko wskazuje, że on coś wie.

— Sądzę, że Ewa obawia się, iż Frazer może mieć jakieś podejrzenia, ale sama nie jest pewna. Prawdopodobnie pojechała z nim do Hongkongu z własnej woli. Nie wycofała się. To mnie trochę uspokaja.

— Może nie mogła postąpić inaczej? Stormont pokręcił głową.

— Muszę mieć do Ewy zaufanie. Od początku sądziłem, że sobie poradzi. I nadal tak twierdzę. Ale musimy wziąć pod uwagę możliwość że trzeba ją będzie wykluczyć z akcji. Powiadom nasze stacje. Żadnych szczegółów. Po prostu niech będą w stanie gotowości.

— Sądysz, że to może posunąć się tak daleko? Stormont nie odpowiedział.

Sam Brimton zadzwonił do Cassie w chwili, gdy sprawdzała na komputerze cenę akcji „Geniusza”. Cena wzrosła do 2,55 dolarów, ale tkwiła uparcie na tym poziomie.

— Coś nowego? — spytała Cassie.

— Kompletnie nic, kwiatuszku. Wiem jedynie, że nie jest za to odpowiedzialny żaden z lokalnych chłopaków, którzy na ogół wycinają takie numery. To robota kogoś z zewnątrz. Właśnie dlatego sprawa wygląda dziwnie.

— Dlaczego dziwnie?

— Ci z zewnątrz trzymają się razem. Na ogół dość ochoczo współpracują — wiesz, mówią kto puścił plotkę, właściwie informują nas, o co chodzi. Ale nie w tym wypadku.

— I co? — spytała Cassie. Jej niepokój narastał.

— To oznacza niezły gnój. Ktokolwiek się za tym kryje, nie jest to osoba chętna do współpracy. Łapiesz?

— Jeśli chcesz wiedzieć, czy cię zrozumiałam, odpowiedź brzmi „tak”.

— O kurczę. Chyba mamy zły humorek.

— Dość żartów. Jak powinnam zareagować na te twoje ostrzeżenia o jakimś tajemniczym osobniku, który psuje nam szyki?

— Sprawa wygląda paskudnie. Uprzedzałem cię.

— Cóż za pocieszenie. Co mam teraz zrobić?

— Za dużo zrobić nie możesz. Czekaj, aż on wykona jakiś ruch.

— Mam tak siedzieć z założonymi rękami?

— Mhm.

— Nienawidzę pasywności.

— Nie masz jednak zbyt dużego wyboru, nie sądzisz?

— Nie byłabym taka pewna. Ten twój tajemniczy osobnik nie posiada wyłączności na robienie niespodzianek.

— Co to miało oznaczać? — Brimton nie doczekał się odpowiedzi. Dobiegł go jedynie trzask odkładanej słuchawki.

Cassie poszła do pokoju swojej sekretarki.

— Emma, czy mogłabyś zdobyć numer do Grangera McAdama w Vancouver?

Gdy Emma wykonała polecenie, Cassie chwyciła za telefon. Po dziesiątym sygnale odpowiedział nieprzyjemny, męski głos.

— Tak?

— Granger McAdam?

— A z kim mówię?

— Nazywam się Cassie Stewart. Jestem przyjaciółką Ewy Cunningham.

— Tej pieprzonej suki? Ale zaczęłaś, laleczko.

Wściekłość, z jaką wypowiadał te słowa, sprawiła, że Cassie niemal zamurowało.

— Myślałam, że jest pańską przyjaciółką.

— Przyjaciółką? — McAdam wycedził z nienawiścią: — Ładna mi przyjaciółka, jadowita żmija. — Pełne zaskoczenia milczenie Cassie jakby go podnieciło. — Dać ci radę? — Głos McAdama zdradzał jego przesadny pociąg do butelki. — Trzymaj się od niej z daleka.

— Na to jest już trochę za późno. Prowadzimy wspólne interesy. — Niech zgadnę...

Coś poszło nie tak?

Cassie poczuła głęboki niepokój.

— Można by tak powiedzieć.

— A czego chcesz ode mnie?

— Informacji.

— Niby z jakiego powodu miałbym ci jej udzielić?

— Obserwował pan ostatnio cenę akcji „Geniusza”?

— A jak ci się wydaje, co robię przez cały pieprzony dzień? Cena spadła na pysk, dwa dolce z kawałkiem.

— Co by pan powiedział na propozycję sprzedaży całego swojego pakietu za, powiedzmy, cztery dolary za akcję?

McAdam odparł natychmiast:

— Pięć i są twoje.

Cassie nie spodziewała się, że McAdam będzie chciał sprzedać akcje, nie mogła uwierzyć, że tak łatwo na to przystał. Nie mieściło jej się też w głowie, że składa Mc Adamowi propozycję kupna akcji za swoje własne pieniądze. Pieniądze, których nie posiadała. Parła dalej. Nie chciała analizować tego, co robi.

— Najpierw informacje. Potem ubijemy interes. Za cztery pięćdziesiąt. Zapadła cisza. Granger rozejrzał się po zapuszczonym mieszkaniu, popatrzył na swoje zniszczone ubranie i poczuł, jak ogarnia go rozpacz. Złóże, wbrew przewidywaniom McAdama, nie przyniosło mu niczego dobrego. W końcu odezwał się martwym głosem:

— Dobra. — By wytrzeźwieć, pociągnął łyk zimnej kawy, która stała w filizance od zeszłego wieczoru. — Pytaj.

— Wiem, że nie będzie pan mówił prawdy, ale proszę mi opowiedzieć o tym złóżu.

Czy naprawdę są tam diamenty, które można wydobywać z zyskiem?

McAdam prychnął z pogardą.

— Tak, i jeszcze raz tak. Wszystko wskazuje na to, że jest ich mnóstwo. Ale nie tym powinnaś się martwić.

— Co ma pan na myśli?

— Wietnam oraz Ewę Cunningham, blankowanie i kłamstwa.

— Mówi pan zagadkami.

— Nie mogę tego wyjaśnić — odparł McAdam płaczącym głosem. — W tym tkwią same zagadki. Gdy znalazłem to złóże, nie potrafiłem uwierzyć w swoje szczęście. I nagle wszystko zaczęło się knocić. Niczym anioł zbawienia pojawiła się Ewa Cunningham i wybawiła mnie z opresji, przejmując w zamian znaczną część udziałów własności złóża. Potem wartość tego, co mi pozostało, spada o połowę.

Plotki głoszą że Ewa bankrutuje i wyprzedaje wszystko. Jak więc widzisz, całe to gównno z diamentami ma niewiele wspólnego. Dzięki tym kamykom miałem się wzbogacić, a zostałem bankrutem. — McAdam roześmiał się gorzko. — Jak na razie.

— Niech mi pan opowie o Ewie — poprosiła Cassie.

— Ewa. — McAdam westchnął powtarzając to imię. — Bóg jeden wie. Po Ewie można się wszystkiego spodziewać. Nie wiem, o co jej chodzi, jednak przypuszczam, że coś knuje.

— Może zarabia pieniądze?

— Niewykluczone. Ale wydaje mi się, że tu chodzi o coś więcej.

— O co?

— Nie wiem. Posłuchaj. Mam ważniejsze rzeczy do roboty niż gadanie o Ewie.

Kupujesz moje udziały, czy nie? — Głos McAdama przypominał skomlenie.

— Kupię je. Trzysta tysięcy akcji po cztery pięćdziesiąt. Milion trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Mój bank się tym zajmie. Należność pan otrzyma w ciągu trzydziestu dni, przy końcu okresu rozliczeniowego. W porządku?

— Nie możesz wypłacić od ręki?

— Nie posiadam takiej sumy leżącej odłogiem na koncie, panie McAdam. — Cassie w ogóle nie miała tylu pieniędzy.

Ale jesteś w stanie zdobyć tę forszę, tak?

Oczywiście. Jeśli mi się nie uda, po prostu zachowa pan akcje. Nic ma pan nic do stnicznia. Ale proszę się nie martwić. W ciągu miesiąca otrzyma pan całą kwotę, co do ostatniego centa. Gdzie mam wpłacić pieniądze?

McAdam przez moment wstrzymał oddech, nie mógł uwierzyć, że Cassie się na to zdecyduje. Nagle żal mu się zrobiło straconych marzeń, mimo że przysporzyły tylu kłopotów.

Zapadła cisza i w końcu Cassie usłyszała długie westchnienie.

— Do banku Nova Scotia — powiedział McAdam zmęczonym głosem, podając numer konta. — U nich przechowywane są również świadectwa udziałowe. Pogadaj z panem Robertem Thomsonem.

— Porozmawiam.

— Mam nadzieję, że masz jakiś amulet przynoszący szczęście, dziewczyno. Będzie ci potrzebny — stwierdził McAdam z goryczą.

— Wszystko pójdzie dobrze.

— Tak, jasne. Ale gdyby sprawy przybrały zły obrót, pamiętaj, że cię ostrzegałem.

Cassie odłożyła słuchawkę. Przestroga Grangera brzmiała jej w uszach. Umowa słowna była równie wiążąca. Właściwie od tej chwili akcje należały do Cassie.

Mimo że przeprowadzała dla Case Reed wiele ryzykownych transakcji, nigdy nie inwestowała w nic własnych pieniędzy. Teraz miała duże szanse, żeby wszystko stracić. Istniało jednak prawdopodobieństwo, że cena akcji gwałtownie wzrośnie i Cassie będzie mogła je sprzedać ze znacznym zyskiem. Nie miała wielkiej nadziei, że tak właśnie się stanie. Czuła jednak dzikie

podniecenie prawdziwego hazardzisty, dla którego urok postawienia wszystkiego na jedną kartę jest równie silny, jak urok pieniędzy. To nie była sprawa życia lub śmierci. Pieniądze raz są raz ich nie ma i trzeba się z tym pogodzić.

Cassie zerwała się i poszła do gabinetu Richardsona. Przysiadła na oparciu fotela.

Szef rozmawiał przez telefon. Zdziwiło go nagłe przybycie Cassie, która zdawała się niezwykle podniecona. Szybko zakończył rozmowę.

— Właśnie kupiłam trzysta tysięcy akcji „Geniusza”. Słuchawka z trzaskiem opadła na widełki.

— Co? Od kogo? Za jaką cenę?

— Wykupiłam cały pakiet Grangera McAdama. Po cztery pięćdziesiąt za akcję.

Jedynie szacunek, jakim Cassie cieszyła się w Case Reed, spowodował, że John Richardson nie wybuchnął gniewem. Siedział przy biurku, splótłszy palce, i przyglądał się jej z namysłem.

— Wiem, że miałaś jakiś powód, aby tak postąpić, ale nie widzę w tym logiki.

— Ja również. — Cassie uśmiechnęła się nieznacznie. Richardson stracił panowanie nad sobą.

— Lepiej powiedz mi, co ty, do diabła, knujesz, Cassie. Pochyliła się nad biurkiem.

— Wiem, że wydaje ci się to trochę szalone.

Richardson uniósł brwi i obserwował Cassie, która ciągnęła dalej.

— Moją jedyną obroną jest intuicja. — Nie pozwoliła, by Richardson jej przerwał. — Wiem, że zawsze postępowałam rozsądnie. Moje decyzje były trafne i zarobiliśmy dzięki nim sporo pieniędzy.

Richardson pomyślał, że Cassie nie musi mu przypominać o swoich osiągnięciach.

Wszyscy wiedzieli, że Cassie jest świetnym fachowcem.

— Nie mówię tego, żeby cię ugłaskać, staram się jedynie przedstawić mój tok myślenia. Doszłam do wniosku, że rozsądne i logiczne postępowanie do niczego nas nie doprowadzi. Sądzę, iż jeśli będziemy trzymali się starych zasad, stracimy pieniądze, które już zainwestowaliśmy. Uczyniłam coś, co być może przechyli szalę na naszą stronę.

— A niby w jaki sposób?

— Nie wiem. Ktoś rzuca nam wyzwanie, manipuluje ceną akcji, kontroluje przebieg wydarzeń. W jaki sposób? Rozpowszechniając prawdopodobnie brzmiące plotki.

Zmuszając ludzi, żeby w nie wierzyli. W jakim celu? Przypuszczam, że po to, aby zarobić. Jeśli się poddamy i będziemy siedzieli beczynnie, jedynie ułatwimy temu komuś zadanie. Więc

zdecydowałam, iż musimy coś zrobić, sprawić wrażenie, że też prowadzimy jakąś grę. To powinno zbić z tropu tego giełdowego geniusza.

Ponieważ z pozoru nasze działanie wyda się irracjonalne, więc będzie sądził, że wiemy coś, o czym on nie ma pojęcia. — Cassie uśmiechnęła się. — Powinniśmy go podejść. Nie wspomnę, że gdy fakt, iż Robie Frazer włączył się do naszego diamentowego interesu, dostanie się do wiadomości publicznej, ceny akcji niemal na pewno wzrosną. Richardson sięgnął do leżącego na biurku pudełka i wyjął

cygaro. Obrócił je w palcach, pogłaskał i zapalił demonstracyjnie. Po chwili tłące się cygaro odłożył do popielniczki.

— Nie powinnaś grać fałszywymi kartami, Cass. Co w ciebie wstąpiło?

— Fałszywe karty? Właśnie, dokładnie tak to można nazwać. Nie, nie powinnam nimi grać. Wszyscy na to liczą. I się mylą.

— Co teraz będzie?

— Poczekamy.

Richardson milczał przez chwilę.

— A przy okazji, kogo masz na myśli mówiąc „wszyscy”?

— Nie mam pojęcia. — Cassie zamilkła. — A ty wiesz? Zdobyłeś jakieś informacje o blankowaniu? — Daj mi trochę czasu. — Richardson był wyjątkowo opanowanym i cierpliwym człowiekiem. — Co powiesz Lwie i Frazerowi? — spytał. — Mamy teraz wielki problem. Sami posiadamy niemal dwadzieścia procent. Wraz z pakietami Ewy i Frazera zbliżamy się do trzydziestu pięciu. Mając taką liczbę akcji musimy wystąpić z ofertą przejęcia.

— Niekoniecznie. Nie możesz współdziałać z kimś, z kim nie masz kontaktu. Frazer i Ewa są teraz w Hongkongu albo w Wietnamie. Ewa zadzwoniła do mnie we wtorek i poinformowała o ich wyjeździe. Obiecała, że się odezwie.

— Poczekaj chwilę. Obydwoje są razem na Dalekim Wschodzie i w zasadzie nie mamy z nimi kontaktu?

— Mówiłam Ewie, że to nie jest najlepszy pomysł, aby w tej chwili wyjeżdżać.

— Mają ze sobą romans, tak?

— Owszem.

— Co oni, do diabła, robią uciekając w takim momencie? — Richardson sprawiał

wrażenie zaniepokojonego. — Powinienem poinformować pozostałych partnerów, że posiadają

trzysta tysięcy akcji „Geniusza” nabytych za cenę niemal dwukrotnie wyższą od rynkowej.

— Nie musisz. Case Reed nie posiada tych akcji. Ja jestem ich właścicielką.

— Jak, do licha, możesz sobie pozwolić na taką inwestycję? Nie stać cię na to.

— Zgadza się, ale mam nadzieję sprzedać wszystkie udziały z zyskiem, zanim nadejdzie termin płatności.

— A co daje ci taką pewność?

— Jak już mówiłam, szybko rozeszły się wieści o znalezieniu diamentów i zainteresowaniu Robiego Frazera. Po prostu mam przeczucie, że coś się stanie.

— Na Boga, Cass, co w ciebie wstąpiło? Strasznie dużo wiary pokładasz w kobiecej intuicji. I dlaczego, do diabła, sama kupiłaś te akcje? Czemu nie próbowałaś mnie przekonać, że warto je nabyć dla Case Reed? Mam nadzieję, że nie ingeruję w twoje prywatne życie.

— Co masz na myśli? — spytała Cassie ostro.

Richardson zastanawiał się przez chwilę nad dyplomatyczną odpowiedzią.

— Ciebie i Ewę Cunningham — tę grę, która się między wami toczy.

— Dziwną grę.

— Właśnie.

— Nie prowadzimy żadnej gry. Łączą nas interesy. Sama kupiłam akcje, ponieważ nie miałam prawa wplątywać w to ciebie i Case Reed. Rozmawiałam z McAdamem przez telefon i odniosłam wrażenie, iż to idealna pora, żeby z nim ubić interes. Nic było czasu na radzenie się kogokolwiek. Wiedziałam, że jeśli od razu złożę McAdamowi propozycję, przyjmie ją i tak się stało. — Cassie zamilkła. — I tak Case Reed sporo straciło na tej transakcji. Czuję się za to odpowiedzialna.

— Więc zdecydowałaś się wziąć wszystko na siebie.

— Zaryzykować podwójnie albo się wycofać.

— Ryzyko jest znacznie większe i jeśli coś pójdzie nie po twojej myśli, nie będziesz mogła spłacić tych akcji.

— Mam dom.

— Och, na miłość boską Cassie.

— Nie martw się. Tak się nie stanie.

Nie odezwał się, tylko patrzył na Cassie z niedowierzaniem. Jeszcze się nie sparzyła, nie wie, jakie to uczucie postawić wszystko na jedną kartę i przegrać. Nie miała pojęcia, ile przyjdzie jej zapłacić za ten dreszczyk emocji. Cassie wciąż była naiwna jak dziecko.

— I co dalej, Cass? Niezależnie od tego, jak dużo mamy akcji, wciąż musimy przestrzegać umowy, jaką zawarliśmy z Ewą i Frazerem. Powinniśmy również dokonać oficjalnego przejęcia. Ale odnoszę wrażenie, że nie masz takiego zamiaru.

Na co czekasz?

— Nie wiem. Coś się dzieje za naszymi plecami. Spróbuję się dowiedzieć, o co chodzi.

— Może lepiej byłoby zostawić tę sprawę w spokoju?

— Nie wiem. Daj mi nieco czasu. I jeśli ty albo Case Reed chce odkupić część akcji, odsprzedam je nie licząc, że coś na tym zyskam. Zaoferuję je również Frazerowi, ale po znacznie wyższej cenie.

Richardson wstał zza biurka i przysiadł obok Cassie.

— Jesteś strasznie beztroska. Bądź ostrożna, Cassie. Nie powinnaś zabawiać się kosztem Robiego Frazera. I na twoją przyjaciółkę, Ewę, też bym uważał.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Richardson uniósł brwi.

— Chyba dokładnie wiesz, co mam na myśli. Wystarczy raz na nią spojrzeć.

Odnoszę wrażenie, że gdyby Ewa miała na to ochotę, zjadłaby nas wszystkich żywcem, łącznie z Frazerem. — Richardson przyglądał się Cassie przez chwilę w milczeniu. Pragnął mieć tyle wiary co ona. — Dam ci czas, Cassie. Kilka dni. Tylko bądź ostrożna.

Rozdział 39

Andrew Stormont zjawił się w domu Cassie punktualnie o dziewiątej. Nesta wybiegła mu na spotkanie szczekając, skacząc i piszcząc, ale Stormont niemal nie zareagował na to powitanie. Sprawiał wrażenie zamyślonego. Cassie przyjrzała mu się uważnie i stwierdziła, że jest szalenie przystojnym mężczyzną. Poczula przyływ pożądania i postanowiła nie stawiać Stormontowi specjalnego oporu.

Uśmiechnęła się do niego i pocałowała w policzek.

— Masz ochotę na drinka? — spytała.

— Stolik jest zarezerwowany na dziewiątą więc raczej nie, dziękuję. Lepiej już chodźmy.

— Tylko wezmę torebkę.

Gdzie nam się spieszy? — pomyślała Cassie udając się do salonu. Stormont zabrał ją do nowo

otwartej restauracji przy Fulham Road. Wciąż sprawiał wrażenie nieobecnego.

— Skąd ten zły nastrój przed południem? Problemy w pracy? — zapytał, gdy już złożyli zamówienie.

— Tak. Jeden z naszych pakietów akcyjnych dziwnie się zachowuje.

Prawdopodobnie chodzi o jakieś giełdowe manipulacje.

— Jak możesz temu zaradzić?

— Cóż, trudno to udowodnić.

— Więc co zrobisz?

— A dlaczego miałabym coś robić? To już się stało.

Po raz pierwszy tego wieczoru, spojrzenie Stormonta stało się cieplejsze.

— Nie sprawiasz wrażenia specjalnie przygnębionej.

— Uczyniłam coś nielogicznego.

— Dlaczego?

— W ramach eksperymentu. I ponieważ wydawało mi się, że powinnam.

— Czy to dotyczy twoich interesów z Ewą? Zapadła cisza. Cassie była spięta.

— Nie, nie dotyczy — skłamała.

— A jak wasze diamentowe przedsięwzięcie?

— Nie mam pojęcia. Ewa zadzwoniła do mnie we wtorek i powiedziała, że jedzie wraz z naszym wspólnym inwestorem do Hongkongu i do Wietnamu, żeby rzucić okiem na złóż. Obiecała, że pozostanie w kontakcie, ale od dwóch dni nie miałam od niej żadnych wiadomości, więc nie wiem, co się dzieje. Właściwie to ich nieobecność cholernie wszystko komplikuje.

— Dlaczego do niej nie zadzwonisz?

— Próbowałam. Ale nie udało mi się z Ewą połączyć. Zatelefonowałam do gospodyni wspólnego inwestora i spytałam, gdzie mogę go złapać. Powiedziała, że prawdopodobnie właśnie wyjeżdża z Hongkongu i udaje się do Wietnamu.

Zadzwoniłam więc do jego domu w Hongkongu. Rozmawiałam z tamtejszą gospodynią i poprosiłam o połączenie z Ewą. Oświadczyła, iż Ewa nie może podejść do aparatu, ale że przekaże jej wiadomość o moim telefonie. Ewa nie dała jednak znaku życia.

Stormonta ogarnęło przerażenie. Czekał, aż kelnerzy podadzą kolację, i cały czas błądził myślami gdzie indziej. Bardzo martwił się o Ewę. Cassie obserwowała Stormonta uważnie.

— Co się dzieje?

— Dzieje?

— Och, przestań.

— Nie wiem, o czym mówisz.

Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie nawzajem. W końcu Cassie powiedziała:

— Zrobiło się późno. Chyba już wróć do domu.

— Odwiozę cię.

Stormont poprosił o rachunek, po czym zawiózł Cassie na Markham Street i odprowadził do drzwi. Pocałował ją na dobranoc. Był tak podminowany, że miał

wrażenie, iż zaraz wybuchnie.

Gdy wrócił do domu przy Old Church Street, zadzwonił do Gilesa Adena.

— Ewa jest z Frazerem. Podobno lada chwila mają razem wyjechać do Wietnamu.

Ewa telefonowała do Cassie przed wyjazdem z Anglii, obiecała, że pozostanie w kontakcie, ale Cassie martwi się, bo od dwóch dni nie miała od niej żadnych wieści.

Cassie dzwoniła do Hongkongu i zostawiła wiadomość, ale Ewa się nie odezwała.

— Powiadomiłem naszych ludzi w Hongkongu. Nie trafili na żaden ślad.

— Czy są gotowi?

— Owszem. Mają przystąpić do akcji?

— Nie. Jeszcze nie. Gra wciąż się toczy.

Rozdział 40

Ewa źle spała. Nagle obudziła się gwałtownie. Frazer stał w nogach łóżka i przyglądał się jej. Usiadła szybko.

— Za godzinę wyjeżdżamy do Wietnamu. Polecimy moim odrzutowcem.

Jego odrzutowcem, bez możliwości ucieczki czy wezwania pomocy.

Frazer miał już odejść, ale stojąc przy drzwiach odwrócił się nagle.

— Mam nadzieję, że jesteś przygotowana.

— Przygotowana?

— Tam będzie ci potrzebna czegoś więcej niż stroje od Chanel. Ewa poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

— Nie zapominaj, iż znam Wietnam jak własną kieszeń.

Frazer obrzucił ją szyderczym spojrzeniem, odwrócił się i wyszedł.

Ewa wyskoczyła z łóżka. Stała naga pośrodku pokoju. Starła się zebrać myśli.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Zauważyła Neda stojącego na tarasie i drugiego mężczyznę, który wyglądał na wartownika. Przez moment zastygła w bezruchu, analizując sytuację. Ucieczka, która udowodniłaby jej winę, prawdopodobnie by się nie powiodła. Lepszym wyjściem było jechać z Frazerem i czekać na rozwój wydarzeń. Ewa podjęła decyzję, po czym udała się do łazienki.

Wzięła szybki prysznic, ubrała się w jeden z nowych strojów: kremowy płócienny żakiet, długą rozciętą spódnicę i wysokie zamszowe pantofle. Włożyła biżuterię i ruszyła w kierunku drzwi, ale zatrzymała się nagle, jakby się rozmyśliła. Zrzuciła pantofle ze stóp.

Boso zeszła po marmurowych schodach i skierowała się w stronę kuchni. Z

rozmachem otworzyła drzwi. Ned i Kim, którzy siedzieli tam i pili herbatę, z zaskoczeniem podnieśli wzrok.

— Kim, chciałabym napić się kawy. W zasadzie mam ochotę na solidne śniadanie — dodała,

dostrzegając grymas rozdrażnienia, który pojawił się na twarzy Kima. Powinna się najęść, póki ma taką możliwość.

Kim wstał powoli.

— Kawa jest na kuchence. Śniadanie przyniosę później na górę

— Dziękuję.

Kim nalał kawy do dzbanka, sięgnął po śmietankę i postawił ją, wraz z filiżanką i spodkiem, na tacy, którą wręczył Ewie.

— Czy mógłbyś przynieść śniadanie najszybciej, jak to będzie możliwe? Tai Pan nie powinien przez ciebie czekać — stwierdziła Ewa opuszczając kuchnię.

Gdy zbliżała się do schodów, z pokoju obok dobiegł ją szmer głosów. Przystanęła, żeby posłuchać.

— Znaleźliśmy stary obóz wojskowy, w którym możemy się zatrzymać, jakieś dwie mile od pola diamentowego. Jest opuszczony. Wynajęliśmy go na rok, opłaciliśmy odpowiednich ludzi. Jest nasz. Doskonale się nadaje.

— Świetnie. Nie życzę sobie, żeby tam było zbyt wiele osób. Nie chcę ściągać uwagi.

Były to głosy Le Maia i Frazera. Ewa poszła szybko na górę, do swojego pokoju.

Ustawiła tacę na łóżku. Przez kilka chwil wpatrywała się w aparat telefoniczny.

Modliła się, żeby wciąż był podłączony. Miała pewność, że wszystkie rozmowy, które przeprowadzi, będą nagrywane. Ale musiała zaryzykować. Zdawała sobie sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa, wiedziała, jak bardzo potrzebuje jakiegoś koła ratunkowego.

Wykręciła numer do Cassie. W Londynie właśnie minęła północ. Ewa modliła się, żeby przyjaciółka była w domu. Telefon dzwonił bez końca. Gdy już miała zrezygnować, Cassie podniosła słuchawkę. Ewa odetchnęła z ulgą.

— Cześć, Cass. Przepraszam, że dzwonię tak późno.

— W porządku. Dopiero wróciłam z kolacji. Byłam w wannie. Gdzie jesteś? —

spytała szybko.

— W Hongkongu. Właśnie wyjeżdżam z Frazerem do Wietnamu. To takie ekscytujące. Do tego Frazer jest niezwykle pomysłowy. Jeden z jego pracowników, Le Mai, wynajął stary obóz wojskowy znajdujący się około dwóch mil od naszego złoża, wyobrażasz sobie? Potrzebna mi tylko opaska oraz dżip i będę się czuła jak damski Rambo. — Ewa roześmiała się. — Mam ze sobą jedynie kilka kreacji od Chanel, które wczoraj kupiłam, robiąc ogromne sprawunki.

Rambo z domu mody powiedziała Cassie, zdziwiona tym bezludnym potokiem słów przyjaciółki. Zanim Ewa zdążyła jeszcze coś dodać, Cassie usłyszała pytanie Frazera:

Z kim rozmawiasz?

Cassie przeraził ton jego głosu. Zaczęła lękać się o własne bezpieczeństwo, martwiła się również o Ewę.

— Co się dzieje? — spytała.

— Nic. Muszę już iść — odparła Ewa i odłożyła słuchawkę.

Rozdział 41

Gdy o ósmej rano zadzwonił Peter Bawden, John Richardson był sam w gabinecie.

Z ciekawością spojrzął na aparat. Wszyscy wiedzieli, że nie należy mu przeszkadzać przed dziewiątą. Odebrał telefon i wysłuchawszy nowin, pospiesznie wyszedł z gabinetu, wkładając po drodze marynarkę.

Dziesięć minut później pojawił się w biurze Bawdena.

— To, co ci chcę powiedzieć, musi zostać między nami. Nie wolno ci wyjawiać prawdy, gdyż mógłbyś narazić siebie, mnie, całą agencję i kilka osób, które dostarczają wartościowych informacji.

— Zrozumiałem.

Bawden zamilkł. Po chwili zaczął mówić przyciszonym głosem.

— Prowadzimy dochodzenie na zlecenie jednej z firm zbrojeniowych.

Skontaktowali się z nami, ponieważ podejrzewają że ich pracownik sprzedawał

informacje dotyczące skomputeryzowanych systemów naprowadzania. Naszym zadaniem było zidentyfikowanie kupującego i sprzedającego. Wszystko doprowadziło do pewnego człowieka, Chińczyka z Hongkongu o nazwisku Xu Nan.

Od jakiegoś czasu żył ponad stan. Konto jego banku w Szwajcarii było zasilane wysokimi, nieregularnymi wpłatami. Ktokolwiek ich dokonywał, dobrze zacierał za sobą ślady. Nic udało nam się ustalić, od kogo pochodzą te pieniądze. Wyglądało na to, że jedynie do połowy rozwikłaliśmy sprawę, ale kilka dni temu Xu Nan został

znaleziony martwy na chodniku przed domem. Najwyraźniej wyskoczył ze swojego mieszkania na siódmym piętrze.

Bawden wziął głęboki oddech.

— Policja prowadzi śledztwo. Nie wiedzą nic na temat naszego dochodzenia, ale wydaje się, iż podejrzewają mistyfikację. Ich ekipy śledcze bardzo dokładnie badają mieszkanie. Nie wiemy, co znaleźli, o ile w ogóle znaleźli cokolwiek, ale ich obecność jest wystarczającym powodem do podejrzeń.

Zeszłego wieczoru jeden z moich ludzi zdobył kopię tego. — Bawden wręczył

Richardsonowi odbitkę ręcznie napisanego listu.

Nie wiem kto, poza moim adwokatem, przeczyta ten list ani komu się on przyda.

Mnie z pewnością nie, ponieważ już nie będę żył, co jest warunkiem otwarcia niniejszej koperty. Jednak i tak chcę to wyjawić. Od lat, odkąd byłem dzieckiem, Robie Frazer dawał mi pieniądze. Początkowo były przeznaczone na moją edukację.

Okazałem się zdolnym uczniem i Frazer pilnował, bym zdobył dobre wykształcenie.

Sądziłem, że takie postępowanie wypływa z dobroci serca, do czasu, kiedy sześć miesięcy temu poprosił mnie, żebym mu dostarczył informacji dotyczących mojej pracy przy systemach obronnych w General Engineering. Odmówiłem, ale Frazer powiedział jasno, że muszę robić, co mi każe. Tak więc przez ostatnie sześć miesięcy przekazywałem Frazerowi dane dotyczące programów udoskonalania broni i sownie mi za to płacił. Ostatnio usiłowałem z tym skończyć, ale obawiam się o własne bezpieczeństwo, jeśli nie będę postępował tak, jak chce Frazer. Wynająłem nowego prawnika i zdeponowałem u niego niniejszy list, ponieważ od pewnego czasu podejrzewam, że Frazer będzie próbował mnie zabić albo kumusz to zleci.

Teraz już nie

żyję-

List był podpisany Xu Nan i opatrzony datą sprzed trzech tygodni. Richardson wręczył kopię z powrotem Bawdenowi. Przez chwilę żaden z mężczyzn się nie odzywał.

Richardson wstał.

— Dziękuję, Peter. Zdaję sobie sprawę, ile zasad złamałeś, żeby mi o tym powiedzieć.

— Co zrobisz ze swoją transakcją z Frazerem?

— Wycofam się. Niepostrzeżenie, tak żeby nigdy się nie dowiedział co się stało. '

— Dużo będzie cię to kosztowało?

— Nie tak dużo jak Xu Nana.

Kiedy Richardson wrócił do Case Reed, Cassie była w swoim gabinecie. Wszedł bez powitania i przysunął krzesło stojące po drugiej stronie biurka. Gdy usiadł, niemal stykali się kolanami.

— Chcę ci powiedzieć coś, czego nigdy nikomu nie powtórzysz. Nigdy nie dasz po sobie poznać, iż jesteś w posiadaniu tych informacji. Nigdy się nie zdradzisz, że wiesz lub wiedziałaś o tej sprawie cokolwiek, nawet jeśli stanie się ona powszechnie znana. Cassie patrzyła na Richardsona z rosnącym niepokojem. Po raz pierwszy mówił do niej takim tonem.

— Przerażasz mnie, John. Cokolwiek to jest, nie pisnę na ten temat ani słowa. Teraz powiedz, o co chodzi.

Richardson mówił przez pięć minut. Każde słowo zdawało się wstrząsać Cassie dogłębnie, aż odniosła absurdalne wrażenie, iż to się nie dzieje naprawdę, że wyobraźnia płata jej figła. Realne zdawało się jedynie przerażenie Cassie i wyraz oczu Richardsona. W końcu odezwała się:

— Co teraz będzie? Czy ci ludzie z listem, kimkolwiek są dopadną Frazera?

— Nie. Mieszanie w tę sprawę policji nie leży w ich interesie. To jest ostatnia rzecz, jakiej życzyłyby sobie ich klient. Nie chcą żeby wszyscy się dowiedzieli, iż mają kiepski system zabezpieczeń, nie w przypadku tajemnic wojskowych. Poza tym na podstawie tego listu nikt nigdy nie mógłby skazać człowieka o koneksjach Frazera.

Jeśli Xu Nan został zamordowany, nikt nie będzie w stanie powiązać tej zbrodni z Tai Panem. Do takich zadań na pewno ma swoich pacholków i, jeśli będzie to konieczne, pójdą za niego do więzienia.

— Ale co my zrobimy?

— Muszę to bardzo dokładnie przemyśleć. Gdy tylko nadarzy się sposobność i nie wzbudzi to podejrzeń, zerwiemy stosunki z Frazerem. — Richardson wstał. —

Porozmawiamy później.

Cassie patrzyła, jak Richardson wychodzi z gabinetu. Siedziała zupełnie bez ruchu, każdy jej zmysł był wytężony do granic możliwości. Pomyślała o Ewie, będącej gdzieś w Wietnamie, z obcym, niesłychanie niebezpiecznym człowiekiem.

Przypomniała sobie strach w głosie przyjaciółki, gdy rozmawiały poprzedniego wieczoru. Ewa powiedziała jej, dokąd jedzie z Frazerem — do jakiegoś obozu w pobliżu pola diamentowego.

Niemal mechanicznie, starając się o niczym nie myśleć, Cassie otworzyła szafkę z aktami, wyjęła teczkę „Geniusza” i przejrzała dokumenty. Natrafiła na mapę złoza.

Przez pięć minut przyglądała się jej wpatrując się w obce nazwy nie znanych sobie miejsc. Cassie poczuła, że musi jechać do Wietnamu, ostrzec Ewę i wyciągnąć ją z łap Frazera, jeśli jeszcze nie jest za późno.

Podniosła słuchawkę i porozumiała się ze swoim biurem podróży, wydając zwięzłe polecenia. Zarezerwowała miejsce w pierwszym samolocie do Hanoi i pokój w hotelu „Metropole”.

Poczekala, az Emma opuści swój pokój, po czym wzięła torebkę i wyszła z biura.

Przekradła się tylnymi schodami, żeby nic natknąć się na Johna Richardsona. Na ulicy złapała taksówkę, która zawiozła ją do domu. Kazała kierowcy poczekać i pobiegła na górę, żeby się spakować.

Gdy zносиła walizkę po schodach, David Wilson wyszedł ze swojego pokoju, ścierając sen z powiek.

— Dokąd się wybierasz? Dłuzczego nie jesteś w pracy?

— Jadę do Wietnamu. Do Hanoi.

— A po diabła tam jedziesz?

Cassie przycupnęła na stopniu i pozwoliła walizce stoczyć się do podnóża schodów.

David przysiadł obok Cassie.

— Jadę zobaczyć się z Ewą i obejrzeć to jej złoże.

— Ona tam jest? Cassie przytaknęła.

— Gdzie się zatrzymasz?

— Jeszcze nie wiem — odparła Cassie wymijająco.

— Poczekaj chwilę. Do cholery, to nie Brighton. Tam się nie jedzie ot tak, po prostu.

I po co ten pośpiech? Wczoraj słyshałem, że masz jakieś plany na weekend. A teraz wybierasz się na drugi koniec świata. — Chwycił ją za ramiona i odwrócił ku sobie.

— Co się, do diabła, dzieje, Cass?

Spojrzała na Davida gniewnie, ale nie odepchnęła jego rąk.

— Nie mam pojęcia. Właśnie zamierzam się dowiedzieć.

— To nie jest odpowiedź. Na miłość boską Cass, nie możesz ot tak sobie, po prostu, pojechać do Wietnamu.

Cassie wstała.

— Posłuchaj mnie. Jadę. — David zrozumiał, że jej nie przekona.

— To przynajmniej pozwól mi jechać z tobą.

Zamilkła, zbита z tropu jego troską. Pochyliła się, żeby pocałować Davida w policzek.

— Nic mi nie będzie. Proszę, nie martw się. — Podeszła do walizki, leżącej u nasady schodów.

David westchnął, przyglądając się Cassie. Poruszała się dziwnie sztywno. Podeszedł do niej.

— Przypilnuję wszystkiego, jeśli sobie życzysz.

— Tak. Dziękuję

Pocałowała go jeszcze raz. Przytulił Cassie mocno i wypuścił z objęć. Gdy stała już w drzwiach, zadzwonił telefon. W zdenerwowaniu chwyciła słuchawkę.

— Halo! — To był krzyk, nie powitanie.

— Cassie, dzień dobry. Tu Aubrey Goldstein.

— Och, Aubrey, dzień dobry.

— Czy dzwonię nie w porę? Przeszkadzam?

— Spieszę się na samolot.

— Ach. Lecisz w jakieś ciekawe miejsce?

— Do Wietnamu.

Zapadła krótka cisza. Cassie czekała w napięciu. Goldstein odezwał się ujmującym głosem:

— Na pole diamentowe „Geniusza”.

— Chyba nie trzeba było się nad tym długo zastanawiać.

— Nie. Ty, Wietnam, diamenty, „Geniusz”. Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

— Ja też nie. — Cassie pomyślała o blankowaniu, o tracących na wartości akcjach i jej głos stał się szorstki. — W czym mogę pomóc?

— Znam kogoś, kto byłby zainteresowany kupnem pewnej liczby akcji „Geniusza”.

Cassie zamilkła na chwilę, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

— Czy ten ktoś chce kontrolować firmę?

— Możliwe. Ma na to środki.

Wiedziała, że musi się pozbyć swoich udziałów. Gdy Case Reed wycofa się z transakcji z Frazerem, ceny akcji „Geniusza” drastycznie spadną.

— Proszę powiedzieć temu komuś, żeby zgłosił się do hotelu „Metropole” w Hanoi.

Jeśli jest naprawdę zainteresowany, możemy tam porozmawiać.

— Przekażę mu.

Cassie odłożyła słuchawkę. Goldstein wykręcił inny numer.

— Mam wrażenie, że uda nam się z „Geniuszem”. Stewart chce, żeby ktoś się z nią spotkał w hotelu „Metropole” w Hanoi.

— Naprawdę? — Dobiegający z oddali głos był zniekształcony i brzmiał

pogardliwie. — Więc lepiej tam pojedź. W Wietnamie może pójdzie z nią trochę łatwiej. To daleko od domu, nie najlepsze otoczenie dla samotnej kobiety. Zrób, co możesz. Odkup od Stewart akcje. To dobry czas na kupno, gdy ich wartość jest tak niska. Ona i Case Reed pewnie dość mocno się sparzyli.

— Bez wątpienia.

— Szczegóły pozostawiam tobie. Zrób, co trzeba.

Rozdział 42

Gdy Andrew Stormont wrócił o piątej po południu do swojego tymczasowego biura przy Tooley Street, na biurku leżał przefaksowany raport z lotniska Heathrow: Cassie Stewart wyjechała z kraju o 11.00 lotem TG 915 do Bangkoku, z połączeniem do Hanoi. Przybędzie do Hanoi o 12.20 czasu miejscowego. Podróżuje sama. Ma jedną walizkę.

Stormont powiadomił Oddziały Specjalne na Heathrow i na Gatwick, żeby byli czujni na wypadek, gdyby Cassie Stewart dokądś się wybrała. Było warto. Ale drobne zadowolenie z tego faktu przyćmiły obawy związane z lotem Cassie do Hanoi.

Stormont zgniótł faks w dłoni i wrzucił go do kosza, a następnie wykręcił numer Cassie w Case Reed. Zgłosiła się jej sekretarka.

— Gabinet Cassie Stewart.

— Czy mógłbym z nią rozmawiać?

— Hmm. Nie ma jej tutaj.

— Czy wie pani, jak mogę się z panią Stewart skontaktować?

— Czy to sprawa służbowa, czy prywatna?

— Prywatna.

— Może jest w domu.

— Może?

— Hmm. Nie jestem pewna.

— Bardzo mi zależy na rozmowie z nią.

— Pewnie niedługo przyjdzie.

— Czy pojawiła się dzisiaj w biurze?

— Tak. Była z rana.

— Dziękuję. — Stormont odłożył słuchawkę i wezwał Adena, który z powodu tymczasowych przenosin Stormonta urzędował w ciasnym gabinecie tuż obok.

Aden pojawił się, podekscytowany.

— Co się stało?

— Cassie Stewart poleciała do Wietnamu z jakąś prywatną misją.

Z tego, co wiem, rano była w Case Reed. Potem zniknęła, nie powiadamiając o niczym współpracowników. Nie mają pojęcia, gdzie jest. Aden usiadł.

— Dlaczego tak postąpiła?

— Domyślam się, że odbyła drugą rozmowę z Ewą a może nawet z Frazerem.

Powiedzieli coś, co musiało Cassie zaintrygować. Nic, co by ją naprawdę przestraszyło, bo wtedy pewnie by nie pojechała. Ale jakaś rzecz musiała jej się wydać dziwna, szczególnie że wyjechała bez powiadomienia Case Reed, a w końcu to oni przecież są odpowiedzialni za tę transakcję.

Aden pokręcił głową.

— Coś tu nie gra. Czegoś nam brakuje. Stormont zastanowił się przez chwilę.

— Chyba masz rację. Ale wydaje mi się, że rzeczywiście Ewa w jakiś sposób zaniepokoiła Cassie, dała jej do zrozumienia, iż faktycznie dzieje się coś niedobrego. Nie przeraziła przyjaciółki, ale ją zmartwiła. Tylko po co? Czy chciała, żeby Cassie przyleciała do Wietnamu? Wątpię.

Najprawdopodobniej liczyła na to, iż Cassie wspomni mi o czymś albo że zadzwonię do niej, żeby dyskretnie dowiedzieć się, co dzieje się z Ewą. Chciała wykorzystać przyjaciółkę jako skrzynkę kontaktową tylko że Cassie wzięła sobie to do serca, zdecydowała się zaangażować w sprawę bardziej, niż przypuszczaliśmy. Tego właśnie nie wiemy. Dlaczego podjęła taką decyzję?

— Może dowiedziała się czegoś w Case Reed?

— To możliwe. Ale czego? Cassie się nie angażuje. Obserwuje, rozważa, analizuje wszystko z niesamowitą skrupulatnością ale z tego co wiem, zawsze trzyma się z boku.

— Poczekaj chwilę. Na miłość boską ona jest bankierem. Przedsiębiorcą udziałowym. Inwestuje pieniądze w wysoce ryzykowne przedsięwzięcia. To nie bardzo kojarzy mi się z trzymaniem się na uboczu.

Stormont spojrział na Adena z pogardą.

— To jej praca. Politycy, którzy zamykają stacje pogotowia ratunkowego, zabijają ludzi, ale nigdy własnoręcznie nie zaciskają ofiarom palców na szyi. Cassie podejmuje ryzyko dla pieniędzy, siedząc w klimatyzowanym biurze z wykładziną od ściany do ściany, po czym wraca do swojego ślicznego domu w Chelsea. Sama niczego nie ryzykuje.

— Dobrze, dobrze.

— Ale trafiłeś w sedno — dodał Stormont, zadziwiając Adena. — Pojechała do Wietnamu. To jest niezgodne z jej charakterem. Coś, o czym nie wiemy, musiało Cassie do tego sprowokować.

— Więc co to takiego? Stormont wstał.

— Nie możemy bez przerwy snuć domysłów. — Wcisnął guzik we-wnętrznego telefonu. — Elso, chciałbym się udać do Hanoi. Jak najszybciej.

Elsa oddzwoniła kilka minut później. .. ~ obawiam siS> że będzie musiał pan skorzystać z usług normalnych linii lotniczych. Chłopcy z sił powietrznych są trudni we współpracy Podobno w tej chwili nie mają żadnego wolnego samolotu.

— Trudno. Skorzystam z linii lotniczych.

— Najszybsze połączenie jest przez Hongkong. Zrobiłam panu rezerwację na wieczorny rejs linii Virgin, wylot z Heathrow o ósmej trzydzieści przylot do Hongkongu o piątej, jutro po południu. O siódmej ma pań połączenie Cathay Pacific do Hanoi.

— Świetnie. Dziękuję, Elso.

— Co masz zamiar zrobić? — spytał Aden.

— Jeszcze nie wiem. Rzucić się w wir wydarzeń.

— Zanim tam dotrzesz, pewnie się okaże, że już wszystko wyleciało w powietrze.

— Och, nie sądzę. Ciągłe jeszcze następują przegrupowania, wciąż każdy stara się zorientować, po której stronie stoją pozostali Myślę że zdążę na czas.

— Czas na co?

— Sam powiedziałaś. Na eksplozję.

Rozdział 43

Podczas gdy samolot Cassie Stewart podchodził do lądowania w Hanoi, Andrew Stormont leciał nad Arabią Saudyjską a Aubrey Goldstein czekał na Heathrow na start samolotu, który miał nastąpić za trzy godziny.

Na krótko przed lądowaniem Cassie wyjrzała przez okno. Na dole rozciągała się jedynie czerwona ziemia, ciemna jak zaschnięta krew. Miejscami widać było wybrzuszenia wzgórz; przysadzistych, ostro zakończonych pagórków. W miarę jak samolot obniżał pułap lotu, teren stawał się bardziej płaski i Cassie była w stanie dojrzeć pola ryżowe; wilgotne, zielone mokradła ciągnące się aż po horyzont.

Dostrzegła sylwetki ludzi, stada wołów i wysokie zielone drzewa, skryte pod baldachimami niezliczonych liści.

Samolot wylądował gładko i kołował w stronę niskiego, betonowego, funkcjonalnego i brzydkiego budynku lotniska. Cassie sięgnęła po swoją torbę ze schowka nad głową i z kieszeni na oparciu fotela zabrała książkę „Spokojny Amerykanin” Grahama Greene'a. Czy to wciąż był Wietnam opisywany przez Greene'a?

Schodki szczęknęły o drzwi, aż Cassie podskoczyła. Ludzie zaczęli wysiadać.

Niecierpliwie czekała w kolejce. Gdy znalazła się na zewnątrz, załała ją fala wilgotnego, wibrującego powietrza. Zeszła po schodach i stąpając po rozpalonym betonie ruszyła w stronę budynku lotniska. Gmach, ku zaskoczeniu Cassie, był

klimatyzowany.

WITAMY W SOCJALISTYCZNEJ REPUBLICIE WIETNAMU głosił napis nad drzwiami. Poczła się tak, jakby była świadkiem historycznego wydarzenia. Jedno z ostatnich państw socjalistycznych na świecie. Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim Wietnam przyjmie kapitalizm, który już wdarł się w jego gospodarkę, a nawet do polityki. Amerykanie właśnie znieśli swoje embargo i biznes kwitł coraz bardziej. Ale napis wciąż wisiał, dumny i wyraźny: socjalistyczna republika. Cassie zastanawiała się, jaki kraj ujrzy po opuszczeniu lotniska. Czy będzie przypominał

Berlin

Wschodni przed upadkiem muru? Była tam w 1987 roku, czuła podejrzliwość, wrogość funkcjonariuszy, wszechobecną ostrożność. Ale tutaj kultura i sposób myślenia były inne, nie znane. Wietnam niewiele łączyło z Europą.

Cassie nic nie wiedziała o tym kraju. Poczła się nagle bezbronna jak dziecko.

Zastanawiała się, co zaszło przez te długie godziny od czasu, gdy po raz ostatni rozmawiała z przyjaciółką.

Czekała na swój bagaż. Obok niej stał szczupły, opalony mężczyzna o długich włosach związanych w kucyk.

— Dokąd pani jedzie? — spytał zdawkowo. Wyraz jego oczu wzbudzał sympatię.

— Do Hanoi. Do centrum — tak mi się wydaje. Mężczyzna spojrzał na strój Cassie.

— Niech pani nie pozwoli taksówkarzowi zedrzeć z siebie skóry. Proszę nie płacić więcej niż piętnaście dolarów.

— Dziękuję. To przydatna informacja. A pan dokąd jedzie?

— Gdzieś na północ. Jestem fotografem. Tak się włócę w poszukiwaniu materiału do fotoreportaży.

— To ekscytujące.

— Tak. Dosyć.

Cassie poczuła się dziwnie podniesiona na duchu po zawarciu tej przelotnej znajomości. Odwróciła się w stronę taśmociągu bagażowego, chwyciła swoją walizkę i skinęła na pożegnanie mężczyźnie uczesanemu w kucyk.

Przy odprawie celnej i paszportowej Wietnamczyk o ponurej twarzy przejrzał

paszport i wizę Cassie, wodząc wzrokiem po dokumentach i ich właścicielce. W

końcu Cassie przeszła przez wszystkie formalności. Wy-taszczyła walizkę do holu lotniska.

Betonowy gmach był pełen ludzi. Niektórzy czekali spokojnie, inni piszczełi na widok swoich krewnych lub przyjaciół, jeszcze inni pokrzykiwali dobrodusznie, żeby zrobić przejście. Cassie nie rozróżniała pojedynczych głosów, docierała do niej jedynie kakofonia dźwięków. Ten hałas nie był wrogi, sprawiał przyjazne wrażenie, ale był tak natarczywy, że wraz z towarzyszącym mu upałem zupełnie Cassie przytłaczał.

Dwaj miejscowi mężczyźni stali pośrodku tłumu i obserwowali, jak nowo przybyli pasażerowie przeciskają się przez ciżbę. Gdy zauważyli Cassie, kiwnęli do siebie głowami i przepchnęli się w jej kierunku.

— Taksówkę, proszę pani? — spytał jeden z nich, wyciągając rękę po walizkę Cassie.

— Ile do centrum?

— Dwadzieścia dolar. — Jego szeroki uśmiech odsłonił dwa czarne zęby.

— Za dużo. Piętnaście.

— Piętnaście? Jestem biznesmen. Prowadzę swój biznes. Piętnaście mało.

— A więc nie, dziękuję — odparła Cassie, starając się przepchnąć dalej.

— Dobrze. Piętnaście. Piętnaście dolar — powiedział mężczyzna spiesznie. Cassie oddała mu walizkę. Zadowolona ze swojej umiejętności targowania się, nie miała pojęcia, że zawieźliby ją za każdą cenę.

Dwaj mężczyźni zaprowadzili Cassie do rdzewiejącej czarnej łady. Jeden otworzył drzwi, a następnie zatrzasnął je z wielką siłą.

— Drzwi trudno zamykają — oznajmił, uśmiechając się na widok jej zdziwionej miny. Usiadł na miejscu kierowcy, a jego towarzysz umościł się obok. Odwrócili się i zerknęli na Cassie, która zdobyła się na lekki, wymuszony uśmiech.

Dwaj mężczyźni rozmawiali między sobą po wietnamsku. Od czasu do czasu spoglądali do tyłu i uśmiechali się, ale ich twarze były niespokojne.

Za oknem rozciągał się krajobraz, jakiego Cassie nigdy wcześniej nie widziała.

Wszędzie panował zawrotny ruch. Samochody, ciężarówki, motocykle, rowery, woły i wózki ciągnęły bitą drogą wykonując szalone szusy. Klaksony brzmiały nieprzerwanie. Cassie nie mogła patrzeć przed siebie ze strachu przed nieuniknionym wypadkiem. Manewrując poboczami, czasami niemal przyklejając się do głębokich jarów samochody unikały zderzenia, ale Cassie wciąż nie mogła opanować nerwów.

Po obydwu stronach drogi znajdowały się pola ryżowe, na których pracowały zgięte wpół kobiety. Ich głowy osłaniały stożkowate kapelusze. Cassie sądziła, że takie kapelusze nosi się tylko w fdmach. Na połaciach zieleni pasły się woły, dziwnie spokojne, jakby nie obchodziło ich nic poza trawą która zawsze będzie rosła, i słońcem, które ciągle będzie świeciło.

Pejzaż ten towarzyszył im całe mile. Cassie zastanawiała się, czy przypadkiem nie jadą na prowincję. Niebawem wszystko zaczęło wskazywać na to, że zbliżają się do większego miasta. Pochyłe pobocza ustąpiły miejsca kanałom ściekowym, a pola rozproszonym domom, których, w miarę pokonywania mil, pojawiało się coraz więcej. Rynsztokami płynęła brązowa ciecz i rozlewała się przed studzienkami ściekowymi. Ludzie kucali i rozmawiali lub w milczeniu obserwowali otoczenie.

Dzieci i psy bawiły się przy drodze, którą okalały domy, wysokie i wąskie, w wię-

kszości kamienne, rozpadające się, pokryte odchodzącą płatami, pomarańczową lub żółtą farbą. Wszędzie leżały stosy poukładanych cegieł. W sklepach handlowano napojami w butelkach ustawionymi w równych rzędach. Sprzedawcy uliczni siedzieli przy stertach owoców: jabłek, pomarańczy, bananów i melonów.

Cassie wyglądała przez otwarte okno, ciepły wiatr owiewał jej twarz. Obok z hukiem przetaczały się ciężarówki, pozostawiając w ustach posmak ropy Cassie pociła się od upału i jej skóra stawała się lepka. Przywarło do mej pomięte ubranie.

Była oszołomiona. Czowała się zupełnie sama w tym obcym kraju pozbawiona wszelkich udogodnień zachodniej cywilizacji. Cassie przerażała własna bezsilność i ku swemu zaskoczeniu poczuła, że wpada w panikę. Wciągała głęboko powietrze, by uspokoić oddech, lecz nie na wiele się to zdało. Miała wrażenie, że się dusi.

Samochód toczył się dalej. Droga stała się teraz bardziej wyboista, ruch się zmniejszył. Ponownie wyjechali na otwartą przestrzeń. Minęli kilka plecionych mostów. Cassie próbowała się uspokoić, ale panika nie ustępowała.

Spojrzała na zegarek. Jechali od ponad godziny. Nie miała pojęcia dokąd zmierzają.

Siedziała z zamkniętymi oczami i czekała. Czowała jak kiepskie zawieszenie w samochodzie stawia opór kamieniom, słyszała narastający ryk klaksonów i wycie silników.

Nagle wóz się zatrzymał. Cassie otworzyła oczy.

— Hotel „Metropole” — powiedział kierowca z uśmiechem, traktując dyskomfort jazdy jako dobry żart. Z jego perspektywy to pewnie faktycznie zabawne, pomyślała Cassie wręczając Wietnamczykowi piętnaście dolarów. Nagle zachciało jej się śmiać. Była bezpieczna.

Pomyślała o Ewie. Co teraz robi? Gdzie się znajduje?

Kierowca podał portierowi walizkę Cassie. Następnie, wraz ze swoim towarzyszem, wsiadł do samochodu i odjechał. W bocznej uliczce pół mili od „Metropole'u”, zaparkowali i weszli do budynku. Kierowca zatelefonował i oświadczył świetną angielszczyzną:

— Mamy ją. Jest bezpiecznie ulokowana w „Metropole'u”. Rozdrażniona jak kotka.

— Obserwujcie ją. I zwracajcie uwagę, czy jeszcze ktoś ma dziewczynę na oku. Nie będziemy jedyni. Nie podejmujcie żadnych działań. Jeszcze me teraz.

Rozdział 44

Hotel „Metropole” okazał się wielkim białym budynkiem w stylu kolonialnym. Był

usytuowany przy bitej drodze, obsadzonej drzewami. W foyer wisiał rząd sześciokątnych zegarów, które wskazywały czas w Paryżu, Moskwie, Londynie, Nowym Jorku i w Sydney. Był urządzony jak każdy pięciogwiazdkowy hotel na świecie; cały w marmurach, z mnóstwem żyrandoli. Ale brakowało w nim atmosfery spokoju, właściwej niektórym wspaniałym hotelom. Cassie wyczuwała tu dziwne napięcie. Goście sprawiali wrażenie podnieconych, oczekujących, rozgorączkowanych.

Do Cassie podeszła piękna Wietnamka w długiej, wysoko rozciętej tunice z bladożółtego jedwabiu, nałożonej na spodnie. Kobieta uśmiechnęła się i zaprowadziła gościa do pokoju. Cassie zamknęła za nią drzwi i rozejrzała się.

Wewnątrz było niemal ciemno, gdyż dopływ światła ograniczały żaluzje z ciemnego drewna. Z tego samego rodzaju drewna zrobiono parkiet i pas boazerii. Ściany oraz sufit były pomalowane na biało.

Przy jednej z nich stało ogromne łoże ze lśniąco białą pościelą. Naprzeciwko znajdowało się wielkie połączane lustro.

Cassie odsunęła żaluzje i otworzyła okna. Do środka wdarł się hałas i światło słoneczne. Wyjrzała na ulicę, uśmiechając się z zadowoleniem. Taksówki i riksze zabierały oraz przywoziły gości niemal bez ustanku. Rikszarze starali się o klientów kierując do przechodniów okrzyki „Kurs? Tak?” — niektórzy natarczywie, inni z nieśmiałą nadzieją. Ciekawie było obserwować, kto reaguje na jaki rodzaj reklamy.

Cassie zdecydowała, że będzie wybierać tych nieśmiałych rikszarzy. Dzieci i psy uganiały się wokół, nie zwracając uwagi na upał. Stare kobiety kucaly na popękanych chodnikach, chroniąc się przed skwarem w cieniu rozłożystych drzew.

Nieprzerwanie toczyło się Grand Prix rowerów, riksz, skuterów, samochodów oraz pieszych, przepychających się i krzyczących bez opamiętania.

Cassie odwróciła się od okna, zrzuciła ubranie i wzięła długi prysznic. Następnie włożyła długą wzorzystą spódnicę i białą koszulkę, po czym zeszła do recepcji.

— Chciałabym wynająć na jutro samochód z kierowcą.

— Oczywiście. Dokąd pragnie się pani udać?

— Jeszcze nie jestem pewna, gdzie znajduje się to miejsce — odparła Cassie, a recepcjonista spojrział na nią ze zrozumieniem. — To w pobliżu wioski o nazwie Lang-son, osiemdziesiąt mil na północny wschód stąd — Cassie wiedziała, że złoże znajduje się niedaleko tej wioski, a Ewa wspomniała, iż obóz położony jest blisko pola diamentowego, więc Lang-son było najlepszym drogowskazem. — Jest tam stary obóz wojskowy. Nie wiem, jak się nazywa, ale nie może ich być aż tak wiele w tamtej okolicy.

— Korzystamy z usług różnych kierowców, w zależności od charakteru podróży.

Porozmawiam z nimi, zorientuję się, czy któryś zna ten obóz. — Recepcjonista nie mógł powstrzymać się, żeby nie wypowiedzieć ostatniego słowa ze szczególnym naciskiem, przyglądając się Cassie badawczo.

— To byłoby bardzo uprzejme z pana strony. Chciałabym wyjechać o dziewiątej rano i prosiłabym, żeby jak najszybciej potwierdził pan wynajęcie auta. J

— Oczywiście, proszę pani. Zrobię co w mojej mocy. Cassie wzięła broszurę o Hanoi z kontuaru recepcji, po czym wyszła na skwarną i hałaśliwą ulicę. Teraz, gdy już bezpiecznie dotarła na miejsce, poczucie wyobcowania zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, a zastąpiła je ciekawość.

Poszła ulicą Ngo Quyen, mijając rzędy piaskowożółtych i ciemno-pomaranczowych domów zarośniętych zielenią. Farba łuszczyła się i odpadała płatami, a fragmenty kamiennych konstrukcji sprawiały wrażenie niebezpiecznie niestabilnych.

Wszędzie dokoła Cassie widziała niszczące piękno — żalosne budynki z bogatą przeszłością.

Przystanęła na skraju ulicy, usiłując przedostać się przez zaporę mknących pojazdów. Ich strumień wydawał się rwać nieprzerwanie. W końcu jakiś mężczyzna, pomarszczony, orzechowobrazowy i uśmiechnięty złapał Cassie za ramię i

przeprowadził na drugą stronę, zmuszając pędzące pojazdy do manewrowania wokół nich. Przeszli przez ulicę zupełnie bezpiecznie. Cassie podziękowała mężczyźnie, żałując, że nie może tego zrobić po wietnamsku. Skinął głową i udał się w swoją stronę. Cassie patrzyła za nim, dopóki nie pochłonął go tłum. Krążyła po bulwarach, szła na chybił trafił, nie śledziła marszruty. Planowała wrocic do hotelu rikszą więc nie martwiła się, że się zgubi. Przeszła wzdłuż dużego jeziora ze świątynią na małej wysepce niedaleko brzegu. Świątynia była połączona z nabrzeżem łukowatym, czerwonym drewnianym mostem. Cassie zajrzała do swojej broszury i zidentyfikowała

to miejsce jako pagodę Wzgórza Jadeitac. Przeczytała, że jest poświęcona Van Xuongowi, bogu literatury.

Przeszła na drugą stronę bulwaru wietnamskim sposobem, zmuszając pojazdy do uznania jej praw, i znalazła się w labiryncie ciasnych ulic obrzeżonych wysokimi, wąskimi domami w różnych odcieniach bursztynowej żółci, z dziwnymi, zaskakującymi plamami turkusu, świetlistymi jak słońce. Większość parterów zajmowały sklepy. Wiele ulic lub ich fragmenty zdawały się zdominowane przez sklepy wyspecjalizowane w jednym asortymencie — odzież dziecięca, buty, bielizna, pamiątki dla turystów, ciastka, magnetofony i maszyny do szycia. Wiele z tych ostatnich było właśnie w użyciu i terkotały zawzięcie. Powietrze, gęste od zapachów żywności, przypraw, kadzidełek i jaśminu, było zmieszane z odorem ścieków, spalin oraz kurzu. Ludzie urządzali na ulicy coś, co wyglądało jak pikniki; smażyli jakieś mikstury na piecykach gazowych, napełniając powietrze aromatem kolendry, imbiru i chili. Kobiety siedziały przy małych stolikach popijając herbatę lub sprzedawały melony i kolby kukurydzy ułożone w pracochłonne stosy.

Cassie wędrowała dalej — zataczając prawdopodobnie ogromne koło — i doszła do ulicy fryzjerów. Docierał do niej jedynie szczełk nożyc tnących powietrze. Musiało tu być ze czterdziestu lub pięćdziesięciu fryzjerów, wszyscy ustawieni rzędem pod niebieskimi zadaszeniami. Ich klienci, sami mężczyźni, wyglądali bardzo elegancko. Niektórzy byli ubrani w garnitury.

Cassie spojrzała na zegarek. Spacerowała od dwóch godzin. Nie była pewna, gdzie się znajduje ani gdzie jest hotel. Rozejrzała się w poszukiwaniu rikszy, usiłując wybrać z kilkudziesięciu rikszarzy takiego, który znajdowałby się w największej potrzebie. Zaabsorbowana, nie zauważyła obserwujących ją mężczyzn próbujących wtopić się w tłum. Nawet gdyby ich dostrzegła, nie widziałaby w tym niczego podejrzanego. Była przyzwyczajona, że przyciąga uwagę. Wybrała rikszę i zatrzymała ją.

— „Metropole” — powiedziała.

Riksarz skinął głową i poczekał, aż kobieta usiądzie na drewnianej ławeczce z przodu, po czym pracowicie popedałował. Szybko przywołane inne riksze ruszyły za Cassie, niewidoczne w tłumie.

Cassie odwróciła się, żeby spojrzeć na rikszarza. Był od niej znacznie niższy, chudy i żyłasty, prawdopodobnie niezwykle silny mimo swej postury i w dobrej kondycji.

Nie miał na ciele grama tłuszczu. Cassie zastanawiała się, co jada w ciągu dnia.

Miała poczucie winy, że siedzi przed nim na tym małym wózku, a mężczyzna pedałuje w popołudniowym słońcu. Jednak Wietnamczykowi zdawało się to nie przeszkadzać. Nie wyglądał na zgorzkniałego, raczej na zrezygnowanego. Cassie wysiadła przy „Metropole'u”, zapłaciła riksarzowi sowicie i wróciła do swojego pokoju, żeby wziąć prysznic i przebrać się do kolacji.

Recepcjonista, który zauważył Cassie, gdy przechodziła przez hol, zaczął się martwić, jak będzie mógł ją przeprosić. Porozmawiał z kierowcami, którzy pracowali dla hotelu, ale żaden nie znał tego obozu wojskowego. Gdy już miał do niej zatelefonować i zasugerować, żeby zrezygnowała ze swojej niecodziennej wycieczki, zadzwonił do niego jakiś nieznajomy.

— Ngo Lung powiedział mi, że powinienem się z panem skontaktować. Twierdził, że szuka pan kogoś, kto by zawiózł gościa do obozu wojskowego w pobliżu Lang-son. Znam ten obóz. Zawiozę pańskiego turystę. Mam niezły samochód.

Japoński, pięcioletni, z dobrym zawieszaniem i z klimatyzacją.

— Jesteś przyjacielem Ngo?

— Proszę do niego zadzwonić. Może pan o mnie zapytać. Powie panu.

Recepcjonista nie odzywał się przez chwilę, zastanawiając się, czy powinien pozwolić obcemu kierowcy na odwiezienie jego gościa. Ale nieznajomy pojawił się jak za sprawą zaklęcia. Recepcjoniście nie uśmiechała się perspektywa powiadomienia pięknej Angielki, że ją zawiódł. A ten człowiek jest przyjacielem Ngo. Łatwo to było sprawdzić.

— Dobrze. Bądź tu jutro o dziewiątej. Pasażerka nazywa się Stewart, Cassandra Stewart.

— Będę na czas.

Recepcjonista zadzwonił do Cassie. Gdy się dowiedziała, że nazajutrz jedzie do obozu, powrócił stłumiony strach. Pokój wydał jej się nieznacznie mały. Zeszła na dół do baru. Po jednej stronie, obok dziedzińca i basenu z lśniąca wodą w półmroku stały stoliki. W drugim końcu znajdowały się duże, jasno oświetlone stoły i głębokie kanapy. Cassie wybrała kanapę. Podszedł kelner. Zamówiła whisky. Wypiła ją szybko i zamówiła jeszcze jedną od niechcienia przesuując wzrokiem po barze, wyłapując fragmenty różnych rozmów.

Po drugiej whisky Cassie przeszła do jadalni. Przejrzała menu i zamówiła coś, co okazało się wyśmienitą kolacją. Zaczęła od gorzko-słodkiej zupy rybnej podanej w ogromnej wazie. Porcja ta wystarczyłaby dla czterech osób. W zupie pływały wielkie kawałki różnego rodzaju ryb. Cassie nie potrafiła rozpoznać żadnej z nich, ale wszystkie były pyszne. W miarę jedzenia odkrywała całą gamę delikatnych smaków. Poczowała się nieco winna, gdy świadomie odsunęła na wpół dojedzoną zupę, zostawiając miejsce na drugie danie, kurczaka w imbirze / kolendrą i z ryżem na ciepło.

Dalej popijała whisky, czując na podniebieniu jej palący smak. Gdy zaspokoila pierwszy głód, zaczęła jeść wolniej, obserwując otoczenie. W barze było parę samotnych kobiet i mężczyzn, jakieś towarzystwo oraz kilka par, w tym jedna niezwykle szykowna — mężczyzna i kobieta,

którzy dorównywali sobie urodą. Wszyscy, nawet elegancka para, zdawali się interesować pozostałymi i salę przeszywały ukradkowe spojrzenia.

Cassie nie była ani trochę zażenowana, że siedzi samotnie przy kolacji. Poprzez strach zaczęło przebijać cudowne przekonanie o własnej anonimowości. Teraz Cassie czuła siłę, której bała się w sobie szukać kilka godzin temu, podczas długiej jazdy przez ryżowe pola.

Rozdział 45

Samolot Andrew Stormonta wylądował w Hongkongu o 20 00 z trzygodzinnym opóźnieniem, gdyż z powodu problemów technicznych czekał na płycie lotniska Heathrow. Tego wieczoru nie było już połączenia z Hanoi Stormont musiał

począć do następnego dnia. Tłumiąc wściekłość wykonał kilka telefonów do Londynu, żeby pozmieniać rezerwacje Wysłał samochód, który odebrał go z lotniska i zawiózł do lokalu konspiracyjnego w Wanchai. Colin McKenzie, szef stacji w Hongkongu został powiadomiony i był na miejscu, żeby zdać Stormontowi relację. Powitał gościa uściskiem dłoni oraz ginem z tonikiem Stormont usiadł wyprostowany w fotelu, ponury, blady z niewyspania Czekał, aż McKenzie zacznie mówić.

— W domu Frazera i pośród jego znanych nam pracowników panowało spore zamieszanie. Ośmioro z nich poleciało do Wietnamu. Frazerowi towarzyszyła w drodze kobieta, na którą kazałeś zwracać uwagę, blondynka młoda, p.ękna - Ewa Cunningham. Coś się dzieje w Wietnamie. Otrzymaliśmy raport ze stacji w Hanoi.

Frazer i jego świta zainstalowali się w pewnym obozie wojskowym, około osiemdziesięciu mil na północny wschód od Hanoi Spędzili wiele czasu na polu diamentowym, kilka mil od obozu. Dziewczyna pojechała z nimi wczoraj rano, ale od tej pory jej nie widzieliśmy

— Oboz w dżungli nie jest najwłaściwszym miejscem dla kobiety Frazer prawdopodobnie odesłał ją do domu.

— Nie mamy sygnału, że pokazała się na którymś z lotnisk — powiedział tępo McKenzie.

Stormont spojrział w przestrzeń i nie odezwał się. McKenzie przyglądał się gościowi; dostrzegł jego napięcie, widział, jak tłumi emocje Stormont niemal nie zauważał McKenziego.

Następnego ranka Cassie obudziła się o siódmej. Wzięła prysznic, ubrała się w luźne bawełniane spodnie, włożyła tenisówki oraz koszulkę i spakowała niewielką torbę, na wypadek gdyby musiała spędzić noc w obozie wojskowym Ewy. Gdy zeszła na śniadanie, przy jednym z sąsiednich stolików dostrzegła grupę ludzi ubranych w jednakowe koszulki z napisem „Rekonesans Turystyczny

Kanadyjskich Biur Podróży, Wietnam 1995". Cóż za egzotyka.

Zamówiła rogaliki, kawę i mleko kokosowe, ale gdy przyniesiono pieczywo, Cassie prawie go nie ruszyła; zdenerwowanie odebrało jej wilczy apetyt, jaki miała poprzedniego wieczoru. Za pięć dziesiątą zeszła do recepcji i spytała o swojego kierowcę. Wyłonił się niewysoki, szczupły Wietnamczyk i przedstawił się Cassie.

Szybko zmierzył ją wzrokiem.

Cassie poszła za kierowcą do samochodu. Otworzył drzwi i wsiadła do środka.

Wietnamczyk zatrzasnął je za Cassie z hukiem, usadowił się w fotelu kierowcy, włączył silnik i wmieszał w pulsujący uliczny ruch. Prowadził wóz bez słowa.

Po upływie pół godziny Cassie pochyliła się ku niemu z rosnącym niepokojem.

— Jedziemy do obozu wojskowego, tak? Mam nadzieję, że wie pan gdzie on się znajduje?

Spojrzał przez ramię i odparł doskonałą angielszczyzną:

— Och, tak, wiem. — Prowadził dalej w milczeniu.

Cassie sądziła, że słowa kierowcy ją uspokoją a zamiast tego poczuła, iż ogarnia ją panika. Odwróciła się, żeby popatrzeć przez okno na pola, na pochylone kobiety, na pasące się woły i chybotliwe mostki, kołyszące się, gdy przechodziła po nich choćby jedna osoba, a z których korzystało również bydło.

Cichy Wietnamczyk jechał dalej. Wznosili się powoli, pozostawiając za sobą otwarte mokradła pól. Cassie opuściła szybę i owionęło ją gorące, niemal lepkie powietrze. Szybko zamknęła okno, odcinając się od świata na zewnątrz. Obce jej były te widoki, dźwięki i zapachy. Siedziała opierając się o lepkie, obite plastykiem siedzenie i obserwowała gęstniejącą wokół dżunglę.

Samochód sunął po niemal nie istniejącej drodze. Cassie czuła, jak upał rozgrzewa dach, jak wygrywa z klimatyzacją. Zaczęła się pocić. Bezlitosne słońce wisiało nad głową rzucając prosto na nich ostre promienie.

Kierowca zwolnił i znów spojrzał przez ramię.

— Wkrótce będziemy na miejscu. Jak długo się tam pani zatrzyma?

— Trudno powiedzieć. To zależy.

— Od czego?

Cassie sama nie wiedziała. Zobaczy. Instynkt podpowiadał, że ma tam pojechać, może żywiła nadzieję, iż się myli i wszystko będzie porządku. Zmarszczyła brwi.

Wietnamczyk był strasznie ciekawski jak na kierowcę.

— Od mojego nastroju — odparła ostro.

— Poczekam, jeśli pani sobie *tyczy*. W przeciwnym razie jak pani wróci?

— Tak, poczekaj przez jakiś czas. Powiem ci, czy chcę zostać, jak porozmawiam ze swoją przyjaciółką.

— Ma pani przyjaciółkę w obozie?

— Tak. Czeka na mnie — dodała Cassie, żeby przekonać jego i siebie.

Ewa stała w niedbalej pozie, zachowując jednak wyjątkową czujność. Paliła papierosa i obserwowała, jak dym miesza się z powietrzem dżungli i znika.

Odczekała, aż ostatni z obozowych strażników wszedł do prowizorycznego gabinetu Frazera, po czym rzuciła papierosa i schyliła się, żeby poprawić sznurówki w tenisówkach. Ponownie rozejrzała się wokół. Na wieży obserwacyjnej stał

wartownik. Ewa, mimo że zasłaniała ją duża przybudówka pełna worków, wiedziała, iż jeśli się poruszy, wartownik ją dostrzeże. Odczekała, aż mężczyzna się odwróci, żeby skontrolować najdalsze zakątki obozu, po czym ruszyła przed siebie, przemierzyła dziesięć jardów otwartego terenu i dopadła skraju rozciągającej się wokół dżungli. Skryła się za drzewem i ponownie spojrzała na obóz, wypatrując ścigających ją ludzi. Nic się nie działo. Niemal jakby chcieli, żeby uciekła.

Przez cały ranek wartownicy byli rozdrażnieni, zastraszeni, wyczekujący i opieszali.

Przez ostatnich kilka dni, gdy patrzyli na Ewę, w ich oczach widać było arogancję strażników więziennych. W ciągu dnia pozwalali jej spacerować, ale wiedziała, że teren jest dobrze strzeżony i nie może go opuścić. W nocy zamykali Ewę w pokoju z zakratowanymi oknami. Obserwowała wszystko uważnie i czekała na sposobność ucieczki. Ale dzisiaj, ku jej zaskoczeniu, strażnicy niemal zupełnie nie zwracali na Ewę uwagi, jakby już nie istniała. Frazer patrzył na nią z typową dla siebie oziębłością ale w jego oczach wciąż iskrzyło się pożądanie. Nastąpił między nimi wyraźny podział ról na jeńca i oprawcę.

Ewa naprężyła mięśnie. Czekala. Rozejrzała się i pobiegła szybko. Dżungla, podobnie jak teren obozu, sprawiała wrażenie pułapki. Pot ściekał Ewie po ciele.

Gniew dodawał jej siłę, miał Ewę doprowadzić w czterdzie-stostopniowym upale do odległego o dwie mile pola diamentowego i dalej. W obozie odkrywają że jej nie ma, wiedziała o tym. Być może znajdą Ewę i zatrzymają zanim dotrze do pola, ale musiała obejrzeć ten teren. Miała wrażenie, że czas ucieka. To sprawiło, że zaczęła biec szybciej, jakby mogła przegonić minuty.

Zgodnie z sugestiami Frazera Ewa zwolniła dawną firmę budowlaną i wpuściła jego ludzi. Nowy zespół natychmiast zaczął prace przy pobieraniu próbek, powodując zamieszanie, które przyciągało zbyt wiele uwagi, jakby miało ją odwrócić od czegoś innego. Ewa zmusiła się do szybszego

biegu. Pędziła przez dżunglę, lekko stawiając stopy. Jedynymi dźwiękami były piski spłoszonych ptaków i jej własny oddech.

Zrobiło się jaśniej i Ewa wiedziała, że zbliża się do polany, na której znajduje się złożo. Upadła na kolana i zaczęła się czołgać. Zatrzymała się za drzewem, o kilka jardów od przesieki, skąd miała dobry widok. Drewniane chaty pozamykane były na kłódki. W czterech narożnikach znajdowały się punkty obserwacyjne. Sprowadzono maszyny; wielkie żółte giganty, które ryły ziemię.

Dzisiaj, jak co dzień, to miejsce tętniło życiem. Pracowały koparki. Ciężarówki przemieszczały się po polu, zrzucając wydobyte kamienie i ziemię na dwa pagórki

— jeden duży, drugi mały — odległe o jakieś czterdzieści stóp od miejsca, w którym przycupnęła Ewa.

Kolejna ciężarówka podjechała do mniejszego pagórka z drugiej strony. Wiozła ładunek kamieni, które miały około jednej stopy średnicy. Dziwne, pomyślała Ewa.

Pomiędzy głazami nie było ziemi. Ciężarówka zrzuciła ładunek na hałdę. Ewa patrzyła, jak kamienie spadają niemal bezgłośnie, nie wydając charakterystycznego łoskotu skał. Samochód zawrócił i odjechał.

Ewa rozejrzała się. Usypisko ziemi i kamieni może jej posłużyć za tymczasowy parawan przed robotnikami i wartownikami, których od czasu do czasu widziała, jak przemierzali teren. Na czworakach, cal po calu, przesunęła się do przodu, aż dotarła do sterty głazów i ziemi.

Jeden z nowo dostarczonych kamieni leżał w zasięgu ręki. Ewa podniosła go. Zimno jej się zrobiło, gdy dotknęła twardej gumy. Wewnątrz coś było skrzętnie zapakowane. Poszukała w rumowisku jakiejś ostrej skały. Ziemia dostała się Ewie za paznokcie, a pot przykleił włosy do twarzy. Natrafiła palcem na ostrą krawędź, pocięła krew. Ewa chwyciła kamień i szybko wycięła w gumie wąską szparę, którą stopniowo powiększała, aż w końcu udało jej się rozedrzeć powłokę. Gdy podniosła gumową kulę, wysypała się z niej cienka strużka białego proszku. Ewa rozpoznała go ze skurczem żołądka. Nie pośliniła palca, nie zgarnęła warstwy proszku i nie posmakowała. Znała go aż za dobrze — heroina. Frazer wykorzystał przeciwko Ewie jej własną pułapkę. Zrozumiała jego pomysły plan. Wysyłałby naszpikowane heroiną gumowe kamienie i próbki gleby do Australii, prawdopodobnie pod pozorem przeprowadzenia badań na dużych ilościach materiału. Ogłuszona gniewem nie słyszała zbliżających się kroków, nie spostrzegła zagrożenia, aż do chwili gdy było już za późno, gdy jakaś dłoń zacisnęła się na jej ramieniu, a przy skroni poczuła pistolet.

Podniosła wzrok i natrafiła na twarde, mroczne spojrzenie strażnika z krótkofalówką i z pistoletem w dłoni. Krótkofalówka zaskrzeczała z werwą. Usłyszała, jak wartownik mówi po wietnamsku:

— Kobieta Frazera jest tutaj. Odkryła heroinę.

Czas stanął w miejscu, jak to się zwykle dzieje, gdy wpada się w pu-

łapkę, wszelkie docierające z zewnątrz dźwięki stały się odległe. Ewa była tak wściekła, że nic nie

słyszała. Czuła jedynie obezwładniający strach. Świadomość, że gra dobiegła końca w chwili, gdy dokonała takiego odkrycia, przyprowadziła Ewę o mdłości. Wiedziała, co się stanie. Śmierć była nieunikniona. Ostatnie cztery lata były upominkiem skradzionym Frazerowi. Przez długą chwilę Ewa wpatrywała się w dal. Nagle odwróciła się do wartownika. Liczyła się każda sekunda.

Podjechał dżip. Wsiadło z niego trzech innych strażników. Jeden przyniósł sznurek i związał Ewie ręce. Wepchnęli ją do dżipa. Usiadła z tyłu. Dwaj strażnicy zajęli miejsca po bokach. Dwaj z przodu. Jechali dróżką przez dżunglę z powrotem do obozu, do Frazera.

Ewa przyglądała się drzewom, wielkim liściom. Dostrzegała każdy szczegół.

Spojrzała na niebo, niebieskie i ogromne. Ujrzała przed sobą twarz Stormonta tak wyraźnie, jakby stał przed nią usłyszała głos, poczuła jego obecność. Znała te sztuczki, które płatał przerażony umysł. Wiedziała, że jest zupełnie sama.

Gdy wprowadzono Ewę, Frazer czekał już w drewnianym pomieszczeniu. Nad jego głową obracał się wiatrak, wprawiając w ruch gorące powietrze, które oblepiało Ewę jak pajęczyna. Frazer spojrzał na byłą kochankę i nie odezwał się. Stała przed Tai Panem ze stoickim spokojem. Wytworzyło się między nimi to samo napięcie, które odczuwali będąc ze sobą w łóżku. Ale teraz w oczach Frazera widać było, że skazuje ją na śmierć. Zniknęły pozory. Ewa stała sztywna, gotowa na przyjęcie wyroku. Frazer zachowywał się swobodnie, jakby miał dużo czasu.

W końcu uśmiechnął się i Ewa poczuła falę mdłości. Ręce miał złożone z tyłu i zdawało się, że coś w nich trzyma. Odezwał się lodowatym, pozbawionym emocji głosem:

— Więc odkryłaś moją heroinę, Ewo. Wiesz o niej wszystko, co? Byłaś od niej uzależniona, jak sądzę, kiedy dla mnie pracowałaś. Osiem lat temu. Le Maiowi wydawało się, że rozpoznał cię w Londynie. Potem, w Hongkongu, nabrał

pewności. Trudno było mi uwierzyć, że byłaś narkomanką że się wyleczyłaś, że zaatakowałaś mnie po tylu latach. Gdy się poznaliśmy, kazałem cię sprawdzić.

Śledził cię prywatny detektyw. Doniósł, że nie miałaś żadnych kłopotów ze zdrowiem. Zdawało się, że jesteś tą za którą się podajesz; nauczycielką angielskiego w Wietnamie, której dopisało szczęście i odkryła złożę diamentów. Mało prawdopodobne, ale możliwe. Ale po tym, jak Le Mai cię rozpoznał, kazałem komuś innemu sprawdzić cię dokładniej. Odkrył twoje uzależnienie od heroiny i od tej chwili, moja droga Ewo, już nie żyjesz. Ty i detektyw, który mnie okłamał, Owen Quaid. — Frazer wzruszył ramionami. — Quaid miał romans z twoją przyjaciółką Cassie. Bez wątpienia zmówili się, żeby cię chronić. Nie na wiele się to przydało, co?

Ewa patrzyła na Frazera, a zamęt w jej myślach mieszał się ze strachem. Skąd mógł się dowiedzieć o uzależnieniu? W jej rejestrach wszystko powinno być wymazane i zastąpione nowymi danymi.

Frazer zbliżył się do Ewy o krok. Bawił się czymś, co trzymał w dłoniach.

— Ach, Ewo, jaka szkoda. Taka piękność. Było w tobie tyle wspaniałych rzeczy... I wielka siła woli

— nielicznym narkomanom udaje się przeprowadzić odwyk.

Niewielu jest w stanie przez to przejść. Ale to wszystko w imię dobrej sprawy, co?

— Sarkazm wykrzywił mu usta. — Żebyś mogła wrócić i pozyskać mnie dla MI6, zgadza się? Zawsze wiedziałem, że jest jakaś tajna agentka w mojej organizacji. Raz wydawało mi się, że już ją mam — przygotowałem zasadzkę. Została złapana i powieszona, więc nie mogła być agentką prawda? Jej ludzie by ją wyciągnęli.

Pewnie o tym słyszałaś. Podobno była twoją przyjaciółką. — Wzrok Frazera był drwiący, szydził z Ewy. — Taki drobny wypadek, ale ty bardzo wzięłaś go sobie do serca, mój mały szpiegu. — Przesunął palcem po jej policzku i cofnął rękę. Skóra Ewy była zimna jak lód.

Frazer zrobił krok do tyłu i spojrzał w przestrzeń. Nagle roześmiał się, a w jego oczach pojawiła się wściekłość.

— Prywatna wojna MI6. Przeciwno mnie. Muszą udowodnić celowość swego istnienia, więc grzebią w handlu narkotykami i bronią starają się go kontrolować, od czasu do czasu usiłują przeszkadzać. I wysłali cię, żebyś ze mną walczyła. Jakie miałaś zadanie, Ewo? Szpiegować mnie i składać raporty? Dowiedzieć się, kto za tym stoi, mimo że i tak nie umiecie całej tej maszyny powstrzymać? To jak teoria pustki, nie sądzisz? Nie można usunąć zła, bo inne zło wypełni pustkę. Być może większe zło. — Frazer przysunął się o krok. Jego wzrok był skupiony, przewiercał

Ewę na wylot. — Właśnie dlatego umrzesz, Ewo. Dla twojej bezsensownej sprawy, twojej i MI6. Jakie to uczucie, gdy się ma świadomość zmarnowanego życia?

Frazer urwał nagle, dostrzegając spojrzenie Ewy, pełne nienawiści, dumy i bezgranicznej pogardy. Krew w nim zawrzała. Odwrócił wzrok.

— Zdawało ci się, że możesz mnie zwyciężyć, że uda ci się sprawić, bym wpadł w potrzask? Nie martw się, nie oczekuję odpowiedzi. — Podszedł jeszcze bliżej. —

Mieliśmy pozostawić cię przy życiu do momentu, aż Ha Chin przybędzie wieczorem. Byłabyś dla niego niezłą rozrywką. Ale lepiej zakończyć wszystko od razu.

Chwyciło ją dwóch strażników, po jednym z każdej strony. Trzeci związał Ewie ręce i stopy, po czym wziął skórzany pasek i zacisnął wokół jej obnażonego ramienia. Żyłka na ręce Ewy zapulsowała i nabrzmiała. Frazer wyciągnął zza pleców dłoń trzymającą strzykawkę.

— Malutkie przedawkowanie, Ewo. Znowu jesteś narkomanką. Większość ćpunów po odwyku wraca do nałogu. — Uśmiechnął się. — Śmierć wysoce prawdopodobna, nie sądzisz?

Rozdział 46

Kierowca wysadził Cassie przed wejściem do obozu wojskowego. Wysiadła z samochodu, rozejrzała się i nasłuchiwała. Buczał generator energii elektrycznej, a z komina unosił się dym,

jednak nikogo w pobliżu nie było. Udała się w stronę dużego budynku usytuowanego pośrodku obozu. Drzwi były szeroko otwarte. Gdy się zbliżała, usłyszała pojedynczy głos. Nie mogła rozróżnić słów, jednak ton brzmiał

złowrogo. Zmusiła się do podejścia cichaczem jeszcze bliżej. Ruszyła na palcach w stronę źródła dźwięku. Zatrzymała się przed wejściem, oddychając ciężko. Do Cassie dobiegł teraz głos Frazera, przerażająco wyraźny. Nasłuchiwała, aż dotarło do niej, że wydaje na Ewę wyrok śmierci. Trzęsąc się z przerażenia, Cassie zajrzała do środka.

Frazer wkłuwał igłę w ramię ofiary. Ewa miała zamknięte oczy, ciało naprężone.

Cassie krzyknęła, jednym susem przeskoczyła próg, rzuciła się w stronę Frazera i zaatakowała go. Igła upadła na podłogę, a strażnik pochwycił Cassie.

Frazer odzyskał równowagę. Ewa spojrzała na strzykawkę i zorientowała się, że Frazer zdążył wstrzyknąć jedynie odrobinę płynu. Może nic jej nie będzie. Jednak Ewie robiło się coraz cieplej i zaczęła ogarniać ją senność. Próbowwała zwalczyć to uczucie, ale wiedziała, że traci kontrolę.

Cassie szarpała się ze strażnikiem, który wzmocnił uścisk. Wpatrywała się w Tai Pana, jakby niczego nie mogła pojąć. Zanim zdołała wykrztusić z siebie jakieś słowo, pierwszy odezwał się Frazer.

— Cassie Stewart. Trochę daleko od domu, prawda? Czy zechcesz nam wyjaśnić, co tutaj robisz?

W jego głosie brzmiała ironia. Przerażenie Cassie najwyraźniej nie robiło na Frazerze żadnego wrażenia, jakby był przyzwyczajony, że ludzie się go boją.

Cassie wpatrywała się we Frazera, aż w końcu zdołała wykrztusić:

— Kim jesteś?

Roześmiał się.

— Tym samym człowiekiem, którym byłem zawsze.

Cassie dostrzegła w oczach Frazera desperację i poczuła, jak ogarnia ją paraliżująca bezsilność. Jednak nadal chciała zadawać mu pytania, rozpaczliwie próbując doszukać się jakiejś logiki w zachowaniu Frazera.

— Jak mogłeś usiłować zabić Ewę?

— Dowiedziała się o mnie zbyt wiele.

— Więc po prostu chcesz ją uciszyć?

— To konieczne.

Do tej pory Cassie nie miała pojęcia, jak wielka może być moc nienawiści.

— Ty skurwielu, czy ty...

Frazer zrobił krok w stronę Cassie i uderzył ją w twarz.

— Zamknij się. Powiedz mi, jak się tu dostałaś.

Cassie poczuła, że kręci jej się w głowie, ale umysł, mimo wściekłości i bólu, pracował szybko.

— A co to za różnica? — odparła gorzko. — Kierowca mnie podwiózł.

— Odjechał?

— Tak. — Wskazała torbę u swoich stóp. — Pomyślałam, że zatrzymam się tu kilka dni. Przecież nie mogłam mu kazać czekać, prawda?

Frazer przyglądał się młodej kobiecie przez chwilę, jakby starając się wykryć kłamstwo. Cassie miała nadzieję, że Frazer jej uwierzy, liczyła na to, iż jej nieobecność w jakiś sposób zaniepokoi kierowcę i może zrobi coś, żeby im pomóc.

Frazer zwrócił się do strażników:

— Rozejrzyjcie się. Sprawdźcie, czy ten typ gdzieś tu nie węszy. Jeśli go znajdziecie, przyprowadźcie do mnie. Te dwie zamknijcie. Ha Chin przyjeżdża za pięć godzin. Do tej pory załatwimy sprawę.

Cassie i Ewa siedziały na klepisku, w cuchnącym pomieszczeniu bez okien. Były zwrócone do siebie twarzami i miały skrępowane ręce oraz nogi.

— Och, Cass, czemu, na Boga, musiałaś tutaj przyjeżdżać? W głosie Cassie brzmiało śmiertelne przerażenie.

— Dowiedziałam się czegoś o Frazerze. Pewne osoby sądzą że zabił naukowca, który sprzedawał mu tajemnice wojskowe. Chciałam tu przyjechać, żeby cię przed nim przestrzec, poza tym coś, co powiedziałaś, a raczej sposób w jaki to powiedziałaś, gdy telefonowałaś z Hongkongu... miałam wrażenie, że boisz się Frazera.

— Bałam się.

— Gdy usłyszałam, że zatrzymacie się w obozie, pomyślałam, że powiadomiłaś mnie o tym celowo.

— Tak było. Ale nie chciałam, żebyś tu przyjeżdżała.

— Więc kto? Ach, jasne, Andrew Stormont.

— Powiedziałaś mu o obozie?

— Nie. Nikomu nie mówiłam. O tym, że tu przyjechałam, wie mój współlokator i agent z biura

podróży, nikt więcej. — Cassie przerwała. — Zabije nas, prawda?

— Tak.

— I to prawda, co powiedział Frazer? Jesteś agentką MI6?

— Nie ma teraz sensu temu zaprzeczać. — Ewa odwróciła wzrok. — Jaka ulga, że nie muszę już kłamać.

— Wszyscy coś ukrywamy, Ewo, nie tylko ty masz swoje tajemnice. — W miarę jak nadzieja opuszczała Cassie, jej miejsce zajmowało rozgoryczenie.

— Wcześniej czy później wszyscy chcemy być rozumiani.

— Wiedziałam, że byłaś uzależniona, jeśli to masz na myśli. Ewa patrzyła na ścianę za plecami Cassie.

— Właśnie to mnie intryguje. Frazer mówił o jakimś prywatnym detektywie, który dowiedział się o moim nałogu, ale mu o tym nie doniósł. Twierdził, że ty i ten detektyw, Quaid, mieliście romans i zatailiście sprawę heroiny, żeby mnie chronić.

Opowiedział wszystko szczegółowo, zrobił długi wykład. Chciał udowodnić, jaki jest bystry, wyrzucił na mnie wrażenie, mimo że planował mnie zabić.

— Twoje dawne uzależnienie wydawało się sprawą nieistotną.

— To miło z twojej strony, ale nie o to chodzi. Ten detektyw doszukał się tego w moich rejestrach medycznych, czy tak?

— Tak sędzę.

— Nie powinien niczego znaleźć. Ludzie z Firmy mieli dopilnować, żeby nie było o tym wzmianki. Specjalne służby stwarzają dla agentów coś, co nazywają legendą.

Starają się, żeby życiorysy ich ludzi były jak najbardziej zbliżone do ideału. Mój nie uwzględniał uzależnienia. Miałam być czysta. Skoro informacja o mojej narkomanii pozostała w rejestrze, oznacza to, że ktoś działał celowo, zdając sobie sprawę, iż jeśli Frazer się o tym dowie, będę spalona.

— Spalona?

— Że zginę. Ktoś w Firmie chciał, żebym zginęła. Cassie patrzyła na nią z rozpaczą.

— Kto? I dlaczego?

— To mogła być tylko jedna z trzech osób. Pewnie nigdy się nie dowiem. A dlaczego? Kto wie? Miałam świadomość, że muszę walczyć z Frazerem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, iż powinnam

zwracać bacniejszą uwagę na własne podwórko. Najgorsze, że Frazer ma rację co do tego moralnego relatywizmu. Firma nigdy nie planowała go zabić; chcieli jedynie, żeby dla nich pracował. Ja miałam zmusić Frazera do tego. Stanowiłby ogniwo łączące z siatką przestępczą. Takich ludzi jak on powinno się eliminować, ale są tak potężni, tak skorumpowani, że stali się nowymi nietykalnymi. — Spojrzała na Cassie. — Zrobiłabym to. Teraz jest już za późno.

— Na jakiej zasadzie to wszystko działało? O co tu naprawdę chodzi?

— O dwie rzeczy, o to, czego pragnie TSW i czego pragnę ja. Firma chce usidlić Frazera, chce się do niego zbliżyć. Uważają że jest skorumpowany. Ale nie zamierzają go usunąć, jedynie podejść na tyle blisko, żeby zdobyć przeciwko niemu jakieś oczerniające dowody, zmusić szantażem do szpiegowania Chińczyków.

Frazer prowadzi szeroko zakrojone interesy w Chinach, zna tam wszystkich znaczących ludzi. Chodzi o ograniczanie zbrojeń. Firma chce, żeby donosił o programach zbrojeniowych Chin — kto im sprzedaje broń i technologie, szczególnie jądrowe i chemiczne. — Ewa przerwała. — Złoże diamentowe było wymyślone jako pułapka na Frazera.

— Dlaczego sądziliście, że on w nią wpadnie?

— Każdy ma słabostki. Chodziło o to, żeby wykorzystać słabe punkty.

— Jakie?

— Ciekawość i chciwość. Frazer zbił majątek, ale to nie ma znaczenia. Zarabianie pieniędzy jest jego narkotykiem. Musi to robić bez przerwy, a diamenty przynoszą ogromne zyski. Poza tym kopalnia służyła Frazerowi jako wygodna przykrywka dla ciemnych interesów.

— A Case Reed i ja? Jak my byliśmy z tym powiązani?

— Obawiam się, że po prostu byliście przydatni. Nie mogliśmy zwrócić się bezpośrednio do Frazera, więc poprosiliśmy naszego wspólnego przyjaciela, żeby zachęcił go do prowadzenia interesów z kilkoma drobnymi brytyjskimi udziałowcami. Wybraliśmy dwie beznadziejne firmy i Case Reed, co gwarantowało, że dobrze wypadniecie. Potem opowiedziałam ci o złożu diamentów, a resztę pozostawiłam przypadkowi. Tylko że to nie był przypadek, to była kalkulacja.

— A jak przewidziałaś moje zachowanie?

— Promowałaś tę transakcję. Twoimi słabościami była chciwość i chęć w spółzawodnictwa. — Chęć spółzawodnictwa?

— Masz to we krwi. Wiedziałam, iż się jej nie oprzesz, że nadal będziesz działała pod jej wpływem.

— O czym ty, do cholery, mówisz?

— Teraz to nie ma znaczenia, Cassie. — Ewa odwróciła wzrok, zmęczona bezcelowością tej rozmowy.

— Więc mnie nienawidzisz i wykorzystałaś mnie w swoich knowaniach.

— To nieprawda. Nigdy nie chciałam, żeby coś ci się stało. Raz próbowałam ostrzec cię przed tą transakcją. — Ewa uśmiechnęła się. Oczy zaszyły jej mgłą narkotycznego odurzenia. — Byłaś odpowiednią osobą na odpowiednim miejscu.

Nie miało to podłoża osobistego.

— Wciąż mnie zwodzisz, tak jak zwodziłaś Frazera.

— Witam w prawdziwym świecie, kochanie. Nie w twoim świecie kapitałów udziałowych, gdzie podejmujesz ryzyko jedynie na papierze, gdzie siedzisz bezpiecznie przy stole prezydialnym i dyskutujesz na temat szans, gdzie najgorsze, co może się wydarzyć, to możliwość stracenia niewielkich pieniędzy i to najczęściej nie swoich. To są zawsze cudze pieniądze, prawda? Ktoś inny ryzykuje, a ty stoisz obok i obserwujesz pozostając w bezpiecznej odległości. Ciągłe na uboczu, wiecznie chroniona. Tylko że nie zawsze chcesz się izolować, prawda? Zwęszyłaś ryzyko i ruszyłaś jego tropem. Pomknęłaś za nim z wielką energią nie tylko dlatego, że ja cię zachęcałam. Byłaś żądna ryzyka, rozpaczliwie pragnęłaś przygody, zdecydowanie chciałaś zrobić w swoim życiu coś nieprzewidywalnego, coś nieobliczalnego.

Ewa przerwała na chwilę i patrzyła Cassie prosto w oczy. Obie miały świadomość, że mimo wrogości, złości i dziwnej litości, którą do siebie czuły, nie ma czasu na żywienie urazy.

— Teraz masz swoją dawkę mocnych wrażeń — ciągnęła Ewa. — Jakie to uczucie?

— Sama powiedz. Ty mnie tutaj ściągnęłaś. Ewa nagle skuliła się.

— Nigdy się nie dowiesz jak mi przykro, że ci to zrobiłam. Głos Cassie był niski i pełen wściekłości.

— Sobie też to zrobiłaś. Czy z tego powodu nie jest ci przykro? Działasz pod przymusem, jesteś od niego zależna, miotasz się pomiędzy strachem i pragnieniem brawury. Nawet nie potrafisz ocenić, kiedy powinnaś się angażować, a kiedy zrezygnować. Pędzisz ślepo przed siebie i nazywasz to odwagą. Bo to nieźle wygląda, prawda? Nieustraszona, odważna Ewa, nie ugnie się przed niczym. Ale dlatego, że tak gnasz, nie potrafisz się zatrzymać. I przed czym uciekasz? Nigdy nie przystajesz, żeby przyjrzeć się swoim słabościom, nie mówiąc już o rozprawieniu się z nimi. Jesteś uciekinierką tak samo jak ja. Tylko trochę lepiej kamuflujesz swoje lęki.

— Och, Cassie, ja nie mam wyboru. Ty prowadzisz spokojne życie. Do tej pory nic strasznego ci się nie przytrafiło, prawda? Nigdy nie byłaś niewinną ofiarą. Jak łatwo zaakceptować twój dobrotliwy światopogląd, twój sposób postępowania, zgodny z zasadą że osobista odpowiedzialność jest odpowiedzią na wszystkie pytania.

— Mówisz tak, jakby to, co ci się przytrafiło, było wyłącznie dziełem braku szczęścia — odparowała Cassie. — To było w pewien sposób nieuniknione. Zawsze miałaś skłonności do samozniszczenia. Ja staram się wyprostować ścieżki mojego losu, ty próbujesz je gmatwać.

— Nie wydaje ci się, że wolałabym żyć inaczej, spoglądać na wszystko optymistycznie? Ty nie widziałaś brzydoty świata. Gdy moja rodzina się rozpadła, poznałam ciemne strony życia aż za dobrze. Jakby jedno oko zaszło mi bielmem.

Wszystko, co widziałam, było skryte w cieniu. Nawet gdybym w słoneczny dzień zjeżdżała na nartach po najpiękniejszym białym stoku, na śniegu widniałyby mroczne plamy. Heroina była ucieczką od tego, cudownym, choć trującym balsamem. Cassie wpatrywała się w ciemny sufit.

— Ja też szukałam ucieczki w codziennej rutynie, ale nie mogłam tego znieść. Masz rafcję, pragnęłam czegoś więcej. Miałam niesamowite poczucie braku satysfakcji.

Chyba tonęłam w jałowej codzienności. To jeden z powodów, dla których zawsze Ignęłam do ciebie. Wiecznie zdawałaś się toczyć swoją własną osobistą walkę.

Ciągle byłaś niespokojna.

— Cóż, obie się myliłyśmy, prawda? Dotarliśmy do tego samego punktu. I tutaj koniec.

Przez chwilę dwie kobiety jedynie patrzyły na siebie w milczeniu, widząc w swoich oczach rozpacz. W końcu Cassie odezwała się:

— Albo obie miałyśmy rację. Co byś zrobiła, gdybyśmy się wydostały, gdyby jakoś udało nam się uciec?

— Nie uda nam się. Nie marnuj czasu.

— Wiem o tym. Ale to sobie wyobraź.

Ewa poruszyła się na klepisku. Więzy wrzynały jej się w nadgarstki i w kostki.

— Starożytni Grecy wierzyli, że poprzysiężenie zemsty jest układem pomiędzy człowiekiem i Bogiem. Że jest najważniejsze. Nieodwołalne.

— Taki miałaś zamiar, prawda? Powiedziałaś, że MI6 opracowało swój plan, a ty posiadałaś swój.

Ewa przytaknęła.

— Natychmiast bym tu wróciła. Zrobiłabym to, co chciałam zrobić przez cały czas.

Wróciłabym, żeby zabić Frazera.

Rozdział 47

Andrew Stormont przybył do Hanoi późnym rankiem. Zawieziono go prosto do ambasady, przy ulicy Ly Thuong Kiet pod numer 18, gdzie siedząc w klimatyzowanym pokoju słuchał relacji szefa stacji, Charlesa Courtney

— Dwaj nasi ludzie odebrali wczoraj Cassie Stewart z lotniska i zawieźli ją do

„Metropole'u". Zarejestrowała się, poszła na spacer, zjadła kolację, nie nawiązała żadnego znaczącego kontaktu. Ale poprosiła recepcjonistę, żeby załatwił jej kierowcę, który by ją zawiózł do obozu wojskowego Frazera w Lang-son.

Dowiedzieliśmy się o tym i podstawiliśmy naszego człowieka, Truonga. Zawiózł

panią Stewart tam dziś rano. Pół godziny temu nadał przez radio, że ją zostawił. To miejsce jest na ogół pełne strażników, ale wszyscy musieli być na terenie obozu.

Żadnego śladu Ewy Cunningham ani Frazera. Truong bał się, że wartownicy wyjdą na obchód i go zobaczą musiał więc wjechać nieco w głąb dżungli i ukryć dzipa. To mnie niepokoi. Od kilku dni Truong dyskretnie obserwuje obóz i twierdzi, że strażnicy są cholernie rozdrażnieni. Boję się, co mogliby mu zrobić, gdyby go złapali. — Courtney przerwał i skubał rękawy koszuli. — Mam nadzieję, że dobrze się ukrył, ale to utrudnia bezpośrednią obserwację, więc nie wiemy dokładnie, co się w tej chwili dzieje w obozie.

— Ilu jest strażników? — spytał Stormont.

— Około dziesięciu. Było mniej. Większość chyba dotarła dzisiaj, prawdopodobnie z pola diamentowego, bo tam też się od nich aż roi.

— Jak ci się wydaje, co tam się dzieje?

— Coś niepokojącego. Wszyscy strażnicy są mocno uzbrojeni i panuje duże zamieszanie. Wiem, że diamenty wymagają obstawy, ale ta jest przesadna.

— Gdybyśmy musieli kogoś stamtąd wyciągnąć...?

— O ile nie masz jakiegoś sposobu, żeby wejść na ten teren jako przyjaciel i wyjść, wciąż pozostając z nimi w przyjaźni, zrobi się z tego krwawa jatka.

— Może istnieje jakiś sposób. O ile jeszcze nie jest za późno.

— Sądysz, że już może być?

— Jak sam twierdzisz, coś tam się dzieje. Przygotowują się.

— Co chcesz zrobić?

— Zastosować cios w aksamitnej rękawicy. Pojadę tam i porozmawiam z Frazerem.

— Nie jestem pewien, czy... Stormont przerwał nagle.

— Ja będę rękawicą. Ty pozostaniesz poza obozem z taką liczbą ludzi, jaką uda ci się zgromadzić. Dam Frazerowi wybór. Albo uwolni Ewę, albo urządzimy kaźń.

— A ty będziesz pierwszą ofiarą.

— Nie sędę, by do tego doszło.

— Rosyjska ruletka.

— Nie. W ruletce szanse są mniejsze i inna jest motywacja.

— Wiesz, że nie dorównamy im siłą. Nie w tak krótkim czasie. Raczej wątpię, by wszyscy ludzie, których uda nam się zwerbować, tak optymistycznie oceniali nasze szanse, jak ty.

— Nie muszą. Zagrożenie z naszej strony jest blefem. Potrzebna mi jedynie wystarczająca liczba ludzi, żeby stworzyć wrażenie potęgi. Jeśli blef się nie uda, wszyscy możecie się stamtąd wynieść.

Courtney pokręcił głową zastanawiając się nad ryzykiem. Jednak już wcześniej pracował ze Stormontem w terenie, wiedział, że jest dobry.

— Zbiorę tylu ludzi, ilu zdołam. Ile mam czasu?

— Dwie godziny.

Frazer popatrzył na Le Maia.

— Ile razy mam powtarzać? To musi wyglądać na przypadkową śmierć.

Przedawkowanie narkotyków jest do przyjęcia. Ale teraz jeszcze musimy uporać się z Cassie Stewart.

— A może wypadek drogowy?

— Jak? Pozwolić im stąd wyjechać, a potem napuścić na nie jedną z naszych koparek? Nie bądź śmieszny. Ewa łatwo by się z tego wywinęła.

Le Mai uśmiechnął się nagle.

— Niemal zapomniałem. Coś z czasów wojny. Granat w baku z benzyną.

Wyleciałyby w powietrze aż pod niebo. Jakby najechały na minę. A wszyscy wiedzą że ten kraj wciąż jest naszpikowany minami.

— Jak to działa?

— To proste. Trzeba się upewnić, że wlew baku paliwa jest odpowiednio szeroki, następnie wyciąga się zawleczkę z granatu, na sprężynę nakłada gumkę recepturkę i wrzuca granat do baku. Napełnia się bak

benzyną i czeka. Benzyna przeżera gumkę i do widzenia. — Dwaj mężczyźni zaśmiali się cicho.

— Doskonale. Zorganizuj to tak, żeby wybuch nastąpił jakiś kawałek drogi stąd, gdzieś ze dwie mile dalej.

— Nie mogę tego tak dokładnie wyliczyć. Może wybuchnąć zbyt szybko, wysadzić nas wszystkich w powietrze. Jedna gumka, dziesięć mil i ćwierć galona benzyny powinno wystarczyć.

— Ile ci to zajmie?

— Pięć minut. Ale jak je przekonasz, żeby odjechały tym samochodem?

— Coś wymyślę.

Rozdział 48

Ewa i Cassie siedziały zamknięte w ciemnym pomieszczeniu, kiedy usłyszały zbliżające się kroki, ciężkie i powolne. To nie był szybki stukot nóg Wietnamczyka.

Ewa wiedziała, że zbliża się Frazer. Skoble zaskrzypiały w zardzewiałych suwnicach i drzwi się otworzyły. Frazer stał, oświetlony od tyłu blaskiem słońca.

Jego twarz była niewidzoczna.

— Pomyślałem, że chciałybyście wiedzieć, co się dzieje. Twoja organizacja najwyraźniej cię ceni, Ewo. Skontaktowali się z nami. Zaaranżowaliśmy zadowolające nas wszystkich wyjście z sytuacji.

Asystujący Frazerowi strażnicy wyciągnęli kobiety z ciemnej komórki. Le Mai podszedł do nich powolnym krokiem. Strażnicy porozcinali więzy krępujące kostki i nadgarstki kobiet.

— Możecie odejść, obie. — Frazer gestem wskazał dżipa stojącego kilka jardów dalej. — Jedźcie do Hanoi. Wsiądźcie do pierwszego samolotu odlatującego do Anglii.

Ewa przeniosła wzrok ze swoich napuchniętych kostek na twarz Frazera, jakby nie dowierzała, że oswobodzono jej nogi, i że Frazer nie kłamie. Tai Pan rzucił kluczyki do dżipa. Ewa wyciągnęła zupełnie zdrętwiałą od ucisku rękę. Nie udało jej się złapać kluczyków. Upadły u stóp Ewy. Gdy się schyliła, poczuła przyływ mdłości.

Nie dowierzała obietnicy wolności, ale delectowała się nią. Coś Ewie mówiło, że jeśli się oddali od obozu, może wpaść w pułapkę, ale pozostanie na miejscu było samobójstwem. Ścisnęła kluczyki w garści i wyprostowała się. Odwróciła się do Cassie, która patrzyła na nią ze strachem i niedowierzaniem.

— Dalej. Jesteście wolne. Jedźcie.

Ewa wstała z wysiłkiem, złapała Cassie za ramię i popchnęła przyjaciółkę. Bez słowa doszły do dżipa i wsiadły do środka. Ewa wciąż nie mogła uwierzyć w realność tej sytuacji. Otumaniona heroiną usłyszała, jak jeden ze strażników szepce coś drugiemu do ucha. Obydwaj roześmiali się głośno. Strażnik mówił coś o minach. Ewa przekreśliła kluczyk w stacyjce, włączyła bieg, puściła

sprzęgło, przyspieszając na podwórku wzbila w powietrze tuman czerwonego kurzu i wyjechała na drogę.

Frazer patrzył za odjeżdżającym samochodem i czuł dziwny zawód. Oczekiwał, że Ewa odwróci się do niego, pokaże gniewną twarz. Jej milczenie zaniepokoiło Frazera. Niemal jakby wiedziała, że jeszcze się spotkają jakby jedynie odkładała odpowiedź na później.

Cassie, z włosami przylepionymi do twarzy, patrzyła przed siebie, podczas gdy Ewa pędziła po wyboistym dukcie, oddalając się od obozu.

Ewa zastanawiała się, dlaczego ma wrażenie, jakby wcale jej nie wypuszczono, jakby wciąż tkwiła w potrzasku. Poprzez oszołomienie wywołane heroiną do jej umysłu docierało jakieś ostrzeżenie. Wytężała myśli. Nie uwierzyła Frazerowi. To było mało prawdopodobne, choć możliwe, że Firma wynegocjowała ich zwolnienie.

W to Ewa mogła uwierzyć. Ale mniej zaufania wzbudzał wyraz twarzy Frazera.

Widziała, że jest żądny krwi i pragnie ją zabić. A jednak gdy patrzył, jak wsiada do dżipa i odjeżdża, na jego twarzy nie malowało się rozczarowanie. Jakby wciąż był

pewien, że Ewa zginie. Nagle powróciły do niej słowa Wietnamczyka: Ostrożnie na miny. Raptownie zahamowała.

Cassie krzyknęła: — Co robisz?! Czemu się zatrzymujesz?!

Ewa wyskoczyła z dżipa.

— Frazer nie wypuściłby nas tak łatwo. Jest pewien, że zginjemy. Widziałam to w jego oczach. Zaaranżował jakąś pułapkę, kryje się pewnie w dżipie. — Pociągnęła Cassie za rękę. — Dalej. Musimy się stąd wydostać na piechotę.

Przez chwilę Cassie sparaliżował strach, jaki zobaczyła również w oczach Ewy, a następnie ślepo ruszyła za przyjaciółką znikającą w rosnącym przy drodze lesie.

Przez pięć minut szły w milczeniu, jedna za drugą pot spływał im po ciałach. Nagle ciszę upalnej dżungli rozerwał huk wybuchu. Ptaki zaskrzeczały i sfrunęły z drzew.

Cassie i Ewa odwróciły się. Zobaczyły, że dżip, zostawiony jakieś ćwierć mili za nimi, stoi w ogniu. Powietrze wypełnił odór płonącej benzyny.

Ewa odwróciła się do Cassie, która wpatrywała się z przerażeniem w płonący wrak.

Złapała przyjaciółkę za ramię.

— Chodź. Lada chwila przyjadą żeby obejrzyć swoje dzieło. Dojdą do wniosku, iż nie żyjemy. Prawdopodobnie nie będą nas szukać. Ale im dalej uciekniemy, tym lepiej.

Cassie nie mogła się ruszyć. Patrzyła przed siebie nie widzącym wzrokiem. Na chwilę Ewę ogarnęła rozpacz, obawiała się, że Cassie pozostanie w tym miejscu na zawsze. Ścisnęła przyjaciółkę mocniej za ramię, aż paznokcie wbiły się w skórę.

— Dalej. Musimy uciekać! — Cassie w końcu zaczęła wykonywać nerwowe ruchy, które przerodziły się w nierówny trucht.

Biegły szybko przez ponad milę. Płuca niemal im eksplodowały z wysiłku. Gdy w końcu zatrzymały się, żeby zaczerpnąć tchu, usłyszały w oddali tępy łoskot. Przykucnęły, obserwując drogę i zobaczyły, jak zza zakrętu wyłania się ciężarówka wypełniona orzechami kokosowymi. W kabinie siedział

wąły Wietnamczyk, prawdopodobnie rolnik i śpiewał na cały głos. Gdy się zbliżał, Ewa wyszła na drogę. Rolnik gwałtownie zatrzymał swojego gruchota.

Cassie, skryta za drzewami, obserwowała, jak Ewa rozmawia z Wietnamczykiem, po czym dostrzegła, że przyjaciółka odwróciła się w jej stronę i kiwnęła głową.

Podbiegła i wraz z Ewą wskoczyła na tył ciężarówki. Rolnik włączył bieg i ruszył ze śpiewem na ustach.

— Jedzie do Hanoi. Zabierze nas tam.

Hanoi oznaczało budynki, miejsca gdzie można było się skryć i pozostać niewidzialnym, ale ich radość z ucieczki wciąż mieszała się ze strachem, gdyż czekała je jeszcze długa droga. Jechały w milczeniu. Po dwóch godzinach dotarły do przedmieść metropolii.

Ewa odwróciła się do Cassie.

— Twój współlokator wie, że tu jesteś. Czy jeszcze ktoś?

— Tylko David. — Cassie zapomniała o swojej rozmowie z Aubre-yem Goldsteinem i o jego obietnicy, że przyśle kogoś do Hanoi.

— Mógł komuś powiedzieć — stwierdziła Ewa.

— Co nas teraz czeka?

W miarę jak heroina przestawała działać, Ewa była coraz silniejsza.

— Może się wydarzyć milion rzeczy. Niektóre da się kontrolować, innych nie.

Mamy spore szanse wykaraskania się z tego, jeśli dobrze wszystko rozegramy.

— Nie powiedziała, że szanse były znacznie mniejsze dla niej niż dla Cassie.

Przyjaciółka mogła podjąć grę, Ewa nie.

Pochyliła się i zaczęła rozmawiać z rolnikiem po wietnamsku. Mężczyzna skręcił

nagle w prawo, zjechał z drogi wiodącej do „Metropole'u” i ruszył spokojną boczną uliczką która wiodła na tył hotelu. Ewa odwróciła się do Cassie.

— W „Metropole'u” będzie pełno ludzi szukających ciebie, mnie, albo nas obydwu.

Jeszcze nie chcę, żeby trafili na mój ślad. To, czy ciebie znajdą nie ma znaczenia, o ile zrobisz dokładnie to, co ci powiem.

Cassie patrzyła przez chwilę na Ewę, rozważając tę niemą prośbę o pomoc.

— Domyślam się, co masz zamiar uczynić, Ewo. Nie wiem jeszcze jak, ale pomogę ci, jak tylko będę umiała najlepiej — powiedziała w końcu.

Ewa skinęła głową. Milczała przez chwilę.

— Możesz po prostu pojechać na lotnisko — zabierz swój paszport i ruszaj.

Cassie nie odpowiedziała, pokręciła jedynie głową.

— No więc dobrze. Wskoczę w uliczkę na tyłach hotelu. Wejdę do środka i poczekam w pomieszczeniach kuchennych. Rolnik podwiezie cię do frontowych drzwi. — Ewa wyjaśniła szczegółowo rolę, jaką miała odegrać Cassie. — To może zająć jakieś cztery, pięć godzin, być może całą noc. Nie czekaj na mnie. Wsiadaj do pierwszego samolotu lecącego do Anglii. Nie wracaj do domu, pojedź do Case Reed. Jeśli mi się uda, zostawię tam wiadomość. Wtedy będziesz bezpieczna. Jeżeli nie będzie ode mnie informacji, zadzwoń do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i poproś o połączenie ze Stormontem, Opowiedz mu wszystko. Nie potrafię przewidzieć, co zrobi, ale jego działanie przyniesie jakieś efekty.

— Jesteś pewna? Ktoś w Firmie chciał, żebyś zginęła.

— Ja, nie ty. Poza tym sama nie wygrasz z Frazerem, Stormont jest jedyną osobą która może ci pomóc.

— Sądzisz, że to on cię wrobił?

— Mam nadzieję, że nie, Cassie.

Ciężarówka zatrzymała się. Ewa rozejrzała się, zeskoczyła i odeszła szybko. Cassie patrzyła, jak przyjaciółka znika. Ewa nie zawahała się ani przez chwilę, nie odwróciła się, żeby pomachać na pożegnanie.

Ciężarówka skręciła i potoczyła się w stronę głównej ulicy, ku frontowemu wejściu do „Metropole'u”. Cassie pogmerała w torebce i wręczyła rolnikowi pięćdziesiąt dolarów. Popatrzył na nią uszczęśliwiony, skłonił się lekko i odjechał.

Cassie wbiegła szybko po schodach do foyer. Podeszła do kontuaru recepcji, rozpychając się łokciami wśród grupy biznesmenów czekających cierpliwie w kolejce, aż recepcjonistka się nimi zajmie.

— Jest pewien problem związany z bezpieczeństwem w waszym hotelu.

Recepcjonistka gwałtownie podniosła wzrok znad komputera.

— Słucham?

— Nie słyszała mnie pani? Powiedziałam, że jest problem z bezpieczeństwem.

Kierowca, którego mi przydzieliliście, wywiózł mnie za miasto i obrabował.

Recepcjonistka rozejrzała się wokół nerwowo.

— Może pani pozwoli tędy, poproszę dyrektora.

Zadzwoiła po koleżankę, po czym poprowadziła Cassie do biura dyrektora.

— Pani, będąca gościem naszego hotelu, twierdzi, że została obrabowana przez jednego z naszych kierowców.

Dyrektor szybko rzucił okiem na sfatygowany strój i potargane włosy Cassie.

— Tak mi przykro — powiedział, zrywając się z miejsca. — Jak możemy pani pomóc?

— Ukradł mi pieniądze i klucz do pokoju. Obawiam się, że mógł mieć jakiegoś wspólnika i splądrowali mój pokój. Chciałabym, żeby wasza ochrona najpierw sprawdziła, czy mogę bezpiecznie wrócić do numeru, i odprowadziła mnie tam pod eskortą. Nie mam zamiaru powiadamiać policji. Jeszcze nie. Wolałabym załatwić tę sprawę po cichu.

Dyrektor przytaknął.

— Oczywiście, proszę pani. Zaraz to zrobimy. — Podniósł słuchawkę i wezwał ochronę. Szybko pojawił się krzepki portier i dwóch Wietnamczyków bez liberii.

— Jaki jest numer pani pokoju?

— Trzysta trzystaście.

Dyrektor odezwał się do ochroniarzy po wietnamsku. Spojrzeli szybko po sobie, wzięli od dyrektora zapasowy klucz i zniknęli. Wrócili pięć minut później.

— Sprawdziliśmy. Nikogo nie ma. I pani pokój jest chyba nie tknięty. Wydaje mi się, że nikt go nie przeszukiwał.

— Pójdę teraz do siebie — powiedziała Cassie. — Ale mam prośbę, czy moglibyście wystawić strażnika na moim piętrze? Obawiam się, że ten złodziej tu wróci. — Przerwała. — Oczywiście zawsze mogę zatrzymać się w ambasadzie.

— Nie, nie. To nie będzie konieczne. — Dyrektor podniósł się i wręczył Cassie zapasowy klucz. — Wystawię tam strażnika.

— Dziękuję. — Cassie wstała. Podeszła do drzwi i zatrzymała się. — Och, zapomniałam coś dodać. Mężczyzna, który mnie obrabował, był uzbrojony, miał

automatyczny pistolet.

Cassie odwróciła się i odeszła w asyście jednego z ochroniarzy. Wspięła się po schodach i ruszyła korytarzem do swojego pokoju. Bez zastanowienia wsunęła do zamka klucz, przekręciła go i szeroko otworzyła drzwi. Pokój wyglądał tak, jak go pozostawiła rano. Spojrzała na zegarek: to było siedem godzin temu. Gdyby mogła cofnąć czas, zastałaby tu kogoś obcego. Zamknęła drzwi; strażnik pozostał na zewnątrz.

Na dnie walizki Cassie znalazła małą białą kopertę; fundusz zabezpieczający.

Odliczyła trzy tysiące dolarów, wsadziła je do jednej z hotelowych kopert i ukryła w torebce. Następnie wzięła klucz i opuściła pokój. Gdy dotarła do kuchni, Ewa czekała na nią tak jak obiecała, przy wyjściu na obskurne podwórko. Cassie wręczyła Ewie pieniądze, ściskając przy tym dłoń przyjaciółki.

— Powodzenia.

— Dzięki, Cassie.

Zanim Cassie zdążyła dodać coś więcej, Ewy już nie było.

Rozdział 49

Cassie wróciła do swojego pokoju, wzięła prysznic i ubrała się. Rozczesała włosy.

Na plecy kapała jej ciepła woda, pozostawiając na białej płóciennej sukience ciemne plamy. Stała przed lustrem i włożyła kolczyki. Gęste włosy zaczesła do tyłu.

Fryzura podkreślała regularne rysy jej twarzy.

Wzięła klucz, zeszła na dół, minęła recepcję i usiadła na jednej z kanap. Rozejrzała się, zamówiła drinka i czekała.

Gdy tylko Cassie się pojawiła, Wietnamczyk siedzący przy barze ześliznął się dyskretnie ze swego miejsca. Złapał za telefon i cicho mówił— Stewart jest tutaj, w barze, sama.

— Obserwuj ją — odparł Stormont. — Już jadę. Nie pozwól jej wyjść w tym czasie.

— Czy to rozsądne, żeby zjawił się pan tu osobiście?

— Ona jest podejrzliwa, a ja chcę się dowiedzieć wszystkiego z pierwszej ręki.

Dziesięć minut później wysadzono Stormonta przed „Metropolem” Wszedł do środka, dostrzegł Cassie i usiadł obok niej.

Cassie nie mogła po prostu odwrócić się udając zdziwienie, zaskoczenie i radość, po czym zapytać Stormonta z szeroko otwartymi oczami co on na miłość boską tutaj robi. Czekwała, aż pierwszy się odezwie Zdawała sobie sprawę, jak wymowne jest jej milczenie.

Stormont również milczał przez chwilę. Patrzył, jak Cassie ściska w dłoni szklanekę z whisky, widział, jak drży kryształowe naczynie

— Gdzie jest Ewa?

Cassie spojrzała na niego, zaskoczona. Ten głos, te oczy, tak przenikliwe.

Odwróciła wzrok. Poczula, jak dłoń Stormonta zaciska się na jej ramieniu. J J

— Nie czas na zabawę w kotka i myszkę. Gdzie ona jest? Cassie przypomniała sobie wskazówki Ewy: Po prostu kłam.

Odezwała się powoli, z niechęcią.

— Powiedziała mi tylko, że musi spotkać się z kimś, tutaj, w Hanoi.

— Z kim i gdzie?

— Nie wiem. Stwierdziła, że zajmie jej to kilka godzin i dołączy do mnie podczas kolacji.

— Co się stało z Frazerem?

— Jak to, co się stało? Pojechałam dziś rano spotkać się z nimi w tym obozie, żeby sprawdzić naszą inwestycję. Obejrzałam pole diamentowe. Wszystko zdawało się w porządku. Ewa powiedziała, że ma dość Wietnamu, chce wracać do domu, i przyjechała ze mną do Hanoi. Kierowca, który mnie tam zawiózł, zniknął, więc odeskortaował nas jeden z ludzi Frazera.

— Wydaje mi się, że lepiej byłoby, gdybyś powiedziała prawdę.

— Ile razy mam powtarzać to samo?

Stormont przez chwilę przyglądał się Cassie bez słowa, zastanawiając się, jak zmusić ją do mówienia.

— Dobrze. Powiedz mi tylko, czy Ewa jest bezpieczna?

W tym momencie Cassie poczuła, że ogarnia ją rozpacz. Popłynęły łzy. Ewa wcale nie była bezpieczna. Cassie ponownie napiła się whisky i odwróciła wzrok.

— Pojechała z własnej woli, tak chciała. Powiedziała po prostu: Do zobaczenia później. Wróci. Poczekaj na nią.

— Kiedy dokładnie ma być z powrotem?

Cassie nagle podniosła wzrok i zobaczyła mężczyznę idącego przez hol.

— Aubrey.

Stormont patrzył na nieznanego, który zatrzymał się i podszedł do nich.

— Cassie Stewart. Zastanawiałem się, kiedy się na ciebie natknę.

— Chodź, siadaj, napij się z nami.

Stormont wstał ze wzrokiem utkwionym w Cassie.

— O której ma wrócić?

— Na kolację. Mamy się spotkać w barze, pomiędzy ósmą a ósmą trzydzieści.

Stormont skinął lekko w stronę Goldsteina, napotkał wzrok wietnamskiego obserwatora, wciąż siedzącego przy barze, i odszedł.

— Dość obcesowy ten twój przyjaciel — powiedział Goldstein, komentując szybkie odejście Stormonta.

— Zpracowany człowiek — stwierdziła Cassie. Przywołała kelnera i zamówiła dla siebie kolejną whisky, pytając troskliwie Goldsteina, czego się napije. Zamówił

wódkę z tonikiem i przyglądał się swojej towarzyszce badawczo.

Gdy przyniesiono drinki, Goldstein zwrócił się do niej.

— Co do tych diamentów...

— Jesteś zainteresowany? — Cassie nagle poczuła, że może rozmawiać z Aubreyem jak równy z równym. Po raz pierwszy dotarło do niej, skąd bierze się siła Ewy — udział w dramatycznych wydarzeniach i wyplątywanie się z niebezpiecznych sytuacji sprawiało, że wszystko inne zdawało się łatwe.

Goldstein przytaknął.

— Zastanawiałam się, jak daleko posunąłbyś się, żeby je zdobyć, by przejąć nad nimi kontrolę —

zamyśliła się Cassie. — To legalny interes, ale nie wyklucza nielegalnych praktyk, co? Gra warta jest tak wiele, nieprawdaż? Tyle można zarobić. — Cassie nagle nabrała pewności siebie. — Nie mam wątpliwości, że to ty kryłeś się za blankowaniem „Geniusza”. Jaki był tego cel?

— Jak mówisz, gra jest wiele warta. Chcę kontrolować to przedsięwzięcie, ale potrzebny mi jest do tego pakiet akcji McAdama. Powiedzmy po prostu, że nie sprzedałby mi swoich udziałów bezpośrednio. Pomyślałem, że może zechce je sprzedać jakiejś innej osobie, od której mógłbym te akcje odkupić. Problem polegał

na odnalezieniu tej pomocnej osoby i stworzeniu warunków, które zachęciłyby McAdama do sprzedaży. Kiedy przyszedł do mnie i mówiłaś o diamentach w Wietnamie, domyśliłem się, że chodzi o „Geniusza”. Pomyślałem, że być może właśnie ty mogłabyś być osobą której szukam.

— To wszystko zrozumiałe — powiedziała Cassie. — Ale po co blankowanie? Case Reed straciło na tym, a McAdam z pewnością byłby mniej chętny do sprzedaży, gdy wartość akcji spadała.

— To, że Case Reed straciło pieniądze, było efektem złego rozplanowania w czasie.

Kupiłaś akcje zbyt wcześnie albo blankowanie rozpoczęło się za późno.

Zaplanowałem to, żeby tobie i mnie łatwiej było skumulować udziały i przechytryć McAdama. Spadająca wartość akcji sprawia, że ludzie wpadają w panikę. Z tego, co wiedziałem o usposobieniu McAdama, przypuszczałem, że spanikuje i sprzeda swój pakiet.

— Tak się stało.

— Case Reed kupiło wszystkie jego akcje?

— Nie. Ja je kupiłam. Teraz kontroluję piętnaście procent bezpośrednio, a drugie piętnaście pośrednio. — Cassie przerwała, napiła się drinka i opadła na fotel, niemal znudzona. — Jeśli chcesz, dziś po południu mogę ci sprzedać swoje udziały.

— Za ile?

— Cztery miliony funtów.

— To chyba żart!

— W złożu zostały wykryte diamenty. Widziałam jeden, czterokara-towy. Wiesz, jaki to ma wpływ na wartość „Geniusza”. Albo kupujesz, albo nie.

Oderwała wzrok od swojego drinka i spojrzała na Goldsteina. Nie spuszczać Aubreya z oka, uniosła rękę i przywołała kelnera.

— Poproszę o rachunek. — Wstała i podeszła do baru, żeby zapłacić.

Goldstein patrzył, jak Cassie odchodzi. Nie grała na zwłokę. Odchodziła naprawdę.

Emanowało od niej zdecydowanie, jakby chciała powiedzieć: Robisz interes na moich warunkach albo wcale. Goldstein podniósł się.

Cassie stała przy barze i podpisywała rachunek. Pochylił się ku niej.

— Dobrze. Cztery miliony. Spojrzała na Goldsteina.

— I następne cztery za drugie piętnaście procent, gdy już przekażę ci swoje udziały.

— Skąd mam pewność, że mi je udostępnisz? Wartość pierwszych piętnastu procent jest w pewnej mierze uwarunkowana przejęciem drugiego pakietu.

— Będziesz musiał mi zaufać.

— A ty mnie.

Stormont zjawił się ponownie w ambasadzie dziesięć minut później. Wszedł do gabinetu Courtney'a i spytał:

— Czy są jakieś nowe wieści od Truonga?

— Wciąż obserwuje obóz. Nie ma śladu Ewy.

— Rozmawiałem z Cassie Stewart. Coś ukrywa. Uważa, iż Ewa jest bezpieczna, twierdzi, że poszła zobaczyć się z kimś tutaj, w Hanoi. Możliwe, że mówi prawdę, ale ja jestem przekonany, iż kłamie. Zachowuje się tak, jakby kryła Ewę.

— Może są z Frazerem w jakiejś zмовie?

— Nie Ewa.

— A Cassie?

— Też nie. Jest za miękka. Pewnie dałaby się przekupić, ale nie Frazerowi i nigdy przeciwko Ewie.

Stormont słuchał swoich zapewnień — słowa, które tak często zostawały bez pokrycia: „nie”, „nigdy”. Teraz jednak nie mógł w nie wątpić.

— Więc co robimy? Mamy jechać do obozu Frazera?

— Frazer je wypuścił, przynajmniej wypuścił Cassie, i zakładam, że Ewę razem z nią. To raczej niemożliwe, żeby trzymał Ewę w niewoli, a Cassie by nam o tym nie powiedziała. Z Ewą coś się stało. Musiała wpaść na jakiś trop. Wydaje mi się, że nie ma żadnych złudzeń co do Frazera. Cassie nie zostawiłaby tam Ewy, nic mi o tym nie mówiąc. Ewa nie jest z Frazerem, działa na własną rękę.

— Co może zrobić?

Stormont nie odpowiedział. Zamknął na moment oczy i pokręcił głową. Courtney ciągnął dalej:

— Cassie powiedziała, że Ewa wróci za ile, za jakieś trzy godziny?

— Między ósmą a ósmą trzydzieści. Poczekamy.

— A jeśli się nie pojawi?

— Wtedy zabierzemy panią Stewart w ustronne miejsce i wyciśniemy z niej prawdę, co, przy wykorzystaniu metody, jaką mam na myśli, zajmie nam nie więcej niż trzydzieści sekund. Następnie złożymy wizytę Robiemu Frazerowi. Miejmy nadzieję, że nie zwlekaliśmy z nią zbyt długo.

Pół godziny później zadzwonił telefon. Courtney rozmawiał krótko, po czym oddał słuchawkę Stormontowi. Telefonował Truong.

— Właśnie zakradłem się na front obozu, do głównego wejścia. Nigdy nie uwierzy pan, kto się właśnie pojawił.

Stormont czekał.

— To był Ha Chin.

— Udało ci się zrobić im jakieś zdjęcia razem?

— Mam pół rolki filmu.

— To zwiewaj stamtąd. Jeśli cię teraz znajdą nie żyjesz. Wracaj prosto tutaj.

Stormont zwrócił się do Courtneya:

— Jakikolwiek jest powód, dla którego Frazer spotyka się z Ha Chi-nem, kontakt z Chińczykiem obarcza go winą. Teraz mamy Frazera.

— Więc w czym problem?

— W tym, jak Frazer postępuje z ludźmi, którzy widzieli go razem z Ha Chinem.

— To znaczy co zrobi, jeśli złapie Truonga?

— Albo Ewę.

Rozdział 50

Ewa zostawiła Cassie i szybko szła ulicami. Starła się wtopić w tłum przechodniów. Nie była w stanie się wśród nich skryć, ale stanowiła trudniejszy cel.

Skręciła z Ngo Quyen w Phan Chu Trinh. W połowie długości ulicy otworzyła furtkę wyciętą w

wysokiej ścianie zardzewiałej blachy. Drzwi zatrzasnęły się za Ewą ze szczękiem. Przed nią rozciągał się duży, częściowo wyasfaltowany plac.

Pośrodku, lśniąc bielą stał helikopter. Ewa nieznacznie się uśmiechnęła i pospieszyła w stronę obscurnego baraku znajdującego się z boku podwórka.

Mężczyzna, siedzący za biurkiem, zaalarmowany szczękiem bramy, patrzył, jak Ewa się zbliża, a jego zaskoczenie stopniowo przemieniało się w radość. Byli starymi przyjaciółmi. Poznali się w Hanoi, gdy cztery lata temu Ewa wróciła na Daleki Wschód. Razem pili, razem narzekali na upał i komary. On latał

helikopterami nad całym krajem. Ona podróżowała, żeby uczyć dzieci angielskiego, i w ciągu tych lat ich drogi dość często się krzyżowały.

— Ewa. — Zerwał się z miejsca. — Wieki cię nie widziałem. Myślałem, że wyjechałaś na zawsze. Po prostu zniknęłaś. Co...?

Uciszyła go pocałunkiem w usta.

— To długa historia, nie mam czasu. Potrzebuję twojej pomocy. Musisz zawieźć mnie do Zatoki Halong.

Przyjrzał się jej poplamionemu błotem ubraniu i potarganym włosom.

— Boże, Ewo, bardzo bym chciał, ale nie mogę. Na szóstą mam umówioną grupę turystów. Cały komplet.

Ewa zdjęła z ręki zegarek.

— Weź to. W zeszłym tygodniu kosztował dwadzieścia tysięcy dolarów.

Na chwilę wróciła myślami do Hongkongu, do wolności. Do złudnej wolności.

Ocknęła się. Chciała to zrobić, niezależnie od tego jak bardzo się bała, jakie wszystko wydawało się nierealne. Czekala na ten moment osiem lat.

Nagle poczuła się tak jak wtedy, w Changi, kiedy została zaarrestowana wraz z Sun Yi. Wtedy jej się udało. Ale tym razem szanse Ewy są znacznie mniejsze.

Zegarek stuknął o stół. Tom przyjrzał mu się uważnie.

— Nie chcę tego. Tu nie chodzi o pieniądze, Ewo. Wyciągnęła rękę i odpięła jego zegarek, stary model Swatcha.

— Będzie mi potrzebny. Chyba nie masz nic przeciwko temu, co? Tom roześmiał

się na myśl, że uległ Ewie z taką łatwością. Pokręcił

głową wciąż się uśmiechając, ale spoważniał, gdy dojrzał w jej oczach więcej, niż chciał zobaczyć.

— No to chodź. Zawiozę cię.

Krzyknął przez ramię do sekretarki siedzącej na zapleczu biura:

— Powiedz tej grupce umówionej na szóstą że wystąpiły problemy techniczne i zwróć im pieniądze.

Poszli do helikoptera. Tom otworzył Ewie drzwiczki. Wsiadła, zapięła pasy i nałożyła słuchawki. Łopatkę śmigła zaczęły łagodne mruczeć. Wkrótce dźwięk ten przekształcił się w ryk. W ciągu trzech minut Hanoi zostało daleko pod nimi.

Przez słuchawki dotarł do Ewy głos Toma.

— Powiesz mi, o co chodzi?

— Nie, Tom. Nie powiem. I nigdy mnie tam nie zawoziłeś, dobrze? Nie widziałeś mnie. Dla twojego dobra, nie mojego.

— Dlaczego? Ewa zamilkła.

W czasie godzinnej podróży w ogóle się nie odzywała. Tom naprowadził helikopter nad lądowisko w Zatoce Halong. Śmigła nad nimi obracały się coraz wolniej, aż w końcu znieruchomiały. Tom wyłączył wszystkie urządzenia i spojrzał na Ewę.

Patrzyła w dół, nieruchoma, skupiona, borykając się z jakimiś problemami. Miała lekko skulone plecy, jakby starała się zmniejszyć ból. Przyglądał się Ewie przez chwilę. Rzuciła przyjacielowi krótkie spojrzenie, po czym zamaszycie otworzyła drzwiczki i wysiadła.

Tom również wysiadł i podszedł do Ewy. Zanim zdążył się odezwać, znów go pocałowała, z zamkniętymi oczami, żeby nie mógł w nie zajrzeć.

— Dzięki, Tom. Teraz wracaj. — To było polecenie i pożegnanie zarazem.

Tom odparł z uporem:

— Chyba nie wrócę. Wolę zostać tutaj. Pewnie spędzę wieczór w barze. — Chwyił

Ewę za ramię. — Za cholere nie wiem, co planujesz, ale na miłość boską uważaj, dobrze?

— Dobrze.

Ewa patrzyła, jak Tom oddala się w stronę baru przy plaży, do którego zawsze chodzili razem i pili, obserwując zachody słońca. Porzuciła wspomnienia i ruszyła w sobie wiadomym kierunku. Nie widziała, że Tom zawrócił i skradał się za nią ukradkiem.

Ewa podążała ruchliwymi, nawet wieczorem ulicami, spotykała znajome twarze, witały ją ciepłe

uśmiechy i okrzyki pozdrowień. Nie przystawała i nikt nie próbował

jej zatrzymać. Tubylcy, jak zwykle spostrzegawczy, zauważyli zdecydowanie malujące się na twarzy Ewy i pozwolili jej przejść.

Tak jak sądziła, jej dom został zasiedlony przez znaną Ewie miejscową rodzinę. Przywitała się z nimi przy drzwiach. Więcej czasu poświęciła głowie domu, starej babci, zakłopotanej i wdzięcznej za lokum, które zajęli po wyjeździe Ewy. Gdy ceremonia powitania dobiegła końca, Ewa przedstawiła Wietnamczykom swoją prośbę.

— Mam w kryjówce kilka prywatnych listów. Czy moglibyście dać mi parę minut, żebym mogła je odzyskać?

Babcia kazała rodzinie wyjść i sama opuściła dom, nie oglądając się za siebie. Ewa podziękowała jej, weszła do środka i udała się do salonu. Miała nadzieję, że rodzina nie przeszukała domu zbyt dokładnie.

Znalazła klepkę podłogową o chropowatych krawędziach i wsunęła paznokcie pod spód. Poczowała, jak drzazgi wbijają jej się w skórę. Klepka poruszyła się. Ewa odsunęła ją na bok i z ogromną ulgą ujrzała małe metalowe pudełko. Otworzyła je, żeby sprawdzić zawartość, i uśmiechnęła się. Browning był na miejscu, leżał

między pięcioma magazynkami pocisków. Wystarczy. Zamknęła pudełko i wróciła do babci.

— Twój syn, z tego co wiem, ma dziapa.

Kobieta przytaknęła.

— Zastanawiałam się, czy nie zechciałby go sprzedać. Babcia zachichotała z cwaniacką miną.

— Tysiąc dolarów? Nastąpiła cicha wymiana zdań. Ewa popatrzyła na dom, jej dom, i znów skierowała wzrok na babcię. Oczy starej kobiety powędrowały za spojrzeniem Ewy. Staruszka poddała się, przekonana że nie powinna prowadzić długich targów.

— Dobrze. Tysiąc dolarów. I do tego poproszę, żeby miał pełen bak paliwa w bagażniku skrzynkę z narzędziami i parę mocnych obcęgów. Potrzebna mi też jakaś torba — coś lekkiego, mniej więcej tego rozmiaru. — Ewa narysowała w powietrzu kształt wielkości stopy kwadratowej. Babcia uniosła brwi ze zdziwienia, ale przytaknęła energicznie. Głośno zakomunikowała nowinę swojemu najstarszemu synowi, który kuczał wraz z żoną i dziećmi z boku domu. Podniósł się ochoczo i pięć minut później wrócił z dziupem. — Pełny bak torba. — Wyciągnął niewielki, błotnistobrazowy płócienny plecak. — I narzędzia. — Skinął głową w stronę skrzynki leżącej z tyłu dziupa. Ewa otworzyła pudełko, wypróbowała sześciocalowe obcęgi i włożyła je z powrotem na miejsce. Z dziup wyciągnęła zwitki banknotów i wręczyła Wietnamczykowi pieniądze. Syn podał Ewie kluczyki i wrzucił

plecak z tyłu dziupa. Upomniany ostrym kuksańcem w bok, wręczył pieniądze matce.

Patrzyli, jak Ewa wsiada do dżipa i odjeżdża. Następnie wrócili do domu, wyjęli klepkę z podłogi i schowali pod nią banknoty. Babcia zobaczyła puste miejsce po metalowym pudełku i uśmiechnęła się.

— Zabrała pistolet? — spytała syna.

— Przecież ją widziałas. A myślisz, że po co przyjechała?

Tom, pełen złych przeczuć, bezsilnie obserwował Ewę, aż dżip zniknął mu z oczu.

Ponownie skierował się do baru, daremnie szukając ukojenia w kolejnym kuflu piwa. Nie miał pojęcia, do czego Ewa zmierza. Wiedział jedynie, że nie uda mu się jej powstrzymać.

Ewa odjechała, pozostawiając za sobą wieczorną wrzawę Zatoki Ha-long.

Skierowała się na północny wschód. W lusterku widziała, jak w miarę pokonywania drogi oddalały się od niej i blade światła miasta. Minęły dwie godziny i zapadła noc. Zieleń dżungli zamieniła się w czerń. Reflektory utworzyły w ciemności tunel światła, skrywając przed wzrokiem wszystko, co znajdowało się poza zasięgiem lamp. Ewy nie obchodziło nic, poza jaśniejącą z przodu ścieżką.

Kilkakrotnie przemówił do niej cichy głos rozsądku, który kazał Ewie zawrócić.

Zastanawiała się, skąd pochodzi ten podszept. Może to głos Stormonta? Gdyby Andrew tu był, czy chwyciłby ją za rękę, wyszarpnął kierownicę? Jako zwierzchnik, tak właśnie by się zachował. Prywatnie, może pozwolilby Ewie ulec własnym żądzom.

Droga była opustoszała. Gąszcz sprawiał wrażenie wymarłego, jednak wieczorna dżungla tętniła życiem. Ile par oczu przyglądało się Ewie, gdy przejeżdżała?

Drapieżniki już wyruszyły na łowy. Wieśniacy kucali wokół ognisk i gotowali kolację.

Ewa jechała dalej, podskakując na wybojach. Uważnie spoglądała na licznik i zegarek. Gdy znalazła się jakieś dwadzieścia mil od obozu Frazera, wyłączyła światła dżipa, żeby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Ewentualny obserwator i tak usłyszałby ryk silnika, ale w ciemności będzie mniej wystawiona na cel.

Jej oczy przywykły do braku światła. Omijała największe wyrwy w drodze, widziała pnie najbliższych drzew. Jechała jeszcze siedemnaście mil. Następnie, gdy dostrzegła wąską przesiekę w dżungli, zjechała z drogi. Poprowadziła dżipa pomiędzy drzewami i zaparkowała w odległości trzydziestu stóp od drogi. Zielony samochód był słabo widoczny nawet w świetle dziennym. W nocy w ogóle nie sposób będzie go zauważyć.

Ewa wyjęła pistolet, browning M 35 Hi-Power, automatyczny, z tłumikiem i czternastopociskowym magazynkiem. Załadowała broń i wróciła na drogę.

Czerwona ziemia błyszczała lekko w świetle gwiazd i rogalika księżyca. Ewa wybrała sęk na rosnącym naprzeciwko drzewie, skupiła się, uniosła pistolet, trzymając go stabilnie oburącz, i

wskazującym palcem prawej dłoni pociągnęła za spust. Rozległ się huk i pocisk zagłębił się w korze. Wystrzeliła resztę nabojów, wszystkie trzynaście i podeszła do drzewa. Miała pewną rękę, a pistolet był sprawny. Dziury po pociskach znajdowały się w miejscu, gdzie wcześniej rósł

sęk.

Załadowała do pistoletu nowy magazynek i schowała go, wraz z zapasowymi, do plecaka. Wrzuciła też obcęgi i kilka wkrętaków, po czym, układając na plecach swój tobołek, wkroczyła w czerni dżungli.

Przez chwilę stała nieruchomo, przyzwyczajając wzrok do ciemności. W miarę rozszerzania się źrenic, zaczęła dostrzegać szczegóły. Szukała światła.

Rozdział 51

Andrew Stormont wrócił do „Metropole'u” za pięć ósma. Zastał Cassie Stewart w barze. Siedziała wyprostowana, zobojętniała. Dosiadł się do niej bez powitania.

Kelner przyjął od nowego gościa zamówienie na gin z tonikiem. Stormont spojrzał na whisky Cassie.

— Ile już ich wypijaś?

— Ta jest trzecia.

Przyglądał się, jak Cassie popija powoli. Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w przestrzeń. Dla postronnej osoby mogli wyglądać jak skłócona ze sobą para.

O ósmej czterdzieści pięć Stormont opróżnił swoją szklanekę.

— Nie przyjedzie, prawda? Wcale nie miała się tu zjawić. Cassie pokręciła głową.

Stormont chwycił ją za ramię.

— Idziemy.

Wyciągnął z kieszeni trzydzieści dolarów i zostawił zwinięte banknoty na stole.

Wyprowadził Cassie z hotelu. Nie stawiała oporu.

Courtney siedział w zaparkowanym na zewnątrz samochodzie. Spojrzał na Stormonta i wyczytał z jego oczu polecenie. Pojechali do ambasady. Stormont zaprowadził Cassie do jasno oświetlonego pomieszczenia, które wyglądało jak poczekalnia. Przywiodło Cassie na myśl lekarzy, dentystów i przypomniało zapach szpitalnych korytarzy.

Stormont wskazał krzesło z twardym oparciem, stojące przy drewnianym stole.

Cassie usiadła. Stormont odwrócił się do niej plecami i podszedł do okna z zaciągniętymi żaluzjami.

— Jeśli teraz będziesz kłamać, musisz mieć świadomość, jakie to może pociągnąć za sobą konsekwencje.

Cassie wstała, starając się pozbyć uczucia niepewności, jakie ogarniało ją w towarzystwie Stormonta. Podeszła do niego.

— Co zrobisz? Poddasz mnie wstrząsom elektrycznym, podłączysz do wykrywacza kłamstw?

Stormont odwrócił się powoli i podszedł do Cassie.

— Jesteśmy znacznie bardziej pomysłowi. Możliwości obrzydzenia życia są nieskończone. Zdziwisz się jakie to łatwe, jak paralizujący potrafi być strach, który przeszywa cię od stóp do głów. Nie ma od tego ucieczki.

— Jesteś niezwykle pewny siebie.

— Nie udawaj, że nagle stałaś się odporna na strach. Nikt nie jest na niego odporny.

I nie myśl, że się na to nie zdobędę.

— Och, tego jestem pewna. — Spojrzała na Stormonta z nie skrywaną wściekłością.

— Ale oszczędzę ci rozrywki. Ewa pojechała do Zatoki Halong, by się z kimś spotkać. Tylko tyle mi powiedziała. Uwierz mi. Gdy kierowca Frazera nas wysadził, Ewa oznajmiła, że musi porozmawiać z przyjacielem w Hanoi, zdobyć samochód i pojechać do Zatoki Halong.

— W jakim celu?

— Nie wiem. Nie powiedziała. — Cassie wpatrywała się w Stormonta. Po raz pierwszy w jej oczach pojawił się strach. Stormont dostrzegł go wyraźnie, wiedział, co się za nim kryje.

— Może uda nam się ją zatrzymać, jeśli polecimy helikopterem. Przerwał. —

Powiedz mi, dlaczego Frazer was wypuścił?

Gdy już raz jej uwierzył, kolejne kłamstwo było łatwiejsze.

— Rozповідаłam na lewo i prawo, że jadę do tego obozu, żeby spotkać się z nim i z Ewą. Powiedziałam mu o tym zaraz po przyjeździe. A poza tym, dlaczego miałby nas tam trzymać?

Stormont jedynie popatrzył na Cassie i wzruszył ramionami.

— Dobrze. Wiem, że Frazer coś knuje, w przeciwnym razie to wszystko by się nie wydarzyło. Tylko nie wiem co i on doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Stormont podszedł do drzwi.

—Ty zostaniesz tutaj, w ambasadzie. Tak będzie bezpieczniej.

Cassie nagle przypomniała sobie, co Ewa powiedziała na temat świadomego zniszczenia jej tożsamości. Ktoś w Firmie chce Ewę zabić. Wpatrywała się w drzwi, które zamknęły się za Stormontem. Jego twarz zdradzała uczucia, jakie żywił do Ewy. A więc niemożliwe, żeby to on próbował Ewę zgładzić.

Usiadła w kącie pokoju na pokrytej wykładziną podłodze i czekała.

Stormont przeprowadził szybka rozmowę z Courtneyem.

— Potrzebujemy śmigłowca i zgody na nocny lot. Nie obchodzi mnie, jak ją zdobędziecie.

Dwadzieścia minut później Courtney wrócił ze swojego gabinetu.

— W ambasadzie australijskiej czeka śmigłowiec i pilot. Nie podobało im się to, ale byli nam winni kilka przysług.

Stormont, Courtney i trójka jego ludzi pojechali na lądowisko ambasady. Śmigłowiec już czekał. Wsiedli, przywitali się krótko z australijskim pilotem, który w milczeniu włączył silniki, i polecili przez spokojne niebo w kierunku Zatoki Halong. Dotarli tam o jedenastej. Zgodnie z poleceniem rozproszyli się i zaczęli szukać Ewy.

Rozdział 52

Wmiarę zbliżania się do obozu Ewa poruszała się wolniej. Po półgodzinnym marszu doszła do wniosku, że jest oddalona od celu mniej więcej o milę. Zatrzymała się, gdy dostrzegła blask wody. Podeszła do niej i poczuła, że buty aż po sznurowadła ugrzęzły w błocie. Garściami wcierała je we włosy, dopóki kolor blond nie zmienił

się w krwistobrązowy. Pokryła błotem ręce i dżinsy. Roztarła brunatną maź na twarzy, ostrożnie omijając oczy i usta. Kamuflaż był gotowy.

Szła dalej, aż usłyszała w ciszy dżungli lekki pomruk — generator prądu. Dostrzegła dalekie światło, rozpraszające otaczającą obóz ciemność. Po cichu podeszła bliżej i w odległości jakichś czterystu jardów zauważyła zarys wysokiego drucianego płotu okalającego obóz. Światło z wieży obserwacyjnej pobłyskiwało na metalowym drucie.

Ewie zaczął się podnosić poziom adrenaliny. Spojrzała na zegarek. Była dopiero jedenasta. Zdecydowała się poczekać jeszcze godzinę w nadziei, że do tej pory Frazer i Ha Chin, który pewnie przyjechał jakiś czas temu, udadzą się na spoczynek.

W ciągu ostatnich kilku dni Frazer wracał do swojego pokoju po kolacji, około dziesiątej trzydzieści. Ewa obserwowała pod jego drzwiami smugę światła, która zniknęła po jedenastej. Przypuszczała, że Frazer czyta. Może dzisiaj później pójdzie spać, będzie pił z Ha Chinem. Najlepiej byłoby, gdyby

poczekala do wczesnych godzin rannych, do trzeciej lub czwartej, kiedy sen jest najglębszy, ale powatpiewala, czy na tak dlugo potrafi zapanowac nad nerwami. Obawiala sie rowniez, ze im dluzej bedzie zwlekat, tym bardziej beda jej zagrazac poszukiwania i pogoń ze strony ludzi Stormonta lub Frazera. Wczesniej czy pozniej podwladni Tai Pana odkryja obecność Cassie w Hanoi i zorganizuja na nia wielkie łowy. Poza tym uda sie zwodzic ludzi Stormonta — moze nawet jego samego, jesli przylecial za Cassie do Hanoi — tylko przez kilka godzin. Jezeli Stormont jest w Wietnamie, prawdopodobnie przejrzał cały plan i w miare możliwości bedzie staral sie go zniweczyc.

Ewa zaczelala zastanawiac sie, jakie Stormont moze miec motywy. A jesli to on zniszczyl jej tozsamosc? Dlaczego ktos to zrobil? Czy chodzilo o zywiona do niej czysta nienawisc, pragnienie, zeby nie zyła? A moze nie wchodzily w gre pobudki osobiste, moze chodzilo o chęc zasygnalizowania Frazerowi jej roli. Śmierc Ewy stalaby sie wtedy jedynie konsekwencja nie celem akcji. W kazdym razie byla to zdrada.

Gdy wybila północ, Ewa podniosla sie. Roztarta zdrętwiale miesnie i potrasznela konczynami, zeby wrócilo w nich krązenie. Zgarnela włosy do tyłu i poczula silny odór stęchlego błota. Sprawdzila pistolet, zatknęła go za pas dzinsów i rozejrzala sie jeszcze raz, spoglądajac w strone, z ktorej przyszła. Zwrócila sie w kierunku obozu i ostroznie zaczelala sie przemieszczac w jego strone.

Popatrzyła na obóz z odległosci stu jardów, oslonieta drzewami. Reflektory oswietlaly teren, ale gdzieniegdzie padal cien. Ewa rozejrzala sie w poszukiwaniu strazników, ktorzy w czasie jej bytnosci dzien i noc patrolowali obóz. Wartę trzymalo chyba trzech. Dwaj z nich siedzieli w wartowni i grali w mah-jong, a jeden spacerowal wokol, z latarka w dloni. Na jego biodrze uwypuklala sie kabura. W

obozie panowal spokój, nikt niczego nie podejrzewal. Jesli czegoś sie obawiali, to nie Ewy. Ona nie zyła. Obserwowala kluczacego straznika. Trasa jego obchodu miala ksztalt okregu, przy czym jedno okrazenie zabieralo mu okolo dziesieciu minut. Ewa przedarla sie przez dzungle, az znalazla sie naprzeciwko częsci obozu, ktora Frazer zarezerwowal dla siebie. Stal tam parterowy budynek, ktory w czasie wojny sluzyl prawdopodobnie jako kwatery dowodcy. Ludzie Tai Pana zajmowali dlugi drewniany barak po prawej stronie.

W siedzibie Frazera w dwuch oknach palilo sie swiatlo. Ewa rozejrzala sie. Straznik powinien znajdowac sie w najdalszym zakatku obozu, oslonieta przed nia budynkiem. Doczolgala sie szybko do drucianego ogrodzenia i wyciagnęła z plóciennego plecaka obęgi.

Drut nie byl pod napieciem — sprawdzila to, gdy jeszcze byla więzniem Frazera —

mimo to poczula strach, gdy zaciskala na nim szczęki obęgów. Nie sypnelo iskrami, nie złapal jej prad. Odetchnela glęboko i szybko wycięła niewielki otwór.

Znów sie rozejrzala. Wciąz ani śladu kogokolwiek. Przecisnela sie przez wyciętą przez siebie dziure w siatce i zaczelala biec, zgięta wpół, pokonujac otwartą przestrzeń pomiedzy ogrodzeniem i budynkiem Frazera. Przykucnela obok drewnianej ściany, okolo piętnastu stóp od najblizszego źródła swiatla. Ponownie sie rozejrzala. Pusto.

Wyprostowała się i zajrzała przez niewielkie ciemne okno, które miała przed sobą.

Dostrzegła białą poświatę emalii muszli klozetowej i wanny. Okno było otwarte.

Popchnęła je delikatnie, aż uchyliło się na dwie stopy. Zadarła nogę i przerzuciła ją przez parapet. Opierając się, dla utrzymania równowagi, o delikatną futrynę, przełożyła nad parapetem drugą nogę i wśliznęła się do pomieszczenia. Jej stopy wylądowały miękko na zakurzonej kafelkowej posadzce. Przymknęła okno, po czym znieruchomiła, nasłuchując.

Usłyszała jedynie własny oddech. Wszędzie panowała cisza. Wyciągnęła pistolet zza pasa i trzymała go w pogotowiu w jednej dłoni. Drugą nacisnęła metalową klamkę i o cal uchyliła drzwi.

Rozejrzała się po korytarzu. Był pusty. Ruszyła nim po cichu, aż dotarła do drzwi pokoju Frazera. Powoli wyciągnęła rękę, szykując się do ataku. Nagle, jednym szybkim ruchem nacisnęła klamkę i z impetem otworzyła drzwi.

Frazer i Ha Chin siedzieli po dwóch stronach niewielkiego stolika i grali w szachy.

Ha Chin zerwał się z miejsca z otwartymi ustami. Dłonią wywrócił stolik sięgając po leżący na podłodze rewolwer.

Ewa wymierzyła w niego pistolet i strzeliła dwa razy. Obydwa pociski trafiły go w pierś. Widziała, jak oczy Chińczyka rozszerzyły się z zaskoczenia, gdy padał do tyłu, na łóżko Frazera. Z ciała Ha China trysnęła krew i obryzgała ją drobnymi kropelkami. Odwróciła się w stronę Frazera, który złapał przewracający się stolik.

Delikatnie postawił go na miejsce. To były jedyne dźwięki — stukot nóg stolika na drewnianej podłodze, tępe uderzenie pocisków i odgłos upadku.

Na zewnątrz panowała cisza. Ewa stała na wprost Frazera. Czowała zatykającą nozdrza woń krwi i metaliczny zapach kordytu z pistoletu. Po twarzy Ewy spływała krew Ha Cina. Frazer siedział dwie stopy dalej i wpatrywał się w nią. Szybko zerknął na martwego Chińczyka, po czym obrzucił wzrokiem dłoń Ewy, trzymającą pistolet, a następnie spojrzał w jej oczy, w których zobaczył wyrok.

— Zdawało ci się, że wszystko rozwikłałeś, co, Robie? Miliarder, podpora społeczeństwa. Jediną różnicą między tobą i ulicznymi paserami jest twój status.

Oni są wyrzutkami. Ty jesteś obywatelem, tak świetnie strzeżonym. Ale niewiele trzeba, by zrujnować życie. Robiłeś to tyle razy — pośrednio, poprzez swoje śmiercionośne, małe interesy, ale również bezpośrednio, tak jak w przypadku Sun Yi, czy niemal Cassie i mnie. To takie łatwe, prawda? A zawsze sądziłeś, iż jesteś nietykalny, będąc inteligentny i okrutny czułeś się bezpiecznie.

— A więc jaka ty jesteś, Ewo? Okrutniejsza? Bardziej inteligentna? Podziwiała jego opanowanie. Nawet teraz potrafił trzeźwo myśleć.

— Nie. Jestem pozbawiona emocji, bezlitosna. Zbyt dużo przeszłam. Nie mogę zapomnieć o pewnych

sprawach. Nie jestem jedynie agentką TSW. Robię to dla siebie. Może choć trochę wyrównam rachunki.

Gdy Frazer się zerwał z zamiarem rzucenia się na nią uniosła pistolet i zauważyła z odrobiną szacunku, że nie wpadł w panikę i nie usiłował wzywać strażników, jak to zrobił Ha Chin. Frazer przez cały czas patrzył przed siebie. Jego wzrok był utkwiony w Ewie. Przez nie kończące się sekundy widziała jego oczy pełne przerażenia i wściekłości.

Trzy razy nacisnęła spust i zobaczyła, jak z serca Frazera wytryskują trzy strugi czerwieni. Widziała, jak padł do tyłu. Wciąż na nią patrzył. Gdy upadł na podłogę, przewróciło się krzesło i w oddali rozległ się krzyk. Ewa przez chwilę stała bez ruchu, następnie odwróciła się i wybiegła z pokoju na korytarz.

Nie zauważyła strażnika. Dostrzegła jedynie męskie przedramię, zaciskające się wokół jej szyi. Strażnik ścisnął mocniej gardło Ewy sprawiając, że zaczęła się dusić.

Zgięła prawą nogę, z impetem uderzyła go stopą w kolano i przejechała piętą po goleni. Następnie szarpnęła głową do tyłu, miażdżąc nią nos strażnika. Odwróciła się, wyciągnęła prawą rękę i uderzyła mężczyznę pistoletem w tchawicę, na tyle mocno, żeby go unieruchomić. Padł na podłogę. Rozejrzała się. Nie było widać nikogo więcej. Pobiegła do łazienki, jednym ruchem otworzyła okno na oścież, przełożyła nogi nad parapetem i wyskoczyła. Pognała prosto w stronę otworu w ogrodzeniu. Usłyszała kolejne okrzyki, dotarły do niej odgłosy gonitwy. Padła na ziemię obok siatki i precisnęła się na drugą stronę. Krzyki słyhać było teraz bliżej, dźwięczała w nich trwoga. Ewa zerwała się i zaczęła biec. Rozległa się seria z automatu i ziemia zadrżała. Pędziła dalej w stronę czarnej dżungli. Nie zatrzymywała się; oczy Ewy przeszukiwały ciemność, rozróżniając kształty i zarysy. Bała się zderzenia z drzewem, upadku, zwicnięcia kostki. Biegła, aż wrzaski ucichły. To był tymczasowy spokój. Ludzie Frazera się przegrupują chwycą za broń, wsiądą do dżipów i ruszą za Ewą. Miała nad nimi przewagę zaledwie kilku sekund. Pędziła na wprost, w głąb dżungli, oddalając się od drogi. Nie docierały do Ewy odgłosy pogoni, ale tutaj się ich nie spodziewała. Na pewno słyhać je było w pobliżu szosy. Po dwudziestu minutach biegu odwróciła się i skierowała z powrotem w stronę drogi, gdzie ludzie Frazera z pewnością skoncentrowali poszukiwania. Poruszała się teraz powoli, szła po cichu, uspokajając swój urywany oddech. Spojrzała na zegarek. Po pięćdziesięciu minutach marszu wiedziała, że znów zbliża się do drogi. Przedzierała się przez otaczającą ją dżunglę, nasłuchiwała dźwięków, wypatrywała kształtów. Skoncentrowała się na poszukiwaniu dżipa.

W pewnej chwili, gdzieś przed sobą usłyszała odległe krzyki. Zwolniła jeszcze bardziej. Głosy zaczęły cichnąć pośród nocy. Dziesięć minut po rozpoczęciu poszukiwań odnalazła dżipa. Krew tętniła w jej żyłach. Rozejrzała się. Nic się nie poruszało, panowała cisza. Załadowała do pistoletu kolejny magazynek i wsiadła do wozu. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Ryk zapuszczanego silnika był ogłuszający.

Wytężyła słuch, żeby pochwycić jakieś odgłosy. Nie usłyszała nic poza wyciem motoru. Wrzuciła bieg i wydostała się na drogę. Pędziła bez świateł, tak szybko, jak mogła, bez ryzyka wjechania na jakiś kamień, co groziło wywróceniem dżipa.

Drżący prędkościomierz wskazywał sześćdziesiąt mil na godzinę.

Jechała od piętnastu minut i właśnie zbliżała się do zakrętu, gdy wydało jej się, że w pobliżu słyszy odgłos innego silnika. Wdepnęła hamulec, aż strzałka szybkościomierza zatrzymała się na dwudziestu, po czym gwałtownie zjechała z drogi po stromym poboczu. Dżip przedarł się przez chaszczę. Poczula szarpnięcie, gdy samochód uderzył w niewielkie drzewo, złamał

je i podskoczył raptownie. Szarpnęła kierownicą, o włos unikając najechania na potężny pień, który by nie ustąpił. Gałęzie podrapały jej twarz. Popłynęła krew.

Dżip wjechał jakieś trzydzieści stóp w głąb dżungli. Ewa wyłączyła silnik.

Dobiegł do niej niski dźwięk motoru innego, zbliżającego się samochodu.

Usłyszała, jak wóz zwolnił, gdy dojechał do zakrętu, i jak obroty silnika wzrosły, kiedy wyszedł na prostą. Niemal poczuła na sobie wzrok jadących mężczyzn, wyobraziła sobie, że dostrzegają przesiekę w dżungli, zatrzymują się i podchodzą zaintrygowani. Była łatwym celem. Dżip się zbliżał; widziała jego światła, była pewna, że ścigający ją zauważą. Samochód jednak przejechał.

Nie mogąc w to uwierzyć, patrzyła, jak się oddala. Poczekała, aż warkot motoru ucichnie, po czym zapaliła silnik i wyjechała z dżungli na pobocze. Przez zatrważającą chwilę koła buksowały w grząskiej ziemi. W końcu natrafiły na twardy grunt i po chwili wjechał na drogę.

Pędziła dalej, wyobrażając sobie ludzi Frazera, gnających w tę i z powrotem po drogach, zapuszczających się w głąb dżungli. Inni zapewne szukali na równinach, w okolicach Zatoki Halong. Skręciła w drugą stronę i odniosła jedno niewielkie zwycięstwo. Teraz musieli już przeszukiwać dwie drogi.

Z każdą milą Ewa czuła nowe tchnienie wolności. Zaczęła ogarniać ją dzika euforia, którą starała się stłumić. Spojrzała na zegarek. Jechała już od ponad godziny.

Dżungla po bokach przeredziła się, ustępując równinom. Zrobiło się widniej i widoczność była lepsza. Pusta droga rozpościerała się przed nią kusząco.

Już zaczynała mieć nadzieję na zwycięstwo, gdy daleko przed sobą zobaczyła świetlny punkcik, błyszczący niczym złowrogie oko. Ewa poczuła, jak kurczy jej się żołądek. Punkcik rósł coraz bardziej. Teraz usłyszała również ryk silnika.

Niewyraźnie widziała zbliżający się pojazd. Jego pasażerowie jeszcze nie byli w stanie Ewy dostrzec. Jechali z zapalonymi światłami, jej były wyłączone. Miała około minuty, zanim spostrzeżę wóz.

Jedna minuta do namysłu. Było wpół do trzeciej. Dżip o tej porze, pędzący przez pustkowia, niemal na pewno należał do ludzi Frazera. Ewa zdała sobie sprawę, że jego nazwisko wciąż powraca echem, żyje w jej umyśle. Żądza zabijania nie zginęła wraz z Frazerem. Była przekonana, że to jego ludzie jadą tym dżipem. W każdym razie musiała postępować tak, jakby była tego pewna. Nie starczy czasu, żeby to sprawdzić, nie będzie miała drugiej szansy. Nie chciała zabijać — to było dla Ewy

jedyne pocieszenie. Nie miała się gdzie ukryć. Pola ryżowe po obydwu stronach pochłonęłyby dżipa.

Ewa wysiadła, pozostawiając samochód z włączonym silnikiem, i pobiegła jak najszybciej mogła w stronę nadjeżdżającego pojazdu. Miała około trzydziestu sekund, zanim pasażerowie dżipa ją dostrzegą. Chwilę przed tym, nim dosięgły ją światła reflektorów, w odległości trzystu jardów zwolniła, wyciągnęła pistolet zza spodni i zeskoczyła z drogi. Wpadła do wypełnionego wodą rowu.

Cuchnąca ciecz sięgnęła jej do pośladków, krępując ruchy.

Czekała w napięciu, aż zbliżający się dżip znalazł się tuż przy niej. Wtedy wygramoliła się z błota na drogę, prosto w blask reflektorów. Teraz samochód był

odległy jedynie o dziesięć jardów i jechał prosto na nią. Sekundę zajęło Ewie skupienie się i wycelowanie, po czym wystrzeliła cztery pociski w prawą przednią oponę.

Rozległ się krzyk i pojazd zatoczył się gwałtownie na prawo. Ewa rzuciła się w lewo. Na przednim siedzeniu rysowała się sylwetka Le Maia, walczącego rozpaczliwie z kierownicą. Ewa widziała go przez ułamek sekundy, zanim zatoczył

się, zjechał z drogi i wpadł w moczary. Przekręcił się dwukrotnie i spoczął kołami do góry. Ewa patrzyła, jak powoli grzęźnie w błocie, słyszała przyprawiające o mdłości bulgotanie. Odwróciła się. Takiego wypadku nikt nie mógł przeżyć.

Podbiegła do swojego dżipa i wsiadła. Przez dwie minuty, dla pewności,, obserwowała mokradła. Nic się nie poruszało. Drżącą ręką zwolniła ręczny hamulec i odjechała.

Rozdział 53

Andrew Stormont siedział nad brzegiem spokojnej Zatoki Halortg i czekał. Była trzecia trzydzieści nad ranem. Poza przemykającymi się od czasu do czasu kotami nie dostrzegł nigdzie żywej duszy. Zbłąkane nocne marki już dawno udały się do domów na spoczynek, a rybacy mieli wypłynąć łodziami na zatokę dopiero za parę godzin.

Stormont siedział w samochodzie, który załatwili mu jego ludzie. Cekał na głównej ulicy, będącej jednocześnie jedyną drogą dojazdową do osady. Podczas wcześniejszego badania terenu ludzie Stormonta odkryli śmigłowiec Toma, a z rozkładu lotów wiedzieli, że helikopter powinien się teraz znajdować w Hanoi.

Zastali Toma pijanego w barze. Wypytyując go subtelnie, ustalili, iż przywiózł Ewę z Hanoi i że odjechała kilka godzin wcześniej.

Stormont wiedział, dokąd się udała. Minał się z nią i to prawdopodobnie już na zawsze. Teraz z zadziwiającą łatwością zrozumiał logikę planu Ewy i zaskoczyło go, że nie potrafił tego przewidzieć. Wydawało mu się, że sam stanowi siłę sprawczą. Niedobrze mu się zrobiło, gdy zdał sobie sprawę z własnej pychy i porażki. Przez zaślepienie pozwolił jej dokonać tego, czego tak pragnęła.

Siedział sam przytłoczony odpowiedzialnością. Cekał wbrew logice. Wiedział, że pogoń byłaby

bezwocna. Udanie się do obozu Frazera w ogóle nie wchodziło w rachubę. Stormont nie miał wystarczająco dużo ludzi, żeby podołać nieuniknionej konfrontacji, poza tym zorganizowanie takiej wyprawy przekraczało jego możliwości. Podjęcie bezpośredniej akcji przeciwko Frazerowi zupełnie nie mieściło się w kompetencjach Stormonta. Ewa dokonała wyboru i było już za późno, żeby ją powstrzymać. Stormontowi pozostało jedynie czekać i mieć nadzieję.

Chciał tu pozostać do świtu. Potem wróci do Hanoi.

Wyprostował się nagle, słysząc odległy odgłos silnika. Wsiadł z wozu i sprawdził pistolet w naramiennej kaburze. Stał obok samochodu i czekał.

Warkot motoru stał się głośniejszy.

Pojazd zbliżał się w ciemności, z wygaszonymi światłami. Po chwili, gdy podjechał bliżej, Stormont rozpoznał kształt dzipa, pędzącego z dużą prędkością.

Wóz zatrzymał się jakieś trzydzieści stóp przed Stormontem i kierowca wysiadł.

Stormont ujrzał idącą w jego kierunku Ewę. Gdy się zbliżyła, niemal się cofnął.

Wyglądała, jakby wykąpała się we krwi. Zobaczył, że sięga za pas, i ujrzał

wymierzony w siebie pistolet. Patrzył jej w oczy. Spojrzenie Ewy było twarde* zimne, zdecydowane.

— Po co ten pistolet, Ewo?

Wciąż zbliżała się do Stormonta. Była przekonana, że go tutaj zastanie. Gdy do niego podeszła, oddech uwiązał Ewie w gardle. Odezwała się z tłumioną wściekłością:

— Ktoś chciał mnie zniszczyć, pozostawił dane o moim uzależnieniu, stare rejestry medyczne, właściwie mnie zabił. Tylko trzy osoby miały dostęp do tych informacji

— szef, ty i Giles Aden.

Stormont odezwał się bardzo cicho.

— Ja tego nie zrobiłem.

— To oczywiste, że tak mówisz. Mam nadzieję, że to prawda. W przeciwnym razie ciebie też będę musiała zabić.

A więc zabiła Frazera. Wzrok Stormonta przesunął się powoli po ciele Ewy i spoczął na jej twarzy.

Chciał spytać: — Czy sądzisz, że byłbym zdolny do zdrady? — Odrzekłaby „tak”.

Nie znajdował odpowiednich słów, nie mógł jej przekonać. Bezsilnie opuścił dłonie wzdłuż tułowia.

— Czy nie wystarczy już zabijania? Czy jeszcze nie skończyłaś, Ewo?

W słowach Stormonta brzmiała łagodność, która niemal ją rozbroiła. Spojrzała na zwierchnika, starając się wyczytać z jego oczu prawdę. Był doskonale wyszkolony w kłamstwie. Tak bardzo chciała uwierzyć Stormontowi, ale ta chęć, ta jej tęsknota za niewinnością i uczciwością wydała się Ewie podejrzana. Bardzo pragnęła móc mu zaufać. Wolałaby zostać zabita przez jawnego wroga, przez ludzi Frazera, niż przez Stormonta.

Spojrzała mu w oczy. Odgadła, że czekał na nią. Przez sekundę pomyślała, żeby pociągnąć za spust i zobaczyć, jak Andrew osuwa się na ziemię. Nie mogła. To było dla niej odpowiedzią. Bardzo powoli opuściła pistolet i podeszła do Stormonta.

Zatrzymała się przed nim na wyciągnięcie ręki.

Stormont wlepił w Ewę wzrok. Walczył z chęcią dotknięcia jej. Otworzył drzwi samochodu.

— Pojedziemy do Hanoi, a potem opuścimy kraj.

Ewa usiadła na miejscu dla pasażera. Stormont podjechał do śmi-głowca, informując pozostałych ludzi przez radio, żeby się tam z nim spotkali.

Poruszali się szybko w ciemności, tłocząc się przy helikopterze. Zamknięto drzwi.

Ewa usiadła obok Stormonta. Pilot zapalił silnik. W bezruchu nocy rozległ się huk.

Polecieli nad czarnym pejzażem, z powrotem do Hanoi.

Stormont nie próbował rozmawiać z Ewą. Wiedział, mniej więcej, co się wydarzyło.

Później ją przesłucha. Teraz pozostawi dziewczynę w spokoju.

Ewa spojrzała w dół. Nie kończące się pola ryżowe i odległe dżungle wyglądały nierealnie, przypominały rysunki z atlasu. Nagłe poczucie bezpieczeństwa zdeorientowało ją. Słuchała huku śmigła nad głową.

Wylądowali w Hanoi tuż przed świtem. Courtney odwiózł Ewę i Stormonta do ambasady. Ewa zachwiała się na schodach i Andrew przytrzymał ją za ramię.

Wyczerpanie, odwodnienie i brak pożywienia w końcu ją osłabiły. Stormont poprowadził Ewę cichymi korytarzami do drzwi, w których znajdowało się małe okienko. Przez szybę przeświecało światło. Przekreślił klucz. Wewnątrz, na wąskim łóżku, siedziała Cassie i patrzyła przed siebie.

Stormont otworzył drzwi. Cassie podniosła się. Dostrzegła stojącą przed nią Ewę, wycieńzoną ale żywą. Skóra i ubranie przyjaciółki były pokryte zaschniętym błotem i krwią. Przez chwilę jedynie patrzyły na siebie, po czym Cassie podeszła do Ewy i przytuliła ją. Poczwała, jak przyjaciółka również

otacza ją ramionami.

Gdy wypuściły się z objęć, Stormont odezwał się niezręcznie:

— Weź prysznic, Ewo, i znajdę ci jakieś ubranie. Przygotujemy wam obydwu nowe paszporty. Będzie bezpieczniej, jeśli udacie się w podróż incognito. — Odwrócił się do Cassie. — Jak już wyjedziemy, wyślemy kogoś do hotelu, żeby zabrał twoje rzeczy.

Podczas gdy Ewa brała prysznic, Stormont odezwał się do Cassie:

— Wylecimy jak najszybciej. Najpierw do Hongkongu. Tam załatwię samolot wojskowy. Jutro, około szóstej rano, powinniśmy dotrzeć do bazy RAF-u w Brize Norton. Obawiam się, że będziemy musieli sobie dużo wyjaśnić, w samolocie i przez kilka najbliższych dni. Może chcesz, żeby ktoś na ciebie czekał po przyjeździe? Czy mam do kogoś zadzwonić?

Przemawiał z zadziwiającą troską. Jakby mógł sobie pozwolić na uprzejmości dopiero teraz, gdy Ewa wróciła, żywa.

Cassie uśmiechnęła się, usiłując wybiec myślami o dwadzieścia cztery godziny naprzód, wyobrazić sobie, jak będzie się wtedy czuła. Po chwili powiedziała:

— Jest ktoś taki. Owen Quaid. Chciałabym, żeby tam był. To jego numer.

Stormont zapisał numer i zostawił Cassie, żeby wszystko pozajątwić. Usiadł w cichym pokoju, w samotności, z telefonem i notesem w ręku. Zadzwonił do McKenziego w Hongkongu i poprosił go, żeby zorganizował

samolot wojskowy. Następnie wybrał numer Gilesa Adena.

W Londynie dochodziła 23.00. Aden był w domu. Odebrał telefon po dwóch sygnałach. Odezwał się rześkim, zadowolonym głosem.

— Giles, tu Andrew. Wszystko w porządku. Wylatuję dzisiaj. Zgodnie z rozkładem we wtorek o szóstej rano mam być w Brize Norton. Spotkajmy się tam, dobrze?

Ich samolot wyleciał z Hanoi do Hongkongu o wpół do ósmej. Stormont i Ewa siedzieli w tym samym rzędzie, Cassie z przodu. Dopóki byli w Wietnamie, Stormont wciąż nie czuł się bezpiecznie.

Lot trwał półtorej godziny. W Kowloon czekał na nich samolot wojskowy. Odlecieli na zachód, gdy na niebie wstawało słońce. Słychać było wycie silników. Cassie znów siedziała sama, w rzędzie przed Ewą i Stormontem. Teraz, gdy już nic im nie groziło, nadszedł czas, żeby porozmawiać. Stormont odwrócił się do Ewy.

— Więc zabiłaś Frazera?

— I Ha China. Znajdowali się w tym samym pokoju. Nie miałam wyboru.

Wcześniej Frazer dwukrotnie usiłował mnie zabić. Właśnie wstrzykiwał mi śmiertelną dawkę heroiny, gdy wpadła Cassie i go zaatakowała. Strzykawka wypadła. Dostałam tylko niewielką dawkę. Frazer stwierdził, że będzie musiał

wymyślić inny sposób, żeby zabić nas obie, by wyglądało to na przypadkową śmierć. Heroina była dobrym sposobem tylko w moim przypadku. Frazer powiedział: Gdy raz zostałam narkomanką będziesz nią zawsze.

Stormont przyglądał się Ewie, gdy wypowiadała te słowa. Walczyła o zachowanie obojętności, rozpaczliwie starała się mówić cicho.

— Więc postanowił zabić mnie i Cassie razem. Udał, że dogadał się z Firmą z tobą i że nas wypuści. Dał nam dzipa. Gdy odjeżdżałyśmy, usłyszałam, jak jeden ze strażników żartuje na temat podkładania bomb. Wtedy to do mnie nie dotarło, ale gdy ujechaliśmy dziesięć mil, zdałam sobie sprawę, że Frazer musiał podłożyć ładunek w dzipie. Wsiadłyśmy w samą porę. Zostawiłam włączony silnik. Pięć minut później samochód wyleciał w powietrze. Jakiś rolnik podwiózł nas do Hanoi.

Zostawiłam Cassie w hotelu. Ten fragment znasz. Miała kłamać twoim ludziom albo tobie, gdybyś tam był. — Ewa przerwała, przyglądając się Stormontowi. — Miałam przeczucie, że się pojawisz.

— Cassie dobrze odegrała swoją rolę. Zwodziła mnie, aż już było za późno. Bałem się o ciebie. Nie wiedziałem, dokąd pojechałaś i co zamierzasz zrobić.

— Jestem zaskoczona, że zajęło ci to tyle czasu. Powstrzymałbyś mnie?

— Byłem przekonany, że zginiesz. Czy uważasz, że bym na to pozwolił, nawet gdybym wiedział, że tego właśnie pragniesz?

— Nie chciałam umrzeć. Ale przypomnij sobie, odbyliśmy taką samą podróż ponad cztery lata temu, ty i ja w samolocie transportowym. Byłam wtedy narkomanką. Jak sądzisz, co mnie z tego wyciągnęło? Tym właśnie żyłam przez cztery lata, dzięki temu przetrwałam. Nie mogłam puścić tego w niepamięć, uczynić żartu z całego swojego życia. Gdy Frazer wbił mi igłę, ten ból powrócił w jednej chwili.

Zniszczyłby mnie. Więc wróciłam, udało mi się i jest dobrze.

Przez chwilę jedynie spoglądali na siebie.

— Ewo, zrobię, co będę mógł, żebyś nie miała kłopotów — odezwał się w końcu Stormont.

Odwróciła się od niego, wyczerpana.

Stormont spojrział na ciało Ewy, spoczywającej bezwładnie obok niego. W

ambasadzie Ewa wzięła prysznic i przebrała się w ubranie, które dostarczył jej Courtney, ale Stormont w myślach wciąż widział kobietę pokrytą krwią podchodzącą w ciemności do dzipa.

Wstał po cichu i usiadł obok Cassie. Nie spała, wpatrywała się w przestrzeń. Ujął jej dłoń, zaskoczony, z jaką łatwością się na to zdobył. Tak bardzo pragnął dotknąć ręki Ewy, ale nie mógł.

Cassie spojrzała na Stormonta.

— Co teraz zrobisz? — spytał. — Gdy to się już skończy?

— Nie wiem. Jak mogę po tym wszystkim wrócić do normalnego życia? Jak mogę wrócić do pracy dla Case Reed, martwić się o transakcje, rzucić się w wir interesów, jakby one naprawdę miały jakieś znaczenie?

— A co ma znaczenie?

— Ty mi powiedz.

Stormont odwrócił się nieświadomie.

— Widzisz, nie potrafisz się na to zdobyć, unikasz odpowiedzi. Co dla ciebie naprawdę ma znaczenie?

Zwrócił się z powrotem do Cassie.

— Mój zawód, moja praca.

— Ach tak, twoja praca. Słyszałam, jak Frazer o tym mówił, gdy miał wstrzyknąć Ewie heroinę. Powiedział, że nigdy nie chciałeś usuwać ludzi takich jak on, jedynie pragnąłeś wiedzieć, co robią i z kim się zadają. Stwierdził, że z ochotą pozwalasz im na tę działalność, ponieważ jeśli nie oni, ktoś inny zająłby się tym procederem. —

Głos Cassie był teraz ostry, przepełniony wściekłością. — Co zrobisz z Ewą?

Stormont spojrzał Cassie w oczy i znów odwrócił wzrok.

— Zakamuflujemy wydarzenia w obozie. Ludzie Frazera znikną odjadą do Hongkongu. Nie sądzę, by jeszcze kiedykolwiek mogli wrócić do swojego zajęcia.

Niewiele osób dowie się, co Ewa zrobiła. W tym zawodzie zawsze istniało prawdopodobieństwo śmiertelnych wypadków. Nie będzie musiała za nie odpokutować, jeśli o to ci chodzi.

— To już by była zdrada ostateczna, nie sądzisz? Ale nie, nie to mam na myśli.

Nigdy nie przypuszczałam, że zostałaby za to pociągnięta do odpowiedzialności, ale jak możesz mówić, że nie odpokutuje... Jak będzie wiodła swoje życie? O to mi chodzi. Co z nią będzie?

Stormont wpatrywał się przed siebie w milczeniu.

Rozdział 54

Samolot wylądował w Brize Norton punktualnie. Powitał ich oficer dyżurny.

Otwarto drzwi i zainstalowano schodki. Stormont wysiadł pierwszy, za nim Cassie, następnie Ewa. Razem udali się w stronę głównego budynku lotniska.

Oficer dyżurny odciągnął Stormonta na bok i przedstawił się.

— Pan Aden czeka sam w pokoju numer dwa, zgodnie z poleceniem. Pan Quaid jest w pokoju cztery. Dla pana przygotowałem pokój numer jeden.

— Dziękuję. Zaraz spotkam się z Quaidem, następnie z Adenem. Chciałbym, żeby pan był w pobliżu.

Mężczyzna rzucił w stronę Stormonta pełne zrozumienia spojrzenie. Przewidywał jakieś kłopoty.

— Tak jest, sir. Tędy proszę.

Stormont z Cassie i z Ewą weszli do przydzielonego im pokoju.

— Jesteś gotowa na spotkanie z Quaidem? — spytał Cassie.

— Tak, chyba tak. — Stormont widział, że jest niesłychanie spięta. Cassie ruszyła do drzwi.

— Do zobaczenia, Ewo.

— Tak, do zobaczenia, Cass. — Kolejne rozstanie przy akompaniamencie wyświechtanych słów, jakby nie potrafiły zdobyć się na nic innego.

Stormont otworzył drzwi. Cassie przekroczyła próg, zatrzymała się i podeszła z powrotem do Ewy.

— Zapomniałam ci powiedzieć. Sprzedałam swój pakiet akcji „Geniusza” osobie, która nazywa się Aubrey Goldstein, i zgodziłam się sprzedać twój, jeśli zechcesz się go pozbyć. Kurs, po jakim odstąpiłam udziały, przyniósłby ci jakieś dwa miliony siedemset tysięcy funtów za twoje dziesięć procent.

Odwróciła się do Stormonta.

— Goldstein to ten mężczyzna, który podszedł do mnie w barze, w Hanoi. Bardzo mu zależało, żeby położyć łapę na „Geniuszu”, więc kazałam sobie słono zapłacić. — Przerwała na chwilę. — Zadzwoń do mnie, żebym wiedziała, co zdecydowałeś, Ewo, dobrze?

— Wynegocjowałeś to wszystko, gdy ja... gdy mnie nie było?

— To dla nas przydatne.

Ewa nagle straciła pewność siebie.

— Diamentowe akcje należą do ciebie, Ewo. Zrób z nimi, co uważasz za stosowne.

Im prędzej, tym lepiej — odezwał się Stormont.

— Zadzwoń do ciebie — powiedziała Ewa do przyjaciółki. — I dzięki, Cass.

Wymieniły ostatnie spojrzenia, po czym Cassie odwróciła się i zniknęła, idąc za Stormontem w głąb korytarza.

— Spotkam się z tobą ponownie za kilka godzin — oznajmił Stormont. —

Będziemy musieli wszystko przeanalizować. To może zająć parę dni. Udamy się w jakieś ustronne miejsce. Quaid nie będzie mógł z nami pojechać, ale zobaczysz się z nim niebawem. Jedna rzecz, o jaką chcę cię prosić, Cass, to żebyś nie opowiadała nikomu, co przytrafiło się tobie i Ewie. I nie wolno ci wspominać o mnie. Wiesz, dlaczego o to proszę, masz świadomość, jaka jest stawka.

— Wiem i będę milczeć.

— Trudno jest dochowywać tajemnic, Cassie. Jeśli kiedykolwiek chciałabyś o tym porozmawiać, zawsze możesz się zwrócić do mnie.

— Dziękuję.

Stormont wprowadził Cassie do niewielkiego pomieszczenia. Sam nie wszedł, pozostał niewidoczny, ale zobaczył, jak przytuliła się do Quaida. Stormont wrócił

korytarzem do swojego pokoju.

Usiadł naprzeciwko Ewy i przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

Rozmawiali przez dwie godziny. Ewa opowiadała o wszystkich szczegółach akcji.

Stormont rozluźnił się, ale Ewa miała wrażenie, że przepełnia go smutek.

— I co teraz? — spytał. — Dokąd chcesz się udać, gdy to wszystko już zostanie wyjaśnione?

— A dokąd mogę się udać, jeśli nie gdzieś daleko stąd? Zrobiłam, co miałam do zrobienia.

— Teraz możesz żyć, uwolniłaś się od Frazera.

— Nie bardzo wychodzi mi takie normalne życie. Nie potrafię nawet przez krótki czas przebywać z ludźmi. Wpadam w panikę, gdy muszę spędzić z kimś cały dzień, bez możliwości ucieczki w głąb siebie. Nie ufam sobie.

Potok słów przelewał się między nimi, ale rzeczy najważniejsze zostały nie nazwane. Ewa zastanawiała się, czy on też coś ukrywa. Jak długo będzie trwała ta cisza? Przez następne trzydzieści lat? Do śmierci? A przecież był tutaj, siedział obok. Wystarczyło, żeby dotknęła jego ramienia, a

jednak nie mogła się na to zdobyć.

Wiedziała, że gdyby znalazła się na bezludnej wyspie, jego wybrałaby na towarzysza. Potrafiłby wypełnić miejsce dziesięciu innych. Taka prosta decyzja, taka oczywista. A mimo to nie była w stanie wyciągnąć do Stormonta ręki.

Obawiała się, że jeśli to uczyni, straci go.

Stormont odezwał się w końcu.

— Nie musisz żyć pośród obcych. Nie musisz wegetować. Ewa czekała, patrząc jak łapie oddech.

— Możesz zamieszkać ze mną. — Wyciągnął rękę i bardzo delikatnie dotknął

ramienia Ewy. Nie cofnął dłoni. Spojrzała na jego rękę, a następnie na twarz i nadal czekała.

— Najpierw chciałbym, abyś się z kimś spotkała. Żebyś rozwiała wątpliwości, które, być może, wciąż zaprzatają twoje myśli.

— Z kim?

— Z Gilesem Adenem.

— Sądzisz, że wrócilibyśmy tu razem, gdybym myślała, że to ty mnie zdradziłeś?

— Nie miałaś podstaw, żeby mi wierzyć. Myśląc logicznie, istniała jedna szansa na trzy, że cię zdradziłem. Chyba chcę udowodnić swoją niewinność. I pragnę, żeby Aden musiał stanąć z tobą twarzą w twarz.

— Tak, chciałabym się z nim spotkać. Zmusić Adena do spojrzenia mi w oczy.

Ewie nie był potrzebny dowód. Uwierzyła Stormontowi, bo tak podpowiadał jej instynkt, któremu ufała bardziej niż namacalnym dowodom. Tak łatwo je było podrobić. Mogła polegać tylko na swojej wierze. Więc nie sprzeciwiła się Stormontowi, jedynie uśmiechnęła się do niego.

Wyszedł z pokoju. Gdy wrócił z Adenem, przyglądał się Ewie uważnie. Wściekłość malowała się na jej twarzy, ale była zadziwiająco opanowana.

Stormont zwrócił się do Adena:

— Chciałbym, żebyś powiedział Ewie, co zrobiłeś z jej rejestrami medycznymi, z historią choroby.

Aden nie odzywał się przez chwilę. Długo wpatrywał się w oczy Stormonta, aż zrozumiał daremność skrywania prawdy. Gdy zorientował się, że jedynym wyjściem jest przyznanie się do winy, na jego twarzy pojawił się grymas rozdrażnienia.

— Najwyraźniej wiecie, co zrobiłem, więc po co to pytanie?

— Wydaje mi się, że Ewie należy się wyjaśnienie, nie uważasz?

— Zasłużyła na to, by umrzeć. Nie była w odpowiedniej kondycji, żeby wrócić do służby. Mogła zagrozić całej akcji przeciwko Frazerowi i Ha Chinowi.

— Więc pomyślałeś, że ty jej zagroźisz. To logiczne.

— Widzisz w tym jedynie logikę? — Aden wypluł słowa, dławiąc się rozgoryczeniem.

— A co jeszcze?

Ponownie spojrzął Stormontowi w oczy, po czym odwrócił wzrok. Skulił się w sobie.

— Czy nic nie rozumiesz? — Obydwaj poderwali się na dźwięk głosu Ewy. — On cię czci i nienawidzi zarazem. Prawdopodobnie przez całe życie marzył, żeby być agentem terenowym. Ty byłeś do tego środkiem, a ja przeszkodą. Ty go zawiodłeś, a ja weszłam w drogę.

Stormont spojrzął na Ewę.

— Nigdy nie zwracałeś uwagi na uczucia, prawda? — Ewa ściszyła głos i powiedziała łagodnie: — Nie dostrzega się ich, aż do chwili, gdy już jest za późno.

Może teraz je dojrzysz.

Stormont nie spuszczał z Ewy wzroku. Znow go zaskoczyła; zawsze będzie zaskakiwać. Zdał sobie sprawę, jak bardzo ją kocha. Po chwili otworzył drzwi i zamienił kilka słów z oficerem dyżurnym, który czekał na zewnątrz.

— Odprowadź tego człowieka do jakiegoś bezpiecznego pomieszczenia zamykanego od zewnątrz, dobrze?

— Co masz zamiar ze mną zrobić? — spytał Aden beznamiętnym głosem.

— Niewiele. Zostaniesz odsunięty. — Celowo użył tego eufemizmu. — Stracisz pensję. Wywiniesz się z tego jednak stosunkowo bezkarnie.

— Stosunkowo?

— Zważywszy na to, co Ewa mogłaby ci zrobić, gdyby chciała. Aden odwrócił się do Ewy. Ujrzał w jej twarzy nie nienawiść, nie

gniew, ale coś gorszego, politowanie.

— Odejdź, Aden. Nie tknę cię. Będziesz żył sam ze sobą. Bez Stormonta, w zapomnieniu. To wystarczy.

Aden zwiesił głowę, nie mogąc znieść wzroku Ewy. Oficer dyżurny chwycił go za ramię i

wyprowadził.

Stormont i Ewa zostali sami w pokoju. Usiedli naprzeciw siebie. Przez chwilę oboje milczeli. W końcu Stormont odezwał się.

— Więc zamieszkaś ze mną?

Ewa uśmiechnęła się, wstała i podeszła do niego.

— A co z wszystkimi zasadami dotyczącymi agentów i ich kontrolerów?

Złamalibyśmy je. Nie chcę znowu grać, kryć się ani czekać, aż upłynie dość czasu i wszystko będzie w porządku — jeśli w ogóle kiedykolwiek tak się stanie.

— A czy sądzisz, że kiedykolwiek nadejdzie taka pora? Że kiedyś tego zechcesz?

— Być może.

— Co będziesz robiła przez ten czas?

Ewa uśmiechnęła się i Stormont zobaczył w jej oczach wizję przyszłego szczęścia.

— Chcę pojechać gdzieś, gdzie jest gorąco, gdzie jest niebieska woda i świeci słońce. Gdzie przez cały dzień będę mogła pić mleko kokosowe. Gdzieś, gdzie jest spokojnie i gdzie nikt mnie nie zna.